

MAŁGORZATA OLIWIA

SOBCZAK

SZRAMA

W
ab
two

MAŁGORZATA OLIWIA
SOBCZAK

SZRAMA. GRANICE RYZYKA



Copyright © by Małgorzata Oliwia Sobczak, MMXXIII

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Motto

Prolog

2020

2000

2020

2000

2020

2000

2020

2000

2021

2000

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Strona redakcyjna

*„Spotkanie się dwóch osobowości jest jak kontakt dwóch substancji
chemicznych:
jeśli zachodzi reakcja, obie ulegają przemianie”.*

Carl Gustav Jung

*„Miłość jest siłą natury. Choćbyśmy nie wiadomo jak chcieli, możemy jej
rozkazywać w takim samym stopniu, w jakim możemy rozkazywać księżycowi”.*

dr Deborah Anapol

Prolog

Prześląknięty zapachem starej boazerii korytarz tonął w ciemności. Mężczyzna niemal nic nie widział, ale szedł pewnie. Znał tutaj każdy kąt, każdą krzywiznę deski. Podłoga znajomo skrzypnęła pod jego ciężarem, gdy stanął na progu i sięgnął do włącznika światła, które rozbłysło raptownie, rozrzedzając wpadającą przez okna noc. Zmrużył oczy. Świeżo wyremontowana kuchnia nie pasowała do tego domu. Biała, połyskująca, ascetyczna, na tle reszty pomieszczeń wyglądała jak statek kosmiczny. Znów ruszył przed siebie, a gumowe podeszwy jego butów odkleiły się od laminowanej posadzki. Otworzył lodówkę, zajrzał do środka i wybrał kilka produktów. Wyjął z szafki talerz, położył na nim dwie kromki chleba, cienko rozsmarował masło. Szynka, ser, pokrojony w plastry pomidor. Zgrzytnęła szuflada, zabrzęczały noże. Jednym z nich, największym, o lśniącym, gładkim ostrzu i drewnianym trzonku, przekroił kanapki na pół. Odsunął krzesło od stołu, usiadł i zaczął jeść. Nie spieszył się, przeżuwał powoli, rozkoszował się każdym kęsem. Lubił takie momenty. Lubił się zanurzać w błogiej codzienności, delektować drobnymi rzeczami.

Gdy skończył, wstał i podszedł do zlewu. Odkręcił kran, odczekał, aż spłynie ciepła woda, i niebieską gąbeczką przetarł talerz. Myjąc, spojrzął za okno. Szyba odbijała sufitowe światło, w oddali majaczyły rosnące w ogrodzie drzewa. Cienkie, wykręcone niczym artretyczne ręce gałęzie uginały się pod silnymi podmuchami wiatru. Zza chmury wyszedł księżyc. Jasny i okrągły, upstrzony ciemnymi rozsianymi plamkami. Mężczyzna uśmiechnął się kącikiem ust i wziął nóż. Chwilę mu się przyglądał, ostrze błysnęło i zniknęło pod strumieniem wody. Zgrzytnęła szuflada, zatrzasnęły się drzwiczki szafki. Zgasił światło i wyszedł na korytarz. Znany mu zapach boazerii, skrzypienie podłogi załamującej się pod jego ciężarem. Ciężki, świszczący oddech odbijający się echem od ścian.

Wszedł do sypialni. Po omacku poklepał się po kieszeni i wydobyl z niej latarkę. Włączył. Skierował ostry strumień światła na łóżko. Błysnęły oczy. Szeroko rozwarte, o czarnych, zwężonych źrenicach. Zaświecił latarką tuż obok. Kolejna para oczu. Tak samo rozwartych, ciemnych, pełnych skrajnego napięcia i obezwładniającej grozy. W powietrzu unosił się słodko-gorzki zapach potu. Strach. Wydzielane przez ludzki organizm feromony. Jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne, ekstremalnie podniecające. Szybkim krokiem podszedł do leżącej na brzuchu kobiety. Chwycił ją za związane nad plecami nadgarstki i zrzucił na podłogę. Jęknęła i zaczęła wyc, ale było to wycie matowe, pozbawione siły. Wsadzony w jej usta knebel skutecznie go wygłuszał. Leżący po drugiej stronie łóżka człowiek też zaczął krzyczeć. Tak samo bezgłośnie, tak samo daremnie. Rozpaczliwie się wił, usiłując się oswobodzić z więzów. Podniósł głowę, wykrzywił szyję, starał się coś zobaczyć. Usiłował kontrolować to, czego kontrolować nie był w stanie. Napastnik poświecił latarką w jego stronę. Znów to spojrzenie. Pełne dzikiego przerażenia, zwierzęce, instynktownie pragnące dojrzeć w ciemności nadchodzące zagrożenie.

Mężczyzna ruszył. Ciężkim, energicznym krokiem. Prześlizgujące się po szafkach światło. W lewo i w prawo. W górę i w dół. A potem ciężar na plecach. „Co to jest? Co to?” – myślał niespokojnie leżący na łóżku mąż kobiety. Dobiegł ich gardłowy szept napastnika, tak bliski skóry ofiary, że wywołał nagłe, bolesne ciarki:

– Jeśli drgniesz, jeśli choćby usłyszę brzęk sprężyny albo tłuczonego szkła, zginiesz.

Płacz. Paniczny płacz wstrząsający ciałem, aż przez chwilę zachwiał się przedmiot położony na plecach. I cisza. Brak ruchu. Opamiętanie.

– Dobrze. – Znów ten gardłowy szept. Przerazający, paralizujący bardziej niż najmocniejszy cios. – Sprawuj się ładnie, a nic ci się nie stanie.

Dudniące, niosące się echem kroki. Kobięcy jęk. Jednostajne, donośne szuranie.

Wbił się w nią bez ostrzeżenia. Raz i drugi. I raz, i drugi. A ona wyła w knebel. Bezgłośnie i daremnie, choć przecież mocno, usilnie, boleśnie. Życie jest pełne paradoksów. Nie przestaje nas zaskakiwać. Gdy kładła się spać przy mężu, nie przypuszczała, że za kilka godzin skona na dywanie w dużym pokoju. Skona jak zwierzę. Samotna, udręczona, przepełniona najwyższą trwogą.

Na pewno nie tak wyobrażała sobie tę noc.

Na pewno nie tak wyobrażała sobie swój koniec.

„Życie jest pełne paradoksów. Nie przestaje nas zaskakiwać” – pomyślał jej kat i uśmiechnął się w duchu. Wstał i sięgnął po leżący obok niego przedmiot. Zamachnął się. Mocne uderzenie.

– Strategię tę waz stosuje tylko wobec dużej zdobyczy, która jest wystarczająco silna, by się opierać. Z drobną zwierzyną obchodzi się inaczej.

Uderzenie.

– Po prostu siłą uścisku miażdży jej wnętrzości, łamie żebra i uszkadza narządy wewnętrzne.

Następne.

– W tym przypadku nie ma już mowy o uduszeniu.

I jeszcze jedno.

Przechylił głowę i zastygł w bezruchu, patrząc, jak biały, skotłowany sweter, upstrzony tu i ówdzie galaretowatą mazią, nasiąka brunatną cieczą. Ciało leżało nieruchomo, zbrukane, zupełnie martwe. Natężenie strachu powoli malało. Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Za oknem robiło się jasno.

Lubił takie momenty. Lubił się zanurzać w błogiej codzienności, delectować drobnymi rzeczami.

Po chwili wrócił do kuchni. Plask. Plask. Gumowe podeszwy obuwia plaskały o laminowaną podłogę. Zgrzytnęła szuflada, brzęknęły noże, zatrzasnęły się drzwiczki, zaskrzypiała podłoga. Znów znalazł się w dużym pokoju. Odślonił kobiecie brzuch i przeciągnął nożem po jej skórze.

Ponownie przechylił głowę w bok i wpatrywał się w gładką na brzegach, w pełni zasłużoną ranę ciągnącą się od pępka do łona.

Odetchnął z satysfakcją i skierował się do drzwi wyjściowych. Te zatrzęsnęły się za nim z głośnym hukiem.

Huknęło, a Klara Lubańska gwałtownie się obudziła. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Jej serce łomotało pod czarną koszulką na ramiączkach. Skrzypnęła podłoga. Ktoś chodził po korytarzu. Trzasnęły drzwi. Cisza. Oddech kobiety zaczął się wyrównywać, tętno – uspokajać. „Wyszedł. I bardzo dobrze” – pomyślała i poczuła ulgę. Zerknęła na zegarek w komórcie. Dochodziła siódma.

Wsadziła pendrive’a do laptopa, zalogowała się i zawiedziona westchnęła. Lubiła, gdy wiadomość już na nią czekała. Wtedy, wylegając się w ciepłej pościeli, przeciągała jeszcze minuty, by ją odczytać. Oczekiwanie było przecież tak samo przyjemnie drażniące jak sama treść. Spojrzała za okno. Z szarego jak ołów nieba opadały drobne płatki śniegu.

– Nie do wiary... – jęknęła pod nosem.

Końcówka marca, a zima nie chciała wcale ustąpić. Klara wiedziała, że za godzinę cienka warstewka śniegu zamieni się w burą breję, która będzie się rozpadać pod butami i kołami samochodów. Tęskniła już za ciepłymi, słonecznymi porankami, za pogodnym śpiewem ptaków za oknem, za zwiewnymi sukienkami, w których tak lubiła chodzić. „Już niedługo” – pocieszyła się, wstała i włożyła kremowy szlafrok. Przeszła do łazienki, zapaliła kinkiety nad lustrem i wpatrzyła się w swoje odbicie. Drobna postura, jasnobrązowe, grube włosy związane w niedbały kok, długa grzywka rozchodząca się na boki, prosty, nieduży nos, niewielkie, ale ładnie wykrojone usta. Miała czterdzieści lat, lecz wyraźnie dostrzegała sine worki, które rysowały się pod niebieskimi oczami, i zmarszczki przecinające czoło. Pewnie gdyby lepiej sypiała, nie wyglądałaby na tak zmarnowaną. Ale mimo skrajnego wyczerpania sen przychodził do niej

bardzo późno w nocy, i to od lat. Nie pomagały uspokajające napary, uprawianie sportu, a nawet przepisane przez lekarza tabletki. Tak już miała, spała jakieś trzy godziny na dobę i nic nie potrafiła z tym zrobić. Naciągnęła palcami skórę powiek, wydeła wargi. Puściła i westchnęła. Może już czas, by udać się do jednego z tych magicznych gabinetów medycyny estetycznej? Może już czas, by przestać się oszukiwać, że starzeje się z godnością, a każda nowa zmarszczka nie zabiera jej sporej części pewności siebie? Może wtedy mąż spojrzałby na nią inaczej? Może ona patrzyłaby inaczej na niego?

Mruknęła z powątpiewaniem i jak co rano od dwudziestu lat wzięła lodowaty prysznic, by pobudzić krążenie i przywrócić skórze napięcie. Włożyła wcześniej przygotowany pastelowozielony garnitur, usiadła przy toalecie i zaczęła nakładać makijaż na umytą, wykremowaną twarz. Podkład, puder w kamieniu, kredka do brwi, brązowawe cienie, tusz, róż do policzków. Od razu lepiej. Niesamowite, że dzięki makijażowi można było odjąć sobie co najmniej kilka lat. Rozpuściła włosy, przeczesła je szczotką, schyliła głowę i potrząsnęła nią energicznie, pomasowała włosy u nasady, wyprostowała się. „Tak, nieźle” – skonstatowała zadowolona i gotowa zeszła na dół.

Śnieg za oknem zdążył opaść na przegniły, pozimowy ogrodowy trawnik i pokryć deski tarasowe. Dom spowijała szarość, meble w dużym pokoju tonęły w mroku. Klara Lubańska już miała włączyć światło, gdy usłyszała głośny trzask. Zdziwiona podeszła do tarasowych drzwi i wpatrzyła się w zamykającą ogród ścianę lasu. Przemek nieraz się z nią kłócił, że trzeba zrobić tam płot, ale się uparła, że chce mieć bezpośredni kontakt z naturą. Z powodu unoszącej się mgły stojące dwadzieścia metrów dalej sosny były ledwo widoczne. Wyteżyła wzrok i czekała. Wstrzymała oddech, jakby bała się poruszyć, by nie przegapić czegoś, co tłumaczyłoby dochodzący z ogrodu dźwięk. Teraz jednak za oknem panowała cisza. Śnieg niespiesznie opadał na ziemię, nocny wiatr ustał. Pełen spokój. Klara

wypuściła powietrze, a wtedy za szybą pojawiła się nagle twarz mężczyzny. Kobieta podskoczyła i krzyknęła. On zaś się uśmiechnął i zaczął jej dawać jakieś znaki. Klara odsunęła się od szyby i z niedowierzaniem kiwnęła głową. „Czego on chce? Co robi w moim ogrodzie?” – myślała gorączkowo, przyglądając się mężczyźnie w panice. Czarna kurtka i ciemne dżinsy. Na głowie miał wciśniętą na oczy czapkę z daszkiem.

– Co pan tu robi?! – krzyknęła z całych sił, rozkładając ręce.

– Przyniosłem to! – odkrzyknął mężczyzna.

– Słucham?!

– Przyniosłem... – wyciągnął rękę i pokazał – ...paczkę!!!

Klara ściągnęła brwi. Dopiero teraz zauważyła, że faktycznie trzymał w ręku jakieś tekturowe pudełko. Odetchnęła. Sięgnęła do klamki i odsunęła przeszklone tarasowe drzwi.

– Boże, ale mnie pan nastraszył – powiedziała z wyrzutem.

– Dzwoniłem dzwonkiem, ale nikt nie otwierał. Pomyślałem, że zostawię paczkę od tarasu, żeby nikt jej od frontu nie zabrał – odparł i wzruszył ramionami. Jego głos był zdławiony, jakby mówił przez zaciśnięte zęby.

Wyciągnął dłoń i podał jej pudełko. W tym samym momencie przez uchyloną szczelinę drzwi prześlizgnęła się w pędzie biało-czarna kotka.

– Mimi! – Klara powiodła za nią wzrokiem. – Gdzie ty byłaś całą noc? – zapytała z troską. – A panu dziękuję... – przeniosła spojrzenie na ogród, ale kurier już zniknął – ...ję, mimo wszystko – dokończyła zgryźliwie pod nosem i zamknęła drzwi.

Zerknęła ciekawie na paczkę. Była zaadresowana do niej.

– Ciekawe, przecież nic nie zamawiałam – zdziwiła się na głos.

Kotka zaczęła się łąsić do jej nóg, robiąc pomiędzy nimi ósemki.

– No cio? Głodna jesteś, co? Głodny kotek? – Lubańska zmiękczyła głos i się schyliła. Zwierzak postawił ogon i zaczął się prężyć pod dotykiem jej ręki. – No chodź, kochanie, chodź. Pani da amku.

Skierowała się do aneksu kuchennego, a kotka podążyła truchtem za nią. Odłożyła paczkę na blat i wyjęła z szafki saszetkę z jedzeniem.

– Miau, miau – miauknęła Mimi.

– Miau, miau – powtórzyła Klara z uczuciem. – No chodź, ty mój gadający kocie. Masz, Mimciu, masz.

Wypełniła miseczkę posiekanymi kawałkami mięsa drobiowego, a kotka zaczęła wcinać ze smakiem. Klara przyglądała się jej przez chwilę zadowolona, po czym zerknęła na ścienny zegar.

– Szlag – syknęła.

Musiała się pospieszyć, bo na pokazywanie mieszkania umówiona była punkt ósma. Włożyła brązowe botki na obcasie oraz płaszcz w takim samym kolorze i wyszła na zewnątrz. Obok czmychnęła kotka. Klara przekręciła klucz w górnym i dolnym zamku, asekuracyjnie spojrzała przez ramię i odłożyła go na parapet, za doniczkę z zaschniętą werbeną. Wsiadła do auta i czym prędzej odjechała.

2

Detektyw Oskar Korda podjechał pod sopocką komendę policji. Wewnątrz czarnej alfy romeo rozbrzmiewała płyta amerykańskiego zespołu SYML *You Knew It Was Me*. Uderzenia prostych fortepianowych dźwięków miały w sobie dobro. Zazwyczaj słuchał dużo mocniejszej muzyki, ale to właśnie utwory tej grupy leciały wczoraj w mieszkaniu Alicji. Korda uśmiechnął się na to wspomnienie. Namiętny seks, wspólne gotowanie, seans filmowy z popcornem, a potem sen. Nieprzerwany, bezpieczny, jakby zamknięto ich w jakimś ciepłym kokonie. Nie myślał, że kiedyś jeszcze mu się to przytrafi. Że będzie kogoś tak bardzo pragnął, a jednocześnie umiał zasypiać z tym kimś w jednym łóżku. Choć nigdy nie wyznał jej miłości, kilka razy słowo „kocham” cisnęło mu się na usta. Tyle że zawsze czuł w sobie dziwną blokadę i nie potrafił go wyartykułować. Gdy próbował,

stawało mu w gardle, jakby było trujące i miałkie. Jakby miało zęby, gotowe, by gryźć.

Zawsze tak miał. Nigdy nie powiedział żadnej kobiecie, że ją kocha. Nawet swojej matce, a raczej w szczególności jej.

Zignorował tę myśl i zgasił silnik. Gdy otworzył drzwi auta, muzyka ucichła, choć ciągle brzmiała w jego głowie. Śnieg pokrywający cienką warstwą podjazd zaskrzypiał pod jego butami. Korda lubił zimę. Była czysta i prosta, a on od zawsze pragnął czystości i prostoty, bo rzadko gościły w jego życiu. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę. Kilka płatków śniegu osiadło mu na dużym, prostym nosie, przeciętym długą blizną policzku i ciemnych, lekko falujących włosach.

– To będzie spokojny dzień – mruknął zadowolony, po czym wszedł do ceglanego budynku o przeszklonym, obłym froncie. W środku przywitały go głosy:

- Wiwat, Korda!
- Gratulacje!
- Sto lat, nadkomisarzu!

Detektyw przystanął zdziwiony. Na parterze zebrał się spory tłum, a na recepcyjnym kontuarze stały kwiaty. Ktoś trzymał tort, na którym wypalała się pachnąca siarką flara. Ktoś inny wystrzelił konfetti, ktoś jeszcze inny filmował wydarzenie telefonem komórkowym. Naprzeciw wyszedł mu postawny, łysy jak kolano komendant Juliusz Szewczyk.

– Komisarzu Korda – zaczął – chciałem nieoficjalnie, ale z należytą pompą poinformować, że za spektakularne wyniki w pracy awansujesz na stopień nadkomisarza. Oczywiście odznaczenie zostanie nadane na oficjalnej uroczystości, jednak już teraz, i to przy wszystkich, chciałem pochwalić twoje osiągnięcia i pogratulować wyższego stopnia służbowego.

Szewczyk uściśnął Kordzie rękę. Ten uśmiechnął się nieśmiało i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Zatrzymał się na jednej z nich. Pracujący w wydziale gospodarczym, ogolony na zero komisarz Igor

Olszewski, którego wyróżniał charakterystyczny pieprzyk między brwiami, patrzył na niego z drwiącą miną. Były mąż Alicji Grabskiej – głośny, skory do rozmów, rzucający żartami na prawo i lewo – był uwielbiany przez pracowników komendy. Ale Korda znał prawdę, wiedział, że, choć nigdy mu tego nie udowodniono, Igor latami znęcał się nad Alicją – poniżał ją, bił, przeproszał, a potem uderzał jeszcze mocniej, zakrapiając swój gniew alkoholem. Tajfun, bo tak mówiono na Olszewskiego od czasów liceum, potrafił jedynie niszczyć. Szedł po swoje niczym huragan i nie brał jeńców. Korda świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że teraz Olszewski musiał być wściekły, skoro to on, przed nim, zdobył stopień nadkomisarza.

– Gratki, psie! – Korda poczuł na plecach siarczyste uderzenie.

Odwrócił wzrok od Tajfuna i przeniósł go na stojącego obok niego policjanta ubranego w jasny sweter. Paweł Pągowski, nadkomisarz z wydziału dochodzeniowo-śledczego, zwany przez wszystkich Pajakiem z racji długich, szczupłych kończyn, z uznaniem pokiwał głową.

– Należało ci się, brachu – powiedział. – Jak budyń kucharzowi.

– Dokładnie, zmiatasz z planszy – potwierdził stojący obok partner policyjny Pągowskiego, Adam Kowalewski, *vel* Kita. Miał na sobie czarny T-shirt; włosy jak zwykle związał w kucyk. – Świetna akcja z tym morderstwem sprzed lat. Serio, szacun, mordo.

– Dzięki, ale wiecie, że ujęcie sprawcy to zawsze praca zespołowa – odparł skromnie Korda.

– Zespołowa, mhm. – Mierzący niemal dwa metry Tajfun nagle wyrósł obok nich. – Szczególnie jak laska odwała za ciebie całą robotę. Wiesz, taka laska, co ci jeszcze zrobi laskę – dodał i zbliżył swoją wykrzywioną gniewem twarz do twarzy Kordy.

– Widzisz, jak ja umiem się ustawić? – rzucił z cynicznym uśmiechem Oskar. – Nie wątpię, że zazdrościsz. I wiesz, że jest czego.

– Ja cię, kurwo... – Olszewski zacisnął pięści.

Kowalewski złapał go szybko za ramię i przywołał do porządku:

– Kucnij na jeża, Tajfun!
– Kita, nie wpierdalaj się!
– Panowie. – Do grupy szybkim krokiem podszedł komendant Szewczyk.
– Ja wiem, że wy wszyscy macie wielkie fiuty, ale to nie czas, by je eksponować, rozumiemy się?! – huknął. – No! To prostować się, kurwa – zarządził. – Bo zaraz stopnie zdegraduję, jak mi tu będziecie dziecinadę odpierdalać.

Korda spojrzął na zdenerwowanego komendanta. Szef nieraz był świadkiem sprzeczki policjantów, ale jeszcze nigdy nie zareagował tak ostro.

– Coś się stało? – zapytał podejrzliwie.

– Zgłoszenie właśnie przyszło. Mamy morderstwo. I to spektakularne. – Komendant pokręcił głową. – Jak tak dalej pójdzie, to Sopot wyląduje na jedynce wśród najbardziej niebezpiecznych miast w Polsce, a turystyka to się w ogóle pójdzie jebać. I tak przez ten COVID się świat sypie – sarknął Szewczyk.

– Słynące z przestępczości Siemianowice Śląskie to przy Sopotcie mały pikuś, nie? – Kita zaśmiał się złowieszczo, lecz pod karnym wzrokiem komendanta mina mu od razu zrzędała.

– Nasz nowy nadkomisarz znów będzie miał szansę się wykazać – wtrącił Szewczyk, wybierając w ten sposób prowadzącego śledztwo.

Pągowski z wyrzutem spojrzął na Kowalewskiego.

– No co? – Kita wzruszył ramionami.

– Idź czochochraj precla – rzucił w jego stronę Pająk i pokręcił z niedowierzaniem głową.

3

Drzwi toalety w budynku „Dziennika Trójmiejskiego” przymknęły się z cichym zassaniem. Redakcyjny gwar został w oddali. Przez niewielkie

okno wpadało do środka szare światło. Alicja Grabska wcisnęła włącznik i zaskwierczały sufitowe, pamiętające czasy peerelu jarzeniówki, a pomieszczenie zalało jasne światło. Dziennikarka podeszła do umywalki, umyła ręce i automatycznie zdezynfekowała je stojącym obok płynem. Dłonie miała już suche od ciągłej dezynfekcji, ale przynajmniej tyle mogła zrobić, by zmniejszyć ryzyko złapania tego skurwysyna. Czasami wydawało jej się, że gra w jakimś filmie science fiction – ze względu na panoszącego się wszędzie wirusa. Ale i z powodu związku z Kordą. To drugie wydawało jej się nawet bardziej nierealne niż światowa epidemia. Z niedowierzaniem pokiwała głową. Wreszcie się jednak uśmiechnęła i zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Jej grafitowe oczy błyszcząły, a usta wciąż były nabrzmiące od pocałunków. Przejechała po wargach palcami, jakby znów chciała poczuć na skórze obecność Oskara.

Długo się wzajemnie odpychali, ale przyciąganie okazało się silniejsze. Może przeciwności tylko ich wzmocniły? Zawiązały ich drogi w ciasny supeł, a oni poddali się w końcu temu, co nieuniknione? Nieważne. Liczyło się tylko to, że pozwolili sobie na bliskość. Prawdziwą – chciałyby rzec, choć to słowo ją przerażało. Życie nieraz jej pokazało, że prawda to złudna sprawa, może się rozczłonkować niczym obraz w kalejdoskopie. Kolejne blizny i szramy rozmywają obraz i przestawiają jej szkiełka, zmieniając perspektywę. Nie ma jednej prawdy. Każdy człowiek ma własną.

Alicja znów przeciągnęła palcem po ustach. Podgryzające wargi zęby, pełen napięcia oddech, wilgotny, gorący język. Na tym będzie się skupiać. Obiecała sobie, że odpuści analizowanie, rozbiór na czynniki pierwsze, dzielenie każdego gestu na kawałeczki. Byli. Byli razem. I tylko to się liczyło.

Zadziornie ściągnęła brwi, rzucając wyzwanie swojemu odbiciu. „Będzie dobrze – pomyślała. – Wszystko będzie dobrze”. Roztrzepała dłonią rozpuszczone, proste blond włosy, przygładziła je i zadowolona weszła do kabiny. W tym momencie ktoś wpadł z impetem do łazienki. Drzwi odbiły

się od ścianki, a sufitowe reflektory na milisekundę zgasły z charakterystycznym asekuracyjnym sykiem. Od ścian odbiły się ciężkie kroki. Ktoś przemierzał pomieszczenie tam i z powrotem. Jak lew na wybiegu. Charczący oddech. Wdech i wydech. Wdech i wydech przez zaciśnięte zęby. Alicja zamarła i wsłuchiwała się w odgłosy, które niepokojąco niosły się w łazience. Ktoś najwyraźniej miał problem. Z czymś sobie nie radził. Czy powinna mu pomóc, czy zostawić go w spokoju? Przecież nie będzie siedzieć teraz zamknięta w kabinie, udając, że jej tam nie ma. To byłoby dziecinne. Podciągnęła spodnie, które zdążyła już opuścić. I tak w takich warunkach nie było szans się wysikać. Bezszelestnie nacisnęła klamkę i wyjrzała. Przed lustrem stał redaktor Mariusz Kierski. Jego rozbiegane oczy płonęły. Gdy zauważył koleżankę, jego twarz natychmiast złagodniała. Uśmiechnął się naturalnie i niewymuszenie. Jego atletyczne ciało się rozluźniło, przybierając nonszalancką pozę. Kierski doskonale umiał zmieniać maski. Grabska nigdy mu nie ufała.

– Wszystko w porządku? – zapytała jednak.

– Tak, w porządku, pewnie. – Szeroka szczeka Mariusza się wykrzywiła.

– A u ciebie? Dobrze wszystko? – zmienił temat rozmowy, niedbale poprawiając zaczesane do tyłu jasnobrązowe włosy.

– Mhm – mruknęła Alicja, uważnie przyglądając się odbiciu Kierskiego, który bacznie wodził za nią wzrokiem, gdy znów podeszła do umywalki. Grabska nie znosiła tego jego spojrzenia. Asystent Szylbacha zawsze patrzył na nią jak na zdobycz, którą dopadnie i rozerwie na strzępy, gdy tylko ta zacznie uciekać.

Drzwi łazienki znów się rozwarły. Stał w nich ubrany w jak zawsze rozciągnięty bury sweter Wiktor Szylbach, naczelny mieszczącego się przy ulicy 1 Maja w Sopocie „Dziennika Trójmiejskiego”. Zaskoczony odchrząknął.

– Co za spotkanie – rzucił, poprawiając zjeżdżające na nos grube czarne oprawki.

– Prawda? – odcięła się Alicja.

Ponownie wsadziła ręce pod strumień ciepłej wody. Zdezynfekowała je i zerwała kawałek ręcznika papierowego z podajnika, na koniec osuszyła dłonie.

– Wiem, wiem, że to niekomfortowe. – Szylbach podrapał się po głowie, mierzwiąc i tak roztrzepane, sterczące na boki siwe włosy. – Remont męskiej łazienki już zmierza ku końcowi, więc niebawem nie będziemy musieli wpadać na siebie w takim, hm, intymnym miejscu – wyjaśnił i uśmiechnął się przepaszająco.

– Wspaniale – sarknęła Grabska, celując zużytym papierem do kosza.

– Tak, tak. A! A skoro już się widzimy: jest materiał do zrobienia. TVN kręci reportaż o Zatoce Świń. – W łazience rozniósł się dźwięk nadchodzącej wiadomości. – Stare ujęcia, ale wzbogacone o aktualny komentarz. – Alicja sięgnęła do kieszeni po telefon. – Więc dobrze byłoby też mieć coś na podorędziu, jak znowu zaczniesz się robić głośno o sprawie. Ala?

– Yhm? – Grabska z uwagą patrzyła na wyświetlacz, odpisywała.

– Słuchasz mnie?

– Tak, tak.

– Chciałbym, żebyś ty się tym zajęła.

– Ja mogę! – wyrwał się Kierski. – Wiesz, że to ja pisałem o samobójczej śmierci czternastoletniej Anaid, tak że to chyba ja powinienem...

– Wybacz, Mariusz – odparł naczelny. – Ale chciałbym, żeby tym razem zadziałała Alicja. Wiesz, zawsze to świeża perspektywa.

– No tak, ale...

– Nie ma żadnego ale – uciął Szylbach i posłał asystentowi twarde spojrzenie.

– Myślę, że Mariusz świetnie się sprawdzi w tym zadaniu. – Alicja uniosła wzrok znad komórki. – A ja na asapie potrzebuję ekipy.

– Jakaś gruba sprawa? – spytał Szylbach i zmrużył oczy z zainteresowaniem.

– Bardzo gruba – odrzekła Alicja i skierowała się do wyjścia.

4

Oskar Korda zatrzymał alfę przy Junaków w Sopocie. Na ulicy obsadzonej po jednej stronie wysokim żywopłotem stały już karetka i kilka policyjnych samochodów, a na chodniku gromadzili się gapie. Detektyw, nie wyłączając aplikacji Spotify, wsadził w uszy słuchawki i wysiadł z auta. *Some ancient call. That I've answered before. It lives in my walls. And it's under the floor. If this was meant for me, why does it hurt so much?*¹ – rozbrzmiał w jego uszach subtelny kobiecy wokal. Znowu SYML. Bezgłośnie zatrzasnął drzwi samochodu i ruszył w kierunku parterowego domu. Buty zagłębiały się w śniegu, który, o dziwo, jeszcze się tu utrzymał. Krok. Krok. Krok. Jego kroki współgrały z regularnym beatem, a spokojna muzyka sprawiała, że wszystko wokół rozgrywało się w zwolnionym tempie. Niebieski kogut na dachu ambulansu rzucał rytmiczne światło na rosnące opodal krzewy, płatki śniegu powoli opadały na dachy samochodów, a kobiety i mężczyźni wyciągali wysoko szyje, starając się zajrzeć do wnętrza budynku. Policjant uważnie zlustrował ich twarze, starając się je zapamiętać. Wiedział, że mordercy bywają arogancy i wcale nie tak rzadko kręcą się obok miejsc zbrodni, które popełnili. Wszyscy gapie mieli źrenice szeroko rozwarte, jakby w ich żyłach pulsowała adrenalina. Korda unosił się ponad tym widokiem, brnął przez paralelną rzeczywistość. Dzięki muzyce świat stawał się miękki, tracił kontury. Ginęły bodźce.

Dotarł do karetki. Na brzegu platformy siedział otulony w srebrny koc termiczny mężczyzna. Kiwał się w przód i w tył, spoglądając w ziemię nieobecny wzrokiem. Passatem nadjechał technik kryminalistyczny Jacek Wilczak. Przy krawężniku z tyłu zatrzymał się wóz transmisyjny

„Dziennika Trójmiejskiego”. Detektyw wszedł przez furtkę i przyjrzał się domowi. Poszarzałe ściany, stara czerwona dachówka, brązowe drzwi wejściowe, do których prowadziły trzy stopnie wyłożone cętkowanymi kafelkami. Budynek wydawał się spokojny, uśpiony, zanurzony we mgle, choć Korda doskonale wiedział, że to tylko pozory. Bo właśnie w tym miejscu, w tym zmurszałym budynku ktoś dwa dni temu przekroczył najbardziej pierwotne, najgłębsze tabu – odebrał życie drugiemu człowiekowi.

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Drgnął i wyjął słuchawki z uszu. Głosy ludzi, westchnienia, nawoływania, zniekształcone przez słabe głośniki komunikaty z policyjnego CB radia, klekot rozkładanego sprzętu, trzaśnięcia drzwi. Chaos, który nadawał kształty rzeczywistości, pozbawiał ją gąbczastej formy.

– Ofiarą jest dwudziestoośmioletnia kobieta, Eliza Zalewska – zaczął relacjonować starszy sierżant Adam Gustowski, nazywany w firmie Gustlikiem. Na zwichrzone zazwyczaj jasne włosy włożył czarną czapkę. Okulary korekcyjne częściowo zasłży mu parą. – Z tego, co zdołaliśmy ustalić, sprawca włamał się do domu około trzeciej w nocy. Obudził parę świeceniem latarki po oczach. W rękę trzymał nóż. Nakazał żonie owinąć mężowi ręce z tyłu i nogi w kostkach taśmą klejącą, a potem sam skrępował ręce i nogi kobiecie i zaciągnął ją do dużego pokoju. Tam najprawdopodobniej ją zgwałcił i zatłukł.

– O *fuck!* I mąż nic nie zdołał zrobić? – Korda przeniósł wzrok na mężczyznę siedzącego nadal na platformie karetki. Ten wciąż wbijał spojrzenie w ziemię, kiwając się w przód i w tył. Musiał być nadal w szoku.

Gustlik rozłożył ręce i ciągnął:

– Ze wstępnych ustaleń wynika, że sprawca położył na plecach mężczyzny wazon bez wody i zagroził, że jeśli wazon spadnie, to go natychmiast zabije.

– Więc mąż przez cały czas leżał w bezruchu, tak?

– Na to wygląda.

– Mhm – mruknął Oskar. – Zalewski podejrzewa, kto to mógł być?

Widział twarz napastnika?

– Podobno sprawca miał na głowie maskę zrobioną z brązowej włóczki. Taką, wiesz, na szydełku, z dziurami na oczy i usta jedynie.

– *Creepy* – skonstatował detektyw.

– Nooo. – Gustlik się zaśmiał. – Ale *creepy* to jest dopiero w środku. Tak że wiesz, też lepiej włóż maskę, bo od zapachu to oczy normalnie łzawią.

– Czemu mąż zwlekał aż dwa dni z zawiadomieniem policji? – zastanowił się Korda.

– Twierdzi, że przez dłuższy czas bał się nawet drgnąć, jakby był w jakimś paraliżu. A potem dopiero udało mu się dowlec do ciała żony. No a że nie mógł się oswobodzić, to uderzał nogami o drzwi. W ustach miał knebel, nie mógł wzywać pomocy. W końcu to walenie nogami w drzwi usłyszał jakiś sąsiad i to on zawiadomił policję.

Oskar zmierzył wzrokiem odległość od drzwi wejściowych do niskiej drewnianej furtki.

– No dobra – mruknął, po czym zerknął na czekającego na ścieżce technika w białym kombinezonie, włożył folię ochronną na buty, lateksowe rękawiczki i białą maseczkę. – Wchodzimy. – Dał znak reszcie.

Otworzyli drzwi. Te skrzypnęły złowieszczo. Z mrocznego wnętrza buchnął smród: starej, zmurszałej boazerii, wilgotnych zgrzybiałych ścian, a przede wszystkim rozkładających się zwłok. Putrescyna i kadaweryna. Trupi jad. Zapach śmierci. Wdzierał się w nozdrza policjantów mimo masek zakrywających drogi oddechowe. Intensywny, słodkawy, cierpki. Nie dało się go z niczym pomylić. Korda mocniej zacisnął zęby na miętowej gumie do żucia, hamując odruch wymiotny, i skupił się na otaczających go bodźcach.

Ten świat zdecydowanie miał kontury. Był wyraźny, kanciasty i jaskrawy mimo wlewającej się przez okna szarości. Detektyw uświadomił sobie, że

i w jego organizmie zaczęła krążyć adrenalina. Jego wzrok się wyostriżył, wyłapywał wszystkie detale, krzywizny, parametry przestrzeni. Serce przyspieszyło, pompując więcej krwi do organizmu, poczuł siłę w mięśniach. Jakby obudził się na nowo.

Szedł powoli korytarzem, a każde skrzypnięcie wydeptanych desek niemal wbijało mu się w mózg. Pokrywająca ściany boazeria miała pomarańczowy odcień, a światło, które włączył jeden z policjantów, sączyło się ze szklanego żyrandola w kształcie półkuli. Korda stanął w progu kuchni. Objął wzrokiem przestrzeń. Ta, w przeciwieństwie do domu, była nowoczesna i sterylna. Panował tu idealny porządek. W zlewie nie było ani jednego brudnego naczynia, choć na blacie leżał szcerstwiały bochenek białego chleba. Tuż obok masło w pomiętym papierku i opakowania po serze i szynce. Na desce połówka pomidora, który puścił sok.

Ruszył dalej. Po chwili dotarli do dużego pokoju. Smród jeszcze się wzmógł. Korda znów ścisnął zębami gumę, która powoli zaczęła tracić smak. Przesunął wzrokiem po meblach, starając się na razie omijać to, co najważniejsze. Tu wystrój zatrzymał się na czasach komuny. Dwie ciężkie skórzane sofy, zielone zasłony, zwisające z meblościanki rośliny, wykładzina o barwie ochry, na jednej ze ścian spreparowana ryba piła.

Telewizor stojący po prawej wciąż był włączony. Ekran zasłaniał czerwony koc. W tle niosły się dźwięki jakiegoś amerykańskiego filmu: niepokojąca muzyka symfoniczna i podkładany przez Stanisława Olejniczaka dialog:

– I co teraz zrobisz? No? Chcesz mnie aresztować? Ha? Nie mam nabojów.

– A szkoda, bo mogłoby ci to zaoszczędzić bólu. – Korda rozpoznał głos Stevena Seagala.

– Uwielbiam ból.

Wrzask. Odgłosy walki, spadające przedmioty.

Detektyw przeniósł wreszcie wzrok na ofiarę. Leżała pośrodku pokoju, twarzą do góry. Ręce spoczywały wzdłuż tułowia. Na nadgarstkach widoczne były brunatne otarcia. Kostki nóg krępowała srebrna taśma klejąca. Jej głowę przesłaniał niegdyś jasny, a teraz niemal w całości poplamiony krwią i szczątkami mózgu, skotłowany sweter. Poplamioną koszulkę podwinęto aż pod szyję. Od pępka do łona ciągnęła się rana o gładkich brzegach.

– Sprawca się nie pierdolił. – Nagle obok Kordy wyrósł Gustlik.

Podobnie jak Oskar, nie mógł teraz oderwać oczu od ciała. Ciało człowieka, choć nie było w tym widoku niczego ludzkiego, jakby morderca, pozbawiając je czci, zupełnie je odhumanizował.

Po chwili grobowego milczenia technik kryminalistyczny Jacek Wilczak zabrał się do pracy. Błysnęły flesze. Z brzucha Elizy Zalewskiej wyleciała mucha i wzniosła się w powietrze.

5

– Proszę, zapraszam. – Klara Lubańska otworzyła kluczem ciężkie grafitowe drzwi i wykonała zachęcający gest ręką.

Młoda, trzymająca się za ręce para weszła przodem i zaczęła się z ciekawością rozglądać. Agentka nieruchomości po chwili do nich dołączyła.

– Piękny, dwupokojowy apartament w sopockiej kamienicy z dwa tysiące trzynastego przy alei Grunwaldzkiej – zaczęła. – Trzecie piętro z windą, jak zdążyli państwo zauważyć. Niemal pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Tu mamy przedpokój z dużą szafą. Tutaj drzwi do sypialni. Proszę, proszę, zapraszam. – Uchyliła ciemnobrązowe drzwi, poprawiła maseczkę na twarzy i wprowadziła klientów do niewielkiego pokoju z łóżem przykrytym beżową kapą. – Niewielka, ale przytulna. Ma wszystko, co potrzebne. Kolejna pakowna szafa, wygodne półeczki na lampki nocne...

– Właściciel chce sprzedać mieszkanie wraz z meblami, tak? – upewniła się Aneta Skowrońska, drobna blondynka, której jasną twarz pokrywały liczne piegi.

– Dokładnie, choć jeśliby państwo sobie tego życzyli, to oczywiście możemy je usunąć – powiedziała Lubańska, przyjaźnie mrużąc oczy. Przez te maseczki musiała się uśmiechać oczami. „Jakby były mi potrzebne nowe zmarszczki” – westchnęła w duchu i z rezerwą zerknęła na Skowrońskich, którzy nie trudzili się założeniem masek. – No, ale myślę, że łóżko warto zostawić. Spore, wytrzymałe, stabilne – zachęcała. – Oczywiście można by tylko zmienić materac, bo to wiadomo, po kimś... – Machnęła ręką.

– Tak, łóżko idealne dla młodego małżeństwa – rzekł Michał Skowroński, puszczając żonie oczko.

Był widocznie starszy niż jego wybranka. Na oko miał jakieś trzydzieści pięć lat. Ciemne włosy, zarost. Z wyglądu stanowił kompletne przeciwieństwo przypominającej anioła partnerki.

– Cieszę się. – Klara znów zmrużyła oczy. – A kiedy był ślub? – zainteresowała się.

– Pół roku temu – odpowiedziała Skowrońska i z uczuciem popatrzyła na męża.

– Oooo! To słodko.

„Ciekawe, kiedy to pełne miłości spojrzenie zamieni się w pełne niechęci? – pomyślała cierpko. – Kiedy to, co wydawało im się w sobie urocze, zacznie drażnić i przeszkadzać? Kiedy zaczną się łapać za słówka, kiedy przestaną ze sobą rozmawiać?”. Jej też się na początku wydawało, że nigdy się nie znudzi mężem, że wspólne tematy nigdy się nie skończą, że ona i mąż będą co noc uprawiać burzliwy, pełen namiętności seks. Ale w końcu wkradła się do ich życia codzienność. Mąż właściwie przestał ją dotykać. Gasił światło, odwracał się plecami i zapadał w sen. Jego ręka nie wędrowała już w jej stronę, nie przejeżdżała ukradkiem po jej biodrze,

brzuchu, piersiach. Nie interesowała go. Już nie. Jakby się stała przezroczysta.

– Proszę za mną, przejdziemy do dużego pokoju. – Klara odwróciła się do drzwi, ale kątem oka zdążyła zauważyć, że mężczyzna położył żonę dłoń na pośladku. Zacisnął palce, a ta upomniała go piskliwie:

– Michał! Przestań!

– No co? – Skowroński się zaśmiał. – Jesteś moją żoną, a my jesteśmy w sypialni.

– Ty nigdy nie masz dość? – szepnęła pełna zadowolenia Aneta.

– Nigdy – przyznał jej mąż i nachylił się do pocałunku.

Lubańska poczuła w żołądku nieprzyjemne ukłucie zazdrości.

„I tak ta namiętność prędzej czy później się wypali – pomyślała z mściwą satysfakcją. – Po kilku miesiącach, najdalej po kilku latach. Ludzie ostatecznie zawsze zaczynają się sobą nudzić”. Zacisnęła usta. Kiedy się to zaczęło w jej małżeństwie? Kiedy seks stał się dla jej męża przykrym obowiązkiem, zawsze ostatnim na liście, zbyt męczącym, by miał na niego siły? Kiedy ostatni raz obdarzył ją takim spojrzeniem jak ten tutaj mężczyzna swoją kobietę? Nawet nie pamiętała. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła się przy mężu seksowna i pożądana.

– Idziemy? – Usłyszała głos Michała.

– Tak, oczywiście, proszę, proszę. – Klara poprowadziła parę do dużego pokoju. – Jasny, przestronny salon z w pełni wyposażonym aneksem kuchennym – kontynuowała. – Białe, klasyczne szafki, szeroka wyspa, duży stół, sofa w idealnej odległości do telewizora. No i oczywiście wisienka na torcie. – Zaśmiała się sztucznie. – Piękny, ogrodzony zielenią, kameralny taras z bezpośrednim wyjściem z salonu – dodała i wskazała w stronę niemal w całości przeszklonej ściany.

– Wow! – zachwyciła się Skowrońska. – Wygląda lepiej niż na zdjęciach!

– Tak – zgodził się mężczyzna. – Całkiem nieźle. No to porozmawiajmy o cenie. – Jego głos spoważniał.

– Jak w ofercie, dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy. – Klara znów przymilnie zmrużyła oczy.

– Dużo. Nic się nie da zjechać? – dopytał Skowroński. – W końcu to niecałe pięćdziesiąt metrów kwadratowych.

– Cóż, metraż nie jest może powalający, ale jak pan widzi, mieszkanie jest ustawne, przez przeszklenia wpada dużo światła. Podłogi wyłożone są wysokiej klasy panelami o wyjątkowej odporności na ścieranie, mają izolację cieplną, a to się przekłada na niskie koszty eksploatacji. Wysoki sufit, dźwiękoszczelne okna. Budynek znajduje się w samym centrum Sopotu, a zarazem w cichym miejscu, w drugiej linii od ruchliwej ulicy. Jest nowoczesny, z drugiej zaś strony cechuje go specyficzny dla Sopotu historyczny styl budowy, przez co, można powiedzieć, należy do wyjątkowych i komfortowych. No, panie Skowroński, nie ma się co oszukiwać, to bardzo prestiżowa i pożądana lokalizacja – zapewniła.

Na te słowa Skowroński cmoknął i wciąż udawał nieprzekonanego, choć widząc zachwyconą minę jego żony, Klara była całkowicie pewna, że mieszkanie praktycznie jest już sprzedane.

– A jak z garażem? – zainteresował się nagle.

– Miejsce postojowe w hali garażowej wraz z komórką to dodatkowy koszt pięćdziesięciu tysięcy złotych. Niestety obligatoryjny. Cały teren wokół kamienicy jest ogrodzony, wjazd samochodem przez otwieraną na pilota bramę. Myślę, że to oferta, której nie da się przebić. Jakby co, można sprzedać, i to zapewne z zyskiem. Wie pan, w dobie tego wirusa ludzie rzucają się na mieszkania z wyjściem na taras. – Lubańska skwitowała wywód ostatecznym argumentem.

Mężczyzna spojrzął na żonę. Ta kiwnęła porozumiewawczo głową. Jej oczy błyszczały radością.

– No dobrze, podpisujemy – powiedział i rozłożył ręce.

Aneta Skowrońska rzuciła się na męża, po czym para na oczach Klary zaczęła się bezwstydnie całować. Agentka odwróciła wzrok

i z westchnieniem zapatrzyła się w kołyszące się za oknem wierzchołki drzew.

6

– Iiiii wchodzimy! – Barczysty operator z wąsami i w czarnej kurtce dał Alicji sygnał, że jest na wizji.

– Dzień dobry, Alicja Grabska. Mamy dla państwa najświeższą informację, informację przerażającą, ponieważ w Sopocie, właśnie w tym domu za mną, doszło do makabrycznej zbrodni – zaczęła, wskazując na parterowy budynek, nieopodal którego stały policyjne wozy na sygnale. – Na razie niewiele wiadomo. Jesteśmy tu jako pierwsi. Tak naprawdę na miejsce zbrodni dopiero przyjechały jednostki policyjne, wszystko to dzieje się na naszych oczach i oczywiście będziemy informować państwa na bieżąco o postępach w sprawie. Z nieoficjalnych informacji wynika, że ofiarą jest kobieta, mieszkanka tego domu. Z tego, co udało się ustalić, nieznanymi sprawca zbiegł. Morderca więc przebywa na wolności i zapewne się gdzieś ukrywa. – Ubrana w beżowo-szary płaszcz Grabska dla lepszego efektu zrobiła pauzę. – Możemy przypuszczać, że niebawem Rządowe Centrum Bezpieczeństwa wyda przed podejrzanym ostrzeżenie dla najbliższych województw, jak bywało w podobnych okolicznościach.

Kamera najechała na grupę funkcjonariuszy w czarnych kaskach i kamizelkach włożonych na granatowe uniformy, przemierzających teren wokół domu, zatrzymała się na wiszącej w oknie dużego pokoju zasłonie, po czym znów najechała na twarz Alicji. Na jej blond włosach osiadły niewielkie heksagonalne płatki, które powoli zaczęły się rozpuszczać. Temperatura z godziny na godzinę wzrastała, a leżący na ulicy śnieg stawał się szarą breją.

– Jak państwo widzą, na miejsce zdarzenia przyjechało kilkanaście radiowozów. Już sama taka liczba funkcjonariuszy świadczy o powadze

sytuacji. Sąsiedzi są bardzo zaniepokojeni. Wyszli z domów, z przejęciem obserwują działania śledczych.

Alicja podeszła z mikrofonem do ludzi, którzy zbili się w stojącą obok ekipy „Dziennika” gromadkę i z uwagą przysłuchiwali się słowom dziennikarki.

– Mieszkają państwo obok, czy tak? Jak się państwo czują z faktem, że na waszej ulicy popełniono morderstwo?

– No jak, przerażeni jesteśmy – wyrwał się szczupły mężczyzna o krzaczastych brwiach i zapadniętych policzkach.

– Szok to dla nas – odezwała się starsza kobieta w berecie. – Szok, bo nigdy tutaj do niczego podobnego nie doszło – dodała i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Znała pani ofiarę? – Alicja zwróciła się do kobiety ubranej w czapkę z pomponem i czerwoną pikowaną kurtkę.

– Nie tak osobiście. Ci państwo wprowadzili się do tego domu niedawno. Bo tu wcześniej od lat mieszkali Szklarscy, no, ale zmarło im się jakiś czas temu, to krewni szybko dom sprzedali. Będzie chyba z pół roku góra. No ale tak na powiedzenie „dzień dobry” to tak, znałam.

– Miła kobieta to była – wtrącił starszy pan w kaszkiecie. – Nieraz się zatrzymałem, zamieniłem kilka słów, jak z psem szedłem. – Westchnął. – To zawsze się uśmiechnęła, odpowiedziała. Nie do wiary.

– A widzieli może państwo kogoś podejrzanego w okolicy? Coś wzbudziło wasze zaniepokojenie w ostatnich dniach? – Klara przesunęła wzrokiem po twarzach rozmówców i reszty gapiów.

Ci zaczęli kręcić głowami. Tylko mężczyzna w kaszkiecie ściągnął brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Widział coś pan? – Grabska wycelowała w niego mikrofon.

– W sumie to kręcił się tutaj taki jeden ostatnio. Ja tu z psem chodzę – wskazał na niewielkiego łaciatego kundelka – to widzę różne rzeczy. No i na tego typu akurat zwróciłem uwagę, bo tak się przypatrywał domom.

Jakoś tak nie wzbudzał zaufania. To zapytałem, czy w czymś mogę pomóc. A on się odwrócił bez słowa i odszedł.

– Jak wyglądał?

– Czy ja wiem, przeciętnie. Może nawet to jakiś bezdomny był, bo taki jakiś... – Wzruszył ramionami. – Chyba siatkę miał w ręce.

– A bezdomny tu się kręci taki – zgodziła się kobieta w berecie. – Puszki i butelki po śmietnikach zbiera.

– Ale to od razu bezdomnego oskarżacie? – oburzył się mężczyzna o zapadniętych policzkach. – Bo co, bo pewnie pije, to od razu morderca? Ja to bym... – wyrwał Alicji mikrofon – ...prześwietlił tych Godlewskich. Taka podejrzana rodzinka, wie pani? Z nikim się nie zadają, na „dzień dobry” nie odpowiadają i podobno alkoholu nie piją! To jest dopiero podejrzane!

– A co pan, panie Bednarz, tu opowiada! – krzyknęła kobieta w czapce z pomponem.

Alicja zdała sobie naraz sprawę, że rozmowa wymknęła się spod kontroli, sprawnym ruchem zabrała więc mikrofon z ręki Bednarza i odeszła na bok.

– Jak państwo widzą, sprawa morderstwa w Sopocie budzi ogromne emocje – powiedziała, patrząc w kamerę. – Sąsiedzi mówią o niej z niedowierzaniem. Przypomnę: w domu za mną doszło do makabrycznej zbrodni, w wyniku której życie straciła kobieta. Na razie nie mamy żadnych informacji na temat sprawcy, ale policja, jak widzimy, stara się ustalić szczegóły morderstwa.

Barczysty operator dał jej znak głową i ponownie skierował oko kamery w stronę parterowego budynku. Grabska zauważyła, że wyszli z niego Oskar Korda i Gustlik. Skierowali się ku stojącej za policyjną taśmą karetce, po czym poprowadzili do należącej do Kordy alfy mężczyznę owiniętego folią termiczną. Alicja pospieszyła za nimi szybkim krokiem.

– Detektywie! – krzyknęła. – Czy może udzielić pan mieszkańcom Sopotu informacji o zajściu?

Korda przystanął, spojrzął Alicji w oczy, po czym dał Gustlikowi znak, że ma udzielić wstępnych informacji przed kamerą, następnie wsiadł z Grzegorzem Zalewskim do samochodu i odjechał.

7

Wystająca spod rozpinanego swetra niebieska koszulka mężczyzny nasiąknięta była w trzech miejscach krwią. Plamki były nieduże, o dość regularnym kształcie. Grzegorz Zalewski podążył za wzrokiem detektywa, pochylił głowę i szczelnie otulił się połami swetra. Sięgnął po stojący na biurku kubek z gorącą herbatą. Ręka mu drżała. Kropelki herbaty kapnęły na blat i osiadły na szarych dresowych spodniach mężczyzny. Zalewski zdawał się tego nie widzieć. Z wysiłkiem upił mały łyk i wpatrzył się w okno. Przez drewniane żaluzje sączyło się szare światło.

– Na pewno czuje się pan na siłach? – zapytał Korda.

Mężczyzna w milczeniu pokiwał głową. Herbata w jego drżącej dłoni znów chlapnęła poza ścianki. Zalewski, zaskoczony, odstawił naczynie, strzepnął rękę, po czym wytarł ją o materiał spodni. Ponownie przeniósł wzrok na szybę.

– Byliśmy razem osiem lat – rzekł jakby do siebie. – Osiem lat. Poznałem Elizę, jak miała dwadzieścia lat, w klubie. Siedziała przy barze, a ja do niej podszedłem, zaczęliśmy rozmawiać, wymieniliśmy się telefonami, albo to ja dałem jej wizytówkę, teraz nie pamiętam już dokładnie. W każdym razie, choć byłem od niej dwadzieścia lat starszy, po pół roku wiedzieliśmy, że będziemy małżeństwem. Takie rzeczy po prostu się wie – skwitował i uśmiechnął się ze smutkiem.

Korda odwzajemnił jego uśmiech. Dobrze wiedział, co czuł siedzący naprzeciw mężczyzna. Zdawał sobie sprawę, że na razie to wszystko do

niego nie docierało. Na razie jego świadomość wypierała to, co najgorsze i nieuniknione. Filtrowała jedynie fragmenty nieposkładanych informacji, zbyt rozproszonych, by wydały się realne. „Pająk ci wchodzi do ucha” – zdanie z przeszłości ostro wybrzmiało w jego głowie, ale szybko odepchnął to wspomnienie. Znow się przyjrzał Zalewskiemu. Rozumiał, że złożenie obrazów w całość przyniesie mu rozpacz. Ból niemożliwy do udźwignięcia.

– Panie Grzegorzu, czy może pan opowiedzieć o tej nocy? – spytał go wprost mimo to. – O nocy, w której zginęła pańska żona?

Zalewski popatrzył na Korde z dumiony. Ściągnął brwi, jakby usłyszane przed chwilą zdanie było dla niego niezrozumiałe.

– Proszę opowiedzieć o nocy z czwartku na piątek, z dwunastego na trzynastego marca. – Policjant inaczej sformułował pytanie.

Zalewski zaczął rytmicznie potakiwać, starając się zebrać myśli.

– Wróciłem z pracy koło siedemnastej, jak zawsze. Eliza przyjechała chwilę po mnie. Zjedliśmy obiad, a ja wziąłem się do malowania poddasza. Żona zawsze marzyła o takim swoim miejscu do pracy, więc wymyśliłem, że zaadaptujemy poddasze. Kupiliśmy ten dom jakoś pół roku temu. Nie był tani, bo wiadomo, Sopot, na remont już nie starczyło. Zrobiłem tylko kuchnię póki co i umówiliśmy się, że jak ogarnę to poddasze, to Eliza przeniesie się tam z pracą i wtedy ruszymy z dołem. No i ja dłubałem na tym poddaszu, głównie szlifowałem belki. Ona oglądała coś w telewizji. Potem zszedłem do niej, wypłem piwo i położyłem się spać, tak koło dwudziestej drugiej. Eliza chciała dooglądać film, więc jeszcze została.

Zalewski urwał opowieść i ciężko westchnął.

– I co było potem? – Korda zerknął znad notatek na mężczyznę.

Ten wczepił ręce w gęste siwiejące włosy i tak mocno zacisnął palce na skórze czaszki, że zbiały mu knykcie.

– Chce pan chwilę odpocząć? Może napić się wody? – Detektyw podrapał się w bliznę na twarzy, która, jakby z przejęcia, zaczęła go swędzieć.

– Nie – szepnął Zalewski. – Chce to mieć już za sobą.

– Dobrze. Zasnął pan po dwudziestej drugiej – odczytał z notatek policjant. – I co było potem?

– Potem... – Przesłuchiwany przełknął ślinę. – Potem wybudził mnie dźwięk... – szepnął. – Szuranie kółek od zasłon po drążku karnisza. Takie szuuuuuuuuu – wydobył z pamięci ten odgłos. – Pomyślałem, że Eliza się kładzie i zasłania okno. Nie otwierałem oczu, póki nie usłyszałem tego szeptu. Obrzydliwego, gardłowego szeptu: „Zabiję cię, kurwo”. Natychmiast otworzyłem oczy. I wtedy oślepiło mnie światło. Ktoś stojący przy łóżku po stronie Elizy trzymał latarkę i kierował ją wprost w moje oczy. Przez chwilę myślałem, że ciągle śnię. Odruchowo wyciągnąłem rękę, żeby cokolwiek dojrzeć, ale wokół tego jasnego kręgu latarki widziałem tylko ciemność. Chciałem się podnieść, lecz wtedy znów zabrzmiał ten głos. Niski, chrapliwy, straszny: „Jeśli się ruszysz, to wbiję w nią ten nóż”. Snop światła przeniósł się na twarz Elizy. Wykrzywioną strachem twarz mojej żony. – Zalewski załkał i ukrył twarz w dłoniach. – I wtedy zobaczyłem, że ta osoba faktycznie przykłada do jej szyi nóż. Duży, ostry nóż.

Mężczyzna oderwał ręce od twarzy i złożył je na kolanach. Wziął głęboki oddech, wyprostował się i mówił dalej:

– „Czego chcesz?” – zapytałem przerażony, a on syknął: „Zamknij się, bo zabiję ją od razu”. Nie odrywając noża od krtani żony, odłożył latarkę na stojącą obok komodę i skierował jej światło na Elizę. W ciemności dojrzałem zarys jego sylwetki. Wydawał się ogromny, ale to mogło być tylko złudzenie. Nachylił się do żony, włożył jej jakąś szmatę do ust, a potem wsadził coś do ręki. Wtedy zauważyłem, że ma na twarzy maskę. Z jakiejś włóczki, z dziurami na oczy i usta. To mnie przeraziło, zupełnie zmroziło. „Wstawaj, kurwo”, powiedział do żony i pchnął ją w moim kierunku. Kazał mi się położyć na brzuchu. Przez chwilę gorączkowo myślałem, czy się na niego nie rzucić, czy czegoś nie zrobić, ale wciąż miał ten nóż w ręce, trzymał go tak blisko Elizy, więc się nie odważyłem.

Odwróciłem się na brzuch, tak jak mi polecił. Pomyślałem, że nas zwiąże, ukradnie, co się da, i odejdzie. Myślałem... – Zalewski znów załkał. – Myślałem... Myślałem, że ukradnie i odejdzie. Że zostawi nas w spokoju. – Z niedowierzaniem spojrział na Korde. – Że zostawi nas w spokoju – powtórzył i zaczął się niespokojnie kiwać.

W przód i w tył.

W przód i w tył.

Tak samo jak wtedy, gdy Korda zobaczył go po raz pierwszy.

Detektyw wstał i podszedł do szafki. Odwrócił się na moment do ściany, bo widok Grzegorza Zalewskiego był niemalże bolesny, wywoływał nieprzyjemny ucisk w żołądku. Detektyw zobaczył nagle siebie samego sprzed lat. Osuwającego się na żwir, kołyszącego się jak dziecko.

W przód i w tył.

W przód i w tył.

Zacisnął powieki, by wyrzucić z głowy to wspomnienie. Nie chciał do niego wracać. Chwycił w dłoń butelkę wody. Zimno szkła było otrzeźwiająca. Tak jak malutkie bąbelki musujące w szklance, którą podał Zalewskiemu. Ten łapczywie wypił wodę duszkiem i otarł mokre usta o rękaw swetra.

– Miałem tę nadzieję, przez dłuższy czas, naprawdę.

– To zupełnie zrozumiałe. – Korda przejął szklankę i znów usiadł w fotelu za biurkiem. Czarne skórzane obicie zaskrzypiało pod jego ciężarem. – Zawsze chwytny się nadziei, że wszystko się dobrze skończy. To najbardziej naturalny mechanizm przetrwania.

– Pewnie tak. – Zalewski się zamyślił. – Tak właśnie musiało być – dodał cicho.

– Czy możemy kontynuować, panie Grzegorzu? Sprawca kazał panu położyć się na brzuchu.

– Tak. Kazał. Wepchnął mi do ust knebel, a żonie polecił skleić mi z tyłu ręce i nogi w kostkach. Taśmą klejącą, bo wyraźnie słyszałem, jak odkleja

ją od rolki. „Mocniej”, syczał nad nią, a ona cała się trzęsła. Potem jej też rozkazał się położyć i sam owinał jej nadgarstki. I tak nas zostawił w ciemności. Przed wyjściem z pokoju powiedział... niespodziewanie wyższym tonem powiedział: „Spróbujcie zrobić coś głupiego, a zaszlachtuję was jak świnie”. Więc leżeliśmy. Bez ruchu. Czekaliśmy, aż to się skończy. Przerażeni wsłuchiwaliliśmy się w każdy dźwięk.

– Jakie to były dźwięki? – zainteresował się detektyw.

– Skrzypienie podłogi, gdy szedł po korytarzu. Szuranie butami. Otwieranie i zamykanie lodówki, trzaskanie szafkami i szufladami, uderzanie o siebie sztuców – wymieniał Zalewski z niedowierzaniem. – To wszystko było takie, hm... głośne? Jakby na pokaz. Jakby chciał, żebyśmy to słyszeli. Jakby chciał wzbudzić nasz strach. – Źrenice mężczyzny się rozszerzyły. Korda dostrzegł w nich przerażenie.

– Długo to trwało?

– Sam nie wiem. Całą wieczność, jak mi się zdawało. Potem znów zapadła cisza i ta cisza była najpierw okropna, pełna napięcia, dojmująca, a potem dawała nadzieję, że poszedł, że wziął wszystko, co chciał, i wyszedł. Po prostu wyszedł. Więc zacząłem rozciągać ręce, próbowałem się oswobodzić. I wtedy znowu go usłyszeliśmy. Odkręcił kurek wody i mył talerze. Rozumie pan? My leżeliśmy związani w ciemności, a on mył talerze. A później znowu zaskrzypiała podłoga i Eliza zaczęła bezgłośnie płakać, jakby wiedziała, co się zaraz stanie. – Zalewski ledwo oddychał.

– Może zrobimy chwilę przerwy? – zaproponował Korda.

– Nie, nie chcę. Muszę to powiedzieć. Muszę, bo inaczej... Muszę to powiedzieć, bo czuję, że jak teraz tego nie zrobię, to już nigdy te słowa nie przejdą mi przez gardło.

Policjant niemal niezauważalnie kiwnął głową.

– „Eliza zaczęła płakać, jakby wiedziała, co się zaraz stanie...” – przeczytał ostatnie zdanie w zeznaniach.

– Znów wszedł do środka, poświecił latarką po ścianach, po nas, podszedł do Elizy i zrzucił ją z łóżka jak worek ziemniaków. Trzasnęło, a ona zaczęła wyć. Wyła przez ten knebel. Bała się. Jezu, jak ona się bała. – Twarz Zalewskiego wykrzywiła się bólem. – Też zacząłem krzyczeć, chciałem się sturlać z tego łóżka i się do niej doczołgać, ale wtedy on podszedł do mnie i położył mi coś na plecach. Coś niedużego, chwiejnego. Nachylił się tak blisko mojej twarzy, że poczułem na skórze wełnę tej jego maski. I zapach.

– Jaki zapach?

– Jakiś taki... Nie wiem. Nie wiem, jak to opisać.

– Perfum czy potu? Czy zapach z ust?

– Nie perfum, nie z ust. Bardziej coś na jego ubraniu, może na tej masce?

– zastanowił się Zalewski.

– Proszę opisać. Wolne skojarzenia. Cokolwiek.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, nie mogę skupić myśli.

– Duszny? Słodki? Ożywczy? Kwiatowy? Orientalny? Cytrusowy?

Drzewny? Mięśny jakiś?

– Boże, nie mogę. Nie wiem. – Przesłuchiwany pokręcił głową.

– Ładny? Brzydki? Neutralny?

– Nie wiem. Brzydki. Na pewno brzydki.

– No dobrze. Już nie męczę, potem do tego wrócimy, a tymczasem przejdźmy dalej, tak? Sprawca położył coś panu na plecach i nachylił się nad panem.

– Nachylił się nade mną i zagroził, że jak się ruszę, jak drgnie choćby sprężyna łóżka, jak to coś na moich plecach spadnie, to mnie zabije. Zacząłem z bezsilności płakać i poczułem, że to, co na mnie położył, się huśta, że zaraz spadnie. I ta myśl mnie przeraziła. Myśl, że mógłby mnie zabić. Że mógłbym nie istnieć. Więc zamarłem. Jak kamień. Po prostu leżałem spokojnie, gdy on ją... no gdy on ją ciągnął po korytarzu. A potem

już nie pamiętam. Nic nie pamiętam. Jakby mnie odcięło. Ale wiem, że ona nie żyje. Nie żyje, prawda? On ją zabił.

Korda wypuścił głośno powietrze, a skóra fotela zaskrzypiała, gdy poruszył się niespokojnie.

– Nie żyje – potwierdził detektyw. I znów ujrzał w myślach, jak sam przed laty osunął się na ziemię, jak kiwał się w przód i w tył, jak drapieźnie wył w przestrzeń.

„Pająk ci wchodzi do ucha” – ponownie wybrzmiało mu w głowie.

8

Korda podjechał pod dom przy Junaków. Temperatura wyraźnie wzrosła, bo z drzew i dachów skapywały drobne krople drażące rowki w topniejącej brei. Stojąca wcześniej pod domem karetka odjechała. W jej miejscu na chodniku pozostał ciemniejący ślad. Wokół biało-niebieskiej taśmy rozciągniętej wokół płotu tłoczyły się ekipy telewizyjne. Sprawa zdążyła przyciągnąć nie tylko lokalne media. Ściągnęły na miejsce te największe, nadające na cały kraj. Detektyw powiódł wzrokiem po zebranych trochę dalej tłumie gapiów. Niektóre twarze widział już wcześniej. Inne dopiero się pojawiły. Zaciekawione, smutne, obojętne. Czy była wśród nich twarz mordercy? Czy wrócił na miejsce zbrodni i przygląda się z satysfakcją chaosowi, którego był sprawcą? Czy syci się złem, którego dokonał? A może uciekł przerażony sam sobą? Ukrył się w bezpiecznym miejscu, drżąc na myśl o tym, że ktoś do niego dotrze, że będzie musiał ponieść karę? A może najzwyczajniej w świecie wrócił do rodziny, zjadł śniadanie i wyszedł do pracy? Udaje, że nic się nie zmieniło, zachowuje się tak, jakby prześliski tego potwornego okrucieństwa wcale nie wracały do niego w najmniej oczekiwanych momentach.

Korda znów przesunął spojrzeniem po grupie ludzi zebranych przed domem. Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie w beżowo-szarym płaszczu.

Jej blond włosy powiewały na wietrze, a blada zazwyczaj skóra zaróżowiła się od zimna. Rozmawiała z operatorem, odebrała telefon, powiedziała kilka słów i się rozłączyła. Podeszła do jakiegoś mężczyzny i zaczęła mu coś tłumaczyć, on porozumiewawczo kiwnął głową. Detektyw uśmiechnął się łagodnie, sięgnął po komórkę, wszedł w Messengera i napisał kilka słów. Patrzył, jak Alicja wyciąga smartfon z kieszeni, odczytuje wiadomość, a jej usta rozciągają się w uśmiechu. Jak sprawnie porusza palcami, zmysłowo przygryza wargi, jak opuszcza dłoń i znów zwraca się do operatora z wciąż tą samą profesjonalną miną. Detektyw poczekał na sygnał i zerknął na ekran swojego telefonu. Byli ze sobą ponad trzy miesiące, ale nadal każda wymieniona z Alicją wiadomość wywoływała w nim drzenie. Wystarczyło jedno napisane przez nią słowo, by w podbrzuszu rozlało mu się dobrze znane ciepło.

„Nie marzniesz? – odpisał. – Założę się, że masz teraz różowe od zimna policzki”.

Zerknął przez szybę. Alicja mimowolnie przejechała dłonią po skórze twarzy.

„Jakbyś mnie widział – odpowiedziała, dodając słodką emotkę. – A zmieniając temat...”.

„Tak?”

„No wiesz...”

„Nie wiem”.

„No wiesz, jak idzie praca?”

„Powoli do przodu”.

„Wiecie już, kto mógł to zrobić?”

„Nope”.

„A masz coś, czym mógłbyś się ze mną podzielić?”

„Siebie”.

„Hmm, najlepiej ”.

Grabska wsunęła telefon do kieszeni płaszcza. Dłużej nie drążyła. Korda to w niej lubił. Wiedziała, kiedy się wycofać. Nie naciskała wtedy, gdy nie powinna.

Detektyw wysiadł z auta i idąc zdecydowanym krokiem w stronę domu, w którym doszło do morderstwa, pisał w otwartym okienku dialogowym:

„Dziwny zapach. Będziemy robić badania osmologiczne. PS Pięknie wyglądają te twoje różowe policzki”.

Alicja sięgnęła do kieszeni i odczytała te słowa. Podniosła głowę i napotkała jego wzrok.

Oskar puścił jej oczko i przeszedł pod policyjną taśmą.

9

– Korda! – Z ogrodu wynurzył się Gustlik.

Brnąc przez kałuże z błota i ze śniegu, podnosił wysoko stopy w butach okrytych folią ochronną.

– Co jest? – rzucił Oskar.

– Chyba wiemy, jak sprawca dostał się do domu. – Starszy sierżant poprowadził komisarza wzdłuż domu do ogrodu i wskazał na ułożone w niewielki stosik polana pod jednym z okien na wysokim parterze. – Wygląda na to, że przyniósł sobie kilka polan drewna kominkowego leżącego pod wiatą, i tak usprawnił sobie zadanie.

– Ślady włamania?

– Brak. To okno łazienkowe na zwykły skobel. Ktoś z mieszkańców musiał zapomnieć zabezpieczyć zamknięcie i włamywacz to wykorzystał.

– Okno otwiera się do wewnątrz czy do zewnątrz? – spytał Korda, przyglądając się gładkiej framudze.

– W stronę ogrodu.

– Próbowaliście je pociągnąć?

– Tak, trzeba podważyć, żeby poszło. Jest mocno osadzone.

– Hm, czyli włamywacz musiał wiedzieć, że skobel jest niezabezpieczony, jeśli w ogóle próbował ciągnąć. Nie sądzisz?

– Albo próbował na pałę.

– Może. – Korda bezwiednie przejechał palcem po bliźnie na policzku, po czym wspiął się po konstrukcji z ułożonego na ziemi drewna i zerknął do środka. – A może zrobił sobie doskonały punkt obserwacyjny? – mruknął jakby do siebie. – Jakies ślady? Paluchy?

– Jak widzisz, opyliliśmy argenteratem, ale framuga i szyba są zupełnie czyste. Okno od wewnętrznej strony pociągnęliśmy proszkiem antystatycznym czarnym i tam mamy liczne fragmenty śladów linii papilarnych. Tyle że z uwagi na to, że mają za mało cech szczególnych, nie nadają się do identyfikacji.

– Buty?

– A i owszem. Kilka śladów buciorów w śniegu, ale przez ocieplenie zaczęły się już częściowo rozpuszczać.

– Niczego nie zdążyliście zabezpieczyć?! – uniósł się Korda.

– Nie no, coś tam technicy zabezpieczyli. O! Tu przy wiacie na przykład.

– Gustlik wskazał czerwony od wosku w aerozolu ślad traseologiczny opatrzony odpowiednią cyferką.

– Kurwa, skaner 3D nadal zepsuty? – Detektyw pokręcił z niedowierzaniem głową. – Czy my naprawdę wciąż musimy tkwić jedną nogą w latach dziewięćdziesiątych?

– Polska. – Gustlik wzruszył ramionami.

Zniecierpliwiony Korda machnął ręką, obszedł dom i po chwili znalazł się w środku. Skierował się od razu do dużego pokoju i stanął nad denatką. Sweter zakrywający wcześniej jej głowę zdążono usunąć, więc Korda pierwszy raz mógł spojrzeć ofierze w twarz – pokrytą ranami, strzępami tkanek i zaschniętą, zasklepioną, niemal czarną mazią z krwi. Jedno oko, o napuchniętej powiece, było zamknięte, drugie szeroko otwarte, z mglistą niebieską tęczę i podbiegniętym krwawo białkiem – i to ono stanowiło

jedyny ludzki element zmasakrowanego oblicza kobiety. Korda powiódł wzrokiem po pokoju i przyjrzał się stojącemu na komodzie zdjęciu. Blondwłosa kobieta miała ciepły, łagodny uśmiech i skrzące radością spojrzenie. Była atrakcyjna. Bardzo atrakcyjna. I szczęśliwa, przynajmniej na tej fotografii. Detektyw znów przeniósł wzrok na leżące na podłodze zwłoki. Nie miały nic wspólnego z uwiecznioną przez obiektyw chwilą. Były jej zaprzeczeniem, całkowitym przeciwieństwem.

– Rany o nierównych brzegach, obecność otarć naskórka i podbiegnięć krwawych, w dnach mostki łącznotkankowo-naczyniowe utworzone z bardziej opornych na miażdżenie elementów tkankowych włókien łącznotkankowych, naczyń i nerwów – zrelacjonował ubrany w biały kombinezon lekarz medycyny sądowej Maciej Grzymała, który nachylił się nad ciałem i rozchylił brzegi jednej z ran. – Widzisz, jak się napinają?

– Mhm – mruknął Korda. – Rany tłuczone.

– Tak – potwierdził Grzymała. – Sprawca z dużą siłą zadał co najmniej dwanaście uderzeń narzędziem tępokrawędzistym, uprzednio zarzucając jej na głowę koc, przez który zadano wszystkie ciosy, w tym siedem w okolicę głowy, jedno w okolicę nosa oraz jedno w okolicę szyi, powodując u ofiary obrażenia w postaci siedmiu ran tłuczonych wraz z rozerwaniem lewego mięśnia skroniowego, złamania kości sklepienia i podstawy czaszki głównie po stronie lewej.

– Jak to się odbyło? Udało się już zrekonstruować bieg zdarzeń? – dopytał Korda i rozejrzał się po miejscu zbrodni, śledząc zaznaczone przez technika ślady kryminalistyczne.

– Pojedyncze ślady krwi na kocu zakrywającym telewizor i podłozie pochodzą z narzędzia, którym zadano ciosy w głowę – odezwał się technik kryminalistyki Jacek Wilczak, wskazując na ujawnione ślady. – Kałuża krwi na podłodze wokół głowy denatki powstała w wyniku jej wypływania z rozległych ran powłok miękkich czaszki. Obecność dynamicznych rozprysków wokół tej kałuży pozwala przyjąć, że ciosy zostały zadane

wtedy, gdy denatka leżała na podłodze, obficie krwawiąc z ran na głowie. Za taką pozycją podczas zadawania ciosów przemawia również lokalizacja rozprysków krwi na ścianie za telewizorem między podłogą a ramą obrazu. Krople padały na ścianę pod kątem spływania strug z otworów oddechowych i ran na głowie denatki. Na przedniej powierzchni koszuli nocnej oraz na skórze brzucha nie uwidoczniło nakapowych śladów krwi, co każe przyjąć leżącą pozycję ofiary w trakcie zadawania jej ciosów w głowę – pozycję zbliżoną do tej, w jakiej ujawniono zwłoki.

– Wspomniałeś, że większość obrażeń ofiara odniosła na bocznej lewej powierzchni głowy i szyi.

Wilczak potwierdził kiwnięciem głowy.

– Przyjmując, że denatka znajdowała się w pozycji leżącej, sprawca musiał zadawać uderzenia, stojąc nad nią, będąc do niej zwrócony przodem, pochylając się nad nią lub siedząc na niej okrakiem. A to wskazuje na zadawanie ciosów przez osobę praworęczną.

– A ta rana na brzuchu? Wygląda na ciętą. – Korda przykucnął i wpatrzył się w rozwarte ciemne rozcięcie ciągnące się od pępka do łona.

– Linijne równe brzegi i gładkie ściany o długości większej od szerokości i głębokości. Zdecydowanie rana ciętą, i to zrobiona pośmiertnie – zaznaczył lekarz. – Jak widzisz, krew rozlała się w regularne skupisko bez nadmiernego rozbryzgu.

Detektyw uniósł wysoko brwi.

– Pośmiertnie? To miał być jakiś manifest? Czy sprawca, tłukąc w głowę ofiary, nie zdołał rozładować całej agresji, jaką w sobie miał? Musiał dodatkowo okaleczyć martwe ciało, żeby poczuć satysfakcję?

– To, Korda, będziesz już musiał sam ustalić.

– No dobra, a narzędzie zbrodni? – Oskar odgonił muchę, która krążyła nad jego głową.

– Brak. Jak wspomniałem, rany tłuczone zostały zadane jakimś narzędziem tępokrawędzistym. Więcej będziemy wiedzieć po badaniach

mechanoskopijnych.

– Taaa....

– Ale mam coś, co powinno cię zainteresować. – Grzymała się uśmiechnął i poprowadził go do kuchni.

Różnica między świeżo wyremontowaną kuchnią a resztą domu była tak duża, że Korda przystanął na chwilę w progu. Natychmiast przyszło mu na myśl porównanie leżącego na ziemi zmasakrowanego, zimnego ciała ze zdjęciem pięknej, pełnej życia kobiety.

Podeszli do nowoczesnego srebrnego zlewozmywaka.

– Zerknij do środka – polecił Grzymała i skrzyżował ręce na piersi.

Korda nachylił się nad zlewem i na samym środku odbijającej światło powierzchni dojrzał ciemnoczerwoną plamkę.

– Pobraliśmy wymaz z tej plamy i z zaworu baterii, na razie nie mamy pewności, ale jestem przekonany, że znajdziemy tu krew i materiał genetyczny ofiary. I teraz najlepsze. Ultrafiolet wykazał też ślady krwi na krawędzi tnącej jednego z noży włożonych do szuflady ze sztućcami. Nóż kuchenny o stutrzydziestomilimetrowym ostrzu jednosiecznym, zakończonym szpicem i o szerokości ostrza w najszerszym miejscu około dwudziestu jeden milimetrów. Idealnie pasuje do rany ciętej na brzuchu ofiary.

– O kurwa! – zaklął zaskoczony Korda.

– Nie inaczej. – Grzymała się zaśmiał. – Skurwiel zajebał kobietę, a potem wziął jeden z kuchennych noży, rozplątał jej brzuch i jak gdyby nigdy nic wrócił do kuchni, umył nóż w zlewozmywaku i wsadził z powrotem do szuflady. Taki gość.

– Silna koncentracja na zaspokajaniu swoich potrzeb, potrzeba stymulacji, brak empatii, deficyt lęku. – Korda zaczął wymieniać pojawiające się w jego głowie myśli. – I ogromna nienawiść, a ta zawsze wynika z głębokiej, spaczony miłości.

Klara podjechała pod dom. Nadal nie wyłączała silnika, który cicho pracował. We wnętrzu auta panowało przyjemne ciepło, a klimatyzacja uspokajająco szumiała. Wsłuchiwała się w te dźwięki, wpatrując się w spływające z dachu krople topniejącego śniegu. Nie chciało jej się wysiadać. Miała ochotę tak siedzieć, zanurzać się we własnych myślach, kontemplować każdą emocję. Nie miała ochoty wracać do własnego domu. Ta konstatacja była smutna, bardzo smutna, ale nic nie potrafiła z tym uczuciem zrobić. Tak jakby ten dom przestał jej wystarczać, jakby utworzyła się w niej jakaś oddzielająca ją od niego tama. Któregoś dnia coś przeskoczyło w jej głowie i zdała sobie sprawę z tego, że nie jest już tam szczęśliwa. Tak po prostu.

Pamięta, jak przyjechali z Przemkiem obejrzeć ten dom. Dom w Sopocie. Marzenie, które chodziło za nią latami. Stała na podjeździe i wiedziała; wiedziała, że odnalazła swoje miejsce na ziemi. Budynek wymagał remontu, ogród był zdewastowany, a wewnątrz zalatywało pleśnią wyłazącą zza ścianek pleksi, pokrywających stary tynk. Ale to nie było ważne. Klara i tak weszła do środka jak zaczarowana. Wodziła palcami po drewnianej balustradzie, dotykała wszystkich ścian, oglądała wszystkie zakamarki i czuła, całą sobą czuła, że oto jej życie zaczęło się na nowo. To był piękny czas. Najlepszy, jaki mieli. Remont, urządzenie, wybieranie mebli i dodatków. Spadek po rodzicach Przemka i ogromny kredyt, jaki wzięli, pozwoliły im zaaranżować przestrzeń dokładnie tak, jak chcieli.

Klara zamknęła oczy. Nie chciała o tym teraz myśleć. Nie miała sił do tego wracać. Otworzyła oczy i znów wpatrzyła się w opadające z dachu krople topniejącego śniegu. Kap. Kap. Kap. Może na tym polegało szczęście? Na wyparciu wspomnień o odniesionych ranach i czerpaniu z tego, co w zasięgu ręki? Przeniosła wzrok na leżącą na podłokietniku komórkę. Żałowała, że nie mogła w niej sprawdzić teraz wiadomości. To

nic. I tak nie podchodziła do tego poważnie. To była tylko alternatywa, wyobrażenie tego, że mogłaby być dla kogoś wyobrażeniem.

Postukała palcem w kierownicę, po czym zgasiła silnik i otworzyła drzwi samochodu. Uderzyło ją przenikliwe, mokre zimno. Nie znosiła takiej pogody. Szybkim krokiem pokonała podjazd i wyjęła klucz zza stojącej na parapecie doniczki. Tyle już razy go zgubiła, że wolała zostawić w bezpiecznym miejscu. Kiedyś Przemek wyjechał na weekend, a ona tkwiła pod domem kilka godzin, nim znalazła ślusarza gotowego jej pomóc.

Klucz zazgrzytał w zamku, a ona znalazła się w wyłożonym lamelami przedpokoju. Zdjęła buty i weszła do środka. Ominęła wzrokiem kuchnię z szafkami bez drzwiczek. Dwa tygodnie temu fachowcy zabrali fronty do odmalowania, a oni wciąż nie mogli się doprosić ustalenia daty ich montażu. Klara westchnęła. Nie lubiła niekompetencji. Nie lubiła bałaganu. A niestety, po dziesięciu latach od remontu dom znów wymagał poprawek i przeróbek, więc na nowo trzeba będzie się użerać z niedotrzymującymi terminów ludźmi i ciągłym chaosem. Ale może przynajmniej zajmie czymś głowę i przestanie się wściekać na swoje życie.

Zaczęła powoli wchodzić na piętro, a jej cienkie rajstopy ślizgały się lekko na drewnianych licach schodów. Nagle coś stuknęło. Przystanęła i wsłuchała się w ciszę. Nic. Żadnego dźwięku. Musiało jej się wydawać. Półpiętro. I nagle znów ten dźwięk. Ciche stuknięcie, jakby ktoś odstawiał coś na półkę. Zastygła. Serce jej przyspieszyło w panice. Nie wiedziała, co robić. Cofnąć się i uciekać? Czy iść do góry i sprawdzić, co się tam dzieje? Wiedziała, że obrazy, które podpowiada jej wyobraźnia, są zazwyczaj straszniejsze niż rzeczywistość. Chwilę się wahała, po czym bezgłośnie zeszła na dół, rozejrzała się i sięgnęła po leżący w zlewozmywaku nóż. Ścisnęła trzonek i pełna trwogi spojrzała w kierunku piętra.

– Miau. – Usłyszała, a po schodach zbiegła z impetem biało-czarna kotka.

– Mimi? – Klara parsknęła. – Co ty tu robisz, koteczko? – Odłożyła nóż na blat wyspy kuchennej. – Byłam pewna, że wychodziłaś ze mną rano. –

Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Jezu, ale mnie przestraszyłaś. Taaak, psiestraśił kotek panią. No taaak. – Zaczęła głaskać łaszącego się do jej nogi zwierzaka. – No dobra, pani musi coś sprawdzić, a potem dostaniesz amki, dobrze?

Klara czym prędzej odpaliła komputer, zalogowała się do Facebooka i odczytała wiadomość: „Masz ochotę na spotkanie?”. Uniosła kokieteryjnie brew.

– Jak myślisz, Mimi? Mam ochotę na spotkanie? – zwróciła się do kotki z szelmowskim uśmiechem, lecz ta odbiła od jej nóg i popędziła do przedpokoju.

Zgrzytnął klucz, ktoś nacisnął klamkę, trzasnęły drzwi.

– Jestem! – Przez dom poniósł się głos Przemka.

Klara ciężko westchnęła, zamknęła laptop i przybrała neutralny wyraz twarzy.

11

Długi czarny worek połyskiwał w świetle latarni. Kryło się w nim zmasakrowane ciało, ale teraz, gdy leżało na ulicy, Korda w wyobraźni widział w nim kobietę. Blondynkę o łagodnym uśmiechu, mającą swoje troski i swoje radości. Przeżywającą dramaty i doświadczającą szczęścia. Osobę, która widziała, czuła, kochała, dokonywała wyborów. Która się zachwycała, która płakała, która smakowała, która się śmiała, wykonywała przyziemne czynności, mając w głowie swój jedyny, wyjątkowy mikroświat. Człowieka, któremu zabrano życie.

Kółeczka wózka, na którym leżał worek otulający ją niczym kokon, zachrzęściły na podjeździe. Otwarto drzwi czarnego auta. Torba wjechała do środka. Torba ze zwłokami. Torba z kobietą. Torba z najprawdziwszym człowiekiem. Trzasnęły drzwi. Samochód po chwili ruszył. Eliza Zalewska nigdy już nie przekroczy progu swojego domu.

Czy to było jej miejsce? Czy je kochała? Czy chętnie do niego wracała po pracy? Czy czuła się tu bezpieczna?

Jaka była? Oskar Korda wiedział, że to ostatnie, pozornie błahe pytanie bywało w śledztwie kluczowe. I kolejne. Czemu to właśnie ją wybrał sprawca? Czy to był przypadek? Przygodny dom, losowa rodzina? Czy morderca wcześniej ją sobie upatrzył? Co sprawiło, że przyciągnęła jego wzrok? Co sprawiło, że uruchomiła w nim pragnienie zadania śmierci? A może chodziło o nią? Właśnie o nią? Czy sprawca znał ofiarę? Czy kiedykolwiek z nią rozmawiał? Czy była mu bliska? Czy ją kochał? Czy był o nią zazdrosny? Czy go skrzywdziła?

Jakie tajemnice skrywała Eliza Zalewska?

Korda zamierzał się tego dowiedzieć. Tymczasem po raz setny przebiegał wzrokiem ogród otaczający dom przy Junaków, przyglądał się każdej deseczce przy płocie, wyglądał twarzy kryjącej się w mroku ulicy – coraz bardziej opustoszałej, coraz cichszej. W końcu zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Sąsiedzi już dawno poszli spać, ostatni dziennikarze też dawali za wygraną. Ekipa operacyjna powoli kończyła pracę. Grupa policjantów z dwoma psami właśnie zmierzała w stronę budynku.

– I jak tam? – Korda wyszedł im naprzeciw.

Przewodnik Tomek Zagajewski pokręcił głową.

– Trop urwał się kilkaset metrów dalej. Sprawca musiał więc wsiąść tam w auto. Obeszliśmy cały górny Sopot, ale żaden pies nie podjął aktywności.

– Funkcjonariusz wskazał na owczarki niemieckie, które z wysuniętymi językami przysiadły przy opiekunach.

– Mamy tam monitoring? – zainteresował się detektyw.

– Nie. Zupełna kicha. Miejsce odosobnione, przy dzikim zagajniku porastającym jakąś opuszczoną działkę. Dam sobie rękę uciąć, że sprawca nie wybrał tego miejsca przypadkowo.

– Okej. Sprawdzimy. Zawsze coś. – Korda westchnął.

– Myślę, że mogłyby pomóc psy z Saksonii. Wiesz, nasze rodzime tropią na podstawie śladów podłoża, a przy takiej pogodzie, i to po dwóch dniach, to nie na dużo się zdaje. A saksońskie łapią trop w powietrzu, pracują z tak zwanym górnym wiatrem, czyli w sprzyjających warunkach są w stanie wypracować ślad pozostawiony przez człowieka nawet kilkanaście dni wstecz.

– Mantrailing – wtrącił Oskar.

– Dokładnie. Świetna metoda, ale w Polsce oczywiście niszowa.

– Mąż zamordowanej twierdzi, że sprawca miał dziwny, intensywny zapach.

– No to tym bardziej. – Zagajewski pogłaskał po głowie owczarka, który zaczął niespokojnie przebierać łapami obok jego nogi. – W tropieniu mantrailingowym psy kierują się indywidualnymi molekułami zapachu poszukiwanej osoby, wiesz, zapachem rozproszonych cząstek skóry, włosów, a nawet komórek krwi. Dodatkowo komórki skóry często mogą zawierać jakieś inne składniki czy substancje, na przykład pozostałości kosmetyków, które w połączeniu z tymi pierwszymi czynnikami, w rezultacie działania bakterii, wytwarzają zapach. – Policjant się zapalił. – Jedyne w swoim rodzaju zapach, który rysuje konkretny szlak.

– Znam kogoś, kto potrafi odczytać szlak z kurzu. – Korda się wyprostował.

– Kurz też niewątpliwie ma swój zapach. Choć rozumiem, że nie o taki kurz ci chodzi. – Przewodnik się uśmiechnął.

Detektyw odwzajemnił uśmiech, podał policjantowi rękę i po chwili mknął już alfą pustymi ulicami w stronę mieszkania przy Haffnera. Zaparkował przy chodniku i wydobył ze skrytki w aucie klucz. Nadal nie mógł uwierzyć, że go miał. Alicja dała mu go zupełnie bezceremonialnie, jakby nie miało to większego znaczenia. On go przyjął tak samo. Ale wiedział, że miało to znaczenie. Dowodziło, że mu ufała.

Wysiadł z auta, wspiął się na drugie piętro kamienicy i po cichu przekręcił klucz w zamku. Zdjął buty, wziął szybki prysznic i skierował się do sypialni. Lampka nocna wciąż była zapalona, choć Alicja już spała. Korda delikatnie przeniósł na szafkę stojący na łóżku laptop. Poruszony ponownie rozjarzył się światłem.

Sprawca miał intensywny zapach – wyświetlił mu się tytuł wstawionego przed dwiema godzinami przez Alicję artykułu. Uśmiechnął się lekko i spojrzał z czułością na jej twarz. Była spokojna, rozluźniona. Naprawdę piękna. Korda zgasił lampkę i wsunął się pod kołdrę. Alicja coś wymamrotała i przylgnęła do jego ciała.

Pachniała bezpieczeństwem.

Nie myślał, że kiedyś poczuje jeszcze ten zapach.

Marek Kuc puknął paczką niebieskich LM-ów w zimną kierownicę. Papieros wysunął się z paczki. Kuc chwycił jego krawędź, pociągnął. Zapalniczka z sykiem rozbłysła niebieskim ogniem, a siwy dym wypełnił wnętrze szarej astry. Mężczyzna pochylił się do przodu i wpatrzył w okno na pierwszym piętrze ceglanej kamienicy. Było zamknięte i przysłonięte białą zasłonką. Kuc wypuścił dym i opadł na siedzenie. Przekręcił gałkę radia, a z głośników popłynął kolejny przebój N'Sync. Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem. Kaśka uwielbiała ten zespół, a w szczególności tego blondynka w loczkach. „Jakiegoś tam Justina” – prychnął. „On jest taki słodki” – piszczała, przykładając rękę do piersi, ilekroć pojawiał się na ekranie MTV. „Wygląda jak babcia Stasia” – odpowiadał Marek za każdym razem, na co Kaśka się oburzała. Widocznie baby już tak miały. Lubiły spuszczać się nad niedostępnymi typami. Nie to co faceci. Oni lubili się spuszczać nad konkretnymi laskami. Przystępnymi i chętnymi. Takimi jak Kaśka. Trzeba było jej przyznać, że nigdy nie miała dość. Trzy lata po ślubie, a ona nadal chodziła jak ta kotka na rozgrzanym dachu. „Mała, zawsze chętna suczka” – pomyślał Marek i uśmiechnął się z zadowoleniem. Trafiło mu się. Trzeba to było przyznać. Nie żeby on sam wypadł sroce spod ogona. Był postawny i całkiem przystojny, włosy miał jasne i mocne, modnie ścięte, przygolone boki i dłuższe z tyłu, a od kiedy Kaśka wzięła go w obroty, to jeszcze bardziej się wyrobił. Tak mówiły jej koleżanki. Zerknął na swoje dzinsy biodrówki z szerokimi nogawkami i skórzaną beżową kurtkę. Poprawił prostokątne okulary z przyciemnionymi szklami. Justin Srastin może mu skoczyć.

Wypalił do końca papierosa i zdusił go w pełnej petów popielniczce. We wnętrzu auta zrobiła się prawdziwa kosa, uchylił więc lekko szybę, a do środka wpadło mroźne powietrze. Parszywa pogoda. Szaro, buro, niby dochodziła dopiero dziesiąta, a wyglądało tak, jakby zaraz miało się ściemnić. Chodniki pokrywała cienka warstewka połyskującego lodu, zebrany tu i ówdzie w kupki śnieg był brudnawy i obsikany przez psy. Ulice niemal opustoszały. Raz na jakiś czas przejechał samochód, jakaś staruszka ze zrobioną na szydełku torbą wyszła z zakupami z położonego nieopodal sklepu spożywczego i podreptała do swojej klatki. Chwiejnym krokiem przeszedł menel. Temu to mróz nic nie robił. Widać było, że jest tak ubzdryngolony, że równie dobrze mogło mu się zdawać, że jest na Karaibach.

Kuc znów się pochylił do przodu i wpatrzył w okno na pierwszym piętrze. Dochodziła dziesiąta trzydzieści, Justyna Bakula powinna była już wstać. Pewnie nakłada teraz na twarz tapetę, zdejmuje wałki i popija kawę. Takiej to dobrze. Mąż rozkręca firmę wędliniarską, haruje po dwanaście godzin dziennie, a ta leży i pachnie. Życie nie umierać. Kiedyś Kaśce też zapewni taki byt. Nie będzie musiała nic robić. Tylko MTV oglądać. Marek miał coraz więcej klientów. Ludzie robili interesy, czerpali z kapitalizmu, toteż chętnych na usługi prywatnego detektywa nie brakowało. Każdy miał swoje problemy, swoje utarczki i każdy chciał wiedzieć, na czym stoi. Jak świat światem, nikt nie lubił być ruchany w dupę. Szkoda tylko, że te wszystkie sprawy, które dostawał, były kubek w kubek do siebie podobne. Niemal całe dni obserwował baby, żeby przyłapać je na zdradzie. Ale gdyby tak kiedyś wreszcie wpadła mu jakaś ciekawsza fucha, toby nie narzekał. Niedawno prowadził sprawę spadkową. Musiał odnaleźć zaginionego potomka. I to było ciekawe. Wyjechał sobie na kilka dni, coś nowego zobaczył, poszperał w papierach, pogłótkował. A tak to wystawał godzinami pod domami i czekał, aż jedna czy druga lafirynda wychynie w końcu na ulicę.

Westchnął i pokręcił głową. Eee tam, pierdoli to. Powie najwyżej, że babsztyl cały dzień siedział w domu. Wrzucił jedynekę, aż tu nagle drzwi na klatkę się uchyliły i stanęła w nich Justyna Bakuła we własnej osobie. Poprawiła jednym ruchem blond włosy z czarnymi pasemkami, które tworzyły pazurki wokół jej twarzy. Miała na sobie przykrótką czarną kurteczkę z dużymi guzikami i zgniłozielone biodrówki, które pomimo mrozu odsłaniały jej pępek. Kuc chwycił leżącego na siedzeniu pasażera nikona, przyłożył oko do aparatu i nastawił ostrość. Patrzył, jak kobieta ostrożnie kroczy w kozaczkach na krótkiej szpilce i ze ściętym w trójkąt noskiem do stojącego po drugiej stronie ulicy golfa. Pstryk. Pstryk. Kuc uwiecznił, jak Bakuła wsiada do środka. Po chwili jej auto zadrzało od głośnych basów w utworze NSYNC. „Kolejna fanka tego debilnego boysbandu” – pomyślał, cmoknął ironicznie i ruszył za czerwonym golfem, którym ostro zarzuciło na śliskiej nawierzchni. Bakuła mimo to nie zwolniła i już po kilku minutach rozpędzona wpadła na Trakt Świętego Wojciecha. Spod jej kół bryzgały brudne grudy rozpuszczonego śniegu. Detektyw trzymał się kilka metrów za nią. Nie za blisko. Nie za daleko. Ale z doświadczenia wiedział, że nie musiał się za bardzo kryć. Jaka kobieta by pomyślała, że mąż zlecił komuś jej śledzenie? Takie rzeczy działy się przecież tylko w amerykańskich filmach.

Po kwadransie wjechali do śródmieścia Gdańska. Chwilę krążyli, szukając parkingu. Trzasnęły dwie pary zamykanych drzwi. Cienkie obcasiki zastukały na odśnieżonej nawierzchni chodnika i skierowały się ku dziewiętnastowiecznej hali targowej z czerwonej cegły, stojącej przy placu Dominikańskim. Kuc szedł po ich niewidocznych śladach, deptał je swoimi dużymi, klapiącymi butami. Weszli do środka. Kobieta szła pewnie, widać było, że czuje się tu jak u siebie. Przystawała przy boksach, oglądała fatałaszkę, rozmawiała ze sprzedawczyniami, rozbawiona, wybuchając raz po raz śmiechem. W końcu zatrzymała się przy witrynce z koronkową bielizną. Przypatrywała się chwilę prezentowanym na manekinie

czerwonemu stanikowi i wyzywającym stringom w takim samym kolorze. Pstryknął kilka zdjęć. Uwiecznił, jak Justyna wchodzi do sklepu, wskazuje na okno wystawowe i znika w przymierzalni.

Pstryk. Pstryk.

Choć tyle. Nienamacalny dowód dla męża, że jego żona coś kombinuje.

2

W blaszanej budce unosiła się para z wydychanego przez Katarzynę Kuc powietrza. Przekręciła pokrętło dmuchawy na maksa. Buchnęło gorąco. Wiedziała, że ciepło kosztuje, a już samo utrzymanie sporego baraku stojącego nieopodal kościoła świętego Jana Bosko – przy Gościnnej na gdańskiej Oruni Dolnej – pochłaniało majątek. Nie pozwalała więc sobie na ten luksus zbyt często, ale teraz jej dłonie były kompletnie skostniałe. Przysunęła je bliżej pod strumień gorącego powietrza i delectowała się przyjemnym doznaniem. Najchętniej zdjęłaby jeszcze buty i ogrzała stopy. No ale w każdej chwili do kanciapy mógł wejść klient, nie wyglądałoby to najlepiej. A klientów dziś nie brakowało. W październiku aż dwie osoby z Łodzi i Piaseczna wygrały przecież niemal osiem milionów złotych. Tym bardziej więc dzisiejsza wielka kumulacja Lotto rozpałała nadzieje. Milion dwieście pięć tysięcy złotych. Ogromne pieniądze, ogromne możliwości. Z taką wygraną człowiek mógłby zmienić całe życie. Rzucić wszystko w cholerę i wyjechać za granicę. Zacząć od nowa. Tylko czy Kaśka miałaby na to odwagę? Nie tak łatwo zostawić wszystko, nie tak łatwo zbudować sobie nowy świat. Pewnie, pieniądze dużo ułatwiały. Można byłoby sobie kupić cokolwiek, co by się tylko chciało. Piękny dom, superciuchy, budzące zazdrość auto. Ale to nie wszystko. Język też trzeba było znać. Choćby żeby się dogadać, że samochód ma mieć krwisty kolor, dokładne taki jak lakier, którym Kuc malowała paznokcie. Co tam kolor auta! Choćby po to, żeby bułkę w sklepie kupić. Poruszanie się w świecie wymagało jednak

pewnych kompetencji, a Kaśka bardzo się wstydziła tego, że tych kompetencji nigdy nie nabyła. Pochodziła z biednej rodziny, po podstawówce poszła do technikum łączności. I tyle. Nie żeby sroce spod ogona wypadła. Co to, to nie. Ładna była, zgrabna, zawsze się chłopakom podobała. Uśmiechnięta, pracowita, każdy chciał się na randkę z nią umówić. Marek, jak ją zobaczył na gdańskim jarmarku, gdzie towar sprzedawała, to oczu oderwać nie mógł. Proste, lśniące włosy w kolorze kasztanów. Smukłe ramiona, sukienka w kwiaty, pociągnięte szminką usta. Tak się zapatrzył, że języka w gębie zapomniał. Musiała trzy razy zapytać, co podać, żeby się w końcu odezwał. I kupił trzy pozłacane zegarki, choć na pewno tyłu nie potrzebował. Potrzebował za to aż trzech kwadransów, żeby zapytać ją, czy się z nim umówi. Tak ją tym ujął, że się zgodziła. A co tam, w końcu była młoda, chciała brać życie za rogi, a związek z Pawłem traktowała nieszczerze poważnie. Był, bo był, ale nie wywoływał w niej większych emocji. Dopiero Marek obudził u niej te motyle w brzuchu, o których śpiewali muzycy w piosenkach. Z bijącym sercem wyczekiwała spotkań, nie mogła się doczekać jego dotyku. Pierwszy pocałunek był wprawdzie dość niezdarne, Marek na siłę pchał język do jej ust, brakowało mu kunsztu i delikatności. Ale z czasem to polubiła. W końcu delikatność była przereklamowana. Nie o nią chodziło w fizycznej miłości. „Prawdziwe pragnienie rozpałało zmysły. Robiło z nas dzikie, niemające hamulców zwierzęta”. Na tę myśl Kaśka się uśmiechnęła. Gdzie by jej było lepiej niż tutaj, w Gdańsku? W znanej, siermiężnej Polsce, w której ułożyła sobie życie? Nie potrzebowała wiele, by być szczęśliwą. Kilku czułych spojrzeń w oczy, kilku odważnych słów, kilku chwil nieporadnej miłości.

Zadzwonił dzwoneczek przy drzwiach, a Kaśka oderwała się od swoich myśli.

– Dzień dobry, pani Kasiu. – W drzwiach pojawiła się starsza kobieta w żółtym berecie.

– Dzień dobry, pani Kotowska – odparła dziewczyna z uśmiechem.

Znała tę kobietę. Przychodziła kilka razy w tygodniu i kupowała po pięć losów. Czasami zgarniała jakąś małą sumkę. A to dziesięć, a to sto złotych. Na pewno mniej, niż wydawała, ale widocznie starszej pani to nie zniechęcało. Ekscytacja i zdanie się na los warte były swojej ceny. No i staruszka najwyraźniej lubiła Kaśkę. Może ta była jedyną osobą, z którą Kotowska mogła zamienić choć kilka słów.

Kobieta powolnym krokiem podeszła do lady i rozejrzała się po skromnej blaszanej budzie.

– Zimno tu u pani – powiedziała.

– No zimno. – Kaśka kiwnęła głową. – Ale grzejniczek jest, więc daję radę.

– Nerki sobie pani przezięb. Albo pęcherz. Och, z pęcherzem to najgorzej. – Kotowska machnęła ręką. – Mnie to ciągle łapie pęcherz. Strasznie nieprzyjemna sprawa – dodała, a jej wzrok zatrzymał się na plakacie loterii. – Ale kumulacja, co?! – Oczy aż się jej zaświeciły. – Milion dwieście! Panie Boże! Tyle pieniędzy wygrać, nie do wiary. Oj, sąsiedzi by zazdrościli! Aż strach pomyśleć.

– Ja tobym nie wiedziała, co z takim pieniędzmi zrobić, pani Kotowska.

– Jak to by pani nie wiedziała?! – oburzyła się staruszka. – Życie jest jedno. O sobie przede wszystkim trzeba zadbać. Pani pamięta, zawsze trzeba siebie stawiać na pierwszym miejscu. Realizować wszystkie swoje pragnienia. Wszystkie, rozumie pani? Bo na starość to będzie pani żałować – dodała i ostrzegawczo skierowała palec w jej stronę.

Kaśka lekko się zaczerwieniła i kiwnęła głową. W tym momencie do lokalu wszedł też znany jej już ciemnowłosa mężczyzna. Postawny, dość przystojny. Trudno było ocenić jego wiek. Wyglądał młodo, ale przez zaciętość, jaka z niego emanowała, wydawał się starszy. Nigdy się nie witał. Nigdy się nie żegnał. Jego obecność zawsze wprawiała Kaśkę w zakłopotanie.

– Da mi pani czterdzieści losów – zdecydowała Kotowska, a dziewczyna znów przeniosła na nią wzrok. – Trzeba walczyć o swoje! – Kobieta skinęła porozumiewawczo głową na odchodne i wyszła.

Kaśka spojrzała na stojącego pod ścianą mężczyznę. Ten już na nią patrzył. Poważnie, niby bez emocji, lecz coś sprawiło, że Kuc przeszedł dreszcze po ciele. Brunet był stałym klientem Totalizatora Sportowego, ale nie znała jego imienia. Przychodził codziennie o tej samej porze, z tak samo napiętymi mięśniami twarzy, a w jego obecności robiło się jeszcze zimniej. To niewątpliwie był jeden z tych uzależnionych. Niesamowite, że zwykła gra w lotka mogła aż tak zajmować myśli, budzić aż takie emocje. Nieznany, niepewny wynik swoich działań dla niektórych był jak narkotyk. Wywołujące wyrzut adrenaliny ryzyko przyćmiewało zdrowy rozsądek, mąciło zmysły, zwodziło na manowce.

Mężczyzna zbliżył się do lady i wyjął z podajnika plik z zakładami. Prawą ręką zaczął powoli skreślać cyfry. Kaśka nieraz się zastanawiała, czy wybrane przez niego liczby miały jakieś szczególne znaczenie. Daty urodzin? Śmierci? Szczęśliwe dni? Ważne rocznice? Numery telefonu? Numery rachunku bankowego? Słyszała, że niektórzy gracze sprawdzają numery, które padły wcześniej, i analizują prawdopodobieństwo trafienia innych. Kiedyś jakaś kobieta zdradziła jej, że specjalnie wybrała się do wróżki, aby ta dała jej listę cyfr i dni, w których pisana jest jej duża wygrana. Kaśka nie była pewna, czy klientka kiedykolwiek wygrała, bo nigdy potem się u niej nie pojawiła. Może jej totalizator nie był dla niej szczęśliwy.

Zgrzyt. Zgrzyt. Zgrzyt.

Ołówek zgrzytał, skreślając cyfry. Mężczyzna naciskał na niego naprawdę mocno. Kaśka zauważyła, że w jednym miejscu zrobiła się nawet niewielka dziurka. Ale nic nie powiedziała. To nie była jej sprawa. Przyjęła zakłady i wydrukowała oryginalne losy. Podała je mężczyźnie, a ten

chwycił je bez słowa i wyszedł, zderzając się w drzwiach z wchodzącym właśnie właścicielem budki Robertem Miksą.

– A temu co? – Miksa ze zdziwioną miną obejrzał się za mężczyzną.

Kaśka wzruszyła ramionami.

– Typowy gracz – oświadczyła. – Rozedrgany, nieobecny, nerwowy. Zupełnie wypalony – dodała jakby do siebie. – Pewnie liczy na dużą wygraną.

– Ludzie są tacy głupi, co? – Miksa się zaśmiał. – Ale to tym lepiej dla nas. Oni tracą, my zarabiamy. – Zbliżył się do lady. – To co? Przeliczmy losy? – zapytał miękko.

Kaśka kiwnęła głową, wyszła z za lady, przekręciła plakietkę na drzwiach i przesunęła zasuwę blokującą drzwi.

3

– Oskar! No chodź, Oskar!

Ten śmiech. Perlisty, pełen przekory. Odbijał się echem po prowadzącym pod ulicą Monte Cassino tunelu. Marika zbiegła po schodach i lekko się zachwiała. Była całkiem pijana. Tak samo jak on. Białe wino Blanc de Blanc, które pili duszkiem prosto z butelki, nadal rozchodziło się przyjemnym ciepłem po jego żołądku.

– No chodź, Oskar! – ponagliła go, niecierpliwie podskakując w miejscu niczym mała dziewczynka. Czarne sprężynki włosów zawirowały wokół zielonych oczu i pomalowanych na krwistą czerwień ust.

Ciężkie wojskowe buty Oskara dudniły na mokrych stopniach betonowych schodów. Nie odrywał wzroku od dziewczyny w ramonesce i czarnych rangersach. Widząc to, zagryzła wargi, kiwając się filuternie na boki. Mimo mocnego makijażu wyglądała na mniej niż osiemnaście lat. Miała w sobie zarazem moc i kruchość, a Oskar nie do końca potrafił ją rozgryźć. Może właśnie to sprawiło, że zakochał się w niej na zabój?

Właśnie w tamtym momencie, kiedy wpadła na niego na ulicy, uciekając przed ojcem. „Stój, ty mała kurewko!” – krzyczał za nią ojciec, więc Oskar, niewiele myśląc, złapał ją za rękę i pociągnął do swojej klatki. Drzwi zamknęły się za nimi w ostatnim momencie. „Otwieraj, dziewucho! I tak cię złapię, słyszysz? Wezmę pas i zbiję jak psa!” – groził zacietrzewiony mężczyzna, waląc pięścią w zmurszałą płytę drzwi. Głos mu się łamał i drżał.

– Stary pijak – rzuciła z obrzydzeniem Marika i oparła się o ścianę.

– Czemu cię gonił? – zapytał Oskar, przyglądając się z zainteresowaniem dziewczynie.

Widował ją z daleka, ale niewiele o niej wiedział. Gdy była młodsza, przesiadywała godzinami na trzepaku, nawet po zmroku, a z okien jej mieszkania zawsze niosły się krzyki. „Menele” – syknęła kiedyś matka, gdy przechodzili obok. Na Oskarze nie zrobiło to jednak wrażenia. Na gdańskiej Oruni Dolnej każdy prawie pił, a policja dawno już przestała reagować na zgłoszenia o rozgrywających się tutaj burdach.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Kto go tam wie? – Spod kurtki wyciągnęła butelkę taniej wiśniówki.

Pociągnęła łyka.

– Chcesz? – zapytała i podała mu butelkę.

– Skąd to masz? – Oskar zmrużył oczy,

– Wzięłam z barku – odparła jak gdyby nigdy nic i figlarnie się uśmiechnęła.

– To dlatego cię gonił?

– Kto go tam wie? – Odgarnęła niesforny loczek, który opadł jej na oczy.

Rozbawiony Oskar prychnął i zaczął pić.

Walenie w drzwi w końcu ustało. Usłyszeli oddalający się męski głos:

– Zabiję jak psa...

Spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

– Chcesz się całować? – zapytała nagle dziewczyna.

Chciał. Od tamtej pory chciał całować Marikę nieprzerwanie.

– No co? – Oskar wrócił myślami do tu i teraz i rozejrzał się po przejściu podziemnym.

Ściany pokrywało kolorowe graffiti. W rzędku wisiały szklane gabloty z plakatami premier kinowych i teatralnych.

– Zrobimy zawody. – Marika klasnęła w dłonie.

– Zawody? Jakie? – Oskar czuł, że płacze mu się język.

Dziewczyna rażnym krokiem podeszła do pierwszej gabloty i gołą pięścią wyprowadziła cios. Szkło rozprysło się na kawałki i z głośnym trzaskiem uderzyło o szare kafelki chodnika.

– Nic ci się nie stało?! – krzyknął przerażony Korda.

Podbiegł do Mariki i chwycił ją za rękę. Oglądał ją z każdej strony, lecz nie dojrzał nawet zadrapania.

– Pewnie, że nie. – Zaśmiała się. – Wystarczy mocno uderzyć i jak najszybciej cofnąć pięść. Nigdy tego nie robiłeś? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Oskar wzruszył ramionami, choć poczuł, jak po jego ciele rozlewa się fala wstydu. Palenie papierosów i popijanie alkoholu to były najbardziej szalone rzeczy, jakie robił. Nie licząc seksu, który uprawiali z Mariką w tych wszystkich przedziwnych miejscach, w jakie go zabierała.

– Jeden zero. – Marika uniosła wyzywająco brwi. – Twoja kolej. – Wskazała na wiszącą przed oczami Oskara gablotę.

Niechętnie pokręcił głową.

– To nie jest dobry pomysł – rzekł, roztropnie rozglądając się na boki.

Ale Marika nie miała wątpliwości. Bez namysłu zrobiła krok do przodu i uderzyła pięścią w następną gablotę. Szkło z brzękiem posypało się po ziemi.

– Auuuu! – zawyła ochoczo dziewczyna. – Dwa zero! Teraz ty czy ja mam zbić wszystkie?! – Zaśmiała się, szykując się do uderzenia.

– Nie! – krzyknął Oskar. – Nie! Teraz ja!

Wyciągnął przed siebie rękę, zacisnął pięść, na próbę poruszał nią w przód i w tył.

– Tchórzysz?

Spojrzał na nią raz jeszcze. Jej oczy lśniły diabolicznym blaskiem. Była taka piękna. Tak bardzo piękna. Prychnął. Pokręcił z niedowierzaniem głową i wyprowadził cios. Pękło szkło. Nie czekając, przeszedł do następnych gablot. Cios. Brzęk. Cios. Brzęk. Cios. Brzęk.

Marika wrzasnęła rozentuzjasmowana. Rzuciła mu się na szyję i zaczęła go wariacko całować. Namiętnie, dziko, jak rozjuszone zwierzę.

– Gdzie oni są? – Usłyszeli nagle. – Gdzie oni są?

W przejściu podziemnym jak spod ziemi wyrosło czterech łysych facetów. Wściekli wodzili oczami po zaścielającym chodnik szkłe.

– Kto? – zapytał Korda i niepostrzeżenie wsadził prawą rękę do kieszeni białej bejsbolowej kurtki.

– No ci, co rozbili gabloty! – W oczach łysoli błyskały pioruny.

– Pobiegli w tamtą stronę. – Marika wskazała na prawo. – Wrzeszczeli „Lechia Gdańsk”, ale uważajcie, bo są strasznie najebani.

Mężczyźni porozumiewawczo spojrzeli po sobie i wybiegli z tunelu.

Marika zaczęła się dziko śmiać.

– Spierdalamy – powiedziała i pociągnęła Korde za rękaw.

Przytaknął i ruszył za dziewczyną. Z pęczniejącej czerwienią kieszeni ciurkiem lała się krew, a on jeszcze nigdy nie czuł w sobie takiej miłości i mocy.

4

Światła szarej astry przesunęły się po zdewastowanej fasadzie starej kamienicy i zatrzymały na brudnych hałdach śniegu. Wokół panowała ciemność. Stojąca nieopodal latarnia raz po raz gasła i ponownie się zapalała. „Przeklęta dzielnica” – pomyślał Kuc, choć tak naprawdę był do

tej swojej Oruni Dolnej w jakiś przewrotny sposób przywiązany. To tutaj się wychował, tutaj dorastał, tutaj stawał się człowiekiem, jakim był dziś.

Zanim poznał Kaśkę, mieszkał z rodzicami w dziesięciopiętrowym wieżowcu przy Piaskowej z widokiem na ówczesną Jedności Robotniczej, jak kiedyś nazywał się Trakt Świętego Wojciecha. Wtedy jeszcze nie było osiedli opodal obwodnicy, a ostatni wieżowiec na Oruni stał na skarpie. To tam jako smarkacz zjeżdżał na sankach. Później, gdy był już dorastającym chłopakiem, ścigali się w dół tej skarpy na motocyklach. Do tej pory pamiętał to uczucie. Niemal paraliżujący strach i szaleńcze pragnienie roztrzaskania się na drobne. W tamtym okresie robił wszystko, byle tylko nie być w domu. Byle tylko nie pamiętać, że najważniejszym członkiem jego rodziny był alkohol, który zresztą ojciec produkował sam. Wielki balon z zacierem, ogromny gar z chłodnicą i litrowe butelki z bimbrem – to było jego dzieciństwo. Tak samo jak smród fermentacji, drożdży i palonego cukru, na którego wspomnienie do dziś robiło mu się niedobrze. Nikt z jego kolegów nie domyślał się nawet, co Marek tak naprawdę przeżywał. Nigdy nie zaprosił nikogo do siebie. Nigdy nie dopuścił, by ktokolwiek mu współczuł, by ktokolwiek mógł pomyśleć, że jest z zepsutej rodziny, takiej, jakich pełno było w okolicach Głuchej czy Gościnnej. Ci z bloków byli przecież lepsi. Lepiej sytuowani, bardziej zaradni, nowocześni. Nie to, co tamte pijaki z kamienicznych melin. W końcu Marek był zawsze schludny i zadbany, nie znał ubóstwa. Jego rodzice mieli auto, kolorowy telewizor i działkę. Byli klasyczną postpeerelowską rodziną. Matka na stanowisku księgowej w Akademii Wychowania Fizycznego, ojciec – nauczyciel wuefu i trener podnoszenia ciężarów, sam kiedyś sportowiec z wynikami. Nikt nie przypuszczał, że w domu Marka rządziły przemoc i nienawiść. Nikt nawet się nie domyślał, że ojciec poniżał, obrażał i maltretował matkę na oczach syna, którego co prawda nigdy nie tknął, ale każdym swoim słowem i czynem ranił dogłębnie i na zawsze, jakby wiercił nożem w jego umyśle.

Kuc poczuł nieprzyjemny ucisk w piersi, szybko więc sięgnął po leżącą na kokpicie auta paczkę LM-ów. Uderzył nią w kierownicę i wydobył zębami papierosa, który lekko się z niej wysunął. Światło latarni zgasło, zapaliło się. Tak samo jak tamte wspomnienia, jak tamte dźgnięcia złożone z czynów i ze słów.

Wysiadł z samochodu i zaciągnął się papierosem. Zerknął w przesłonięte białą firaną okno na pierwszym piętrze, w którym paliło się jasne światło. Kaśka zdążyła już wrócić z pracy. Czekala na niego. Ta myśl sprawila, że poczuł w brzuchu ciepło. Nim ją spotkał, nie wiedział, co to miłość. Znał to pojęcie tylko z filmów, książek i piosenek. To Kasia pokazała mu, czym są czułość i dobro. To ona stała się antidotum na chorobę, którą zaraził się w domu, na ojca biegającego z kanistrem z benzyną w jednej ręce i zapalniczką w drugiej. Na ojca grożącego, że podpali cały świat.

Kuc wypalił papierosa i pstryknął niedopałkiem na chodnik. Żarząca się końcówka natychmiast zgasła pod warstwą burego śniegu. Gdy wchodził do klatki, w kieszeni jego kurtki zadzwonił telefon. Wydobył ciężką, toporną nokię i zerknął na zielony wyświetlacz. Witold Bakuła. Nie miał ochoty z nim teraz gadać, ale odebrał połączenie. Wiedział, że nie mógł pozwolić sobie na stratę wypłacalnego, chętnego do współpracy klienta.

– Proszę meldować. – Usłyszał w słuchawce mocny głos.

Zarządzający firmą wędliniarską Witold Bakuła był człowiekiem prostolinijnym i oschłym w obyciu. Komunikacja z nim była prosta i jasna. Żadnego zbędnego pitolenia, żadnych zbędnych uprzejmości.

– Niewiele. – Kuc westchnął. – Koło dwunastej pańska małżonka zrobiła zakupy na hali i wróciła do domu. Od tamtej pory nic się nie działo.

– Czyli nic pan dla mnie nie ma? – Ton Bakuły stał się jeszcze bardziej zasadniczy.

– Nic nie budzi moich zastrzeżeń.

– To musi pan szukać głębiej! Ja to wiem, rozumie pan? Nie ma innej opcji.

– Wiem, że wolałby mieć pan dowód. Ale może się panu tylko wydaje? Czasami wyobrazenie jest gorsze niż rzeczywistość.

– Panie Kuc, ja panu nie płacę za pierdolenie. Jeśli pan nie jest w stanie wykonać swojej roboty, zatrudnię kogoś, kto będzie potrafił...

– Kupiła bieliznę – przerwał Bakule Marek. – Seksowną. Mam zdjęcia.

– Bardzo dobrze. Jesteśmy w kontakcie. – Bakuła się rozłączył, a na klatce schodowej zrobiło się cicho.

Kuc westchnął i wspiął się w ciemności na drugie piętro. Śmierdziało kapustą, którą musiał gotować ktoś z lokatorów. Po chwili znalazł się na progu mieszkania. Od wejścia buchnęło gorąco, bo kotłownia paliła na sto fajerek, a starych kaloryferów nie dawało się skręcić. I dobrze, po całym dniu siedzenia w aucie Marek był przemarznięty. W domu pachniało mięsnym sosem. „I miłością” – pomyślał zadowolony. Jak ogromne miał szczęście, że spotkał Kaśkę. Ogromne. Niektórzy całe życie szukają tej jedynej i nie znajdują, a ona po prostu pojawiła się na jego drodze. Już trzy lata byli po ślubie, a wciąż nie mogli się sobą nasycić. Każdy dzień traktowali jak święto. I obiecali sobie, że tak właśnie będzie do końca życia.

– Kasiu? Jestem! – krzyknął od progu.

– Cześć. – Żona wychyliła się na chwilę z kuchni i mu pomachała. – Czekał, bo mi się tu coś przypała. – Zniknęła za ścianą.

Marek się uśmiechnął. To było takie zwyczajne. Niby nic. Ukochana kobieta macha mu na przywitanie i pędzi do kuchenki, na której stoi zapewne patelnia z bitkami. Gotuje mu obiad. Wkłada w to całe serce. Jest ciepło i bezpiecznie. Nie jak w tamtym życiu. Znienawidzonym i pełnym wściekłości. Teraz było jego potem. Potem, które napawało go dumą i szczęściem.

Zdjął buty i kurtkę, w łazience umył ręce.

– Moje ulubione bitki. – Stał za żoną i objął ją mocno w pasie. Ten jej zapach. Jedyne taki. Z niczym nigdy by go nie pomylił. – Jak tam w pracy?

Pewnie dziś miałaś sporo roboty, co?

– Oj, tak. Milion dwieście! Wyobrażasz sobie?

– Co mi tam milion dwieście, jak ja mam ciebie. – Ścisnął ją mocniej.

– Auuu – pisnęła Kasia.

– Mógłbym cię zjeść z tej miłości!

– Bitki lepiej zjedz. – Kasia się zaśmiała i wysunęła z jego objęć. –

Gotowe już.

Marek usiadł przy stole i po chwili wbił nóż i widelec w ociekające sosem mięso. Popił zimnym piwem prosto z butelki, które z lodówki podała mu żona.

– Pycha – rzucił, nie przestając gryźć.

– A jak tobie minął dzień? – spytała żona i usiadła naprzeciwko.

– Cały dzień obserwowałem kobietę...

Kasia wybuchnęła śmiechem.

– Zabrzmiało, jakbyś był jakimś psycholem!

– Bo może jestem? – Marek tajemniczo uniósł brew.

– Ejże! – Rozbawiona Kaśka pokręciła głową.

– Ale tak na serio, to przez ostatnich kilka dni śledziłem kobietę, którą mąż podejrzewa o zdradę. Więcej! Jest przekonany, że go zdradza!

– A ty myślisz, że wcale tak nie jest? – Kaśka przyjrzała się Markowi uważnie.

– Nie mam podstaw, by tak sądzić. Za to intuicja podpowiada mi, że to mąż bardziej ma problem. Czuję, że coś z nim jest nie tak.

– No, zazdrość to nie zawsze coś złego, nie? Bo jest wyrazem miłości, zaangażowania. Wiesz, opiekuńczości, jakkolwiek by było – zastanawiała się Kasia.

– Tak, ale czasami wykracza poza miłość. Przeradza się w kontrolę, brak zaufania i podejrzliwość. To już krok od obsesji, a ta nigdy nie prowadzi do niczego dobrego. Widziałem to nieraz. Uwierz mi. – Marek przełknął i na chwilę odłożył sztućce na talerz. Wpatrzył się w okno, za którym rozciągała

się ciemność. W szybie odbijały się plecy Kaśki i jego twarz. – Słyszałaś kiedyś o zespole Otella? – zapytał z poważną miną.

Pokręciła głową.

– To obłąd alkoholowy. – Kuc westchnął ciężko. – Obłąd zazdrości. Mój ojciec to miał. Odkąd pamiętam, twierdził, że matka go zdradza, i to z wieloma partnerami. Kurwa! Podejrzewał wszystkich. Przyjaciół, sąsiadów, obcych ludzi, z którymi matka miała jakikolwiek kontakt. Wystarczyło, że ktoś na nią na ulicy spojrzał. Póki byliśmy poza domem, nic po sobie nie pokazywał. Ale gdy tylko przekroczyliśmy próg mieszkania, zaczynało się piekło. Wyzywał matkę, szarpał, dusił. Podważał nawet swoje ojcostwo, twierdził, że jestem bękartem, że nie jestem do niego podobny, że bardziej przypominam obcego faceta, który przed chwilą przeszedł obok nas na ulicy i nieopatrznie zahaczył nas wzrokiem.

Kasia się wyprostowała. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– No co ty? Nigdy nic nie mówiłaś.

– Nawet nie wiedziałem, że to zachowanie ojca miało jakieś medyczne uzasadnienie. Dopiero ostatnio natknąłem się na artykuł w „Detektywie”. I tam właśnie pisali o facecie, który na to cierpiał. Chlał i wpadał w coraz większą paranoję, że żona nie jest mu wierna. Uporczywie poszukiwał dowodów zdrady, przeglądał jej bieliznę, obwąchiwał ubrania, czytał jej zapiski, jakieś dawne listy. Każdy gest, choćby urwana w połowie rozmowa, stawał się dla niego niepodważalnym dowodem zdrady. No i wiesz, co w końcu zrobił?

– Nie – powiedziała cicho Kaśka.

– Zabił ją. Roztrzaskał jej głowę szuflą do węgła.

Zakryła usta.

– Tak po prostu?

– Zauważył bilet autobusowy na nieznaną mu trasie. Uznał, że żona jechała do kochanka. Wyobrażasz to sobie?

Kaśka pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Oczywiście ukrył potem zwłoki. Przez wiele dni rozkładały się w ich małżeńskim tapczanie. Aż któryś z sąsiadów się zaniepokoił i zgłosił smród. Jak przyszła policja, mąż siedział na tym tapczanie kompletnie pijany i powtarzał, że żona sobie na to zasłużyła. „Zasłużyła sobie na to. Zasłużyła”. – Marek zniżył głos, naśladowując sprawcę.

– Jezu, przestań! – jęknęła. – Aż mam ciarki.

Marek się zaśmiał, jednym haustem dopił piwo, energicznie wstał z krzesła, chwycił pusty talerz po obiedzie i podszedł z nim do zlewu. Resztki jedzenia spłynęły wraz z ciepłą wodą do sitka.

Po chwili odwrócił się, oparł o blat.

– Ty byś mnie nigdy nie zdradziła, prawda? – zapytał nagle.

Zaskoczona ściągnęła brwi.

– A co byś zrobił, gdybym to zrobiła?

– Zabiłbym cię – odparł poważnie Marek. – Zabiłbym cię na śmierć.

Ostra pinezka wbiła się w korek i zdjęcie blondwłosej młodej kobiety zajęło środek tablicy wiszącej na jednej ze ścian w gabinecie Kordy. To zawsze był dla niego moment, w którym rozpoczynało się prawdziwe śledztwo. Pierwsza nitka, którą trzeba było połączyć z innymi. Najważniejszy z puzzli, do którego w odpowiednim porządku trzeba dostawić inne. Oskar poczuł w brzuchu mrowienie. To był ten znak, że stapiał się ze sprawą morderstwa Elizy Zalewskiej. To był ten znak, że nie odpuści, póki nie pozna prawdy, a przede wszystkim nie przyskrzyni bestii, która w tak okrutny sposób postąpiła z ofiarą.

Wszystko wskazywało na to, że zabójca nie działał w afekcie. Pozostawił zbyt mało śladów, poruszał się zbyt metodycznie i spokojnie, jakby grał we wcześniej przygotowaną grę. A to znaczyło, że był inteligentny. Pewnie ukończył co najmniej szkołę średnią, potrafił planować. Cechował się opanowaniem i skrupulatnością. Wziął ze sobą wszystko, czego potrzebował.

Korda starał się wyobrazić sobie jego twarz. Zapewne wyglądał całkiem normalnie. Przypuszczalnie nie wyróżniał się niczym z tłumu. Prawdopodobnie nigdy nie stwierdzono u niego zaburzeń psychicznych, miał stałą pracę, płacił podatki, nie wchodził w konflikt z prawem. Nic nie wskazywało na to, by dręczyły go mroczne żądze. Nikt z sąsiadów, a nawet i bliskich, nie podejrzewał, że gdy leżał w ciemnościach w łóżku, w jego głowie trwała gonitwa dzikich, potwornych myśli. Takich, których może początkowo i sam się bał, ale za którymi z czasem podążył. To one świdrowały mu czaszkę, wwiercały się w mózg, wyzwały narkotyczną

euforię i pobudzały układ nagrody. Raz za razem... raz za razem... raz za razem...

Oczywiście to była tylko niepotwierdzona wizja. Detektyw lubił kształtować sobie wyjściowy obraz sprawcy, podlegający z czasem weryfikacji, bo dzięki temu bardziej się angażował w sprawę. Tak naprawdę jak na razie mógł stawiać wyłącznie hipotezy. Głośno myśleć. Fantazjować, bo na tym etapie śledztwa mieli tylko brązową włóczkową maskę, deformującą wszystko, co pod nią. Odkryte dziurki od nosa, bezkształtna dziura na usta. Na razie nie pojawiło się nic, co mogłoby rozwiać bezimiennosc mordercy.

Ale mieli ofiarę. I to na niej Oskar musiał się skoncentrować. Poznanie obiektu morderczego pożądania definiowało zabójcę. Pozwalało zgłębić jego motywy. A poznanie motywu było kluczowe. To motyw określał cel i plan działania. Był wewnętrznym impulsem, stanem umysłu, genezą napięcia napędzającego zbrodnię. Czy sprawca kierował się motywem pierwotnym? Czy chodziło o kwestie patologiczne? Zwyczajną chęć zabijania? Niezaspokojoną irracjonalną potrzebę odebrania komuś życia? Czy o motyw wtórny? Typu chęć rabunku, pożądanie, kłótnia, złość, zazdrość, utrata nadziei, rozpacz, zemsta?

Korda zerknął na zdjęcie Elizy Zalewskiej. Smukła twarz, niebieskie oczy o zielonkawych plamkach, niewielki nos, jasne półdługie włosy zaczesane za lekko odstające uszy, nadające jej pozór królowej elfów. Błogi, niewymuszony uśmiech rozciągający usta w poziomą kreskę. Dwudziestoośmiolatka nie miała w sobie nic sztucznego. Wydawała się naturalna i pełna ciepła. Oskar dałby sobie rękę uciąć, że kiedy uwieczniano ją na fotografii, była w dobrym momencie życia. Ale wiedział też doskonale, że szczęście jest chwilowe i ulotne, a pod nim kryje się wszystko to, czego na co dzień nie chcemy pokazywać. Co przyciągnęło zabójcę do tej kobiety? Jej uroda? To kojące spojrzenie? To, w jaki sposób się poruszała? Otaczająca ją aura, niedostrzegalna gołym okiem, lecz

wyczuwalna zmysłami? Może to, jak mówiła? To, jak się uśmiechała? To, w jaki sposób napinały się żyły na jej szyi? To, jak wybierała produkty z półki w sklepie, jak wypakowywała je z bagażnika auta, jak obładowana otwierała drzwi, popychając je potem nogą? Korda wiedział, że właśnie takie zwykłe czynności potrafiły być impulsami. Nie tylko dla psychopatów, lecz także wolnych od zaburzeń ludzi. Czy właśnie nie tak zakochujemy się w drugiej osobie? Prosty gest czasami sprawia, że ktoś nagle staje się ważny. To jak rzucenie uroku. Nasz umysł wariuje i nie umie już zrównać tej osoby z innymi. Zaczyna ona przesłaniać cały świat. Reszta stanowi aksamitne tło.

A może wcale nie chodziło o miłość? Korda zmrużył oczy i starał się spojrzeć na Elizę Zalewską z innej perspektywy. Może budziła w sprawcy odrazę? Była zbyt zadowolona, zbyt szczęśliwa? Niepokorna? Za bardzo wyzwolona? Niepokojąco zmysłowa? Wzgardliwa? Reprezentowała kobiety, których morderca nienawidził? W wyobraźni napastnika była taka sama jak jego matka, niespełniona miłość z młodości, wybredna kochanka, była żona – jak wszystkie postaci tworzące w jego głowie szyderczy krąg. Może właśnie o to chodziło? Może sprawca zabił Elizę Zalewską, mszcząc się na wszystkich innych kobietach? A może to właśnie ona sprawiała, że ogarniało go poczucie psychicznego zagrożenia? Może go odtrąciła? Rzuciła w jego kierunku niewłaściwe słowo? Zachwiała jego wiarą w siebie, naruszyła poczucie własnej wartości, zdegradowała jego osobę? A może chodziło o zemstę? A może był to zupełny przypadek? Przypadkowy dom, przypadkowa rodzina, przypadkowa kobieta...

Tego Oskar musiał się dowiedzieć. Właśnie to musiał rozpracować. Wziął do ręki kolejne zdjęcie, przypiął je obok fotografii Zalewskiej i przyjrzał się twarzy męża ofiary. Wciąż mocne włosy mężczyzny pokryte były siwizną, wokół szarych oczu promieniście rozciągały się zmarszczki. Wokół ust rysowały się głębokie bruzdy, a skóra na żuchwie wyraźnie traciła elastyczność. Niewątpliwie pięćdziesięciolatek mógł się kiedyś podobać.

Korda mógł sobie wyobrazić, że Zalewski miał w sobie to coś, co sprawiało, że wydawał się interesujący. Dlaczego Eliza zainteresowała się starszym o dwadzieścia lat mężczyzną? Czy to była miłość? Czy zwykła kalkulacja? Czy młoda kobieta faktycznie go pragnęła? Czy uwiódł ją swoją inteligencją? Swoim obyciem, przedsiębiorczością? Czy roztoczył przed nią wizję bezpiecznego świata, którego wcześniej nie znała? Korda zdążył się dowiedzieć, że Eliza wychowywała się na Oruni Dolnej. Doskonale znał ten świat. Obdrapane, cuchnące klatki, pod którymi od lat dziewięćdziesiątych stawały drogie mercedesy. Narkotyki, sutenerstwo, handel nielegalnym alkoholem, nocne kluby, „ochrona” dla biznesmenów. Styl na pograniczu romskiego kiczu i tęsknoty do amerykańskiej gangsterki. Ciężko pracujący mężczyźni i uwłaczające im, nic nierobiące kobiety. Ciężko pracujące kobiety i uwłaczający im, zapijaczni mężczyźni. Synowie oddający matkom część zarobków, gdy ojciec przepił wypłatę, i synowie dający wycisk i ojcom, i matkom. Mężowie lejący żony, a nierzadko i córki, jeśli były zbyt frywolne. Ot, taki kodeks oruński.

W której konfiguracji wychowywała się Zalewska?

Co tak naprawdę czuła, myślała, czego pragnęła?

Co zrobiła, by zasłużyć na taką śmierć?

Oskar sięgnął po fotografie z miejsca zbrodni i zaczął przypinać je ciasno obok siebie tuż pod zdjęciem uśmiechniętej Elizy Zalewskiej. Zmasakrowana, pokryta warstwą zakrzepłej krwi twarz, na którą padły liczne uderzenia ciężkim przedmiotem. I pośmiertne rozcięcie powłok brzusznych. Skrupulatne, przemyślane, precyzyjne. Przy użyciu kuchennego noża, który morderca jak gdyby nigdy nic wyjął z szuflady ze sztucami. Jaki był w tym zamysł? Czym się kierował? Co chciał osiągnąć? „Nóż jest symbolem fallicznym” – tak powtarzano im na szkoleniach. Czy o to chodziło? Czy sprawca potraktował nóż jako przedłużenie swojego penisa? Ostatecznie rozładował napięcie płciowe, przecinając łono kobiety?

Czy to sprawiło, że poczuł władzę? Czy właśnie władza była tym, czego pożywał?

Korda nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Podskórnie jednak czuł, że to nie był jednorazowy akt. Oczywiście nie miał na to żadnych dowodów, ale psia intuicja podpowiadała mu, że ta zbrodnia może się powtórzyć. Działanie sprawcy było zbyt przemyślane, zbyt okrutne, zbyt chłodne, by poprzestał na tej jednej nocy. Detektyw kilka razy miał już podobne przeczucie i jeszcze nigdy się nie pomylił.

Przejechał palcem po bliźnie na policzku, mruknął, szybkim krokiem wyszedł ze swojego pokoju i skierował się w stronę gabinetu naczelnika komendy. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Juliusz Szewczyk stał w białej koszuli przed szafą z niewielkim lustrem i wiązał srebrzysty krawat.

– Co tam, Korda? – rzucił. – Coś nowego?

– Przemyślał szef ściągnięcie tych psów z Niemiec?

– Kurwa, Korda, ja tu mam zaraz konferencję prasową, a ty mi jak zwykle wyskakujesz z żądaniami.

– Dobrze by to dziś wyglądało. Zagrałby szef mocną kartą.

– Ty mi tu, Korda, nie pierdol. Wiesz, że nie mamy środków. Musimy lepić z tego, czym dysponujemy.

– W takim razie Janina Hinc – rzucił Oskar.

– Ta ekolożka? – Palce Szewczyka zatrzymały się na plecionym węźle.

– Chciałbym, żeby została włączona do zespołu.

– Czy ty wiesz, że to są takie same horrendalne koszty? – huknął komendant. – Kryzys mamy. Światową pandemię. Tysiąc problemów logistycznych. Jednym słowem, w dupie jesteśmy! Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdaję. Ale jestem też pewien, że sprawca uderzy kolejny raz – zaryzykował detektyw.

Szewczyk zamarł i wlepił w niego poważne spojrzenie.

– Skąd ten wniosek?

– To nie było zabójstwo w afekcie. Morderca skrupulatnie wszystko zaplanował. Nie spieszył się, karmił się każdą spędzoną w tym domu chwilą, wykazał patologiczną wręcz żądzą panowania nad ofiarami. A do tego zbeczczył zwłoki, jakby wykonywał rytuał o jakimś konkretnym znaczeniu. Może się mylę, ale intuicja podpowiada mi, że to nie było jednorazowe. A już na pewno takiej opcji nie możemy odrzucić.

Komendant zagryzł usta. Dokończył wiązanie krawata i przejechał ogromną dłonią po zroszonej potem łysinie.

– Hinc, mówisz?

– Przy ostatniej sprawie bardzo nam pomogła. Wydobyła na światło dzienne tropy, które były dla nas niewidoczne. *Attacus atlas*, ligustr. To dzięki niej udało się połączyć sprawy, których normalnie nikt by nie połączył. Ale przecież zdajesz sobie z tego sprawę.

Szewczyk kiwnął głową. Westchnął.

– Żyjemy w porąbanym świecie, Korda. Może jednak natura wie, co robi, że chce nas zdziesiątkować? – powiedział w końcu. Spojrzał w lustro i cmoknął cynicznie ustami. – Niech ta Hinc rozejrzy się na miejscu zbrodni. Pomyślę, w jaki sposób przyznać jej uprawnienia.

2

Oskar Korda przemknął gdańskim Podwalem Grodzkim i po chwili wjechał w składającą się z dwóch przedwojennych ulic Sandomierską. Zmurszałe płoty, nieotynkowane stare budynki, karłowate krzewy, porośnięte suchą trawą obrzeża zdewastowanych chodników. Kiedyś po obu stronach stały wielorodzinne drewniane domy, ale rozebrano je w latach dziewięćdziesiątych. Gdy Korda był mały, ciągnęły tędy całe tłumy robotników w ciemnych kufajkach. Zmierzali w stronę taborów kolejowych, by dostać się do Dalmoru, Stoczni czy Gazowni.

Z sentymentem spojrzął na mijany po lewej dom o dachu zwieńczonym nieproporcjonalnie długą wieżyczką, kiedyś z kulą na szczycie. Mieściło się tu mieszkanie zarządców zakładu, który nazywali zawsze Papownią. Minał przystanek autobusowy Kolonia Mysia i znalazł się na nierównej ulicy Równej. Niemal nic się nie zmieniło: od lat siedemdziesiątych mieściły się tu jednokondygnacyjne hale magazynowe o dwuspadowych dachach, obite blachą falistą. W oddali wyrastały kominy i silosy zakładów pracy. To właśnie ten krajobraz Oruni Dolnej towarzyszył mu przez całe dzieciństwo. Szary, mglisty, popękany. Dokładnie taki jak on.

Koła auta zaturkotały na brukowanej ulicy Głuchej, która robiła zdecydowanie lepsze wrażenie. Symetrycznie posadzone wzdłuż chodnika drzewa, porośnięte krzewami płoty, prawdziwa sielskość przykrywająca to, co pod powierzchnią. Zza chmur wyszło nagle słońce. Ciepłe i ostre. Mokry bruk się rozjaśnił, zaśnił, a Korda poczuł nagły ucisk w żołądku. Zobaczył, jak będąc chłopcem, jedzie tędy na rowerze. Jak zapalczywie pedałuje, pochylając się nad kierownicą. Uciekał. Całe swoje życie uciekał. Dobrze zdawał sobie z tego sprawę.

Zwolnił, jakby w ten sposób chciał przegonić wspomnienie. Rozejrzał się wokół. Nie było go tu przecież wiele lat. Zauważył, że część budynków, które przez dziesięciolecia zdawały się istnieć tylko siłą woli, została rozebrana. Pamiętał ich wybrzuszone ściany, pękające mury, podmyte fundamenty. To była jego codzienność. Mieszkał przecież w jednym z nich. Nie zauważał już nawet wypadających gzymsów, przekrzywionych framug, pokruszonych cegieł. Doskonale wrósł w tę rzeczywistość, która wydawała mu się normą. Przez bardzo długi czas nie dochodziło do niego, że sam jest jednym z zawieszonych w próżni okien.

Minał wolno stojące domy i znalazł się na osiedlu rosnących równolegle pięciopiętrowych bloków. Niskie barierki większości balkonów poprzetykane były plastikowymi osłonkami. Pomimo niskiej temperatury gdzieś na linkach wywieszono pranie. Na balustradach wietrzyły się

stare kołdry. Korda wysiadł z samochodu, oparł się o karoserię i zapalił papierosa. Do spotkania miał jeszcze dziesięć minut. Nie chciał być za wcześnie. Rozumiał, że dla rodziców zamordowanej Elizy Zalewskiej, choć przez lata nie mieli z nią kontaktu, to musiał być straszny czas.

Zaciągnął się czerwonym marlboro. Dym na chwilę zawisł w wilgotnym powietrzu i zniknął. Korda powiódł wzrokiem po oknach. W klatce D stojącego naprzeciw bloku mieszkał za dawnych lat jego kumpel. Mówili na niego Ziemniak. Ostry imprezowicz. Oczywiście nauczył się tego od ojca, który zawsze był w wyśmienitym alkoholowym nastroju. Korda z Ziemniakiem często raczyli się stojącymi w barku trunkami, o dziwo! całkiem dobrej jakości, a ojciec kolegi nigdy nie zwrócił na to uwagi. Może był nawet zadowolony, że syn poszedł w jego ślady? Ziemniak też był po alkoholu najlepszą wersją siebie. Uśmiechnięty, żartujący, zupełnie bezkonfliktowy. Może alkohol był stworzony właśnie dla takich ludzi? Może to miejsce stworzone było właśnie dla takich ludzi jak on?

Detektyw zerknął na wyrastające w oddali drzewa i niepasujące do siebie szczyty najróżniejszych mieszkalnych brył. Orunia Dolna stanowiła konglomerat przeciwieństw. Odkąd tylko pamiętał. Z jednej strony mieli kino Kosmos, w którym grano wszystkie premiery, a nowoczesne bloki sytuowano na najpiękniej nazywanych ulicach: Szmaragdowej czy Diamentowej. Ale z drugiej strony większość tej dzielnicy to była kolonia przedwojennych robotniczych kamienic, z prawdziwymi piecami i toaletami na korytarzach. Ludzie godzili się na ten „dobrobyt”. Nie walczyli o wydobycie się z marazmu, zastygali w swoim małym świecie, często woląc chlać, niż pracować. I nic nie potrafiło zmienić tego stanu rzeczy. Ani powstały dom kultury, ani kino, ani rosnące jak grzyby po deszczu biblioteki. Siła wielopokoleniowego alkoholizmu i społecznej klasowości była większa, to ona tworzyła ten specyficzny klimat oruńskiego getta.

Korda wyrzucił niedopałek do stojącego nieopodal śmietnika i wszedł do jednej z klatek. Wbiegł na drugie piętro, nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła mu kobieta o krótkich kręconych włosach pofarbowanych na czerwono. Jej twarz była jak maska. Nie wyrażała żadnych emocji

– Dzień dobry. – Kiwnęła głową i zaprosiła go do środka.

Mieszkanie było schludne. Prosty korytarz, zamknięta, wąska kuchnia. Przy brązowym okrągłym stole w dużym pokoju siedział mężczyzna o przerzedzonych blond włosach. Wstał na widok Kordy, wyciągnął rękę. Cerę miał czerwoną i pełną otwartych porów.

– Czy możemy zaczynać? – Detektyw usiadł na krześle i zerknął na twarze Wójciaków.

Były bezbarwne. Pozbawione emocji. W połowie przypadków tak właśnie było. Emocjonalne wyparcie, jakby zawiadomienie o czyjejs śmierci było pustą informacją, która nie chciała się zapisać w głowach.

– Kiedy ostatni raz widzieli państwo córkę? – zaczął Korda.

– Dawno – odparł Wójciak i wzruszył ramionami.

– Dwa lata temu, w maju – powiedziała Ewa Wójciak. Mąż podniósł na nią zdziwione oczy i groźnie ściągnął brwi. – Nie mówiłam ci, bo nie chciałam cię... denerwować. Ale raz spotkałam się z Elizą. Chciałam... chciałam tylko zobaczyć, co u niej słychać. – Zerknęła na Korde.

– I co było u niej słychać?

– Właśnie dostała pracę. Dobrą. W tym nowoczesnym biurowcu we Wrzeszczu. I męża miała.

– I nawet nie raczyła poinformować rodziców o ślubie! – huknął mężczyzna, zwijając dłonie w pięść.

– Dziwisz się? – mruknęła kobieta pod nosem. Zacerwieniła się. Patrzyła wciąż w stół.

Mężczyzna odwrócił głowę ku oknu. Pomalowane na czerwono i żółto wnęki balkonów stojącego sto metrów dalej bloku rozświetlały promienie słońca.

– W każdym razie wydawała się szczęśliwa. Spokojna taka – dodała Wójciakowa. – I właśnie taką ją będę pamiętała. – Broda kobiety zadrżała.

– A pan, panie Wójciak? Kiedy ostatni raz widział się pan z córką?

Mężczyzna nie zareagował.

– Mąż miał z córką trudne relacje – odezwała się pani Wójciak. – Nie widzieli się od lat.

– Czemu relacje męża z córką były trudne?

Wójciak oderwał wzrok od okna i przeniósł go na żonę. Jego spojrzenie było przerażająco twarde.

Wójciakowa pokręciła głową i zacisnęła usta.

– Mąż miał problem z alkoholem, jak Eliza była mała. Ale to już przeszłość – wyjaśniła.

– Rozumiem. Czy Eliza była blisko z kimś z rodziny? Z kimś się przyjaźniła? Komuś ufała? Nie wiem... – Korda rozłożył ręce. – Ciocia, kuzynka, przyjaciółka?

– Nie. Eliza nie utrzymywała żadnych kontaktów z nikim z rodziny. Zresztą my też nie. Miała tu kiedyś taką jedną przyjaciółkę. Sandrę Białą. Ale to jeszcze jak mieszkaliśmy Przy Torze. Bo to tam Eliza się wychowywała. To mieszkanie w bloku kupiliśmy dopiero kilka lat temu. Moja mama umarła i dostałam część spadku, to było na wkład własny.

– Jaka była Eliza?

– Oj, taka, hmm, normalna dziewczynka. Harda, pyskować lubiła. Zawsze miała swoje zdanie. Ale też bywała wycofana, czasami jak się zamknęła w sobie, to nic nie można było z niej wydobyć. Uparła się, żeby zrobić liceum, choć my bardziej do technikum ją pchaliśmy, bo to zawsze jakiś pewny zawód. Potem na zarządzanie poszła, ale chyba nie skończyła. Tak czy siak, pracę znalazła. No zdeterminowana była. A po tym wszystkim, co... No cóż. Nie miała łatwego dzieciństwa, jak wspomniałam. – Ostatnie zdanie niemal wyszeptała.

– A kontakty z chłopcami? Opowie mi pani o nich?

Ewa Wójcik odruchowo spojrzała na męża. Ten znów odwrócił wzrok. Choć wydawał się nie uczestniczyć w rozmowie, doskonale wszystko słyszał. Korda wyraźnie czuł, że jego ciało napięte jest do granic.

– Eliza zawsze miała powodzenie. Podobała się. Jak był Dzień Kobiet, to nawet w podstawówce chłopcy z różami przychodzili pod dom. W liceum Eliza nie miała żadnego konkretnego chłopaka, ale oni się wokół niej kręcili. Tyle wiem.

– Nie zwierzała się pani?

– Raczej nie.

– Nie ufała pani?

Wójciakowa przygryzła wargę.

– Najwidoczniej. – Uśmiechnęła się słabo. – Ale ja też swojej matce się nie zwierzałam. Tak to już chyba jest.

– Tak to już chyba jest – powtórzył pocieszająco Oskar, choć sam w to nie wierzył.

Twarz Ewy Wójciak wykrzywił ból, ale w jej oczach Korda nie dostrzegł ani jednej łzy. Wiedział, że prędzej czy później przyjdzie ten moment, gdy łzy popłyną. I wtedy nic ich już nie powstrzyma. Będą płynąć latami; tak długo, aż kobieta stanie się pusta, odwodniona, pozbawiona oczu.

3

Ekolożka sądowa Janina Hinc patrzyła na opadające za oknem płatki śniegu. Niebo w kolorze stali wisiało tuż nad blokiem przy Grunwaldzkiej w gdańskiej Oliwie. Z głośników nałożonych na uszy słuchawek wydobywały się melancholijne dźwięki. *You're the water to my thirsty seed. I am the lock and you are the key*, śpiewała Rose Cousins, a ona czuła w brzuchu dziwny ucisk. Zbyt długo była sama. Wiedziała to doskonale. I wszyscy wokół niej to powtarzali. Tyle że nigdy nie chciała być z kimś na siłę. Mężczyźni zazwyczaj jej nie rozumieli. Owszem, miała powodzenie, od

zawsze, choć niewiele robiła, by przykuć czyjąś uwagę. Była inna, a to stanowiło doskonały wabik. Ktoś ją poznawał i myślał: „O kurczę, jaka odjechana dziewczyna. Prawdziwy odmieniec. Fascynująca. Zupełnie nie rozumiem, o czym ona mówi, ale fajnie byłoby mieć taki egzemplarz w zbiorach”. I tak to się zaczynało. Ale tak naprawdę nigdy nie spotkała kogoś, kto by prawdziwie ją poczuł. Komu nie musiałaby tłumaczyć, dlaczego najpierw jako mała dziewczynka, a potem dorosła już kobieta leżała godzinami w wysokiej trawie, obserwując nie tylko roztaczające się nad nią niebo, lecz także to, co działo się tuż przy ziemi. Że ciekawa była budowy łańców trzęślicy modrej i rozgrzanych promieniami słońca roślin jednoliściennych, że do utraty zmysłów wwąchiwała się w zapach ziół i mszaków, wsłuchiwała w brzęczenie owadów, chłonęła wszechobecny szum. Wtedy pojęła, że świat to jeden wielki organizm, połączony milionami par rąk, celowy, regularny, wybornie systematyczny, będący jedną wielką księgą, którą można czytać. Gdy opowiadała, że bywały w jej życiu dni, w których w strugach deszczu, z włosami przylegającymi do policzków i czoła chodziła po bagnach, starając się zrozumieć odbywające się w trakcie ulewy procesy, zawsze słyszała pytanie: „Nie bałaś się, że złapiesz katar?”. Nikt, ale to nikt jej nie czuł. Nie było nikogo, kto by po prostu wiedział, najzwyczajniej w świecie wiedział, jak postrzega, w jaki sposób kategoryzuje, jak układa myśli, co się w niej dzieje, gdy słucha muzyki, jakie procesy wyzwała w jej głowie przyroda. Nigdy z nikim nie nawiązała prawdziwej więzi. A raczej nikt z nią nie potrafił jej nawiązać.

Była odmieńcem.

I nic nie mogło tego zmienić.

Westchnęła. Może oczekiwała zbyt dużo? Może człowiek nigdy nie jest w pełni rozumiany przez drugiego człowieka? Może do stworzenia związku wystarczą sympatia i dobry seks?

Może. W końcu była naukowczynią. Badała świat materialny. W miłości też powinna się kierować racjonalizmem. Dlaczego więc wciąż szukała

metafizycznego połączenia? Czegoś więcej, niż zazwyczaj otrzymywała?

Przewróciła oczami. Nie poznawała siebie samej i dokładnie umiała powiedzieć, kiedy to się zaczęło. W momencie, gdy zaczęła pracować z Kordą. Wystarczyły jedno spotkanie, jedna rozmowa, jedno spojrzenie na jego twarde żylaste dłonie, by coś w niej drgnęło. A przecież miała świadomość, że nigdy, przenigdy nic z tego nie będzie, że ich znajomość nie wyjdzie poza ramy śledczej współpracy. A jednak kiedy zadzwonił telefon i na wyświetlaczu pojawiło się jego imię, tętno jej przyspieszyło. Wiedziała, co to znaczyło – że ktoś musiał kogoś zabić. I bardzo ją to ucieszyło.

4

iTechnology.

Alicja Grabska wstukała tę frazę do wyszukiwarki i przeszła na stronę korporacji. Prześledziła podstawowe informacje o prowadzonej działalności i weszła w zakładkę „Nasz zespół”. Grupa pracowników była naprawdę liczna. Skrolowała w dół, wodząc wzrokiem po zmieniających się twarzach, w większości męskich i młodych. Aż w końcu zatrzymała się na szukanym nazwisku.

Eliza Zalewska. *Office administration.*

Ze zdjęcia uśmiechała się do niej młoda blondynka o niebieskich oczach. W białej koszuli i o ustach w kolorze fuksji. Piękna kobieta. Zadbana. Zadowolona. Żywa.

Wtedy jeszcze żywa.

Alicja poczuła ukłucie w żołądku.

Twarz ofiary. To zawsze robiło wrażenie.

Żyła, a ktoś zabrał jej życie.

Była i przestała być.

Ktoś zabił i nadal jest.

Gdzieś tam. Niedaleko.

Morderca też miał swoją twarz. Póki co anonimową, tonącą w mroku. Ale była ta twarz. Prawdziwa i mięsista. O niepowtarzalnych rysach. Kamuflująca kłębiące się w głowie myśli, narastające emocje i skłonność do agresji, która ostatecznie popchnęła go do zbrodni. Zbrodni okrutnej i przemyślanej. Niepozostawiającej złudzeń, że sprawca jest doszczętnie zły i pozbawiony ludzkich odruchów. Wbrew powszechnemu przekonaniu takich ludzi jest naprawdę sporo. Jeden procent populacji spełnia kryteria psychopatii, co oznacza, że jedna osoba na sto cechuje się taką osobowością, a tym samym każdy człowiek z całą pewnością w trakcie swojego życia styka się z co najmniej jedną taką osobą. Alicja coś o tym wiedziała. Nie tylko opisywała te przypadki na swoim poczytnym blogu „Szelest wszystkich zbrodni”, lecz także niemal sama stała się ofiarą. Ona też mogła być twarzą, nad którą pochylaliby się dziennikarze i śledczy. Ona też mogła być twarzą, której żałowałiby zupełnie nieznający jej ludzie.

Czasami miała wrażenie, że Trójmiasto jest jakąś szczególną wylegarnią psychopatycznych typów. Bo czy naprawdę niemal co roku ktoś musiał tutaj w okrutny sposób kogoś mordować? Czy ciągle musiało się odbywać polowanie? Czy każdy ciemny zaułek trójmiejskich ulic musiał kryć grzeszne, budzące trwogę tajemnice? A może tak było wszędzie? A może po prostu skoro o tym pisała, to tylko jej się wydawało, że otacza ją zbrodnia? Może to było tak jak z kupnem konkretnego modelu samochodu, który nagle zalewa ulice, choć wcześniej wydawał się oryginalny?

Alicja sięgnęła po kubek kawy stojącej obok klawiatury, wciąż jeszcze ciepłej. Upiła łyk, wpatrując się w fotografię Elizy Zalewskiej. Nigdy nie możemy być pewni, ile zostało nam czasu. Może trzydzieści lat, może kilka miesięcy, a może pięć dni. A może pięć cholernych minut. Śmierć zazwyczaj przychodzi znienacka. Szokuje, jakby była czymś sprzecznym z zasadami, przekonaniami, przewidywaniami. A przecież jest najzwyczajniejsza w świecie. Tak samo naturalna i nieuchronna jak urodziny,

jedzenie, oddychanie, zakochiwanie się i starzenie. Nie da się jej przeskoczyć. Zawsze była, jest i będzie. I zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał ją zadać. Ktoś, kto będzie chciał się zabawić w Pana Boga.

Odstawiła kubek na blat biurka i tym razem weszła w Facebooka. Natychmiast wyświetliło się jej sześć profili kobiet o imieniu i nazwisku ofiary, w tym dwie użytkowniczki z Sopotu. Od razu rozpoznała wśród nich twarz tej właściwej. Weszła na jej profil, niewiele jednak mogła z niego wyłuskać, gdyż żaden z postów nie był upubliczniony. Zjechała na listę znajomych i zauważyła, że z zamordowaną Elizą Zalewską łączył ją jeden wspólny znajomy. Uśmiechnęła się lekko. „Sześć stopni oddalenia” – pomyślała. Fascynowała ją ta teoria. Każdy mieszkaniec Ziemi może spotkać każdego innego na świecie. Teoretycznie. Bo jest między nimi zaledwie sześć lub mniej wzajemnych powiązań. Kiedyś to założenie musiało się wydawać szokujące. Ale nie dzisiaj. Nie w dobie globalnej wioski. Nie w Sopocie, gdzie tak naprawdę każdy znał każdego choćby z widzenia, z klubów, opowieści, plotek, ze wspólnych spraw.

I Alicję z brutalnie zamordowaną wczoraj ofiarą z ulicy Junaków łączył Andrzej Zatorski. Zator. Kolega ze szczenięcych lat.

5

– Czyli jesteście na razie w martwym punkcie, tak? – wypytywała Alicja.

Korda prychnął rozbawiony.

– Wiesz, że dochodzi północ?

– Wiem, że ty, podobnie jak ja, nigdy nie wychodzisz myślami z pracy.

– No dobrze. – Oskar westchnął. – Sprawa nie jest prosta. Sprawca nie zostawił po sobie żadnych szczególnych śladów, a te, które znaleziono, zdeptała chmara ludzi, którzy zbiegli się do domu Zalewskich, zanim przyjechaliśmy na miejsce. Na razie rozpytujemy, kogo się da, sprawdzamy

relacje zawodowe i nie tylko, wiesz, podstawy, punkty wyjścia, a nie martwe punkty.

– Czemu zatem Janka?

– Bo nikt tak jak ona nie potrafi znaleźć tropów w kurzu. – Detektyw się zaśmiał. – A kurzu mamy w tej sprawie pod dostatkiem. Okej. Zmieńmy temat, dobrze? – Oskar pacnął ją w nos.

Alicja przewróciła się na brzuch, oparła ramionami o poduszkę.

– Twoja pierwsza miłość? – zapytała ciekawie.

Przewrócił oczami, ale ona nie dawała za wygraną, czekała na odpowiedź.

– Miała na imię Beata – zaczął i ułożył się na boku, z ręką pod głową. – Byliśmy harcerzami. To była pierwsza dziewczyna, której powiedziałem, że się w niej zabujałem, i pamiętam, że pocałowaliśmy się na ognisku za namiotem. A potem mnie rzuciła. Drastycznie porzuciła. Powiedziała, że już nie chce mnie widzieć. Złamała mi serce. Miałem jedenaście lat, a nie spałem przez kilka tygodni i zastanawiałem się, co ja takiego zrobiłem, że tak się to skończyło.

– Jak wyglądała?

– Brunetka, bo pewnie o to pytasz.

– Nie. Po prostu w głowie wyświetlił mi się obraz rudej, chudej dziewczynki z piegami na zadartym nosie. – Zaśmiała się.

– Czemu? – zdziwił się.

– Nie wiem. Słowo „harcerka” natychmiast wywołuje we mnie takie konotacje. – Wzruszyła ramionami. – A inne dziewczyny? – Uniosła kokieteryjnie brwi.

– Ale przesłuchanie – prychnął. – Znam lepsze sposoby spędzania czasu. – Zmrużył oczy i przejechał dłonią po jej boku.

– Eee. Najpierw rozmowa.

– W szóstej klasie była Monika. – Westchnął. – Pewnie dlatego do dzisiaj mam słabość do tego imienia. I co? Chodziliśmy za rękę, całowaliśmy się...

jak dorośli. – Zaśmiał się.

– Yhm.

– A potem w pierwszej klasie szkoły średniej poznałem Olę, no i z nią trochę kręciłem. Choć równocześnie spotykałem się z innymi dziewczynami, bo miałem naście lat i chciałem mieć ich dużo. Próbowałem mieć jedną, a oprócz tego mieć ich dużo. Wiesz, wtedy nic jeszcze nie wiedziałem o miłości. – Znowu westchnął. – I tak to – uciał.

– I tak to?

– Tak to.

Przysunął się do niej.

– A jakiś poważny związek? – dopytywała dalej.

– Poważny... – Korda głośno wypuścił powietrze. – Był jeden – dodał sucho. – Ale... nie ma o czym mówić. – Skrzywił się lekko, a ciągnąca się po policzku blizna przesunęła się w górę. Uśmiech nie uśmiech. – A ty, Grabska? Kiedy pierwszy raz się zakochałaś? – zmienił temat.

– Byłam w pierwszej klasie podstawówki, a chłopak nazywał się Tomek. Był w moim wieku. Mieszkał przy tej samej ulicy, co ja. Miał ciemnobrązowe włosy i piwne oczy. I był... dobry. Miły, uczynny, zawsze uśmiechnięty. To on nauczył mnie jeździć na rowerze na dwóch kółkach. Był jeden z tych letnich dni, poranek, na ulicy nikogo nie było, śpiewały ptaki. I on popędził do garażu po narzędzia i odkręcił mi kółka. Wsiadłam, popchnął rower, a ja pojechałam. – Alicja uśmiechnęła się do swojego wspomnienia. – Później dał mi złoty pierścionek. Prawdziwy złoty pierścionek w pierwszej klasie podstawówki. Był za duży, więc go zgubiłam. A Tomek zginął w wypadku samochodowym – powiedziała smutno.

– Przykro mi – szepnął.

– Taaak. A potem był Mirek. Byłam w szóstej klasie, a on w ósmej. Chciał chodzić za rękę i się całować, a mnie to na maksa krępowało. On mnie krępował. Przestraszyłam się, nie czułam się wystarczająco dobra,

wystarczająco silna. Więc go rzuciłam. Przekazałam mu to przez koleżankę. Wsiadł na motorynkę i próbował się zabić. Tak mi napisał w liście. Najpiękniejszym liście miłosnym, jaki dostałam w życiu – dodała i uśmiechnęła się z nostalgią.

– A dalej?

– Dalej był Radek Turski i... Tajfun. Ale to już wiesz.... Moje związki nigdy nie kończyły się dobrze. – Alicja przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit.

Korda położył się obok niej. Też patrzył w górę.

– Mało które związki kończą się dobrze. – Westchnął ponuro.

– Nie mieliśmy dobrych przykładów.

– Nie mieliśmy dobrych przykładów – powtórzył. – Wiesz, że moja matka była tak samo apodyktyczna jak twoja?

Grabska przekręciła się na bok. Oparła głowę na zgiętej dłoni.

– Serio?

– Serio, serio. Uprawiała w domu szczególnego rodzaju przemoc. Niby nic. Niby zwykłe docinki. A to, że ojciec za mało zarabia, a to, że powolny, że źle chodzi, mówi, oddycha. Nawet się go czepiała, że źle sika, serio. Wszystko jej w nim przeszkadzało. A ojciec się jej bezwolnie poddawał, przyjmował to znęcanie się nad nim za normę. Robił wszystko, co mu kazała.

– To musiało być trudne. – Wyciągnęła dłoń i czule pogładziła go wzdłuż ucha.

– Były i dobre momenty. Szczególnie miło pamiętam spacer po parku Oliwskim. Grotę Szeptów na przykład, gdy matka na chwilę przestawała być sobą i stawała się... mamą. Miłą, zwyczajną mamą. Ale były też dni straszne. – Ciężko oddychał. – Kiedyś pojechaliśmy nad jezioro. Do Koleczkowa, takiej niedalekiej wsi na Kaszubach. Piękny letni dzień. Mieliśmy ze sobą paluszki, karty, koc. Tylko ja nie chciałem wejść do wody. Miałem wtedy sześć lat i od zawsze czułem niewytłumaczalny lęk

przed wodą, wiesz, nie przed wodą w szklance, ale przed takimi dużymi zbiornikami już tak. Strasznie też płakałem, gdy nadchodził dzień mycia głowy. Uciekałem, wyrywałem się. Sama myśl, że woda ma nalecieć mi do oczu i uszu, była paralizująca. Więc rodzice trzymali mnie w wannie na siłę. Ojciec łapał za ramiona, przyciskał do podłoża, a matka polewała mi głowę wodą z prysznica. No i oczywiście tak bardzo się spieszyła, że woda lała mi się po twarzy, co traktowałem jako męki piekielne. Więc pojechaliśmy nad to jezioro. I matka koniecznie chciała mnie nakłonić, żebym wlaź do wody. Najpierw, żebym się pobawił na brzegu, kupiła mi jakieś plastikowe zabawki, wiaderko i tak dalej, ale mnie to nie przekonało. Nie chciałem i już. Więc wymyślili, że najlepiej będzie mnie wrzucić. Taki chrzest bojowy. Tak to określiła matka i oczywiście ojciec skrupulatnie wykonał jej polecenie. Zaciągnął mnie na pomost i popchnął.

– Straszne. – Alicja zakryła usta ręką.

„Boisz się wody? Boisz? Ty mały tchórze!” Oskar poczuł, jak pod skórę stóp wchodzi mu drzazgi. Zaciśnął powieki.

– Taka wesoła historyjka z dzieciństwa. – Zaśmiał się z przymusem, jakby chciał na siłę rozładować napięcie.

– Niesamowite, że rodzice są zdolni do takich okropności wobec dzieci. – Grabska posmutniała.

– Zdecydowanie do gorszych, niestety.

– Zadziałało chociaż? Bo przecież teraz niemal codziennie chodzisz na basen.

– No co ty. Nadal się boję jak sto diabli, a nawet bardziej. Ale już nie pozwalam, żeby ktokolwiek mnie pchnął. Skaczę sam. – Korda zrobił pozornie dziarską minę, a sunąca po policzku blizna wykrzywiła mu usta.

Przeszklony kompleks biurowy w gdańskiej Oliwie wydawał się przebijać szare od ciężkich chmur niebo. Gdzieś w oddali wychynął na chwilę promień słońca, dzięki któremu budynek pojaśniał, przybierając morski odcień, po czym znów poblądł, wtapiając się w stalowy szkielet. Korda zjechał z Grunwaldzkiej, zaparkował i przemierzył geometrycznie wyłożoną płytami drózkę okoloną maleńkim ogrodem. Pokazał odznakę w recepcji jednego z budynków i wszedł do nowoczesnej windy. Cyferki na wyświetlaczu zmieniały się szybko i płynnie. Drzwi rozchyliły się na dwudziestym ósmym piętrze i detektyw znalazł się w otwartej przestrzeni biurowej. Panował gwar. Rozmowy, dzwoniące telefony, wszechobecne stukanie w klawiaturę komputerów, nad którymi pochylały się anonimowe twarze elegancko ubranych kobiet i mężczyzn.

Policjant podszedł do stojącej za kontuarem pracownicy. Miała proste kasztanowe włosy i serdeczny uśmiech, który na widok odznaki przygasł. Po minucie w stronę Kordy wysunęła się ręka szefa firmy iTechnology, w której pracowała zamordowana Eliza Zalewska. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Za szklami modnych okularów błyskały piwne tęczówki.

– Michał Jaskólski – przedstawił się. – Bardzo proszę, usiądziemy sobie w sali konferencyjnej – powiedział i poprowadził Kordę do odgrodzonego szklaną ścianą pomieszczenia z długim drewnianym stołem.

Usiedli naprzeciw siebie. Jaskólski położył ręce na blacie i złożył palce w charakterystyczną piramidkę.

– Czym zajmuje się wasza firma? – zaczął kurtuazyjnie Korda.

– Działamy w branży IT. Współpracujemy zarówno z dojrzałymi organizacjami, jak i z dynamicznie rozwijającymi się start-upami, no i w skrócie pomagamy im rozwiązywać problemy biznesowe z wykorzystaniem innowacyjnych technologii.

– Imponujące – pochwalił detektyw, składając usta w ciup. – A Eliza Zalewska? Czym się u was zajmowała?

– Czy ona naprawdę...? Czy... ona naprawdę nie żyje? – Oczy Jaskólskiego się rozszerzyły. – Dzwonili do nas z komendy, ale nie chcieli udzielić żadnych dodatkowych informacji.

– Tak. Pani Zalewska nie żyje. Prowadzimy śledztwo w tej sprawie. Nic więcej nie mogę panu na tym etapie powiedzieć.

– Aż trudno uwierzyć... – Mężczyzna przejechał ręką po czole.

– Pani Zalewska pracowała w recepcji, czy tak? – przerwał Jaskólskiemu detektyw.

– Tak. Eliza była jedną z naszych recepcjonistek. Pracowała u nas od jakichś dwóch lat. Dobrze wykonywała swoje obowiązki.

– Jaka była?

– Uśmiechnięta, energiczna, taka szczerą, prostolinijna, budziła sympatię. Wie pan, nie wywyższała się, bardziej tak kumpelsko można było z nią pogadać.

– Byliście blisko? – podchwycił Korda, taksując Jaskólskiego wzrokiem. Mężczyzna podniósł wysoko brwi.

– Nie, nie. Nie o to chodzi – zaprzeczył szybko. – Była komunikatywna, tak po prostu, po ludzku, rozumie pan? – wyjaśnił i natychmiast się uśmiechnął.

– Mhm – mruknął Korda. – Rozumiem, że panuje u was przyjacielska atmosfera pracy?

– Chyba można tak powiedzieć. Jesteśmy wszyscy na „ty”. Ceniemy otwartość i bezpośredniość. To nowoczesna firma.

– No tak. Czy pani Zalewska przyjaźniła się z kimś z pracy szczególnie? Był ktoś, komu się zwierzała? Kogo obdarzała zaufaniem? Z kim chodziła... no nie wiem, na drinka po pracy?

– Cóż, trudno mi powiedzieć, czy się komuś zwierzała. Mnie na pewno nie – podkreślił Jaskólski. – Ale chyba jakbym już musiał kogoś wskazać, to z Aśką Kaczmarek. Też z recepcji. Zresztą poznał ją pan przed chwilą. Obie paliły, więc często widywałem je razem w palarni.

Korda przekrzywił głowę.

– W palarni, pan mówi?

– Wiem, że to trochę kontrowersyjne. Palarnia w firmie. W dwudziestym pierwszym wieku. Ale wie pan, jesteśmy na dwudziestym ósmym piętrze, więc algorytm przeliczył czas, który palący pracownicy zmarnowaliby na zjazdy na dół, i porównał go z potencjalnie częstszym zażywaniem nikotyny z racji dostępności palarni.

– I wyszło na to, że bardziej ekonomicznie będzie pozwolić truć się pracownikom na terenie biura, tak? – Detektyw się zaśmiał.

– Cóż, wspieramy prawo naszych ludzi do wolnego wyboru.

– Wspaniałomyślnie. Wracając do Elizy Zalewskiej, czy był ktoś, kto jej nie lubił? Z kim miała jakąś zadrę? Gorszy kontakt? Tak po ludzku. –Korda uśmiechnął się z ironią.

– Nikt mi nie przychodzi do głowy. – Szef iTechnology rozłożył ręce.

Jego ruchy były nienaturalnie wypracowane. Widać było, że posługiwał się językiem gestów przydatnym w negocjacjach. „Musi być dobry w tym, co robi” – pomyślał Korda, wstając. Recepcja była pusta. Michał Jaskólski zniknął za drzwiami swojego gabinetu. Korda rozejrzał się i kierując się intuicją, ruszył korytarzem. Po chwili dotarł pod drzwi, nad którymi dostrzegł znak palącego się papierosa. Otworzył je i znalazł się w prostej przestrzeni o szarych ścianach. Na ziemi stały trzy popielnice na wysokich nogach. W środku była tylko jedna osoba. Oparta o ścianę, w opuszczonej ręce trzymała czarnego poda. Na widok policjanta z wysiłkiem wypuściła powietrze.

Korda zamknął za sobą drzwi, podszedł powoli do kobiety i wyciągnął z kieszeni spodni paczkę marlboro. Błysnęła zapalniczka, rozjarzyła się końcówka papierosa. Detektyw też przywarł do ściany, zgiął jedną nogę w kolanie. Przez chwilę nic nie mówili. Zaciąganie. Wypuszczanie. Zaciąganie. Wypuszczanie. Było w tym coś intymnego. Coś, co przełamywało blokady.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwała się Kaczmarek.

– To słowa, które zawsze padają – odparł Korda.

Kobieta pokręciła głową.

– Cierpiała?

– Nie mogę tego pani powiedzieć.

Zaciąganie. Wypuszczanie.

– Słyszałem, że byliście blisko. – Detektyw zerknął na recepcjonistkę.

– Czy ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Nie była to chyba jakaś szczególna więź. Ale lubiliśmy się, żartowaliśmy. Czasami się sobie zwierzałyśmy, ale nie nazwałabym tego przyjaźnią. Eliza generalnie była otwarta, prostolinijna, choć niekiedy miałam wrażenie, że to tylko pozory.

– Co ma pani na myśli?

– Sama nie wiem. Gdy się teraz nad tym zastanawiam, myślę, że miała swoje tajemnice.

– Jak każdy.

– Tak. Pewnie tak.

– Jak pani sądzi, co ukrywała?

– Cóż, Eliza robiła wszystko, żeby inni myśleli, że jej życie jest doskonałe. Idealny mąż, wymarzony dom, perspektywiczna praca. Zawsze uśmiechnięta, pełna zapału, energii, na każdą zaczepkę znajdowała ripostę. Tak jakby życie nie kosztowało jej wiele. A jednak czasami mówiła coś takiego, co ją odkrywało. Że pokłóciła się z mężem, że dom to ruina, że nie ma już siły, że chciałaby więcej. Ale to było tak zawsze rzucone mimochodem, nieroztropnie, jakby nie miało znaczenia.

– Wspomniała pani coś o zaczepkach.

– A, to nic wielkiego. – Machnęła ręką. – Wie pan, jak to w korporacjach. Ogólnie to środowisko pracy, w którym mężczyźni piastują wysokie stanowiska. Przynajmniej tak jest u nas. No i zdarza się, że podejdzie jeden z drugim, pobajerują, rzucą głupim tekstem. Mnie zawsze takie sytuacje

spinają. Ale Elizę nie. Ona zawsze wiedziała, co odpowiedzieć. Jak żartować, jak pokokietować. Przychodziło jej to zupełnie naturalnie.

– Ktoś szczególnie się jej narzucał?

– Nie! Nie, nie, nikt jej się nie narzucał, źle mnie pan zrozumiał. U nas panują takie luźne relacje i tyle. Ciągłe wyjeżdżamy na różne szkolenia, imprezy integracyjne, to sprzyja nawiązywaniu bardziej przyjacielskich układów. Człowiek sobie popije, puszczają hamulce, inaczej zaczyna się rozmawiać, więc potem w pracy też ludzie zaczynają pozwalać sobie na więcej.

– Dobrze. Więc inaczej zadam pytanie. Kto lubił żartować sobie z panią Zalewską?

– Wiśniewski, szef działu sprzedaży, Grodzicki, szef... i Bystron, on jest u nas na stanowisku szefa marketingu.

– Coś jeszcze chce mi pani powiedzieć? – Korda podszedł do popielnicy i wcisnął w nią niedopałek.

– To nie ma sensu. – Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Wiem. Ale ja ten sens odkryję – zapewnił Oskar i opuścił palarnię.

7

Trzasnęły drzwi. Szare powietrze było mokre, osiadało na włosach i twarzy. Woda z cichym szelestem ściekała z rynien, opadała kroplami z rosnących wzdłuż ulicy drzew.

Janina Hinc z niewielką walizeczką w ręku zatrzymała się przed prowadzącą na podjazd bramką. Uważnie rozglądała się wokół siebie, analizowała przestrzeń, starała się wyłapać wszelkie prawidłowości i aberracje. Po chwili weszła za ogrodzenie. Stąpała powoli, wpatrując się bacznie w ziemię, lustrowała każdą porośłą mchem płytkę, każdą szczelinę. Nie pytając o drogę, skrzyła w lewo i znalazła się w okalającym dom ogrodzie. Śnieg, który napadał w nocy, pękał pod jej butami niczym cienki,

kruchy opłatek. Korda szedł za nią. Z nieskrywaną fascynacją przyglądał się temu, jak pracuje.

– To tutaj? Przedostał się do środka przez to okno? – zapytała, przystając obok sterty drewna kominkowego ułożonego pod framugą.

– Tak – odparł detektyw. – Choć nie ma śladów włamania. Ktoś z domowników musiał nieopatrnie zostawić je otwarte. Wystarczyło podważyć i pociągnąć.

– Tak jakby go zaprosili do środka – powiedziała w zamyśleniu.

– Mhm.

– Albo jakby sam siebie zaprosił.

– Co masz na myśli?

– Jeszcze nie wiem. – Hinc uśmiechnęła się tajemniczo.

Cofnęła się do rosnącej nieopodal brzozy, przy której postawiła walizczkę. Wciągnęła na ręce lateksowe rękawiczki i wydobyła niezbędne przybory do zbierania śladów. Korda patrzył, jak skupiona analizuje każdy milimetr ułożonego stosu drewna, jak wodzi palcami po framudze okna, jak zamyka w woreczkach strunowych fragmenty gleby, mchu, grzybów i niewidoczne gołym okiem mikroorganizmy.

– I co? – zapytał Korda, gdy w końcu się wyprostowała. – Wiem, nic nie ma. To nie było zwykłe włamanie. To nie było zabójstwo w afekcie – stwierdził detektyw. – Skurwiel się zabezpieczył.

Janina uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie.

– Już kilka razy współpracowałam z policją. I fakt jest niestety taki, że nadal spora część funkcjonariuszy jest całkowicie nieprzygotowana do pracy z niektórymi rodzajami dowodów. Wiedzą, jak pobierać próbki materiału genetycznego do badań DNA, wiedzą, co robić, żeby tych próbek nie zanieczyścić, wiedzą, że dwa dowody nie mogą mieć styczności, by nie zostały zdyskwalifikowane przez sąd. Najczęściej – prychnęła Hinc, a zakłopotany policjant mimowolnie podrapał się w głowę. – Ale wciąż,

bez względu na szkolenia i lata praktyki, śledczy nie rozumieją wymogów związanych z pobieraniem próbek środowiskowych.

– Nie no, przecież coś tam jednak wiemy – palnął detektyw.

– Rozejrzyj się wokół, Oskar, i powiedz mi, co widzisz.

Korda ściągnął brwi i powiódł wzrokiem po ogrodzie.

– Krzewy, drzewa, śnieg na ziemi, płot, drewnutnia. I to pieprzone okno.

– Tak. Dla większości osób to tylko krzewy, drzewa, śnieg na ziemi, płot.

Dla niewykwalifikowanego oka to zielenie, brązy, żółcie i biele, zlewające się w jedno barwy. Ale świat jest zdecydowanie bardziej złożony. Pod względem palinologicznym każdy element mocno się różni, każdy centymetr, każdy milimetr tego ogrodu, każdy pyłek, każdy zarodnik to wielowątkowa opowieść i trzeba tylko umieć ją odczytać. Nie ma w tej opowieści przypadkowego zbioru. Jest jedynie systematyczność, rozmyślna i pewna. Każdy ekosystem cechuje się unikatowymi szczegółami. Jeden skrawek powierzchni mocno się różni od drugiego. I dlatego dzięki profilowaniu śladów biologicznych można odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących konkretnego przestępstwa. Wszystkie mikroskopijne elementy, które pobieram do próbek, to wysłannicy z przeszłości.

Korda uniósł kącik ust. Ciągająca się po jego policzku blizna skurczyła się, wykrzywiając twarz.

– Lubię cię, Janka – powiedział tak po prostu. – Lubię, jak patrzysz na rzeczywistość. Idziemy do środka?

Zawstydzona Hinc kiwnęła głową.

Okrążyli dom i po tym, jak Korda zdjął plomby zabezpieczające drzwi, znaleźli się w środku. W powietrzu unosił się smród grzyba i zepsutego mięsa. Janina przystanęła w progu.

– Wiem, zapach nie jest przyjemny, ale uwierz mi, wczoraj było o wiele gorzej – powiedział przeprasząco. – Wytrzymasz?

Hinc znów pokiwała głową. Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem, pozostawiając za sobą mroźny powiew wiatru. Zapadła cisza. Dojmująca.

Głęboka. Przeleciała mucha. Ekolożka ściągnęła brwi i powiodła za nią wzrokiem. Aż wreszcie zrobiła pierwszy krok. Pod jej nogami skrzypnęła podłoga.

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Czy morderca też tu stąpał? Czy poruszał się tak niepewnie jak ona? Czy szedł zdecydowanie i sprawnie? Czy skrzypienie podłogi wywoływało w nim lęk? A może podnosiło adrenalinę? Sprawiało, że czuł się wszechwładny? Hinc spojrzała na stare deski. Ile śladów policjanci zdążyli zdeptać? Ile śladów pozostało?

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Skrzypiała podłoga. Ona również opowiadała historię. Choć palinolożka nigdy nie była w tym domu, zaczynała czuć z nim jedność. Otaczające ją klaustrofobicznie ściany, czarne plamy na suficie, kryjący się w zakamarkach brud, przydymione światło starej lampy. To samo widział morderca. Choć oczywiście inaczej. Każdy patrzył na swój własny sposób, toteż Janina wierzyła w wielość rzeczywistości. Zawsze liczyły się kontekst, indywidualne predyspozycje, emocjonalne napięcie. Nie było jednego świata. Były ich percepcyjne miliardy. A z drugiej strony istniał świat przyrodniczy. Ten nigdy nie kłamał. Rządził się konkretnymi zasadami, i dlatego Janina tak dobrze się w nim czuła.

W końcu stanęła na progu dużego pokoju. Nie miała wątpliwości, że to właśnie tu rozegrał się dramat. Zasłonięty kocem telewizor. Porozstawiane kartoniki numerujące mordercze tropy. Brunatne, niemal czarne plamy na podłodze, połączone zbiegającymi się nitkami.

Zrobiła krok. Podłoga znów skrzypnęła.

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Czy ten dźwięk już na zawsze scali się w jej umyśle z tym miejscem? Ciemnym, wisielczym, pozbawionym nadziei i życia?

– Co to za nitki? – zainteresowała się nagle, przyglądając się ciągnącej się po podłodze sieci.

– Technicy obliczali kąt rozbryzgu krwi. Wiesz, plamy krwi na miejscu zbrodni są kluczowe, bo to dzięki nim można odtworzyć przebieg zdarzeń – tłumaczył Korda, wodząc za wzrokiem Janki. – Krew podlega analogicznym zasadom jak inne ciecze. Kiedy kształtuje plamy owalne, oznacza to, że spadała na podłogę pod kątem prostym, czyli przypuszczalnie skapywała z człowieka lub jakiejś rzeczy. Gdy natomiast rysuje eliptyczny zaciek, to znaczy, że trysnęła pod dużym kątem, przeważnie pod wpływem uderzenia. Długi i cienki łuk oznacza kąt ostry, pod którym padł cios. Jeśli plamy krwi rozchodzą się po podłodze na wszystkie strony, wiesz, tak jak szprychy koła roweru, można wnioskować, że są skutkiem pojedynczego uderzenia lub kilku uderzeń zadanych w to samo miejsce. – Zaciekawiona Hinc zerknęła na policjanta. – Dlatego do każdej plamki krwi przymocowuje się nitki i prowadzi się je pod odpowiednim kątem, tak by przecięły się dokładnie tam, gdzie zadano cios. Gdy nici zbiegają się blisko podłogi, przyjmuje się, że ofiara w momencie uderzenia nie znajdowała się w pozycji stojącej.

– Tak jak tutaj... – wtrąciła kobieta cicho.

– Tak. Właśnie tak jak tutaj. Ofiara była związana, cały czas leżała na ziemi. Nie próbowała walczyć. Sprawca po prostu ją skatował, zadając liczne uderzenia w głowę i w twarz. Nie obracał potem jej ciała, nie miał potrzeby go przeciągać. Nie próbował nic ukryć. Zostawił je dokładnie w takiej pozycji, w jakiej pozbawił kobietę życia. Ale to było dla niego za mało. – Policjant przykucnął, starając się jak najpełniej odtworzyć obraz zbrodni. – Tuż po dokonaniu morderstwa sprawca wziął nóż kuchenny i przeciął jej jamę brzuszną wzdłuż, od pępka do wzgórka łonowego. Metodycznie i bez pośpiechu okaleczył martwe ciało, jakby chciał je pozbawić godności.

Hinc zbliżyła się do miejsca zbrodni i przykucnęła obok detektywa. Poczula w nozdrzach zapach śmierci. Metaliczny, zepsuty, dziki, a zarazem głęboko ludzki. Wiedziała, że podczas oddychania drobne cząsteczki pyłów

wchłaniane są do przewodu oddechowego, a następnie przenikają do przestrzeni nosowo-gardłowej i płuc. Zwizualizowała sobie, jak śmierć wnika do jej organizmu. Wzdrygnęła się. Nad jej głową znów przefrunęła, bzyząc, mucha. Hinc śledziła ją wzrokiem.

– Od kiedy jest tu ta mucha? – zapytała, odrywając się od swoich myśli.

– Mucha? – zdziwił się Korda.

– Mucha. Lata po domu.

– No tak. Lata. Jak to przy trupach. – Wzruszył ramionami.

– Zwykła mucha domowa żyje zaledwie cztery tygodnie. Nie potrafi przeżyć w mrozie. W sprzyjających warunkach może hibernować między szczelinami mebli i ścian, ale to jeszcze nie pora, by się uaktywniła.

– Co sugerujesz?

– Nic. Po prostu dawno nie widziałam muchy – odparła, wzruszając ramionami. – Jak sam przed chwilą powiedziałeś, by przyjąć odpowiednią strategię postępowania, kluczowe jest wyobrażenie sobie tego, co się stało. Nie tylko w trakcie i po, lecz także przed. Skąd się wzięła mucha? Czemu sprawca zasłonił telewizor? Jak był ubrany podczas dokonywania morderstwa? Jakie ślady przeniósł na sobie na miejsce zbrodni? Każdy kontakt zostawia ślad. Każdy. Trzeba tylko umieć odpowiednio patrzeć. – Wstała z podłogi i podeszła do telewizora zasłoniętego czerwonym kocem. – Mówiłeś, że ofiara była związana, więc to sprawca narzucił ten koc. Tym samym jest to przedmiot, którego musiał dotknąć. Miał na dłoniach rękawiczki, nie zostawił więc odcisków palców. Ale może materiał koca zetknął się z materiałem jego kurtki bądź swetra? Może sprawca zabrał pewne mikroślady z tego koca z powrotem do siebie? A może morderca na tym kocu zostawił również coś z siebie? W końcu człowiek może zbierać na sobie pyłki i zarodniki, ale sam też zostawia inne w miejscu, w którym właśnie przebywa.

Uśmiechnęła się chytrze, a Korda spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Byłam jakiś czas temu na konferencji naukowej, gdzie prezentowano specjalny mikroskop z przystawką w kształcie długiej anteny docierającej do trudno dostępnych miejsc. Był na tyle silny, że ziarna pyłku na płótnie można było obserwować bezpośrednio, bez konieczności umieszczania ich na szkiełku mikroskopowym. I wyobraź sobie, że mikroskop uwidoczniał niemal jak na dłoni, że ziarna pyłku na splotach tkaniny tańczą. Drżą, przemieszczają się. W przeciwieństwie do włókien czy cząstek minerałów, wnikają do wnętrza materiału. I dlatego właśnie niemal nie sposób się ich pozbyć. Ziarna pyłków mogą pozostawać na niektórych rodzajach tekstyliów przez lata.

– Chcesz wziąć ten koc ze sobą?

– Chcę. I chcę być przy sekcji zwłok.

Korda uważnie przyjrzał się Janinie.

– Uważaj, czego sobie życzysz – rzekł cicho, wstając z klęczek.

– I tak już mocno zdeintegrowaliście miejsce zbrodni. Ślady zostały wystarczająco zatarte. A ja naprawdę mogę pomóc.

Korda westchnął i uniósł kącik ust. Janina wiedziała, że oznacza to zgodę. Spokojnie nachyliła się nad walizką ze swoimi przyborami i wzięła się do pracy.

8

W przestronnej sopockiej hali dworcowej panował zwyczajny o tej porze gwar. Kilka osób zmierzało w stronę peronów. Ktoś inny kupował bajgla w piekarni. Przy kasach stało kilkoro ludzi. Obok Alicji przeszła drobna kobieta. Kółeczka ciągniętej przez nią walizki zaterkotały, po chwili ucichły. Grabska stanęła pośrodku przeszklonego z zewnątrz dworca i rozejrzała się wokół.

– Zator! – Uśmiechnęła się szeroko, gdy zobaczyła znajomą twarz w automatycznie otwieranych drzwiach.

– Ala!

Naprzeciw niej wyszedł postawny mężczyzna z głębokim dołeczkiem w brodzie niczym u Kirka Douglasa. Jego oczy otaczała sieć sympatycznych zmarszczek, ale tak naprawdę niemal nic się nie zmienił od czasów, gdy Alicja pomykała z nim za dzieciaka na rowerach. Nadal promieniał życzliwością. To była jedna z nielicznych osób z przeszłości, na której wspomnienie jej mózg wyzwalał endorfiny. Za każdym razem, gdy przypadkiem natykali się na siebie w jakimś klubie, wracali do dawnych czasów, obficie zraszając wspólną pamięć shotami tequili.

– Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas – powiedziała Alicja, całując go w policzek.

W głośnikach rozbrzmiał wypowiedziany kobiecym głosem komunikat dla podróżnych.

– Nie ma sprawy, mała. – Zator starał się przekrzyknąć dworcowe megafony. – Dla ciebie zawsze znajdę czas! – Komunikat ucichł i mężczyzna zniżył głos. – Nawet dobrze się złożyło, że napisałaś, bo miałem akurat wolną godzinę przed wyjazdem do Krakowa.

– Nadal kursujesz między Sopotem a Krakowem?

– Taka praca. – Wzruszył ramionami. – Ale przynajmniej mam sporo czasu, żeby czytać, wiesz? Kiedyś to w ogóle nie czytałem, a teraz! Pykam kilka książek w miesiącu.

– To miłe. Czas na czytanie. Na pewno daje to jakąś równowagę w życiu.

– Dokładnie. Równowaga. To chyba ten stan, który niedawno udało mi się osiągnąć.

– Pięknie. – Alicja zrobiła miną wyrażającą uznanie. – Usiądziemy gdzieś? – Rozejrzała się.

– Bagatela – powiedzieli w tym samym momencie i zaczęli się śmiać.

W czasach podstawówki też tak często było – te same słowa w tym samym momencie. „Brat i siostra” – mówili o sobie z dumą. A potem poszli do innych liceów i kontakt się urwał. Zaczęli dorastać, patrzeć w innych

kierunkach, obracać się wśród innych ludzi. Zator przeprowadził się później gdzieś z rodzicami. Ale sympatia pozostała. Nigdy nie mieli do siebie żadnych pretensji.

Skierowali się do francuskiej cukierni. Alicja lubiła to miejsce. Nowoczesne i przytulne zarazem. Z idealnie zrównoważonym światłem. Pełne przekornych zapachów, słodkich przysmaków i wytrawnych kaw.

Złożyli zamówienie i usiedli przy okrągłym stoliku.

– No co tam, Ala? Podejrzewam, że nie odezwałaś się bez przyczyny, co?
– Zator się uśmiechnął.

– Znasz mnie.

– Znam. To dawaj. Prosto z mostu. Jak zawsze.

– Eliza Zalewska – rzuciła Grabska, na co Zator zdziwił się, unosząc brwi. – Twoja znajoma z Facebooka.

– Tak. Wiem, kto to jest.

– Więc?

– Więc jestem tylko zaskoczony, że o nią pytasz.

– Czemu?

Upił łyk parującej kawy, którą kelnerka postawiła na stoliku. Przez chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Kurczę, kochałem się w tej lasce przez jakiś czas – rzekł w końcu. – Ale to było kilka lat temu. W innym życiu.

Zaskoczona Alicja odchyliła głowę do tyłu. „Sześć stopni oddalenia” – pomyślała. Jej najbliższy przyjaciel z dzieciństwa kochał się w dwudziestoosmioletniej dziewczynie, która została brutalnie zamordowana przez nieznanego sprawcę. Sprawcę, którego poszukuje z kolei facet, z którym spotyka się Alicja. „Naprawdę jesteśmy połączeni krótkimi łańcuchami znajomości”.

– Ale czemu w ogóle o nią pytasz? – Mężczyzna ściągnął brwi.

W głowie Alicji pojawiła się nagle myśl, że Andrzej nie wie, że Eliza Zalewska nie żyje. W mediach nie podano jeszcze danych osobowych

ofiary. Czy Zator śledził tę sprawę? Czy w ogóle mógł przypuszczać, że Eliza Z. to ktoś, kogo znał? Zapewne nie. W końcu śmierć kogoś bliskiego wydawała się takim abstrakcyjnym konceptem.

– Powiem ci, ale najpierw chciałabym, żebyś ty mi o niej opowiedział. Może tak być?

– Niech będzie po twojemu. Jak zawsze. – Rozbawiony pokręcił głową.

– Kochałeś się w Elizie Zalewskiej – powtórzyła. – Jak do tego doszło?

– Cóż. Takie rzeczy po prostu się zdarzają, nie? – Zaśmiał się, uciekając wzrokiem w bok, jakby nie potrafił jej spojrzeć w oczy. – Generalnie to był zupełny przypadek. Wiesz, że w liceum moi rodzice się rozeszli. Sprzedali mieszkanie w Sopocie, podzielili się kasą, no i matka kupiła mieszkanie w bloku na Oruni Górnej. Miałem kurewsko daleko do szkoły, musiałem codziennie jeździć dwadzieścia minut autobusem do Gdańska Głównego, a potem tyle samo czasu eskaemką. Zmordowało mnie to, więc się przenieśliem do innej szkoły, no a tam poznałem ziomków z Oruni Dolnej. Ogólnie ciekawe towarzystwo. – Zaśmiał się cicho. – I tak jakoś te znajomości przetrwały, powiem ci. Więc tak z pięć lat temu mój kumpel, Zygzak z Dolnej, przyprowadził na imprezę tę Elizę. Zygzak to zawsze był taki podrywacz. Najlepsze laski, im młodsze, tym lepiej. Zmieniał je jak rękawiczki zresztą. A wcale nie był nawet jakoś superwyglądny. No ale gadkę miał dobrą, dziewczyny się przy nim nie nudziły. Żarty, żarciki. Wychodzi na to, że wystarczy być zabawnym, żeby mieć powodzenie. No i on z tą Elizą jakiś czas kręcił. A ona od razu mi wpadła w oko. Czasami ktoś po prostu budzi w tobie od początku taką inną emocję. Nie wiesz, o co chodzi, bo to niby taka sympatia, ale też nie do końca sympatia. Cieszysz się, że ktoś się pojawia, nawet jeśli siedzi w drugim końcu pokoju. Znasz to? – Zator przeniósł wreszcie wzrok na Alicję.

– Znam. – Uśmiechnęła się.

– No właśnie. – Westchnął. – To ci nie muszę tłumaczyć.

– A ty wtedy nie byłeś już z Anią?

– Byłem. – Wbił wzrok w kawę, zacisnął usta. – Kilka lat nawet.
– Okej. Spoko. – Zrozumiała, że zeszli na śliski grunt. – I co było dalej?
– Zygzak oczywiście po pewnym czasie się Elizą znudził i zaczął o niej
rozwowiadać różne rzeczy.

– Jakie?

– A że to zwykła puszczańska. Że na imprezach to ją koleś obracają
jeden za drugim. Że ze zwykłej patologii jest, więc nie ma żadnych zasad.
Takie tam.

– Ale ciebie to nie zniechęciło.

– Nie. Wystarczyło, że Eliza raz się ze mną spotkała. Wystarczyło, że
pobyliśmy razem, porozmawialiśmy, nawiązaliśmy bardziej intymny
kontakt, i zupełnie na jej punkcie oszalałem. Jakby mnie ktoś opętał
normalnie. Teraz to widzę, ale wtedy... Naprawdę nie potrafiłem myśleć
racjonalnie. Nie mogłem jeść, nie mogłem spać, myślałem tylko o niej.
Obsesyjnie, jak maniak. To była pierwsza myśl, gdy się budziłem, ostatnia,
kiedy zasypiałem. Myślałem o niej nawet przez sen i we śnie. Ciągłe,
nieustannie, non stop. Ania z dnia na dzień przestała się dla mnie liczyć.
Nie rozumiałem, co w niej wcześniej widziałem. Nie potrafiłem przywołać
żadnych dobrych wspomnień. Przestała mnie interesować. Widziałem, że
cierpi przez to, że się od niej oddalam, ale nie umiałem wykrzesać z siebie
współczucia. Jakbym przestał być człowiekiem. W głowie miałem tylko
Elizę. Jej twarz, jej uśmiech, jej głos, jej słowa, jej dotyk, bo oczywiście nie
skończyło się jedynie na rozmowach. Dość szybko, cóż, pozwoliliśmy sobie
na więcej.

– Jednym słowem popłynąłeś, Zator.

– Popłynąłem. Jak nigdy. Nigdy wcześniej i nigdy później tak się nie
czułem. Zamierzałem już Anię zostawić. Chciałem wszystko rzucić. Nie
obchodzili mnie przyjaciele, którzy zaczęli się ode mnie odwracać, nie
obchodziła mnie praca, którą zaniedbywałem. Miałem wszystko gdzieś.

Chciałem tylko Elizy. Wszystkie moje wysiłki ukierunkowałem na to, żeby z nią przebywać. Tylko to się liczyło.

– I jak to się skończyło?

– Jak zawsze. Okazało się, że Eliza nie miauczała jedynie dla mnie. Zygzak miał rację, Eliza od początku robiła mnie w ciula, manipulowała mną, a ja byłem głupi jak paczka gwoździ. Cóż, bywa, nie?

– Bywa. Najważniejsze, że się ogarnąłeś.

– Z czasem. Bo wcale nie było łatwo. Anka też z czasem mi wybaczyła. Poukładaliśmy sobie wszystko. I jakoś żyjemy. Ale wiesz – machnął ręką – co to za życie, jak się doświadczyło wcześniej takich emocji. Teraz to jestem jak ćpun na odwyku. Na wiecznym odwyku. – Westchnął. – I nie ma dnia, żebym nie marzył o narkotyku. – Zator dopił kawę.

– Ciągle za nią tęsknisz?

– Nie wiem, czy za nią. Za tym. Za euforią, za uczuciem, że wszystko ma sens, za tą krystaliczną myślą, że dogłębnie wiem, czego pragnę. W życiu rzadko się coś takiego zdarza.

– Więc nie żałujesz?

– Ani chwili. – Zator zaczął się śmiać. – Było, minęło. Doświadczyłem, przeżyłem, czegoś się nauczyłem. Tyle. Wiem też, że Eliza niedługo później wyszła za męża. Za jakiegoś starszego gościa. Pewnie dla kasy. Wiesz, ustawiła się.

– A może prawdziwie kogoś pokochała?

– Co ty?! Takie dzidy nigdy się nie zmieniają. Mogą żyć w uśpieniu. Ale prędzej czy później pokażą swoją prawdziwą naturę. – Głos Andrzeja przepełniała złość. W jego spojrzeniu Alicja dostrzegła nagły cień. – No dobra. Wystarczy tej łzawej opowieści. Teraz twoja kolej. Skąd to pytanie o Elizę? Chodzi o Ankę, tak? Nadal mi nie ufa?

– Nie. Nie chodzi o Ankę. Chodzi o Elizę. Niestety, chodzi o Elizę. – Grabska posłała Zatorowi przepaszające spojrzenie i wyciągnęła do niego dłoń.

Kot nagłym ruchem wskoczył jej na kolana. Przeciągnął się i zaczął drapać beżowy koc, którym była nakryta. Obrócił się wokół własnej osi, jeden raz i drugi, i w końcu umościł się wygodnie we wgłębieniu między jej nogami. Klara automatycznie położyła rękę na jego grzbiecie, zatopiła palce w miękkim futrze, a zwierzę zaczęło mruzczeć. Przeciągle, drżąco, hipnotycznie. Lubiła ten dźwięk. Sprawiał, że wpadała w przyjemny letarg. Przeniosła wzrok za okno. Choć zapadł już zmrok, ogród jeszcze nie zdążył pociemnieć. Padający znów śnieg rozjaśniał kształty drzew i rosnących wzdłuż płotu iglaków. Ta zima nie chciała się skończyć. I dobrze. Klara lekko się uśmiechnęła. Ceniła wytrwałość. Tę niezłomność walki o samą siebie. Kiedyś też taka była. Silna, zdeterminowana, dumna. Dziś niewiele z tego zostało. Poddawała się biegowi dnia, marazmowi, który oblepił jej życie, bezemocjonalnemu byciu razem.

Zerknęła w stronę aneksu kuchennego. Przemek stał przy kuchence i przyrządzał kolację. Blond włosy opadały mu w nieładzie na czoło. Kiedyś ten nieład wydawał jej się seksowny, wręcz zniewalający. Dziś urok, który tak ją hipnotyzował, gdzieś się ulotnił. Zniknął pod szarą, zmęczoną cerą, nabytymi z wiekiem kilogramami, brakiem chęci na cokolwiek prócz redukującego stres alkoholu. Teraz mężczyzna też pociągnął łyk whisky i odstawił szklaneczkę na blat. Kostki lodu obity się o ścianki, rudawy płyn się zakołysał i pozostawił na szkle aksamitne smugi. Alkohol był jego sposobem na rozładowanie napięcia. W sumie od kiedy się poznali. Najpierw pili sporo razem. Imprezowali, wychodzili, rozmawiali do rana, następny dzień spędzali skacowani w łóżku. Jak to na początku związku. Zawsze jest szal, puszczają hamulce, człowieka niesie adrenalina. Nie widziała niczego złego w tym, że alkohol pojawiał się w ich domu niemal codziennie. Przyzwyczaiała się do tego, że gdy Przemek przychodził z pracy,

od razu sięgał do zamrażarki, w której trzymał tullamore dew. Ot, taki zwyczaj. Symboliczne rozdzielenie czasu pracy i czasu relaksu.

Dostrzegła problem dopiero wtedy, gdy zaczęli się starać o dziecko. Choć mieli kłopoty, mąż nie zdecydował się odstawić swojej whisky. Mówił, że nic z tego nie wychodzi, bo ona zbyt dużo o tym gędzi. „Ciągłe pitolisz!” – krzywił się z niesmakiem, gdy zaczynała temat. „Aż mi wszystko opada. Całkiem mi wszystko opada” – przewracał oczami, a ona od tego jego gadania zaczynała myśleć, że to rzeczywiście wszystko jej wina. To, że nie mieli upragnionego dziecka. Choć niby wiedziała, że nie jest to prawda, nadal gdzieś głęboko w sobie nosiła ten zarzut. Wychodził z niej za każdym razem, kiedy mijala pełne rodziny, gdy na ulicy słyszała śmiech dziecka, a w jej żołądku wiązał się supeł żalu i tęsknoty za czymś, czego nigdy nie będzie mieć.

Klara znów odwróciła wzrok do okna. Śnieg opadał powoli i spokojnie. Kot wibrował na jej kolanach, wydając z siebie przeciągłe mruczenie. Czasami trzeba było odpuścić. Lubańska nauczyła się tego przez ostatnie lata. Może na tym polegało szczęście? By z pokorą przyjmować otaczającą nas rzeczywistość? Schyliła się i pocałowała kotkę w głowę. Tak pięknie pachniała. Bezpieczeństwem. Kiedyś to właśnie ono stanowiło dla niej największą wartość. Kiedyś pachniał nim Przemek. Przed oczami wyświetlił jej się obraz jednego z poranków. Tych pierwszych, najintensywniejszych, gdy mózg produkował substancje chemiczne do granic hipnotycznego uniesienia. Biała pościel, szarość za oknem. I oni. Wpatrzeni w siebie, jakby oglądali w galerii najpiękniejszy obraz. Nie mogli oderwać od siebie wzroku, gładzili swoje policzki, organoleptycznie starali się zapamiętać wszystkie szczegóły swoich ciał. Po ich ustach błędziły rozmarzone uśmiechy, a w organizmach buzowały hormony. Serotonina, dopamina, endorfina, oksytocyna. Endogenne narkotyki. Samoprodukujące się szczęście.

Na patelni zaskwierczało mięso. Do jej nozdrzy doszedł intensywny zapach imbiru i kardamonu. Zerknęła w stronę kuchni. Przemek wyjął z lodówki warzywa i teraz opłukiwał je w zlewie. Czy go kochała? Czy była w niej jeszcze jakaś miłość do tego człowieka? Znała wszystkie jego ruchy, każde mimiczne drgnięcie twarzy, każdy gest. Dobrze wiedziała, co myślał, co czuł, a przynajmniej tak jej się wydawało. Przez wiele lat byli przecież jednym ciałem, jednym umysłem. I nic nie mogło tego podważyć.

Klara delikatnie przesunęła kota, a ten natychmiast zeskoczył z jej nóg i podreptał do kuchni. Siódmy zmysł. Mimi zawsze była o krok przed nią. Lubańska wstała i po chwili stanęła obok kuchennego blatu.

– Coś ci pomóc? – zapytała.

– Nie musisz – odrzekł Przemek, nie odrywając się od swojego zajęcia.

„Pewnie” – powiedziała by kiedyś i podała jej zieloną paprykę. Wiedział, że lubi ją kroić. Że lubi jej twardą, kruchą strukturę, to, jak reaguje na nóż, jak dzieli się na równe, harmonijne części niewydzielające żadnych niepotrzebnych soków. Stanąłby obok, przyglądałby się jej pracującym dłoniom, może jego bok otarłby się o jej bok? Na pewno czułaby, że są w tym razem. Że ustanowił się między nimi most, i to by wystarczyło. Nie musieliby nawet na niego wkraczać.

Kiwnęła głową, potakując, a na jej twarzy znów pojawiła się ta mina. Zacięta i drętwa. Cyniczna. Czy zachowanie Przemka już zawsze będzie ją wywoływać? Przecież tak naprawdę nic się nie stało. Nic takiego nie zrobił. A jednak w rzuconym pod jej adresem „nie musisz” było tyle zniewagi i lekceważenia. Nie widział jej wcale. Jej mąż jej nie widział. Ta smutna prawda wrzynała się w nią jak drzazga. Patrzyła, jak Przemek miesza potrawę, jak wyciąga z szafki dwa talerze i ze stukotem stawia je na blacie. Po chwili wyłączył kuchenkę.

– Chcesz? – spytał, a ona znów poczuła zniewagę. Bo nie powinien był pytać. Powinien wiedzieć, że ona chce, powinien pragnąć, by zjadła to, co ugotował.

Wzruszyła ramionami. Nieznacznie, niemal niezauważalnie, ale to wystarczyło, by nałożył tylko sobie. By odszedł w stronę stojącego w dużym pokoju stołu, by zostawił ją tu samą.

10

W sali panowała głucha cisza. Biały zegar ścienny głośno wybijał sekundy. Na stalowym stole leżało ludzkie ciało. Nagie, obnażone, nieruchome, jakby było nierzeczywistym przedmiotem. Janina Hinc wstrzymała oddech i przeniosła wzrok na jasnoróżowe kafelki. Były niewielkie i kwadratowe. Pogodne, ale tylko pozornie, bo przecież przez lata zdążyły wchłonąć tyle okropieństw. Stalowe meble odbijały, zniekształcały obraz, na chłodno przyjmowały asystolię wszystkich leżących na sekcyjnym stole martwych serc. Znowu spojrzała na ciało. Szczupłe, o niezdrowo niebieskim odcieniu skóry. Ręce i nogi rozłożone na boki. Paznokcie pomalowane na czerwono. Do dużego palucha lewej stopy ktoś przyczepił gumką kartonik z danymi osobowymi, jakby zamordowana kobieta była produktem opatrzonym opisem i ceną. Ze wzgórka łonowego wyrastała niewielka kępka jasnych, delikatnych włosków. Hinc wciąż nie odważyła się spojrzeć na twarz, a raczej na to, co z niej zostało. Ale wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała. Prędzej czy później. Postanowiła, że później, i znowu zaczęła wodzić oczami po stopach o żółtawych, zwróconych do środka piętach, łydkach nieomal pozbawionych mięśni, udach o białych, rysujących się niczym drabinka rozstępach, po rozciętym brzuchu, po lekko opadających na boki piersiach zwieńczonych sutkami w kształcie drobnych, pomarszczonych rodzynek.

„Kiedy umrę – pomyślała – nie chcę leżeć na sekcyjnym stole. Nie chcę leżeć bezbronna, pozbawiona pancerza, bez możliwości obrony. Nie chcę, by ktoś obcy mi się przyglądał. By miał wgląd we wszystkie niedoskonałości mojego ciała, które skrupulatnie ukrywam przed światem,

które w zawstydzeniu, tylko pod wpływem wyłączającego mózg pożądania odsłaniałam przed nielicznymi. Nie chcę, by moje genitalia były wystawione na pokaz. By ktoś oceniał moje wargi sromowe, porastającą łono szpeciną, kształt nie zawsze wypielegnowanych paznokci”.

Janina przymknęła powieki. W jej głowie tłukła się paniczna prośba: „Nie chcę, nie chcę, nie chcę...”.

– Dzień dobry. – Formalny, zimny kobiecy głos sprowadził ją na ziemię.

Otworzyła oczy. W drzwiach znajdujących się po przeciwnej stronie balkonu dla widzów pojawiła się rudowłosa kobieta w niebieskim kitlu.

– Wszystko w porządku? – Stojący obok Janiny Korda z troską się jej przyglądał. – Jeśli nie jesteś w stanie, to...

– Jestem –przerwała mu ekolożka.

Detektyw lekko się uśmiechnął i zszedł po schodkach na dół. Hinc przylgnęła do balustrady i obserwowała to, co się działo, z niewielkiego podwyższenia.

– Dobry, dobry. – Usłyszała za sobą zadowolony głos. – Chyba się nie spóźniłem?

Odwróciła głowę i zobaczyła uśmiechniętego siwowłosego mężczyznę w szarym garniturze. Biała koszula rozchodziła się na napompowanym jak piłka brzuchu. Prokurator Wierzbicki pokonał schody, niepewnie skinął jej głową i stanął obok Kordy i lekarki medycyny sądowej.

– No dobrze. Zaczynamy. Nazywam się doktor Natalia Orłowska. Mamy dokładnie – lekarka zerknęła na zegar – trzynastą osiem. Na stole ofiara morderstwa Eliza Zalewska. Kobieta lat dwadzieścia osiem, o budowie ciała prawidłowej, odżywienia średniego, wadze około pięćdziesięciu dwóch kilogramów i długości ciała metr sześćdziesiąt pięć. Stężenie pośmiertne w zakresie mięśni prawej kończyny i żuchwy intensywne, w pozostałych grupach mięśniowych nieobecne, przełamane. Plamy pośmiertne sinoróżowe, skrajnie skąpe, rozmieszczone na plecach w okolicy międzyłopatkowej i lędźwiowej, pod uciskiem nieustępujące,

jako takie potwierdzone. Skóra poza obrębem plam pośmiertnych biała, elastyczna.

Orłowska podniosła głowę znad dokumentów, upewniła się, że obecni słuchają, i kontynuowała:

– Podczas oględzin na miejscu dokonania morderstwa zabezpieczono odzież denatki, wykonano dokumentację fotograficzną i daktyloskopię, a także zabezpieczono wyciski z dłoniowych powierzchni rąk i spod ich paznokci, ścinki paznokci obu rąk, a także włosy z pięciu okolic ciała. Ze zwłokami dostarczono fragment kości sklepienia czaszki o kształcie zbliżonym do prostokątnego, z widocznym na wewnętrznej powierzchni wyciskiem naczynia krwionośnego, o wymiarach cztery na trzy i pół centymetra, z widocznym na jednym z boków regularnym ubytkiem krawędzi o prostokątnym kształcie, który przekazano do badań mechanoskopowych.

Orłowska odłożyła trzymane w ręku dokumenty, naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki i podeszła do ciała Elizy Zalewskiej.

– Zaczniemy od głowy. – Stanęła tuż nad denatką.

Janina wiedziała, że oto nadeszła chwila, by spojrzeć w twarz śmierci. Odetchnęła głęboko i z wolna przeniosła wzrok tam, gdzie patrzyli już inni. Białą, niezdrowo napuchniętą skórę twarzy Elizy Zalewskiej pokrywały skrzepy krwi. Jedna powieka była zamknięta, druga zaś otwarta i ta odkryta źrenica wywołała w niej dreszcze. „Oczy są zwierciadłem duszy” – tak zawsze powtarzał jej tata, a ona dostrzegła tam przejmującą pustkę. Pustkę zastygłą w wyraźnej trwodze. Co musiała czuć kobieta, gdy morderca się nad nią pochylał, związywał ją i kneblował? Gdy ciągnął jej ciało przez jej własny, bezpieczny dom, gdy zarzucił na jej głowę sweter, by nie mogła już śledzić jego ruchów, a wreszcie gdy poczuła, jak wchodzi w nią bez ostrzeżenia i w końcu zadaje pierwszy cios? Co miała w głowie? Czy przeczuwała, że zaraz umrze? Czy była z tym pogodzona? I jak mogłaby być? Janina nie miała wątpliwości, że Eliza Zalewska odczuwała

największą w życiu panikę, ledwo łapała oddech, serce wyrywało jej się z piersi. A przede wszystkim tak bardzo żałowała życia, które jej odbierano. Przerazenie, że przestanie istnieć, musiało wręcz mącić jej zmysły. Jakie myśli przebiegały przez jej świadomość? Jakie obrazy? Czy za kimś tęskniła? Czy chciała, by ktoś konkretny trzymał ją wtedy za rękę?

– Na głowie mamy masywne zabrudzenia skrzepami krwi – odezwała się lekarka medycyny sądowej, wskazując palcem. – Najliczniejsze z nich występują w okolicach ciemieniowej, skroniowej obustronnie i czołowej. Na twarzy skrzepy krwi układają się pionowo po obu stronach nosa, a na czole i prawym policzku poziomo, w obrębie skrzepów krwi na czole poprzyklejane są różowo-szare drobiny mózgu. Gałki oczne osadzone i ustawione prawidłowo. Pod spojówką gałkową lewego oka – lekarka odpowiednim narzędziem rozsunęła zamkniętą powiekę – w części przyśrodkowej, fioletowo-czerwony intensywny wylew krwawy o wymiarach półtora na jeden centymetr.

Puściła i przyjrzała się drugiemu oku.

– Pod spojówkami prawego oka liczne, punkcikowe czerwono-fioletowe wybroczyny krwawe o średnicy do trzydziestu milimetrów. Rogówki nieco zmętniałe, przeziernie. Źrenice równe, okrągłe, miernie szerokie.

„Oczy są zwierciadłem duszy” – w głowie Janiny znów pojawiła się ta niepokojąca myśl. Próbowała nabrać powietrza, ale jej płuca nie chciały współpracować. Sięgnęła do kieszeni spodni i wydobyla z nich gumę. Zacisnęła na niej zęby i zaczęła żuć. Skupiła się na tej czynności. Raz i dwa. Raz i dwa. Żuchwa pracowała, a Hinc wszelkimi sposobami starała się uspokoić.

„Przestań – powiedziała sobie w duchu. – Przestań. Jesteś naukowczynią. Jesteś śledczą. Musisz odrzucić emocje”. Usilnie przekonywała samą siebie, lecz zamiast spokoju osiągała skutek wręcz odwrotny. Nie potrafiła uprzedmiotowić leżącego przed nią ciała. Nie potrafiła go zdehumanizować. To nadal był człowiek. Ktoś, kto kochał i był kochany,

ktoś, po kim będzie się płakać, ktoś, za kim będzie się tęsknić. A przecież przez całe życie wyznawała zasadę, że nasze ciała to jedynie minerały, woda i trochę energii. Wiedziała, że na samym końcu siła życiowa po prostu się ulatnia, a nasz organizm, nasze umysły, wspomnienia i wszystko, co budowało naszą tożsamość, rozpada się na milion cząstek i wraca między pierwiastki rozproszone we wszechświecie. Ta wizja nigdy nie wywoływała w niej niepokoju, nigdy jej nie zasmucała. Raczej koła. Uspokajała. Dodawała pewności, że jej praca ma sens. Że to jedyna słuszna droga polegająca na kompleksowym postrzeganiu świata przyrody i zastosowaniu nauk empirycznych.

Orłowska zmieniła pozycję i stanęła teraz u szczytu stołu.

– Głowa denatki średniowymiarowa, niesymetryczna, z rozległymi obrażeniami i zagłębieniami w prawej okolicy czołowo-ciemieniowo-skroniowej, z wyczuwalną patologiczną ruchomością i tarciem odłamków kostnych. Z uwagi na rodzaj działającego narzędzia trudno mi precyzyjnie ustalić, pod jakim kątem zetknęło się ono z powierzchnią ciała pokrzywdzonej. Wstępnie mogę przyjąć, że urazy, jakich dokonano, nie miały charakteru urazów penetrujących jamy ciała, gdyż były spowodowane narzędziem tępokrawędzistym. Rozległość obrażeń głowy, mimo względnie niewielkiego stopnia penetracji narzędzia w obrębie tkanek pokrzywdzonej, świadczy jednak o dużej sile, z jaką zadano przedmiotowe urazy. Sprawca zadał... – lekarka nachyliła się w stronę głowy i zaczęła głośno liczyć, nim stwierdziła ostatecznie – ...co najmniej dwanaście uderzeń narzędziem tępokrawędzistym, w tym w okolice głowy, nosa oraz szyi, powodując u ofiary rozerwanie lewego mięśnia skroniowego, złamania kości sklepienia i podstawy czaszki, pourazowy obrzęk mózgu, rozerwanie opony twardej i tkanki lewej półkuli mózgu oraz złamanie kręgosłupa szyjnego, co naturalnie skutkowało zgonem Elizy Zalewskiej.

– Co formalnie oznacza, że sprawca działał ze szczególnym okrucieństwem, w bezpośrednim zamiarze pozbawienia życia – zauważył Korda.

– Bez dwóch zdań, detektywie. Śmierć była nagła i gwałtowna.

– A narzędzie zbrodni? Może pani wstępnie ustalić, jakim przedmiotem sprawca pozbawił ofiarę życia?

– Cóż, wgniecenia na górnych sklepieniach kości czaszki denatki stanowią odwzorowanie wyróżniającego się elementu powierzchni bliżej nieokreślonego masywnego narzędzia lub przedmiotu, którego bezpośrednio oddziałujący element miał płaską podstawę średnicy około dwóch i pół, trzech centymetrów, podobną do walca.

– Walcowa podstawa, tak? – upewnił się Korda. – Młotek?

– Niewykluczone. – Orłowska kiwnęła głową. – A nawet bardzo prawdopodobne. Ale potwierdzenie dostaniemy po badaniach mechanoskopijnych. A teraz przejdźmy do brzucha. – Lekarka z charakterystycznym plaśnięciem zmieniła rękawiczki. Podniosła głowę i zatrzymała wzrok na Janinie. – Dobrze się pani czuje? – zwróciła się do niej z troską. – Strasznie pani zbladła.

– Tak, zdecydowanie dobrze – odparła cicho Hinc.

Korda ściągnął brwi.

– Na pewno? – zapytał. – Może na chwilę wyjdiesz pooddychać świeżym powietrzem? Każdy z nas wychodził podczas swojej pierwszej sekcji, to zupełnie normalne.

– Jest okej. – Uśmiechnęła się słabo.

– To kontynuujemy – zdecydowała Orłowska. Obeszła denatkę i zatrzymała się w połowie stołu. – Przez brzuch ofiary w linii pośrodkowej biegnie rana cięta, ciągnie się od połączenia wyrostka mieczykowatego z trzonem mostka w dół aż do spojenia łonowego, nie omijając brzegu pępka. Jest niezbyt głęboka, w kształcie klina, nienaruszająca organów wewnętrznych, długość większa od szerokości i głębokości. Przerwała

ciągłość tkanek. Przy kątach ostrych rany, w miejscach, w których zbiegają się jej brzegi, brak nacięć, co wskazuje na to, że ranę zadano jednorazowo, bez parokrotnego działania.

– Jak wynika z oględzin miejsca zbrodni, tę ranę zadano pośmiertnie. – Korda przejechał kciukiem po bliźnie. Widać było, że ta kwestia szczególnie go nurtowała, co nie uszło uwadze Janiny.

– Przychyłam się do tego wniosku – oznajmiła patomorfolożka.

– Spotkała się pani z czymś takim wcześniej? – zainteresował się nagle prokurator.

Orłowska prychnęła.

– Oj, nieraz. Kiedyś miałam na stole kobietę, którą po śmierci pozbawiono sutka za pomocą żyłki.

– Po co? – Mostowski się skrzywił.

– A bo ja wiem. – Lekarka wzruszyła ramionami. – Na szczęście to nie ja muszę się nad tym zastanawiać. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ale podejrzewam, że chodziło o jakieś nekrofilskie skłonności seksualne. À propos, to może przejdziemy teraz do części płciowych. – Zaśmiała się i automatycznym, bezemocjonalnym ruchem rozszerzyła uda denatki. – Zwykły gwałt – orzekła. – Żadnych szczególnych odchyień.

Janina przyglądała się, jak lekarka sprawnie i bez pośpiechu zabezpiecza i opisuje próbki. Zerknęła na Kordę. Ten również uważnie śledził jej pracę, choć jego spojrzenie wydawało się nieobecne, jakby znajdował się gdzieś o wiele dalej.

– Dobra. – Orłowska energicznie klasnęła w ręce, znów skupiając uwagę wszystkich. – To teraz zobaczymy, co się dzieje w środku – wyjaśniła i zaczęła wykonywać nacięcie w powłokach brzucha.

Janka czuła, że uginają się pod nią nogi. Powoli robiły się jak z waty, a przecież obserwowała zdarzenia metodycznie, analizując wszystko pod kątem ściśle naukowym. Nie miała w sobie emocji. A może po prostu nie

dopuszczała ich do siebie, choć jej ciało migdałowate świeciło w czaszce jak rozżarzona żarówka?

„Uspokój się. Oddychaj” – powtarzała sobie w myślach, nie odrywając wzroku od rąk lekarki. Ta, nie robiąc przerw, otworzyła jamę brzuszną pod przeponą, a potem przeszła do klatki piersiowej. Wyjmowała i oglądała narządy, układała je na wadze, mierzyła. Tak jakby wszystkie te czynności były najzwyklejszymi na świecie. Tak jakby na stole leżała lalka, a w środku miała spreparowane z plastiku organy. Tak jakby martwa kobieta nigdy nie żyła, nie czuła, nie marzyła, nie pragnęła, nie kochała, nie była kochaną.

„Zwłoki to zwłoki, nic więcej – Janina ostatkiem sił przywołała zawsze powtarzane przez siebie zdanie. – Nie są już człowiekiem. Stały się wyłącznie źródłem informacji, w których przyroda dostarcza licznych wskazówek. Wystarczy podążać za wskazówkami. Wystarczy podążać...”. W oczach Janiny pojawiły się łzy. Mimo tego, co starała się sobie wmówić, jej ciało traciło sprężystość. Zupełnie pozbawione oparcia w mięśniach i kościach. Myślała, że jest silniejsza. Myślała, że naukowe podejście zahamuje empatię. Myślała, że jest nieustraszona.

Nagle usłyszała hałas. Głośny, rytmiczny, pulsacyjny. Co to za dźwięk? Co to jest, do diabła? Ostatkiem sił zaczęła wodzić oczami po sali. Bębnienie narastało. Dudniło. Wbijało się jej w mózg. Bodźcowało ją niczym uderzenia w głowę.

„Co to za dźwięk? – myślała, rozglądając się niespokojnie. – Co to jest?!”.

Nagle zadarła głowę do góry. Okno dachowe. Wcześniej zupełnie nie zwróciła na nie uwagi, a przecież zajmowało jedną trzecią sufitu. Zwykłe, prostokątne, z zieloną framugą. I grad. Duże kulki gradu obijały się o szybę z głośnym łoskotem.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Stuuuuuuuuuuk.

Cząsteczki zmrożonego śniegu zaczęły się scalać w jedno. Tworzyły potok, który wdzierał jej się do mózgu. Zalała ją ciemność. Jej ciało osunęło się bezwładnie na podłogę.

11

„Kawa u mnie? Jutro?”

Klara po raz kolejny przeczytała wiadomość.

Wiedziała, co to znaczy. Wiedziała, że nie chodziło o zwykłą kawę. Kawa była tylko pretekstem, słowem kluczem oznaczającym czułe spojrzenia, przelotny, niby przypadkowy dotyk, który elektryzował bardziej niż dosłowność, słowa, które muskały mózg dokładnie tam, gdzie powinien być muskany.

Nie myślała, że coś takiego jeszcze się jej przydarzy. Myślała, że takie rzeczy ma już dawno za sobą. W końcu skończyła czterdzieści lat, ustatkowała się, była żoną. Co z tego, że jej życie nie wyglądało tak, jak to sobie wyobrażała? Co z tego, że przestało jej wystarczać to, co miała? Co z tego, że pragnęła więcej? Że chciała wyjść ze strefy komfortu, z tego pozornie ułożonego świata, w którym kiedyś było dobrze i bezpiecznie, a teraz zrobiło się zimno i martwo. Czuła, że nie miała do tego prawa, tak jakby złożona przed laty obietnica i wspólnie wzięty kredyt przykuły ją niewidocznymi kajdanami do tych ścian, do tego domu, do tego mężczyzny. Dawno przestał być dla niej kimś bliskim.

Ponownie odczytała wiadomość. „Kawa u mnie? Jutro?” Poczuła, jak jej ciało mięknie. Na samą myśl o tym spotkaniu roztopiała się cała. Jak by to wyglądało? Stanęłaby w drzwiach jego mieszkania, a on wpuściłby ją do środka i nieporadnie pocałował w policzek. Wziąłby jej płaszcz, odwiesił i poprowadził do dużego pokoju. Ona rozglądałaby się ciekawie, oglądała wiszące na ścianach artystyczne zdjęcia, wodziła wzrokiem po stojących na półkach przedmiotach, tak jakby miała na tej podstawie odgadnąć, kim

naprawdę był, jakby miała zrozumieć, o czym na co dzień myśli i co w sobie głęboko skrywa. On spytałby, czy chce posłuchać muzyki, i wybrałby jedną z płyt gramofonowych. Tak. Na pewno by tak było. Przecież wspominał, że ma całą kolekcję winyli.

Pieczołowicie ułożyłby krążek na talerzu, opuścił igłę, która z tym pięknie chrzęszczącym odgłosem zaczęłaby czytać nuty. Co by to było? Billie Holiday? A może Concrete Blonde? Na pewno coś nietypowego. Tak samo nietypowego jak on sam. „Kawa?” – zapytałby z błyskiem w oku, a ona kiwnęłaby głową i poszła za nim do kuchni. Oparta o ścianę, patrzyłaby, jak krząta się po niewielkim pomieszczeniu, jak wyciąga z szafek kubki, wsypuje kawę do zasobnika ekspresu. Jak patrzy na ściekającą małym strumyczkiem parującą ciecz, a potem podaje jej do drżącej dłoni filiżankę. Ta byłaby przyjemnie gorąca, a jej palce nieomal drętwiałyby z zimna i nerwów. Kawa ściekałaby do następnego kubka, a mężczyzna oparłby się o blat i podniósł na nią wzrok. Patrzyliby sobie w oczy. Milcząco, poważnie, jakby rozbierali swoje dusze.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Z trudem złapałoby powietrze, jakby ta najprostsza czynność kosztowała zbyt dużo. Jakby paliła płuca i przeszkadzała w budowaniu tego czegoś niepojętego, co właśnie by się budowało. Może podszedłby w końcu do niej, choć jej wydawałoby się, że bezgłośnie sunie w powietrzu, wyjąłby z jej rąk filiżankę, która cichutko stuknęłaby o blat szklanego stolika, i przytulił. Tak po prostu, ale ten zwykły gest byłby całkowicie abstrakcyjny. Zwalający z nóg. Wdychałoby swój zapach, aż byłoby nim kompletnie pijani. Ich policzki zaczęłyby się o siebie ocierać, w amoku odnaleźliby swoje usta. Po raz pierwszy poczuliby swój smak, nieporadnie ocierali się językami, szukając wspólnego rytmu, gryźli swoje wargi, wbijając palce w karki, by przyciągnąć się jeszcze bliżej, jeszcze mocniej.

Co by wtedy czuła? Wyrzuty sumienia? Wstyd? Chęć ucieczki? Czy wręcz przeciwnie? Chciałaby, żeby czas stanął w miejscu i nigdy nie ruszył

do przodu? By ten hormonalny pożar nigdy nie został ugaszony?

„Kawa u mnie? Jutro?”... Te słowa wirowały na ekranie. Były jak niesamowita obietnica. Obietnica przekraczająca granice realności, roztrzaskująca ontologiczne struktury jej świata. Obietnica końca, którego tak bardzo się bała, a którego jednocześnie tak bardzo wypatrywała. Czuła, że do niczego to nie prowadzi, że to wszystko jest nierealne, że dzieje się tylko w jej głowie, że ostatecznie skończy się źle. Tak bardzo źle. A jednak nie mogła myśleć o niczym innym. Tak jakby chciała skoczyć w przepaść. Tak jakby ta przepaść ją wzywała. Wiedziała, że nie wyjdzie z tego cało. Wiedziała, że zginie. A jednak marzyła o uderzeniu o bruk, o rozbiciu się na tysiąc tkliwych kawałeczków.

Wzięła laptop na kolana i z bijącym sercem wbiła odpowiedź.

„Będę”.

Uśmiechnęła się oszołomiona.

Tak, działała w afekcie, ale miała to gdzieś. Stąpała po krawędzi i patrzyła w dół. I czuła się bardziej żywa niż przez kilka ostatnich lat.

12

Zapach dymów z kominów zawsze kojarzył się Ewie Tokarz z dzieciństwem. Zimne, przesiąknięte dymem powietrze. Nie wiedziała, dlaczego właśnie to połączenie wywoływało w niej czułość. Jakby w tych wspomnieniach zamknęło się jej poczucie bezpieczeństwa i bez troski. Wzięła głęboki wdech i lekko się uśmiechnęła. Spojrzała na idącego obok niej męża. Postawny i wyprostowany. Nadal mógł się podobać.

Chodnik przy ulicy Junaków był śliski. Powoli stawiała kroki w kozakach na wysokim słupku. Asekuracyjnie chwyciła męża pod ramię. Ten zerknął na nią kątem oka i też się uśmiechnął.

– O kurczę, to ten facet. – Ewa zacisnęła palce na rękawie płaszcza Artura.

– Jaki facet?

Artur Tokarz zerknął w stronę jednopiętrowego domu, pod którym stanął granatowy focus. Właśnie wysiadał z niego mężczyzna w czarnej kurtce, o gęstych siwiejących włosach.

– No ten, co mu żonę ostatnio zabili. W telewizji mówili.

– Serio?

– Boże, coś trzeba powiedzieć.

– Czemu powiedzieć? A ty go znasz?

– Poznałam – szepnęła. – Potem ci opowiem.

Zbliżali się do szarego domu. Mężczyzna w czarnej kurtce nachylał się nad bagażnikiem. Po chwili wy dobył z niego ogromną butlę wybielacza i postawił ją na ziemi.

Ewa mocniej złapała męża pod rękę. Lekko poślizgnęła się na topniejącej brei lodu, a mimo to nie oderwała wzroku od stojącej przy samochodzie postaci. Była przejęta. Jakby czekał ją trudny do uniesienia obowiązek.

– Dzień dobry – powiedziała, zatrzymując się w końcu blisko Grzegorza Zalewskiego. Miała zboląłą minę. – Bardzo mi przykro – dodała.

Grzegorz Zalewski podniósł na nią wzrok.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się łagodnie, ale Ewa zauważyła, że lekko się zgarbił.

– To straszne, co się stało. – Z niedowierzaniem zaczęła kręcić głową.

– Tak – powiedział Zalewski.

– Jeśli mogłabym jakoś pomóc... Jeśli moglibyśmy... – Wskazała na stojącego obok męża. – Nawet nie mogę sobie wyobrazić, co pan czuje – szepnęła współczująco.

Mężczyzna milczał, po chwili jednak się wyprostował.

– Ludzie odchodzą – rzekł. – Codziennie ktoś kogoś zabija. Codziennie ktoś umiera.

Jego wzrok stał się nagle zupełnie przytomny, jakby Zalewski odzyskał siłę. Schylił się znów do bagażnika i wyciągnął z niego złożony na pół

dywan. Ewa zauważyła, że od środka był jasny i miękki.

– Do widzenia – rzuciła jeszcze i pociągnęła męża za ramię.

– Do widzenia! – odezwał się za nimi mocny głos mężczyzny. – Do zobaczenia!

Ewa nie miała siły się odwrócić. Cała drżała.

– To było pojebane – warknął Artur, gdy oddalili się o kilkadziesiąt metrów. – Skąd ty znasz tego faceta? – Skrzywił się.

– Poznałam go kiedyś w sklepie. Wiesz, tym naszym małym. Miałam sporo zakupów, to mi pomógł. No i tak rozmawialiśmy po drodze.

Tokarz przystanął. Uważnie przyjrzał się żonie.

– Pomógł ci z zakupami? W sensie pozwoliłaś obcemu facetowi odprowadzić się do domu?

– Znowu zaczynasz?

– Ja zaczynam? JA zaczynam?! – Mąż podniósł głos.

Natychmiast rozejrzała się wokół. Kilkadziesiąt metrów dalej dojrzała jeszcze Zalewskiego. Wciąż stał przy aucie, z mosiężnym wiadrem w ręku, i była pewna, że nadal patrzył w ich stronę.

– Uspokój się. Bo ktoś usłyszy.

– I co z tego?! Aaa! Co?! – Tokarz się nakręcał.

Kobieta zacisnęła usta.

– Czemu to robisz? – spytała.

– Nie widziałaś, że facet rozbierał cię wzrokiem?

– Jezu, Artur, umarła mu żona! Ktoś mu zabił żonę. Jak możesz w ogóle mówić coś takiego?

– Nie podoba mi się on. Rozumiesz? Nie podoba – syknął. – Zaczął stanowczo iść przed siebie. – No idziesz? – rzucił przez ramię.

– Tak. – Przymknęła na moment oczy. – Idę. – Wypuściła powietrze, podbiegła po zamrożonym chodniku i zrównała się z mężem.

Dłuższą chwilę szli w milczeniu. Obcasy kozaków kobiety raz po raz zapadały się w nierównych grudkach brudnego, topniejącego śniegu.

Napięcie między nimi powoli stawało się nieznośne. W końcu doszli do skrzyżowania z Małopolską i stanęli przed swoim domem. Artur pewnym ruchem otworzył furtkę prowadzącą do dwupiętrowego budynku otynkowanego tak zwanym szarym barankiem. Odwrócił się do żony i spokojnym już głosem powiedział:

– Nie wiesz, że to zawsze jest mąż? Że to zawsze mąż zabija? – Pokręcił głową. – No, zapraszam, zapraszam. Chodź. – Wskazał jej ręką przejście, tak jakby była tylko jego gościem.

13

Alicja zaparkowała nieopodal ciągu ceglanych kamienic. Schyliła głowę i przyjrzała się ich frontom. Niektóre wnęki okienne były zabetonowane, szybki szprosowych okien gdzieś zastąpiono brązową dyktą. Obdrapana, pomalowana na słoneczny kolor fasada parteru nosiła ślady nieudolnego graffiti. Dziennikarka jeszcze raz zerknęła w okienko Messengera, w którym korespondowała z Sandrą Białą, przyjaciółką zamordowanej Elizy Zalewskiej, o której wspomniał jej Zator. Przy Torze 7. Najwyraźniej trafiła dobrze. Napisała „Jestem na dole” i przesłała wiadomość. Po chwili na ekranie wyświetliła się odpowiedź: „Zaraz zejść”.

Grabska wodziła wzrokiem po ulicy. Nie było na niej żywego ducha. Słońce, które nieśmiało wyszło zza chmur, odbijało się w półprzezroczystych ekranach akustycznych odgradzających ciąg mieszkań od torów kolejowych. Na chodniku walał się gruz. Stała jakaś czarna, lekko osmolona skrzynka. Orunia Dolna. Wcześniej nie miała potrzeby, żeby zapędzać się w te strony. Niejedno o niej słyszała. Że biedna, że zdewastowana, że niebezpieczna. Ale też, że pręźnie się w ostatnich latach rozwija, że staje się coraz bardziej komfortową przestrzenią do życia, że oferta kulturalna w tej dzielnicy Gdańska zyskuje na atrakcyjności. Bez względu na to, co było prawdą, ulica Przy Torze nie

należała do najbardziej reprezentacyjnej części Oruni. Gdyby Grabska znalazła się tutaj nocą, na pewno nie czułaby się komfortowo. Nawet teraz, gdy dochodziła trzynasta, odczuwała nieprzyjemny niepokój. W takich momentach cieszyła się w duchu, że wychowywała się w Sopocie, ale tak naprawdę zarówno jej dzieciństwo, jak i okres dojrzewania nie były całkiem szczęśliwe. Widocznie prestiżowe miejsce zamieszkania wcale nie gwarantowało bezpieczeństwa. Tak samo jak to zhańbione nie warunkowało tego, że człowieka spotka coś złego.

Wyłączyła silnik i zerknęła na zegarek. Minęło dziesięć minut, odkąd dziewczyna napisała, że zaraz zejdzie. Tymczasem zadudniło, a po chwili rozległ się głośny gwizd. Za półprzezroczystym ekranem zaczął się przetaczać pociąg. Tu-tu. Tu-tu. Tu-tu. Tu-tu. Gdy zniknął, a odgłos powoli ginął w przestrzeni, drzwi auta otworzyły się od strony pasażera i do środka wsiadła Sandra.

– Skaranie boskie z tymi dziećmi – zaczęła. – Życ człowieka nie dają. Czasami to mam ich tak dość, że naprawdę wyszłabym z domu i nie wróciła. Straszne, nie?

– Matki często miewają takie myśli – zapewniła ją Grabska. – Pragnienie wolności nieustannie kłóci się z macierzyństwem.

Biała pociągnęła nosem, lekko się przy tym krzywiąc.

– Chciała pani pogadać o Elizie, tak? – Z zainteresowaniem przyjrzała się Alicji.

– Tak. Chciałam zadać pani kilka pytań.

– A co z tego będę mieć? – Kobieta wzruszyła ramionami.

– A na co pani liczy?

Nieraz już miała do czynienia z takimi informatorami, ale za każdym razem, gdy słyszała takie pytanie, czuła ukłucie irytacji.

– No wie pani, informacja to pieniądz, jak to się mówi, nie?

– Cóż, a może rozpoznawalność by wystarczyła, co?

– Ale że co?

– Wystąpi pani jako znacząca postać w reportażu o zamordowanej Elizie Zalewskiej, możemy zamieścić też pani zdjęcie, całe Trójmiasto jest żywo zainteresowane tą sprawą, więc przez chwilę byłaby pani sławna. – Grabska uśmiechnęła się zachęcająco, choć czuła niesmak.

– Niech będzie. – Biała cmoknęła. – Tylko szybko, bo dzieci same na górze zostawiłam.

– Rozumiem, że przyjaźniła się pani ze zmarłą Elizą Zalewską?

– Od dzieciaka. Mieszkałyśmy koło siebie, byłyśmy w tym samym wieku, siłą rzeczy trzymałyśmy się razem. A ja z telewizji się dowiedziałam, że ona nie żyje. Wyobraża pani sobie?!

– I w dorosłości też się przyjaźniłyście?

– Tak ostatnio to mniej, wie pani. Ten jej mężulek zakazał Elizie kontaktu ze mną. Wyobraża sobie pani? Cwel jeden.

– Czemu zakazał?

– Bo porąbany był. Od początku Elizie mówiłam, ale nie chciała mnie słuchać. Się zaparła i tyle. A on to Elizkę zmienić chciał od początku. Zgrywał takiego ą-ę, że niby na poziomie, że bogaty, że nieba jej przychyli. A potem to pracę jej załatwił i pracuj pani. Na początku to nawet byłam tam u nich kilka razy, w tym starym mieszkaniu, ekskluzywne było, nie powiem. A po kilku takich wspólnych imprezkach powiedział Elizce, że mam więcej progu ich domu nie przekraczać.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem? Może dlatego, że za dużo widziałam?

– Na przykład?

– A że się upijał, że tracił nad sobą kontrolę. Raz widziałam, jak Elizę za włosy chwycił i ciągnął przez cały hol. Serio. – Znacząco zerknęła na dziennikarkę. – Agresywny był i tyle. Co tu dużo gadać. Udawał takiego stonowanego, ułożonego, kulturalnego, a zachowywał się jak zwykły kutafon.

– Była jeszcze pani świadkiem innych sytuacji tego typu?

- Nie. Ale jestem pewna, że to on.
- Że to on?
- Że to on zabił Elizę. No bo kto inny? – prychnęła.
- Mówiła to pani policji?
- Nikt nie pytał, to nie mówiłam. A co ja, za nich mam robotę wykonywać?
- A myśli pani, że Zalewski miał powody zabić swoją żonę?
- Ja to mojego męża pięć razy dziennie chcę zabić, i to bez szczególnego powodu. Sam fakt, że istnieje, mnie drażni.
- A wracając do męża Elizy? – Grabską ogarnęło zmęczenie.
- Wie pani, Eliza nie była łatwą osobą. – Kobieta zaczęła paznokciem środkowego palca wskrobywać brud spod reszty paznokci. – Ale co się dziwić, jak latami była przez ojca molestowana. Umiała się uśmiechać, kiedy wcale nie było jej dobrze, przymilać się, gdy coś chciała. Nauczyła się tego w domu. Zresztą tutaj wszystkie dzieciaki doskonale to umiały, bo to chyba jedyny sposób, żeby się przystosować do życia w tych nędznych warunkach. Ale ile można udawać? I ile można być okłamywanym?
- W jakiej sprawie Eliza kłamała? – Alicja czujnie przyjrzała się siedzącej obok kobiecie.

Powietrze znów przeciął przeciągły gwizd. Białą nachyliła się w stronę Alicji. Jej słowa zlały się z donośnym turkotem pociągu...

14

Laboratorium wydziału biologii było duże i świetnie wyposażone. Drzwi się zamknęły i Hinc została sama. Przesunęła wzrokiem po sprzętach, doznając znajomej rozkoszy. Nie chodziło tylko o to, że kosztowały miliony złotych. Chodziło o możliwości, które dawały. O wyniki, które miały się przyczyniać do rozwoju badań naukowych i pogłębiania wiedzy na temat interesujących ją zjawisk, co dotychczas stanowiło sedno wszystkich jej

działań. Teraz była formalną członkinią grupy oględzinowo-śledczej. To między innymi od jej zaangażowania i wkładu zależało, czy sprawca brutalnej zbrodni zostanie ujęty, czy kolejne osoby nie poniosą śmierci. Wszystko nagle nabrało sensu. Cała jej droga życiowa. Wiedziała, że wszystkie decyzje, które kiedykolwiek podjęła, miały prowadzić właśnie do tego momentu.

Hinc poprawiła biały kitel i podeszła do stalowego stołu. Umieściła na nim spakowany w karton czerwony koc z miejsca zbrodni oraz koszulkę nocną ofiary, którą w papierowej kopercie udało się Kordzie wydębić od lekarki po sekcji. Na tę myśl znów się wzdrygnęła. Skompromitowała się, ale teraz pokaże, na co ją stać. Zrehabilituje się, nie było innej możliwości. Popatrzyła na zabezpieczone przedmioty i postanowiła, że zacznie od koca, bo to właśnie on był wyzwaniem. Prawdę mówiąc, mimo ogromnej wiedzy, którą dotychczas zdobyła, nie do końca wiedziała, od czego zacząć, by pozyskać z niego ślady. W grę wchodziło rozpuszczenie materiału w mocnych kwasach, dzięki czemu w roztworze pozostałyby jedynie odporne ziarna pyłku i zarodniki roślin. Ale taka taktyka sprawdziłaby się jedynie w przypadku naturalnych włókien roślinnych, takich jak bawełna czy len, ewentualnie zmodyfikowanej wiskozy, z której wyprodukowana była koszulka nocna. Nie byłaby jednak skuteczna przy włóknach syntetycznych, pozyskanych w wyniku przerobu ropy naftowej i węgla. Odpadałyby zatem poliakrylonitryl, nylon czy poliester.

Kobieta przyjrzała się kocowi. To musiała być jakaś odmiana polaru, a tym samym w produkcji wykorzystano przetworzone plastikowe butelki. „Nie. Metoda kwasowa odpada – kombinowała Janina. – Zresztą przy tej ilości materiału tego typu praca byłaby potwornie trudna i skomplikowana. I zupełnie bez sensu. Hmmm”. Wciąż uważnie rozglądała się wokół, przeskakując wzrokiem po stojących aparaturach.

– Musi istnieć jakiś inny sposób. Tylko jaki? Tylko jaki... – mruzczała pod nosem.

Niemal całe życie spędziła w laboratorium, nie dostrzegała jednak tutaj nic, co mogłoby się okazać przydatne.

– Myśl, Janka. Myśl. Chcesz wypłukać z koca cząstki stałe. Jak to zrobisz? Co robisz, gdy chcesz się pozbyć z tkaniny brudu, który do niej wniknął? No co? – Cmoknęła. – Uruchamiasz pralkę. No właśnie! Uruchamiasz pralkę! – Klasnęła w dłonie.

Musiała wykorzystać tę samą procedurę, którą stosowała za każdym razem przy praniu. Musiała wywabić z zabrudzonego materiału plamę. W tym celu wystarczyło użyć surfaktantu, przykładowo detergentu obniżającego napięcie powierzchniowe wody, która wniknie do tkaniny i usunie brud. Rozwiązanie najprostsze z najprostszymi.

Brzytwa Ockhama. Uśmiechnęła się i przystąpiła do pracy. „Kurczę – myślała dalej intensywnie, sięgając po detergent – przecież gdy zmoczę tkaninę, pobudzę aktywność mikrobiologiczną i cząstki stałe mogą zacząć się rozpuszczać. No dobra, to wezmę też środek dezynfekcyjny, tylko czy to nie wpłynie źle na palinomorfy? Potrzebuję czegoś, co ich nie utleni. Hmm, czegoś, co zadziała łagodnie Jakiegoś... Wiem! Szamponu leczniczego!”

Dawno nic jej tak nie zadowoliło jak ta błyskotliwa myśl.

Podeszła do szafy z najróżniejszymi buteleczkami i zaczęła je przeglądać. „Jest! – ucieszyła się. – Nie do wiary. Szampon leczniczy. Laboratorium wydziału biologii wyposażone jest jednak we wszystko, co można sobie wymyślić. Tylko czy ten szampon nie jest zanieczyszczony jakimiś ziarnami pyłku?” – zreflektowała się nagle. Odczytała skład. Nie. Nadawał się! Miała dobry surfaktant i środek dezynfekujący w jednym. Proste i genialne!

Hinc wybrała dużą misę ze stali nierdzewnej i uważnie wysterylizowała ją wybielaczem, tak by utlenić cząstki organiczne. Włożyła do niej koc, polała go rozcieńczonym szamponem i zaczęła ugniatać, szorować i wyzymać każdy fragment materiału, który następnie przepłukała dejonizowaną gorącą wodą. W końcu w naczyniu została szara, mętna mieszanina wody i wypłukanych z koca osadów. Pobrała próbki

i przygotowała preparaty mikroskopowe. Metoda izolacji przez pranie okazała się niebywale skuteczna. Palinomorfy. Dużo palinomorfów. Hinc z niedowierzaniem pokiwała głową i znów pochyliła się nad mikroskopem.

Analizę zwyczajowo zaczęła od górnej części lewej strony szkiełka, przesuając się w dół po linii prostej. Raz po raz zatrzymywała się na którymś z pyłków, przybliżając obraz i starając się go zidentyfikować. Zmieniała ustawienia kontrastu fazowego, polewała obiekt olejkiem immersyjnym. I tak przez wiele godzin. Czasami wydawało jej się, że jej praca była wymyślną formą tortur. Ale uwielbiała je na sobie stosować. Nic nie dawało jej takiej satysfakcji. Przesuwała się od lewej do prawej, od góry do dołu, wzdłuż pionowych linii zaznaczonych na powierzchni szkiełek. Katalogowała ziarna pyłków, zarodniki grzybów, skamieniałości zarodników i porównywała je z zebranymi w bibliotece preparatami referencyjnymi.

Już w trakcie postępowania zaczął się wyłaniać pewien wzorzec, ale póki nie skończyła, nie chciała wyciągać wniosków. Jednak tak. Ostatecznie grupa ziaren pyłku jednego rodzaju okazała się przeważająca.

Dziurawiec.

Samopylna bylina silnie zwabiająca pszczoły.

Hinc wyobraziła sobie kępy żółtego ziela, wokół którego latają te piękne owady. Kiedyś się zastanawiała, skąd brał się ten taniec. I w końcu zrozumiała, że chodzi o elektryczność. A konkretniej o elektryczność statyczną. Ziarna pyłków naładowane ujemnie przyciągają dodatnio naładowane pszczoły. Albo z drugiej strony – ujemnie naładowane ziarna pyłków dziurawca wskakują na pozytywnie naładowane pszczoły. Z tym że Eliza Zalewska została zamordowana w marcu. A dziurawiec kwitł od czerwca do września. Skąd więc mógł się znaleźć na czerwonym kocu? Może Zalewscy położyli się na nim latem w ogrodzie? Wylegiwali się na nim w słońcu, a pyłki byliny osiadły na materiale, pozostając tam przez tyle miesięcy? Ale przecież wówczas na kocu powinny się znaleźć również

pyłki i zarodniki innego rodzaju. Pyłkowy deszcz unoszący się w powietrzu i opadający na ziemię przyniósłby dużo więcej materiału badawczego. Dziurawiec stanowiłby dosłownie kilka procent całości. Zresztą czy Zalewscy mieli dziurawiec w swoim ogrodzie? Musiała to sprawdzić. „Tak czy siak, oznaczało to, że na kocu nie pozostało nic, co mogłoby prowadzić do sprawcy, bo zwyczajnie nie zgadzała się pora roku” – skonstatowała smutno.

„Tyle godzin pracy poszło na marne – westchnęła. – Ale bywa i tak. Jestem do tego przyzwyczajona”. Ekologia sądowa wymaga wszak mrówczej roboty. Czasami pierwsze efekty przychodzą po wielu dniach, a nawet tygodniach starań.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła piąta rano, miała więc jeszcze trzy godziny do formalnego otwarcia laboratorium dla studentów. I nie zamierzała wychodzić stąd ani minuty wcześniej. Zresztą i tak by nie zasnęła. Choć mikroskopowa analiza wymagała totalnego skupienia, jak nic innego wywoływała w Jance wyrzut adrenaliny. To był sens jej życia. Nigdzie indziej nie czuła się równie szczęśliwa.

Wstała, przeciągnęła się i podeszła do papierowej koperty, z której bardzo ostrożnie wyciągnęła koszulkę nocną. To właśnie ją miała na sobie znaleziona na podłodze skatowana Eliza Zalewska. Jako że kobieta została zgwałcona, z dużym prawdopodobieństwem ubranie sprawcy musiało się zetknąć choć na moment z ubraniem ofiary. Cokolwiek przyniósł na sobie do domu Zalewskich, musiał zostawić to właśnie na tej koszulce. Bez względu na rękawiczki ochronne, bez względu na maskę. Wszystko pozostawia ślad. A pyłki i zarodniki lubiły wnikać do materiału głęboko. Niełatwo było się ich pozbyć.

Hinc przystąpiła do procedury badawczej, dla bezpieczeństwa stosując dokładnie taką samą metodę pozyskiwania śladów jak w przypadku koca. Po prostu uprała koszulkę w szamponie leczniczym. Pobrała próbki i przeniosła je na szkiełko mikroskopu.

Górna lewa strona szkiełka. Dolna lewa strona szkiełka. Milimetr po milimetrze posuwała się po pionowych liniach na jego powierzchni. Już po chwili jej serce zaczęło bić mocniej. Za oknem zrobiło się jasno. Słońce zaczęło już wstawać i omiatać promieniami gabinet, odbijając się nieśmiało od białych, lakierowanych, szklanych narzędzi, półek i sprzętów. Górna prawa strona szkiełka. Dolna prawa strona szkiełka.

Układający się wzorzec, powtarzający dane pozyskane z koca.

Dziurawiec.

Samopylna bylina silnie zwabiająca pszczoły.

I coś jeszcze.

Mikroskopijnych rozmiarów kremowo-brązowa organiczna pozostałość w kształcie banana.

Oniemiała Hinc opadła na oparcie fotela i przypomniała sobie kursującą po miejscu popełnienia morderstwa muchę, której o tej porze roku w ogóle nie powinno tam być, a jej ciało i umysł ogarnęła euforia.

15

Grzegorz Zalewski spojrzał na dom. Pęd zimnego wiatru uderzył go w twarz, wciskając się do oczu. Ale mężczyzna nawet nie poruszył powiekami. Jego gałki oczne od dłuższego czasu były suche i bolesne. Żaden wiatr nie mógł pogorszyć tego stanu.

Dom wyglądał tak samo jak przedtem. Zwyczajnie. Jedyne biało-niebieska taśma policyjna na drzwiach i pokrywający tu i ówdzie front biały proszek sugerowały, że coś tu zaszło. Że coś się zmieniło. Naruszyło porządek na zawsze. Dziwne. Do niedawna wierzył, że odnaleźli oazę. Że powoli wyremontują ten budynek po swojemu. Że nadadzą mu swój kształt, swój wspólny charakter, że spędzą tu długie lata w szczęściu i miłości. Że właśnie tu się zestarzeją. Z godnością, całkowicie pogodzeni z tym, że czas upływa. Że będą siedzieć przed kominkiem, wpatrując się

w ogień, wspominając życie. Nie żałując ani jednej chwili. Nie żałując, że wybrali właśnie siebie, że oddali sobie najpiękniejsze lata, które przecież mogliby przeżyć w inny sposób. Tak myśleli. On tak myślał. Robił wszystko, by tak właśnie się stało. A mimo to nie udało się pewnych rzeczy powstrzymać. Nie udało się. Czasami po prostu się nie udaje. Czasami po prostu los chce inaczej. I nic nie można z tym zrobić. Jak się okazuje, pewne rzeczy są poza naszą kontrolą.

Zalewski zagryzł wargę. Mocno. Tak mocno, jak tylko mógł. Chciał coś poczuć, ale nie umiał. Jakby umarł w środku. Tak jakby to, co wydarzyło się tamtej nocy, pozbawiło go jakiejkolwiek empatii. Nie wiedział, czy to był mechanizm obronny, czy może zwykłe wyparcie. Fakt był taki, że przestał być normalnym człowiekiem. Stał się pustym ciałem, mechanicznie wypowiadającym słowa, wykonującym mechaniczne gesty. Może dlatego się na to zdecydował? Może dlatego to, co miał za chwilę zrobić, w ogóle go nie przerażało?

„Przyślemy profesjonalną firmę, która zajmuje się sprzątaniami w miejscu zbrodni – w jego głowie zabrzmiało wypowiedziane przez detektywa zdanie. – I wtedy będzie mógł pan wrócić do domu”.

„Dziękuję – odpowiedział wtedy spokojnym głosem. – Sam sobie poradzę. Po prostu chcę już wrócić do siebie”.

Policjant popatrzył na niego niepewnie. Mruknął i podrapał się po policzku.

„Naprawdę doradzam skorzystanie z pomocy specjalistów. To nie będzie miły widok. Lepiej, żeby nie dokładał pan sobie więcej, hmm... wrażeń”.

Policjant położył mu mimochodem rękę na ramieniu. Pewnie chciał go pocieszyć, ale ten dotyk sprawił, że w Zalewskim odezwało się coś złowrogiego. Jakiś głos, który tkwił w nim od tamtej nocy, zakorzenił się w jego mózgu i ciągle, nieustannie podpowiadał mu straszne rzeczy. Poczł naraz przemożny wstręt i przymus, by tę rękę wykręcić i złamać w kilku miejscach. Ale się powstrzymał. Nawet jej nie strącił. Najnormalniej

w świecie zniósł tych parę chwil, choć wydawały się trwać w nieskończoność.

„Nie zgadzam się, by kolejne nieuprawione osoby weszły do mojego domu. Sam się wszystkim zajmę” – wyrzucił z siebie z wysiłkiem. Detektyw zabrał wtedy dłoń i przytaknął.

Tak. Zalewski nie chciał, by ktoś więcej kręcił się po jego oazie. By ktoś się tam jeszcze panoszył i wpatrywał w ich prywatne rzeczy, mimowolnie analizował bieg wydarzeń, wodził wzrokiem po zdjęciach, starając się wyobrazić sobie, jak to wszystko mogło wyglądać, nim do tego domu wkradła się śmierć. Grzegorz chciał być od teraz jedynym, który miał do niego dostęp. Była to dla niego przestrzeń nieomal sakralna, dokonało się w niej coś granicznego, niedostępnego przeciętnemu śmiertelnikowi.

Wypakował z bagażnika resztę sprawunków, które ustawił w rzędzie pod płotem, zamknął auto i powoli wszedł po schodkach prowadzących do drzwi. Jednym ruchem zerwał policyjną taśmę i z niesmakiem rzucił ją na ziemię. Wsadził klucz w zamek, nacisnął klamkę. Cofnął się po siatki, chwycił je za ucha, podniósł. Taśma policyjna, która zatrzymała się na jednej z nich, wzleciała na moment i opadła za płotem. Zalewski nie zwrócił na to uwagi. Skierował się do przedpokoju, po chwili wrócił po stojące obok auta wiadro i zatrzęsnął za sobą drzwi.

W środku było gorąco i duszno. I bardzo cicho. Tak cicho, jakby ktoś tu umarł. Taka myśl mu przeszła przez głowę. Wtem do jego nozdrzy dotarł słodkawy zapach. Jedyny w swoim rodzaju, sprawiający, że coś tak rozkosznego jak słodycz wywoływało odruch wymiotny. Grzegorz poczuł na języku kwaśny posmak. Tyle zostało z jego żony. Czasami trudno uwierzyć, że życie potrafi być aż tak okrutne.

Sięgnął do siatki i włożył jednorazowy kombinezon, buty ochronne i wzmocnione gumowe rękawiczki. Na usta i nos nałożył maseczkę z filtrem. Mdłości wkrótce ustały. Chwycił wiadro i poszedł z nim do łazienki. Napęłnił je wodą, wlał do niej specjalny płyn z aktywnym

chlorem, wymieszał. Podobno nic tak skutecznie nie usuwało plam z krwi, jak chlor. Znów wyszedł na korytarz, dźwigając napełniony po brzegi kubek. Potrącił go kolanem. Środek chlapnął na drewnianą podłogę. Zalewski zerknął na plamę i dopiero teraz dostrzegł biegnące po deskach liczne ślady. Mniejsze i większe. Jasne i bordowobrazowe. Gdzieś rozlane, ze smugami, jakby przeszły po nich tłumy. Powiódł wzrokiem po ścianach. Te też nosiły znaki opylenia. Podobnie jak klamki do wszystkich pomieszczeń. Zalewski mimowolnie postawił wiadro na ziemi, ściągnął rękawicę i wyciągnął rękę do metalowej rączki. Proszek, który ją pokrywał, wciąż był lepki i pozostawił na jego skórze zawieszisty osad.

„Ciekawe, ile technicy zdołali odczytać z tego rodzaju śladów? – pomyślał. – Czy sprawca zostawił choć jeden odcisk, który mógłby naprowadzić na jego trop? Czy kiedykolwiek prawda wyjdzie na jaw?”. Zmrużył oczy, naciągając rękawicę na dłoń. Ponownie chwycił ucho wiadra i pospieszył z nim do dużego pokoju. Energicznie przez niego przeszedł i stanął na skraju dywanu. Opuścił rękę. Wiadro uderzyło o podłogę, pozostawiając wokół mokre ślady. Nawet się nie rozejrzył. Wrócił po siatki pozostawione w przedpokoju i zabrał się do pracy. Jednym ruchem, wkładając w to całą siłę, zerwał zasłonę. Puściły wsporniki, a drążek z metalicznym stukotem uderzył o ziemię. Kółeczka potoczyły się po podłodze. Część z nich zniknęła pod kanapą. Jedno z nich, cicho grzechocząc, zawirowało wokół własnej osi. Zalewski przyglądał mu się jak zahipnotyzowany. Kółeczko wirowało, a jemu przed oczami stanęła moneta. Eliza zawsze wprowadzała ją w ruch, gdy miała co do czegoś wątpliwości.

„Niech zadecyduje los” – mówiła z błyskiem w oku. Wyciągała z kieszeni dwuzłotówkę, stawiała ją brzegiem na blacie, przytrzymywała od góry i pstrykała w nią środkowym palcem. Moneta wirowała, tworząc wokół siebie rozedrgany okrąg. „Orzeł czy reszka?” – pytała, patrząc jak urzeczona na ten ruch. „Wybierz. Przecież i tak zawsze ty wybierasz” –

śmiał się on. „Orzeł. Wiadomo” – mówiła w momencie, gdy moneta przestawała krążyć i z brzękiem opadała na bok.

Eliza lubiła ryzyko. Od początku to go w niej pociągało. A przecież powinno go było zaalarmować. Powinien był lepiej wiedzieć, że młoda dziewczyna lubiąca ryzyko nie przyniesie mu nic dobrego.

Kóleczek od zasłony leżało na podłodze, a wspomnienie rozplynęło się w powietrzu, pozostawiając w Zalewskim niejasne uczucie. Początkowo przyjemne, z sekundy na sekundę przemieniało się w niesmak. Czy powinien był za nią tęsknić, skoro zostawiła po sobie tyle brudu?

Rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na licznych malutkich i kilku rozległych brunatnych plamach pokrywających deski. Chwycił wiadro z chlorem, namoczył w nim szorstką gąbkę i zaczął szorować krew. Niewielkie kropelki schodziły ładnie. W niektórych miejscach zaschnięte osocze ciężko się odrywało, ale był na to przygotowany. Podobnie jak na to, że nie tak łatwo od razu usunie płyn mózgowo-rdzeniowy w postaci pozasychanej bezbarwnej cieczy. Raz podniósł nawet mały kawałek kości. Najpewniej czaszka. „Mam w rękach fragment czaszki żony” – pomyślał bez emocji, nim wrzucił szczątek do grubego czerwonego worka przeznaczonego na materiały niebezpieczne ze zdarzeń losowych. Następnie zajął się większymi plamami, tymi w kolorze brunatnej czerni. Szorował i szorował, ale niewiele to pomagało. Przygotował się jednak również na to, zwłaszcza że podłoga miała rowki, a przecież nie sposób byłoby precyzyjnie wyczyścić głębokie szczeliny. Nawet jeśli nic nie byłoby już widać, wiedziałby, że gdzieś tam między deskami kryją się ślady zbrodni. Nie było mu to potrzebne. Wstał z kolan i zszedł do piwnicy. Po kilku minutach wrócił z kilofem. Zamachnął się i wbił go w podłogę. Usunął najbardziej poplamione fragmenty desek i wrzucił je do czerwonego worka. Podobnie jak tynk, który w niektórych miejscach skuł ze ściany.

Wypełniony po brzegi worek oznaczony kodem 168101 postawił w końcu nieopodal wejścia do pokoju i sięgnął teraz po niebieski worek.

Powoli i metodycznie zaczął wkładać do niego stojące na półkach przedmioty. Świąteczną kulę z padającym w środku śniegiem, mikołajka w czerwonej czapce, książkę, którą Eliza próbowała skończyć od jakiegoś roku. Wszystko, na czym nie było śladów krwi, mózgu czy innych wydzielin. Wszystko, co przypominało mu żonę. Na koniec zatrzymał się na stojącym w ramce zdjęciu. Eliza uśmiechała się na nim kokieteryjnie. Kiedyś lubił ten uśmiech. Ale teraz wiedział, że było w nim zwykłe kurewstwo. Bez wahania wrzucił fotografię do worka, dołożył do niego obrus ze stolika i związał jego rogi. Wziął do ręki spryskiwacz i zaczął rozpylać środek biobójczy po wszystkim, co jeszcze zostało. Użył środka dezynfekująco-czyszczącego, by pozbyć się bakterii ze ścian, z sufitów, okien i drzwi, spryskał miejsca, w których wcześniej była krew, luminolem, a potem wyniósł worki i włożył je do bagażnika auta, by zawieźć je pod wskazany przez detektywa adres spalarni.

Wystarczyło wykonać ostatnią czynność. Grzegorz Zalewski poczekał, aż całkowicie się ściemni, po czym wyciągnął z samochodu pożyczony sprzęt. Przemierzył korytarz, wsłuchując się we własne kroki.

Skrzyp. Skrzyp. Skrzyp.

Skrzypiała podłoga w ciszy, która już na zawsze ogarnęła ten dom. Przeszedł do dużego pokoju i objął wzrokiem przestrzeń, włączył lampę UV i sięgnął do włącznika światła.

Zapadła ciemność.

Nie zaświeciło się żadne spryskane luminolem miejsce.

Udało się usunąć całą hemoglobinę zawartą we krwi.

Odetchnął z ulgą, lekko się uśmiechnął. I ponownie zapalił światło.

Szarobury śnieg powoli topniał. Jego miążka struktura nie miała w sobie żadnej czystości, nie koła. Morze huczało niespokojnie. Porywisty wiatr

pompował wysokie fale, które wściekle obijały się o pale sopockiego mola. Wokół było już ciemno, ale dni stawały się coraz dłuższe. Za miesiąc, dwa o tej porze będzie nadal jasno. „Może będą jeszcze śpiewać ptaki? Może będzie świecić słońce? Może będzie zupełnie bezchmurnie? Czy będę nadal z Kordą? Jak wtedy będzie?” – ta ostatnia myśl wywołała w Alicji nieprzyjemny skurcz żołądka. Miesiąc, dwa. Tyle mogło się przez ten czas zdarzyć. Tyle mogło się zepsuć. Dobrze to wiedziała. Czasami wystarczyła iskra, żeby wszystko obróciło się w ruinę. Nieopatrzne słowo. Nieodpowiedni gest. Niewłaściwa reakcja, która mogła wszystko przekreślić.

Oderwała wzrok od morza i zobaczyła w oddali zmierzającą w jej stronę ciemną sylwetkę. Oskar. Tak jakby łączyła ich niewidzialna nić. Zawsze tak było. Rozciągało się między nimi naprężone do granic powietrze. Nie potrafili przejść obok siebie obojętnie, zawsze dostrzegali swą obecność, czuli ją każdą cząstką siebie. Nie potrafili być dla siebie niewidzialni. Nieraz się zastanawiała, dlaczego tak było. Dlaczego niektórzy ludzie oddziaływali na siebie tak mocno, że ich oczy koncentrowały na sobie ich wzrok, zaciemniając wszystko wokół? Skąd brał się ten zapalczywy pociąg, dążenie, by choć przez chwilę się zderzyć i o siebie roztrzaskać? Tak. Alicja i Oskar w końcu pozwolili się sobie zderzyć, a ona wciąż czekała na moment, w którym nastąpi śmiertelna eksplozja. Nie potrafiła być szczęśliwa. Zawsze czekała na najgorsze.

Korda szedł w jej stronę zdecydowanym krokiem. Wyprostowany, pewny siebie, magnetyczny. Jeszcze niedawno ten widok wzbudziłby jej entuzjazm. Ale dziś czuła niejasno, że detektyw podoba jej się za bardzo. I to sprawiało, że czuła się zagrożona i słaba. Podatna na rany.

– Cześć. – Oskar się uśmiechnął.

Uśmiech nie uśmiech.

– Siema – odparła Alicja, jakby chciała samej sobie udowodnić, że ten uśmiech nic dla niej nie znaczy.

– Siema? – Rozbawiony ściągnął brwi. Przyłgął do jej ust. Jego wargi były gorące i miękkie. Idealnie pasujące do jej warg. Układające się w nich jak kostki puzzli.

Jej wątpliwości zaczęły się rozpląwać. To było takie dobre, takie właściwe. Czuła to całą sobą. I miała pewność, że Korda też to czuł. Czemu znowu panikowała? Czemu zachowywała się jak idiotka? Bo wiedziała, na czym to polegało. Miłość wynikała ze zwykłej chemii mózgu. A chemia zawsze mogła się zmienić. Wystarczyło dodać jeden element, by zmienić jej skład. Coś przeobrażało się w coś innego. Przecież wykazywały to najprostsze naukowe eksperymenty.

– Jak twój dzień? – zapytała.

– Długi. I prężny. – Zaśmiał się w odpowiedzi.

– Hmm... Taki, jak lubię.

Podniosła ostentacyjnie brew.

– Ty mały zbrojeńcu. – Przygarnął ją do siebie. – Uwielbiam, kiedy tak mówisz, wiesz? Tym swoim pięknym, dźwięcznym głosem.

– Uwielbiam, gdy mnie uwielbiasz.

Ich usta złączyły się w pocałunku. Jeszcze jednym doskonałym pocałunku.

– Mam niebawem spotkanie z Janką – powiedział detektyw, kiedy skończyli. – U mnie.

Grabska poczuła skurcz w brzuchu. „Wystarczy jeden element, by zmienić chemiczny skład miłości” – przebiegło jej przez myśl.

– Jedziemy? – zapytał.

Kiwnęła głową.

Dyskomfort w brzuchu wprawdzie ustąpił, ale cień niepokoju, jaki się w niej nagle pojawił, pozostał.

– *Lucilia sericata* – powiedziała Janka, uśmiechając się z zadowoleniem. – Mucha zielona, czyli gatunek muchówki z rodziny plujkowatych.

– Mucha? – powtórzył Korda. – Na miejscu zbrodni znalazłaś muchę? – Detektyw wydał policzki z powątpiewaniem.

Gotująca się w czajniku woda zaczęła szumieć. Alicja wyjęła z szafki trzy filiżanki i wsypała do nich kawę.

– Muchę. Muchę zieloną, a właściwie okrywę poczwarki, w której wylęgła się mucha – uściśliła Hinc. – Zresztą to prawdopodobnie ta, na którą zwróciłam uwagę na miejscu zbrodni, pamiętasz?

– To jakaś rzadka mucha? – zainteresowała się Grabska, opierając się tyłem o blat.

– W Polsce mamy dwieście siedemdziesiąt osiem gatunków much. No i mucha zielona jest jedną z nich. Powiedziałabym, że nie jest niecodzienna – odparła Hinc. – W dorosłej postaci występuje przede wszystkim w środowisku antropogenicznym, czyli nieopodal zabudowań gospodarskich, przede wszystkim tam, gdzie może znaleźć jakąś materię organiczną. Ponadto można ją spotkać na łąkach, polanach czy ugorach.

– Aha. Czyli na miejscu zbrodni znalazłaś... muchę. – Korda podrapał się w głowę, starając się zachować profesjonalizm. – Oczywiście doceniam twoją pracę, Janka, naprawdę, ale wiesz... miejsce zbrodni i muchy? – Uśmiechnął się przepraszająco. – Czy to nie jest zbyt mało specyficzne, by traktować to jako ślad?

– Oczywiście na zwłokach żeruje wiele gatunków owadów, w tym much. Muchówki niezwykle szybko wyczuwają padlinę i potrafią dotrzeć do niej nawet z odległości sześćdziesięciu kilometrów. Ale ich obecność i skład ewoluują wraz z porą roku oraz zmiennymi warunkami środowiska.

– Tymczasem ciało Elizy Zalewskiej zostało znalezione zimą, gdy w Polsce muchy raczej nie są aktywne – wtrąciła Alicja.

– I to w zamkniętym pomieszczeniu – dodał detektyw.

– Dokładnie. Co więcej, muchówki składają na padlinie jaja, głównie w naturalnych otworach ciała i w ranach. I teraz ważne: te jaja w kształcie ziarenek ryżu składają w skupiskach. A ja znalazłam pojedynczy odwłok poczwarki. I to nie w ranie, tylko na nocnej koszulce ofiary.

– Co to oznacza? – zastanowił się Korda.

– Zakładałabym, że sprawca przeniósł na sobie pojedynczą larwę tej muchy, która tymczasem osiągnęła dojrzałość i się przepoczwarzyła.

– Wędkarz?

– Być może. Sprawdziłam, że larwy much zielonych są chętnie wykorzystywane przez wędkarzy jako przynęta. A w marcu, kiedy doszło do zbrodni, znów rozpoczyna się sezon na wędkowanie, bo wiele gatunków ryb zaczyna aktywniej żerować. Więc to hipoteza, którą warto by wziąć pod uwagę. Ale jest jeszcze jedna ciekawostka, która może być pewnym tropem.

– Zamieniam się w słuch. – Blizna na policzku Kordy podniosła się w lekkim uśmiechu.

– W ostatniej dekadzie larwy *Lucilia sericata* okrzyknięto „cudownym czerwem leczniczym”.

Korda i Alicja wymienili zdumione spojrzenia.

– W sensie, że zżerają martwą tkankę, tak? – drażył detektyw.

– W uproszczonej wersji. – Janka wydawała się rozbawiona. – W bardziej rozwiniętej natomiast muchy zielone, z racji różnorodnych właściwości biochemicznych, stymulują procesy naprawcze w ranie. Wydzieliny i wydaliny tych larw działają antybakteryjnie, antybiofilmowo i przeciwzapalnie. I dlatego stosuje się je do oczyszczania i pobudzania procesów naprawczych w trudno gojących się, przewlekłych ranach.

– Okeeeej. – Oskar się zamyślił. – Czyli co? Nasz sprawca może być jakimś lekarzem hochsztaplerem stosującym larwoterapię?

– No właśnie nie hochsztaplerem. – Janka przewróciła oczami. – Terapia larwalna to inaczej terapia biochirurgiczna. Wprawdzie jest znana od

stuleci, ale w ostatnich latach zyskała wielkie uznanie w nowoczesnej medycynie, bo okazało się, że larwy oczyszczają rany dokładniej i szybciej niż tradycyjne metody.

– No dobrze. – Korda westchnął. – Czyli nasz sprawca może być zwykłym chirurgiem, tak?

– Nie można tego wykluczać. Ale oczywiście może być też hochsztaplerem. – Zaśmiała się.

Korda z niedowierzaniem uniósł ręce.

– No co? – Janka wybuchnęła śmiechem. – Mało to na wsiach albo w małych miasteczkach lekarzy oszustów?

Korda z Alicją pokiwali głowami.

– No właśnie. Więc nie możemy wykluczać, że to jakiś domorosły specjalista, który się bawi w lekarza.

– Czyli mamy wędkarza, lekarza i znachora – podsumował detektyw.

– A może to ktoś, kto sam ma jakąś ranę i korzysta z larwoterapii? – rzuciła Grabska.

– Czyli wędkarz, lekarz, znachor lub osoba w jakiś sposób niedysponowana czy niezdrowa – wyliczył policjant.

– A może ktoś, kto ma jakąś zajawkę na larwy much? – zastanowiła się Janka.

– Jak można mieć zajawkę na muchy? – Korda się skrzywił.

– Jak zapewne wiesz – odparła ze śmiechem Hinc – ludzie mają najdziwniejsze fetysze.

– W dziełach kultury niejednokrotnie nawiązuje się do symbolicznego powiązania muchy z człowiekiem – wtrąciła Alicja. – Na przykład w literaturze mucha opisywana jest jako czynnik pewnej dezorganizacji przestrzennej, a to z kolei sprawia, że zaczyna być postrzegana jako coś niebezpiecznego i nieokiełznanego. Więcej! Pamiętacie *Władcę much* Goldinga? Tam muchy miały konotacje demoniczne, zresztą coś podobnego pojawiało się też chyba w *Dziadach*.

– W Biblii natomiast muchy uosabiały często karę boską – podchwyciła Janka. – „Ja ześlę muchy na ciebie”! – zawołała gromkim głosem.

– No i przede wszystkim muchy są nieodłącznym towarzyszem ludzkiego końca – dodał Korda. – A tym samym można je generalnie utożsamiać ze śmiercią, z rozkładem, brudem, ze zgnilizną i z zepsuciem.

– Myślicie, że sprawca celowo zostawił tę larwę na koszuli nocnej ofiary?
– Alicja upiła łyk gorącej kawy. – Jako symboliczny przekaz?

– Nie sędzę, choć nie można tego wykluczać – rzekł Oskar. – Gość ewidentnie jest psycholem. I to najgorszego rodzaju. – Detektyw też sięgnął po kubek z kawą. – Jezuuu, jakie to dobre. – Westchnął, siorbiąc płyn.

Wyjrzał przez okno bloku przy Tatrzańskej, za którym rozciągała się ciemność. Na ciemnym, wzburzonym morzu chybotąło w oddali jakieś światełko.

– Mam coś jeszcze – odezwała się nagle Hinc. – Chyba wiem, czym pachniał sprawca.

– I dopiero teraz mówisz? – Korda pokręcił głową.

– Lubię budować napięcie. – Ekolożka się uśmiechnęła.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– A więc? – przerwała im Alicja.

– Dziurawiec. Na kocu, którym sprawca przykrył telewizor, a także na koszuli nocnej ofiary odnalazłam ziarna pyłku dziurawca. Suszonego dziurawca – dodała zadowolona Janka i znów utkwiała wzrok w zaskoczonym mężczyźnie.

18

Temperatura wzrosła do trzynastu stopni. Ptaki ukryte w konarach rozkwitających drzew śpiewały jak oszalałe. Lekki wiatr poruszał liśćmi, wprawiając je w uspokajający szelest. Korda trzasnął drzwiami auta i spojrzał na dom. Jednopiętrowy budynek otaczały teraz zieleniące się

krzewy. Od okiennych szyb odbijało się słońce, niemal rażąc go w oczy. Nie było policyjnych taśm, plomba została już dawno ściągnięta. Jakby nigdy nic tu się nie stało. Zwyczajny dom na zwyczajnej ulicy. Pogrążony w wiosennej aurze zabierającej złe wspomnienia.

Detektyw wszedł za bramkę, zadzwonił i wkrótce w progu stanął Grzegorz Zalewski. Siwiejące włosy miał starannie uczesane. Zapuścił zarost, który nadał mu paradoksalnie bardziej młodzieńczy wygląd.

Znaleźli się w mieszkaniu. Skrzyp. Skrzyp. Skrzypiała podłoga pod ich stopami. Korda patrzył z góry na swoje stąpające po parkiecie buty. Dzień w jego umyśle przeszedł nagle w noc. Wydało mu się, że znajdująca się na końcu korytarza sypialnia była zamknięta, ale sprawca musiał dobrze wiedzieć, kto spał za jej drzwiami. W ciemności podążał w jej kierunku. Nacisnął klamkę i bezszelestnie dostał się do środka.

– Napije się pan czegoś? – Głos gospodarza rozmył obraz roztaczający się przed jego oczami.

Detektyw skinął głową i skęcili do kuchni. Do środka wpadało słońce, rozświetlając sterylną biel frontów. Przez otwarte okno przedostawały się trele skowronków.

– Kawy? – zapytał mąż zamordowanej Elizy Zalewskiej.

– Poproszę – odparł Korda.

Przyglądał się, jak mężczyzna sięga po czajnik, podchodzi do zlewu i odkręca wodę. Za oknem znów pociemniało, a kuchnię zalało ostre górne światło. Przy zlewie stał sprawca. W ręku trzymał nóż. Strumień wody opadał prosto na zakrwawione ostrze. Stalowa komora pokrywała się czerwienią, a w sitku osiadało DNA ofiary.

– Macie coś nowego? – Zalewski wstawił czajnik i oparł się o szafkę. Wpatrywał się wyczekująco w Kordę.

– Nic, o czym mógłbym panu powiedzieć. – Policjant westchnął. – Na razie badamy różne tropy.

– Różne tropy? Niby jakie?

– Cóż, sprawca nie zostawił zbyt wielu śladów. Nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców, nie było spermy, żadnego DNA, które mogłoby doprowadzić do kogoś z policyjnej bazy. Na głowie, jak pan zeznał, miał kominiarkę, więc nie mogliśmy sporządzić portretu pamięciowego.

– Przecież to nie jest duch. Nie rozplynął się ot tak w powietrzu.

– Oczywiście, to nie jest duch. To tylko człowiek. A każdy człowiek jest omylny – zapewnił detektyw. – Dorwiemy go. Prędzej czy później.

Zalewski kiwnął głową i wyciągnął z szafki dwa kubki. Odmierzył kawę, wsypał ją do sitka, które zaczął powoli zalewać gorącą wodą z czajnika. Był taki spokojny. Opanowany. Czy nadal był w szoku? Czy jego mózg uruchomił mechanizm obronny, który nie dopuszczał obrazów z tamtej straszliwej nocy? A może tylko udawał? Może za wyrachowaną maską krył się huragan emocji? Może za każdym razem, gdy odkręcał kran, widział sięgającą do kurka rękę nieznanego mężczyzny? Rękę, która chwyciła za młotek i roztrzaskała głowę jego żony? Bo analiza mechanoskopijna wykazała, że to był młotek. Pokryty farbą młotek w kolorze szarozielonym. Młotek w kształcie walca, o wyjątkowo krótkiej rękojeści, co od razu podłapała Alicja Grabska, nadając sprawcy chwytliwą ksywę: Młotkarz z Kamiennego Potoku.

Zalewski otworzył kolejną szafkę i wyjął z niej paczkę krakersów. Przesypał je do miseczki i szybkim ruchem sięgnął po jednego.

Trach. Trach. Ciastko pękło i rozkruszyło się pod jego zębami.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna. – Nic dzisiaj jeszcze nie jadłem i nagle poczułem jakiś straszny głód. Przejdziemy do pokoju?

Wziął do rąk dwa kubki z kawą i wyszedł z kuchni. Korda podążył za nim, przyglądając się jego plecom. Lekko zgarbionym, odzianym w szary sweter. Czy czuł wyrzuty sumienia? Bezsilność? Złość? Ból? Tęsknotę? Pustkę? A może wszystko po trochu. A może wszystko w maksymalnej dawce?

„Pająk ci wchodzi do ucha”. W mózgu Kordy rozbrzmiał zasłyszany kiedyś szept, który sprawił, że niemal zgiął się w pół.

Znów skupił się na zgarbionych plecach przed sobą. Z dwóch kubków unosił się intensywny zapach.

Weszli do pokoju. Sporo się tu zmieniło, odkąd Korda był tu ostatni raz. Z okien zdjęto zasłony, zakrywały je teraz drewniane żaluzje, rzucające na przeciwległą ścianę schodkowy cień. Z komody zniknęły wszystkie przedmioty, łącznie ze zdjęciem uśmiechniętej blondynki, która tu niegdyś mieszkała. Na podłodze leżał nowy, puszysty dywan. Część klepek, odróżniająca się nieco odcieniem od reszty, została wymieniona. Czysto, schludnie, porządnie.

Jakby nic się nie stało.

A może jakby stało się wszystko.

– Proszę. – Zalewski wskazał Kordzie miejsce na kanapie, a sam przysiadł w fotelu.

Kubki z kawą uderzyły cicho o szklany blat stolika kawowego.

– Wiem, że już o tym rozmawialiśmy – zaczął detektyw. – Ale chciałbym prześledzić wszystko jeszcze raz. Opowiedziałby mi pan znowu, jak układało się panu z żoną?

Mężczyzna zacisnął usta i przesunął dłonią po bujnej brodzie.

– Dobrze nam się układało. Wiadomo, były lepsze i gorsze okresy, ale byliśmy dobrym małżeństwem.

– Czyli byliście ze sobą szczęśliwi, tak?

– Tak. Byliśmy ze sobą szczęśliwi – odparł cierpko Zalewski.

Wydawał się teraz poirytowany. Znów skubnął zarost, nerwowo sięgnął po kubek z kawą, upił. Naczynie brzęknęło o szklany stolik.

– Jak opisałby pan swoją żonę?

– Piękna, zabawna, miła, inteligentna. Miała wszystko to, co powinna mieć kobieta.

– Ideał.

– Tak. Ideał.

Zalewski twardo spojrzał Kordzie w oczy.

– Ale każdy ideał ma skazy. – Detektyw wytrzymał spojrzenie.

– Nie wiem, o co panu chodzi – zachnął się Zalewski i się skrzywił.

– Przyjaciółka pana żony zeznała, że Eliza była wykorzystywana seksualnie w dzieciństwie. I to w domu rodzinnym. Wiedział pan o tym?

Mężczyzna ściągnął brwi.

– Nie. Nie wiedziałem – odparł po chwili milczenia.

– Z tego, co udało nam się ustalić, w wyniku doznanej traumy Eliza Zalewska utrzymywała dość swobodne kontakty seksualne z różnymi mężczyznami.

– Cóż, każde z nas przed ślubem miało swoje życie. – Wzruszył ramionami. – To zupełnie normalne.

– Przed ślubem tak, ale po ślubie już nie do końca.

Korda skoncentrował się na reakcji siedzącego naprzeciw mężczyzny, lecz ta nie nastąpiła. Zalewski sięgnął po kawę, upił kilka łyżków, odstawił kubek na stolik.

– Co ma pan na myśli? – Rozparł się spokojnie w fotelu.

– Podobno był pan bardzo zazdrosny o żonę. – Korda też rozsiadł się na kanapie.

– Chyba jak każdy kochający swoją kobietę mężczyzna.

– Według zebranych zeznań odciął pan Elizę od przyjaciół. Dlaczego?

– Przyjaciół? Eliza ich nie miała.

– A Sandra Biały?

– Sandra Biały – sarknął z niechęcią. – Cóż, Eliza sama nie chciała utrzymywać z nią kontaktu. A ta wpadała do nas jak do siebie. Tupet miała, a mojej żonie się to nie podobało. Sama zdecydowała, że nie chce się już z tą osobą kolegować.

– Czy kiedykolwiek był pan agresywny wobec żony?

– Co to w ogóle za pytanie? Oczywiście, że nie.

– Hmm – mruknął Korda i potarł bliznę. – Nasza informatorka była świadkiem, jak w listopadzie rok temu złapał pan żonę za włosy i brutalnie ciągnął po korytarzu.

Korda mimowolnie przeniósł wzrok na hol roztaczający się za otwartymi drzwiami, choć zdawał sobie sprawę, że ta sytuacja, o ile naprawdę się zdarzyła, miała miejsce w starym mieszkaniu Zalewskich. W głowie usłyszał charakterystyczne odgłosy szarpaniny. Eliza musiała się wyrywać. Na pewno krzyczała. Rękami starała się dosięgnąć palców męża, by złagodzić ból ciągniętej skóry. Jej nogi raz po raz uderzały o podłogę.

– Nigdy nic takiego nie miało miejsca. Biały to patologia. Nic więcej. Takie dziewczyny umieją kłamać jak z nut.

– A czemu miałyby kłamać?

– Żeby skupić na sobie uwagę? – Wzruszył ramionami. – Chyba wie pan, jak to jest.

– Zeznał pan, że owego feralnego dnia Eliza wróciła z pracy koło siedemnastej. Wieczorem oglądała jakiś film, podczas gdy pan remontował poddasze. Potem pan do niej dołączył. Położyliście się spać o innych godzinach, tak?

– Dokładnie.

– Jest pan pewien, że pana żona tego wieczoru nigdzie nie wychodziła?

– Jak najbardziej.

– Wasz sąsiad, Wiesław Tymiński, który spacerował akurat z psem, zeznał, że widział, jak przed północą pańska żona podjechała pod wasz dom. Wsiadła z auta i weszła do środka. A w kuchennym oknie stał pan.

– Bzdura – obruszył się Zalewski. – To musiało być innego dnia. Pan Tymiński ma swoje lata, więc musiało mu się coś pomylić.

– Cóż, nie możemy wykluczać takiej opcji. – Korda cmoknął cynicznie. Sięgnął po kawę i rozejrzał się po pokoju. Żadnych oznak zmarłej żony. Nic, co by o niej przypominało. – A czy kiedykolwiek zdradził pan żonę?

Tym razem Zalewski natychmiast się wyprostował. Jego oczy błysnęły.

- Nigdy. – Zacisnął zęby.
- A ona? – Korda nachylił się konfidencjonalnie w stronę mężczyzny. – Czy kiedykolwiek pana zdradziła?

19

Płacz. Urywany oddech. Wycie. Przeciągłe, pełne bólu. Pełne przerażenia. Starał się otworzyć oczy, ale sen był głęboki, nie mógł się od razu z niego wydobyć. A może ten dźwięk to część płynąca z podświadomości? Może wystarczyłoby rozejrzeć się wokół, by płacząca kobieta wychynęła z mroku, zmieniając senną narrację? Ta myśl była mglista, powoli się rozplýwała. Artur Tokarz nie pamiętał już nawet, że miał się rozejrzeć, że miał znaleźć jakąś kobietę. Sen znów zaczął go morzyć, a jęk przeobrażać się w miauczenie jakiegoś nierealnego stwora. Jak błogo. Jak dobrze. To uczucie zapadania się w siebie nie mogło się równać z niczym innym.

– *Wakey-wakey*. – Tuż przy uchu rozbrzmiał nagle inny głos.

Męski, gardłowy.

Zupełnie niepasujący do słów, którymi matki wybudzały dzieci w amerykańskich filmach.

Artura ogarnął niepokój tak duży, że od razu uniósł powieki, a przecież po apozolpinie, którym od jakiegoś czasu zwalczał bezsenność, nie sposób było go w nocy dobudzić.

Światło.

Ostre, oślepiające, dotkliwe.

Natychmiast zmrużył oczy.

Tętno przyspieszyło. Serce zaczęło się wrywać z klatki piersiowej. Starał się podnieść, ale wtedy coś wbiło mu się boleśnie w skórę na szyi.

– Jeśli się ruszysz albo wydasz z siebie jakikolwiek dźwięk – szepnął mu ktoś do ucha – wbiję w ciebie ten nóż.

„Co tu się dzieje? Co tu się, kurwa, dzieje?!” Przez głowę Tokarza zaczęły przelatywać gorączkowe myśli. Wciąż czuł na gardle ostrze. Gdy tylko próbował się ruszyć, jego koniuszek mocniej się w niego zagłębiał. Ostre pieczenie sygnalizowało, że nóż przeciął skórę i popłynęła krew.

Znów rozwarł powieki. Światło nie padało już wprost na niego. Teraz przesuwano się chaotycznie po ścianie, po pościeli. Latarka – jak zdał sobie sprawę, powoli, bardzo powoli łącząc fakty. Środek nasenny sprawiał, że jego mózg nadal działał w zwolnionym tempie. A może to wszystko tylko mu się śniło? Może to tylko sen? Tylko sen...

Rozedrgany wodził wzrokiem za podskakującym światłem latarki. Starał się coś dostrzec. Poukładać. Powiązać fakty, wciąż niejasne, niezorganizowane, nierealne. Aż wreszcie snop światła zatrzymał się na twarzy. Bladej, zamarłej w przerażeniu twarzy jego żony. Po jej policzkach spływały łzy, a z ust wydobywał się cichy skowyt. Ciągły jak syrena latarni morskiej.

– Zamknij się, kurwo! – syknął przez zęby głos.

Okręła soczewka latarki znów zawirowała. Coś świsnęło w powietrzu i opadło ciężko na łóżko. Światło znów padło na twarz kobiety. Szeroko rozwarte oczy zognomniały ze strachu. Były nienaturalnie duże, wybałuszone, takie, jakich Tokarz nigdy u niej nie widział.

– Skrępuj mu ręce i stopy! – nakazał głos, a podbródek kobiety zaczął konwulsyjnie dygotać. Znów zaskowytała, tym razem głośniejsze i bardziej panicznie.

– Zamknij się, kurwo, powiedziałem.

Głos przepelniała nienawiść.

– Jeśli go nie skrępujesz, to zabiję go na twoich oczach.

Mężczyzna przywarł mocniej nożem do skóry Artura, aż ten mimowolnie jęknął.

Kobieta drgnęła. Chwyciła leżącą przed nią szpulkę srebrnej taśmy klejącej i przeszła na kolanach w stronę męża. Sprężyny materaca zajęczały

pod jej ciężarem. Nogi zapadały się w materiał miękkiej pościeli, tak że ledwo łapała równowagę. W końcu dobrnęła do męża. Kiedy pochyliła głowę, poczuł w nozdrzach zapach kokosowego szamponu. I czegoś jeszcze. Czegoś słodko-kwaśnego, czego nigdy wcześniej nie czuł. Nóż znów mocniej wbił mu się w skórę, był pewien, że krew ściekała już ciurkiem po szyi. Nachylający się nad nim mężczyzna szarpnął go za rękę. On też wydzieliał dziwną woń. Słodkich ziół. Tokarz skądś znał ten zapach, ale nie miał czasu się teraz nad tym zastanawiać. Żona oderwała z hałasem taśmę od rolki i zaczęła mu owijać przeguby. Dłonie jej drżały. Tak bardzo drżały. Podobnie jak urywany oddech, którego niemal nie potrafiła zaczerpnąć. Bała się. Artur dobrze to wiedział. On też się bał. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał. Czuł tak wielkie napięcie, że niemal nie mógł go unieść. Rozsadzało mu mózg. Nie chciał umierać. Naprawdę nie chciał umierać. Chciał przetrwać, za wszelką cenę, bez względu na wszystko.

– Mocniej – syknął oprawca, sprawdzając więzy.

Światło latarki zawirowało, padając mu na twarz. Przerażony Artur ze świstem nabrał powietrza. Brązowa włóczkowa maska przykrywająca rysy oprawcy sprawiała okropne wrażenie. W żadnym horrorze Tokarz nie widział czegoś tak potwornego. Tylko najohydniejsza wyobraźnia mogła podsunąć tamtemu taki pomysł.

– Nogi! – zaordynował potwór.

Artur ze zdziwieniem zauważył, że facet się lekko zająknął. Może też się bał? Może przepełniała go niepewność, którą maskował gardłowym szeptem? „Powinienem być zareagować, powinienem być walczyć, póki jeszcze mogłem” – przeszło mu przez głowę.

– Knebel – nakazał napastnik, a Ewa z nagłą siłą wepchnęła mu do ust coś obrzydliwego. Jakiś śmierdzący materiał, który wywołał natychmiastowe mdłości. Tokarz ledwo je powstrzymał. Resztki rozsądku mu podpowiedziały, że mógłby się udusić własnymi rzygowinami.

„Czy Ewa musi działać z taką siłą? – pomyślał nagle. – Czy po prostu nie kontroluje swoich odruchów? A może w niej też włączył się mechanizm przetrwania? Podporządkowała się, okazała uległość, pełne poddanie. Chce żyć”.

Człowiek w masce znów zwrócił się do kobiety:

– Kładź się!

Artur zdał sobie sprawę, że tamten w końcu odsunął nóż od jego gardła. Paradoksalnie szczypanie się nasiliło. Jego szyję zalała ciepła krew. Wtem poczuł, że napastnik wgramolił się na łóżko, bo sprężyny materaca ugięły się pod jego ciężarem i zaraz odskoczyły, gdy się z niego dźwignął. Leżący bez ruchu Artur wodził niespokojnie wzrokiem za przesuwającym się po pokoju światłem latarki. Patrzył, jak czarny cień zszarpuje majtki z gołych, jasnych nóg jego żony, rozdzierając materiał, i wkłada je w jej usta, a potem krępuje jej dłonie i stopy. Znika na chwilę za drzwiami, po czym wraca z czymś w rękach, ponownie się zbliża i stawia mu coś ciężkiego na brzuchu.

„Co to, kurwa, jest?”

Wyteżył wzrok, starając się dojrzeć, czym go przygniótł. Napiął szyję i brzuch. „Talerze – skonstatował. – Stos zwykłych talerzy”.

– Jeśli choć drgnie sprężyna, jeśli tylko usłyszę, że się poruszasz, zabiję wszystkich w tym domu. – Gardłowy szept nachylił się ku niemu, po czym męczyzna znów zniknął w ciemnym korytarzu.

Skrzypnęła podłoga. Zapaliło się światło. Stuknęły szafki, zaszurały szuflady. Otwieranie, zamykanie. Otwieranie, zamykanie. „Przetrząsa mieszkanie – pomyślał Artur i poczuł nagłą ulgę. – Może chce nas tylko okraść. Tylko okraść” – niemal się ucieszył. Włożył cały wysiłek w nasłuchiwanie.

Otwieranie. Zamykanie. Otwieranie. Zamykanie. Skrzypienie podłogi. Stukot. Lecąca z kranu woda. Zgrzyt zakręcanego kranu. Otwieranie.

Zamykanie. Przesuwanie krzesła. Cisza. Długa cisza. Przesuwanie krzesła. I nagle śpiew. Zduszony, mętny, ochrypły, zbliżający się korytarzem.

– Zabiję was! Zabiję was! Zabiję was!

Adrenalina.

Noradrenalina.

Kortyzol.

Hormony stresu z taką mocą uderzyły mu do głowy, że Artura aż zamroczyło. Mimo woli się poruszył. W tej samej chwili stos talerzy się zachwiał, a jeden z nich zleciał na podłogę, rozbijając się.

Tokarz zamarł. Zduszony jęk Ewy się wzmógł.

„Zamknij się, kurwo – krzyknął do niej w myślach. – Może nic nie słyszał, może nie słyszał” – łudził się gorączkowo, wsłuchując się w coraz donośniejszy, niemalże radosny śpiew.

– Zabiję was! Zabiję was! Zabiję was!

Mężczyzna w masce popatrzył na Artura i przechylił głowę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym znowu ruszył, ale tym razem w stronę jego żony. Tokarz odetchnął w duchu, starając się nie poruszyć nawet o milimetr. Patrzył, jak czarna postać podchodzi do Ewy i zarzuca jej coś na głowę, dusząc skowyt. Patrzył, jak siada na niej okrakiem, jak ją gwałci, a następnie sięga po jakiś leżący w ciemności przedmiot. Jak unosi rękę i uderza. Raz i drugi. I trzeci. I czwarty. I piąty. Jak uderza z pasją, rozłupując coś twardego, co najpierw gruchocze, a potem niemal nie wydaje dźwięku. Jak w końcu opuszcza rękę i ciężko oddycha.

Tokarz zacisnął oczy, dusząc wzbierający w gardle szloch.

„Już po wszystkim – pomyślał. – Po wszystkim. Przecież ja nie zginąłem. Morderca zabił mi tylko żonę”.

Otworzył oczy.

Światło latarki padło teraz wprost na maskę – wełnianą, brązową, najbardziej przerażającą maskę, jaką Artur kiedykolwiek widział. Tamten

wbił w niego płonące oczy, przechylił głowę, chwilę milczał. I w końcu powiedział gardłowo:

– Wiedziałem, że przegrasz.

Ciśnienie w głowie Artura maksymalnie wzrosło. Sprężyny się napięły, puściły. Cień przyspieszył.

Nim uderzył w czaszkę mężczyzny, z jego gardła wydobył się stłumiony pierwszy i ostatni krzyk.

20

Oskar Korda wjechał na podjazd pod sopocką komendę. Promienie słońca odbiły się od przeszklonego frontu, błysnęły i na chwilę go oślepiły. Trzasnął drzwiami, przystanął i głęboko odetchnął. Zapach wiosny. Strasznie za nim tęsknił. Z kieszeni skórzanej kurtki wydobył paczkę papierosów. Odpalił jednego. W takiej aurze nawet papieros smakował lepiej. Zerknął w górę. Niebo było dziś przejrzyste, jasnoblękitne, z białym szlaczkiem pozostawionym przez samolot. Wyjął z kieszeni telefon i wszedł w korespondencję z Alicją. Wybrał ikonkę serduszka, lecz jego palec wciąż nie wciskał polecenia „wyślij”. Przecież to było tylko małe serduszko. Nie miał z nim wcześniej problemu. A jednak teraz czuł jakiś opór. Tak jakby ponowne wkroczenie w świat z jego przeszłości wzmocniło w nim barierę, którą tak długo starał się zlikwidować. Był wybrakowany. Dobrze o tym wiedział. A myślał, że ma to już za sobą. W końcu minęło tyle pieprzonych lat.

„Brak miłości to też ślad. Choć niewidoczny, nie da się go usunąć” – przypomniał sobie słowa Janiny. Z ironicznym uśmiechem pokręcił głową. Trzeba było przyznać, że ta to zawsze uderzała w punkt. Było w niej coś takiego, co mu imponowało. Unosiła się ponad. Ponad wszystkimi. Dlatego tak lubił z nią współpracować.

Schował telefon do kieszeni, zgasił niedopałek i po chwili znalazł się w budynku. Przez przeszkloną, półokrągłą ścianę wpadało do środka ciepłe wiosenne światło, dzięki czemu na komendzie pogrążonej przez wiele miesięcy w szarości zrobiło się dużo przyjemniej. W środku panował zaskakujący spokój. Na krzesłach pod oknem wyjątkowo nie siedzieli żadni interesanci, większość funkcjonariuszy rozeszła się do obowiązków. Tylko przy recepcji stała jakaś kobieta w długim czarnym płaszczu. Miała gładko ściągnięte ciemne włosy.

– Ale proszę mnie tutaj nie zwodzić! – podniosła głos. – Dzwoniłam już wczoraj, czekałam, tak jak mówiliście, i już za dużo czasu minęło, pan rozumie? Rozumie mnie pan?

– Rozumiem, proszę pani. – Stojący za kontuarem blondwłosy recepcjonista, Michał Marczewski, miał kamienną twarz. – Proszę sobie usiąść i wypełnić formularz – dodał i podsunął kobiecie dokument.

– Ale czy ktoś to dzisiaj sprawdzi? Czy ja sobie wypełnię formularz, pójdę do domu i nic się nie wydarzy?

– Rozpatrzymy podanie i jeśli uznamy zgłoszenie za zasadne, wyślemy radiowóz.

Korda chwilę przysłuchiwał się rozmowie, po czym przystanął przy automacie z kawą, wybrał odpowiednią opcję i postawił tekturowy beżowy kubeczek na podstawce. Parujący brązowy płyn powoli zaczął ciurkać z kraniku.

– Jeśli uznacie zgłoszenie za zasadne? – rozzłościła się kobieta, a Korda mimo woli odwrócił się w jej stronę. – Zasadne?! Czy pan mnie w ogóle słucha? Ma pan wysłać radiowóz natychmiast! Teraz! Nie odejdę stąd, póki tak się nie stanie!

– W tej chwili nie mamy żadnego wolnego patrolu, proszę pani – odparł Marczewski. Recepcjonista Wydziału Sztabu Policji w Sopocie pracował u nich od jakichś dwóch tygodni. Wcześniej był wakat przez dobrych kilka miesięcy. Najwyraźniej nikt się nie palił, by zajmować się ruchem

osobowym i obsługą interesantów na sopockiej komendzie. – Poza tym uprawniony do zgłoszenia zaginięcia jest członek rodziny, opiekun prawny lub przedstawiciel ustawowy osoby zaginionej względnie kierownik instytucji, w której osoba zaginiona przebywała w celu leczenia albo sprawowania nad nią opieki – wyrecytował młody policjant. – Czy jest pani którąkolwiek z tych osób? – spytał i uśmiechnął się z przymusem.

– Przecież panu tłumaczyłam, że jestem najbliższą przyjaciółką. To za mało? Za mało panu?! – Kobieta rąbnęła pięścią w blat kontuaru i zrezygnowana rozglądała się wokół, jakby wypatrywała kogoś, kto ją wesprze.

Jako że na nikogo takiego się nie natknęła, zawiesiła wzrok na Kordzie. Jej piwne oczy patrzyły przenikliwie i prosząco. Detektyw mruknął coś niezrozumiale i chwycił napełniony kubek z kawą.

– Uprawniona do zgłoszenia zaginięcia jest też każda osoba – podszedł do kontuaru – która w zgłoszonym zawiadomieniu uzasadnia podejrzenie popełnienia przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu lub wolności osoby zaginionej albo wskazuje jednoznacznie okoliczności zaginięcia takiej osoby.

Po interwencji Kordy kobieta z wyższością spojrzała na stojącego za ladą mężczyznę, a potem uśmiechnęła się z wdzięcznością do komisarza.

– Detektyw Korda – przedstawił się. – Powie mi pani, o co chodzi?

– Od trzech dni próbuję się skontaktować z moją przyjaciółką Ewą Tokarz. Ale telefon ma wyłączony, co w ogóle nie jest do niej podobne, bo nigdy się z nim nie rozstaje. Artur, jej mąż, nie odbiera, choć jest sygnał. Dzwoniłam do pracy Ewy i okazuje się, że od trzech dni się tam nie pojawiła. Uprzedzając pana pytanie: nie wzięła urlopu. Nie miała też w planach wyjazdu. Bardzo się niepokoję, naprawdę. To nie jest do niej podobne, musi mi pan detektyw uwierzyć.

– Mamy jakiś radiowóz, który możemy tam wysłać? – zwrócił się Korda do Marczewskiego.

– Serio nie ma nic wolnego. No mówiłem tej pani. Jak coś będzie, to wyślę.

Kobieta bezradnie westchnęła. Pokręciła głową.

– Ja naprawdę muszę sprawdzić, czy wszystko w porządku. A przecież wie pan, że tego Młotkarza nadal nie złapano, więc proszę się nie dziwić, że się denerwuję. Mam już najgorsze wizje. Chcę się po prostu przekonać, że to tylko moja wyobraźnia. Proszę mnie zrozumieć. Bo ja odchodzę od zmysłów.

Posłała Kordzie proszące, hipnotyzujące spojrzenie.

– A gdzie mieszka ta pani przyjaciółka? – zapytał uprzejmie.

– Na Kamiennym Potoku. Przy Małopolskiej. Niedaleko od tamtego... – Odetchnęła głęboko. – No wie pan, tamtego miejsca – dodała szeptem.

– A była tam pani sprawdzić? Pukała do drzwi?

– Oczywiście! Nikt nie otworzył. Pusto, cicho. A zasłony w sypialni cały czas są zaciągnięte.

Korda mruknął i przejechał palcem po bliźnie na policzku.

– Dobrze – powiedział po chwili zastanowienia. – Pojadę tam z panią i zobaczymy. Zapraszam. – Wskazał kobiecie drogę. – Jak się pani nazywa? – zapytał, gdy znaleźli się na zewnątrz.

– Daria. Daria Mątewska.

Wsiadli do auta i detektyw ruszył. W głośnikach rozbrzmiała płyta trójmiejskiej grupy Dance Like Dynamite, której Korda wcześniej słuchał. *Zdrada. Zdrada. Podstępne, zimne oczy gada*² – śpiewał Krzysztof „Sado” Sadowski, gdy mknęli przez aleję Niepodległości. Na rosnących wzdłuż ulicy drzewach kiełkowały zielone listki. Na jednym z niskich krzewów pojawiły się nawet białe pączki.

– Czym się pani zajmuje? – zagadnął ją Korda.

– Prowadzę niewielką restaurację w Sopocie. Kuchnia włoska.

– Musi być pani trudno, zważywszy na sytuację.

– Jakoś sobie radzę. Na szczęście pizza z dowozem w dzisiejszych czasach ma spore branie.

– Mhm – mruknął i znów wsłuchał się w cover starej piosenki Maanamu: *Zdrada. Zdrada. Czai się, snuje, wślizguje, wkrada.*

Zjechali w Wejherowską. Ulica skręcała i raptownie zaczęła prowadzić w dół. Znaleźli się naprzeciw szarego wiaduktu. Dudniącą w samochodzie muzykę zagłuszył przeciągły gwizd, a po chwili na ciągnących się wzdłuż trasy torach pojawił się pociąg.

Korda momentalnie poczuł, jak oblewa go zimny pot.

Chrzęszczące pod nogami kamienie. Śliska trakcja. Bicie serca tak mocne, że rozsadza ciało. Niepokój. Tak wielki niepokój...

Wjechali w niewielki mroczny tunel. Pociąg zamajaczył za filarami ciężkiej betonowej konstrukcji i po chwili zniknął, pozostawiając po sobie jeszcze jeden, niknący w powietrzu ostry gwizd. Znów znaleźli się na drodze, po niebieskim niebie sunęły białe obłoczki, opodal wznosiły się odnowione bloki mieszkalne. Ale niepokój nie minął. Nieprzyjemnie usiadł Kordzie na plecach. W głowie wciąż słyszał swój krzyk. Nie mógł go z siebie strząsnąć, nawet gdy wjechali już w rozświetloną słońcem Małopolską i mijali rząd wolno stojących domów z czerwono-brązowymi dachami.

Chrzęszczące pod nogami kamienie. Śliska trakcja, o którą raz po raz się potykał. I krzyk. Niekończący się krzyk, wlatujący w powietrze niczym rozpaczliwe zaklęcie, które nic nie mogło już zmienić.

– To tutaj – powiedziała nagle Mątewska, a on z wysiłkiem skupił wzrok na pomalowanym na żółto domu otoczonym niskim drewnianym płotkiem.

Kiwnął głową, zgasił silnik i oboje wysiedli z auta. Mątewska nacisnęła na dzwonek znajdujący się na jednym ze słupków i nie czekając na odzew, pchnęła furtkę. Pod drzwiami wejściowymi kobieta wcisnęła następny dzwonek. Dłuższą chwilę przytrzymała na nim palec, by udowodnić Kordzie, że przez ostatnie trzy dni robiła to wielokrotnie, tyle że bez

skutku. Detektyw silnie zapukał w odrzwia, krzyknął standardowo: „Policja! proszę otworzyć”, po czym nacisnął na klamkę.

– Zamknięte – odezwała się Mątewska. – Zamykają się automatycznie od środka. Gdy tutaj zamieszkali, Ewa ciągle o tym zapominała i przez przypadek je zatrzaśkiwała, a potem nie mogła wejść do domu.

– To może się jakoś zabezpieczyła, co? – zastanowił się Korda. – Nie ukrywała gdzieś klucza? Pod wycieraczką czy coś?

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekła kobieta, ale natychmiast sięgnęła pod wycieraczkę.

Sprawdziła też pod wszystkimi stojącymi wzdłuż ścieżki donicami. Niestety, nic nie znalazła.

– To co robimy? – zapytała coraz bardziej zniecierpliwiona. – A nie może pan po prostu wyważyć drzwi? – zirytowała się.

– Najpierw się rozejrzyjmy, dobrze? – Uśmiechnął się pobłaźliwie. – Jeśli coś mnie zaniepokoi, to pomyślimy.

Zaczęli okrążyć dom, wzdłuż którego ciągnęła się wyłożona białymi kamyczkami dróżka. Idąca przed nim Daria źle postawiła stopę. Zachwiała się.

Chrzęszczące pod nogami kamienie. Śliska trakcja. Bicie serca...

Ten obraz znów stał się zapalnikiem. Korda zacisnął zęby. Wiedział, że tak będzie, gdy wróci w rejony Oruni Dolnej. Ale kiedyś musiało to nastąpić. Był policjantem, nie mógł wybierać, które dzielnice odwiedzać, a które omijać. Choć myślał, że czas zdążył zatrzeć wspomnienia. Na tyle osłabić palący go ból, że wspomnienie nie będzie się pojawiać w głowie przy byle okazji. Myślał, że po tylu latach potrafi to już kontrolować.

– Tu jest salon – powiedziała Mątewska i wskazała na dwuskrzydłowe drzwi tarasowe.

Korda nachylił się do szyby i zerknął do środka. Przesunął wzrokiem po kanapie i wiszącym na ścianie telewizorze. Przepatrzył całą przestrzeń, nie omijając żadnego skrawka podłogi. Nie dostrzegł na nim ciała. Nie było

śladów walki ani krwi. Nic nie wskazywało na to, że ten dom mógł się stać kolejnym celem Młotkarza.

Mimowolnie odetchnął, choć niepokój wciąż go nie opuszczał.

– Nic tu nie ma. Proszę mi uwierzyć, że gdyby wszedł tu sprawca z Junaków, widok byłby makabryczny. – Zaśmiał się sarkastycznie.

Mątewska zacisnęła usta i nerwowo objęła się ramionami.

– Przepraszam. Źle to zabrzmiało – zmitygował się. – Po prostu staram się panią uspokoić. Ale oczywiście sprawdzamy dalej.

Jej buty wciąż ześlizgiwały się z kanciastych kamieni.

Zgrzyt, zgrzyt. Zgrzyt, zgrzyt.

– Tutaj jest sypialnia. – Mątewska przystanęła obok okna wychodzącego na rząd ogromnych tui. – Widzi pan? Zaciągnięta zasłona.

– To coś niezwykłego? – Policjant wzruszył ramionami.

– Tak. Ewa nie lubiła ciemności. Nie zasuwiała zasłon nawet na noc. Mówiła, że w całkowitej ciemności czuje się tak, jakby leżała w trumnie.

Korda zdawał się nieprzekonany.

– Pamiętam tę rozmowę – kontynuowała kobieta. – Bo ja z kolei zasypiam tylko w zupełnej ciemnicy.

– Mhm – mruknął detektyw, po czym dla spokoju nacisnął na framugę okna, która ani drgnęła, i rozejrzał się po ogrodzie.

Nigdzie nie dostrzegł niepokojących śladów. Żadnych odbitych w ziemi podeszew, żadnych połamanych krzewów. Nic nie budziło jego zastrzeżeń, a przecież bez uzasadnienia nie mógł ot tak wtargnąć do czyjś domu.

Zerknął na zegarek. Dochodziła dziesiąta, a on miał masę papierkowej pracy. Odwrócił się w stronę ulicy, już chcąc zawrócić.

„To, że nie widać śladów, nie znaczy, że ich nie ma – usłyszał głos Janiny Hinc. – Świat jest zdecydowanie bardziej złożony niż to, co dostrzegamy gołym okiem”.

Korda prychnął do swoich myśli, w których pojawiła się zadowolona twarz ekolożki sądowej, i ruszył dalej wzdłuż domu. Na tyłach przejście się

zweżało. Rozległe gałęzie kilkumetrowych tui niemal dosięgały muru. Mimo to detektyw zaczął się przeciskać. Gdzieś nieopodal zaczął śpiewać skowronek.

– Może pani zostać i poczekać – rzucił policjant do tyłu, lecz dostrzegł, że Mątewska dzielnie sunęła za nim.

– Tu z tyłu jest łazienka – obwieściła w momencie, w którym Korda nagle przystanął. Ona też się zatrzymała i kobieta wpatrywała się przez moment w jego wyprostowane plecy.

– Coś nie tak? Czemu pan stanął? – zapytała.

Komisarz przesunął się trochę w stronę tui, odsłaniając jej widok.

– Czy te szczapy drewna zawsze tu były?

Jego głos brzmiał matowo, a Mątewska wyczuła w nim drżenie.

Zerknęła na ścianę. Pod oknem usytuowanym na wysokości około półtora metra leżały ułożone jeden na drugim grube ciosane drwa.

– Nie wiem, nigdy tutaj nie byłam.

Korda wszedł na szczapy, zerknął na framugę okna, po czym pchnął je do środka. Okno się uchyliło.

– Niech pani idzie na przód i tam zostanie, dobrze?

W jej szeroko rozwartych piwnych oczach dostrzegł trwogę.

Policjant dźwignął się na parapet i po chwili znalazł się w wyłożonej białymi kafkami łazience. W pomieszczeniu panował półmrok. Wysokie tuje nie przepuszczały do środka zbyt wiele światła. Oskar wyszedł z łazienki na korytarz. W domu panowała głucha cisza. Nagle usłyszał jakiś metaliczny dźwięk. Sięgnął do znajdującej się pod skórzaną kurtką kabury i wydobył z niej glocka.

– Policja! – krzyknął w przestrzeń. – Pani Ewo, jest pani tam?

Znów ten dźwięk. Tylko mocniejszy, bardziej donośny. Jakby ktoś się szamotał.

Detektyw ruszył przed siebie pewnym krokiem, całe jego ciało było zwarte i gotowe na każdą okoliczność. W końcu przystanął przy ścianie.

Odgłos znów się wzmógł. Metaliczny, pełen drżenia, niepokojący. Korda bezgłośnie wypuścił powietrze i zdecydowanie wyszedł z za narożnika.

Jednym rzutem oka zlustrował przestrzeń. W dużym pokoju nikogo nie było. Pusta kanapa, fotel, wazon ze sztucznymi piórami na stole, miękki beżowy dywan. A w rogu wisząca klatka z kolorowym ptaszkiem. Amadyna łypnęła na Kordę i nie wydając dźwięku, wzleciała w powietrze. Obiła się o szczeble klatki i wróciła na sterczący pośrodku patyk. „Pewnie jest głodna i wyczerpana – pomyślał detektyw. – Chce uciec. To jedyne, co podpowiada jej instynkt”.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po pokoju i nie chowając pistoletu do kabury, namierzył drzwi do sypialni. Z bijącym sercem nacisnął na klamkę. Do ciemnego pokoju wdarło się światło dnia. Korda intuicyjnie czuł, że zobaczy tam coś straszego, lecz widok, który ukazał się jego oczom, niemal zwałił go z nóg. Odwrócił głowę i szybko zakrył nos rękawem.

Zapach unoszący się nad dwoma ciałami w niewielkiej, zamkniętej przez kilka dni sypialni był intensywnie słodki, mdlący. Korda znów przeniósł wzrok na łóżko. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

I wtedy usłyszał krzyk.

Tuż za sobą.

– Musiałam to zobaczyć. Musiałam. – Mątewska osunęła się bezwładnie po framudze drzwi, chwytając się rękami za włosy.

21

Błysnął flesz. Raz. I drugi. I trzeci. Dwie skatowane twarze rozświetliły się i zgasły.

– Roboty na kilkanaście godzin – rzekł technik kryminalistyki Jacek Wilczak. Zza białej maski wyglądały poważne ciemne oczy, ich kąciki opadały mocno w dół.

– Nie inaczej – zgodził się lekarz medycyny sądowej Maciej Grzymała, szeroko się uśmiechając.

Oskar Korda kiwnął głową. Wilczak i Grzymała to podstawowy skład grupy oględzinowej, którą dziś powołał. Nikogo innego nie potrzebował. Im mniej ludzi, tym lepiej. Przynajmniej miał pewność, że niezanieczyszczone ślady zostaną zabezpieczone na długie lata.

– Wierzbicki przyjedzie? – zapytał Wilczak.

– A jak sądzisz? – prychnął Korda.

– I całe szczęście – mruknął technik.

Stary prokurator niemal nigdy nie zjawiał się na miejscu zbrodni. Lubił, gdy inni wykonywali za niego jego robotę. I dobrze, bo jego obecność wszystkich jedynie drażniła. Gdy od święta postanawiał brać udział w oględzinach, jego rola ograniczała się do głupio-mądrych pouczeń, które sprawiały, że ze smutnych na ogół oczu Wilczaka sypały się gromy. Zdecydowanie wszyscy woleli, by funkcję kierownika sprawował Korda.

– Tym razem zabójcę naprawdę poniosło – odezwał się Grzymała.

Znów przenieśli wzrok na łóżko – szerokie, w drewnianej ramie, z wysokim zagłówkiem brudnym od brązowej mazi, niemal czarnej krwi i strzępów mózgu, szaleńczo rozbryzanych też na białej pościeli – niegdyś pewnie czystej i eleganckiej, dziś pozasychanej, w wielu miejscach niemal sztywnej od ludzkich szczątków. Dwa ciała leżały oddalone od siebie o metr. Małżonkowie mieli dłonie i nogi związane taśmą klejącą, co od razu nasuwało myśl, że byli zupełnie bezbronni, zdani na działania sprawcy, pozbawieni możliwości walki w tym ostatecznym momencie. Twarz mężczyzny wykrzywiona była lękiem. Gładkie, wilgotne spojówki połyskiwały. Szeroko otwarte, podbiegnięte krwią oczy wyrażały paniczne przerażenie. Świadomość śmierci. Musiał ją w sobie mieć w każdej, ciągnącej się pewnie w nieskończoność sekundzie. Jego czoło kreśliły brunatnoczerwone zacieki. Przy lewej skroni, opodal małżowiny usznej tkwił ciemny skrzep krwi stykający się z ziejącą rozległą raną o nierównych

– skośnych, ostrych i zaokrąglonych – brzegach. Na głowę kobiety zarzucono wełniany koc – beżowy w miejscu, w którym opadał na podłogę, skotłowany i zgnieciony w potworną przestrzeń tam, gdzie ofiara powinna mieć twarz. Na szyi ciągnęła się rozległa rana pokryta niewielką ilością piankowej białawej treści. Blade, zupełnie pozbawione krwi ciało było w wielu miejscach poranione nożem. Czarna aksamitna koszulka na cienkich ramiączkach podciągnięta do góry odsłaniała sunącą po brzuchu długą, misternie wykrojoną aż do łona ranę. Jej brzegi były wyjątkowo czyste. Oznaczało to tyle, że podobnie jak w przypadku pierwszej ofiary, zadana została ona pośmiertnie, a tym samym, mimo wielu różnic w działaniu, podwójnego morderstwa z wielkim prawdopodobieństwem dopuścił się ten sam sprawca.

– Napadł na dwie osoby, czyli zmienił taktykę – zauważył technik.

– Co oznacza, że podniósł sobie poprzeczkę – dopowiedział Korda. – A tym samym zwiększył poziom ryzyka. Czemu? – zastanowił się głośno.

– Pierwsze morderstwo najwidoczniej jedynie go rozochociło. – Grzymała westchnął.

– Albo nie usatysfakcjonowało – wtrącił Wilczak.

– Przyjmuje się, że przesadne użycie siły, a chyba nie ma wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia z czymś takim, oznacza jakiś związek między sprawcą a ofiarą – włączył się do dyskusji Korda.

– Myślisz, że to było osobiste? – zapytał technik bez emocji.

– Myślę, że doszło tutaj do wyładowania stłumionego gniewu. Ofiary były związane, więc zadane z dużą siłą ciosy nie wynikały z konieczności pokonania ich oporu. Nie chodziło o wybuch niekontrolowanej agresji w następstwie walki – kontynuował detektyw.

– Tylko o bardziej ukrytą motywację – przytaknął Wilczak.

– Niestety. Nie będzie łatwo. Większość sprawców gwałtownych przestępstw to narwańcy. Nie wykraczają myślami ponad to, co się dzieje tu i teraz, więc łatwo ich złamać. Mówią za dużo, chełpią się, wracają na

miejsce zbrodni, żeby popatrzeć, oferują nawet pomoc policji. Ale to nie jest tego typu morderca. Ten uderza dopiero, gdy ofiary są uległe, ubezwłasnowolnione. Łączy wściekły gniew z wyrachowanym planowaniem. – Oskar westchnął, przyglądając się, jak technik kryminalistyki przystępuje do zabezpieczania śladów.

Nagle Wilczak przystanął, zdjął z twarzy maskę.

– Czujecie? – Kąciki jego oczu jeszcze bardziej opadły w dół.

– Trupi jad. Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tego zapachu. – Korda się skrzywił.

– Ale coś jeszcze. – Technik mocno się zaciągnął. – Czujesz, Maciek?

Lekarz medycyny sądowej też odstąpił nos. Oskar niechętnie poszedł w jego ślady.

– Mhm – przytaknął Grzymała. – Coś słodkiego z kwaśną nutą.

– No trupi jad. – Oskar rozłożył ręce. Czuł, że wzrastają w nim mdłości.

– Niby tak. Ale w inny sposób. Jest w tym coś... hm... – Technik nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

– Coś trudnego do uchwycenia – uzupełnił patolog i ściągnął usta w ciup.

– Jak to z zapachem. – Korda westchnął, ściskając miętową gumę zębami.

– W każdym razie trzeba zabezpieczyć – rzekł Wilczak i sięgnął po sprzęt do badań osmologicznych.

– Mąż pierwszej ofiary wspominał o specyficznym zapachu – zastanowił się Korda. – A Janina Hinc znalazła na kocu i koszulce nocnej Elizy Zalewskiej ślady suszonego dziurawca. Myślicie, że to może być to?

– Niewykluczone. Wtedy minęło więcej czasu, a morderstwa dokonano w większej przestrzeni, więc zapach szybciej się ulotnił. Tutaj faktycznie coś nietypowego unosi się w powietrzu. Warto się temu przyjrzeć. Pies jest w drodze? – zainteresował się technik.

– Tak – odparł Oskar. – Jedzie ze Słupska, więc tak ze dwie godziny jeszcze.

- Długo – sarknął technik, po czym wyciągnął pochłaniacze i słoiki.
- Spróbuję namówić starego na sprowadzenie tych psów z Saksonii. Podobno są lepsze od naszych. – Korda cmoknął.
- Daj spokój, nasze pieski są tak samo dobrze wyszkolone jak i tamte. Żaden pies nie będzie rył w ziemi. To logiczne, że molekuly zapachowe unoszą się w powietrzu. – Wilczak pokręcił głową, ponownie zbliżył się do ciała zamordowanej kobiety i zaczął ją obwąchiwać. – Tutaj – stwierdził i zatrzymał twarz na wysokości jej nóg. – Wydaje mi się, że tutaj dobrze to czuć.
- Grzymała i Korda zbliżyli się i po kolei nachylili się nad ofiarą. Oskar wyciągnął gumę do żucia z ust i przełamując opór, głęboko się zaciągnął.
- Uda i łydki faktycznie inaczej zalatują – stwierdził. – Ale może to tylko jakiś balsam?
- Kobiety przed snem lubią w siebie wsmarowywać najróżniejsze rzeczy.
- Grzymała się zaśmiał.
- Może – odparł technik, wzruszając ramionami. – Choć zakładając, że doszło do gwałtu, jak w przypadku Elizy Zalewskiej, to właśnie w tym miejscu ciało ofiary miało bezpośredni kontakt z ciałem sprawcy. Więc może jest to zapach balsamu, który stosuje morderca – dodał przekornie.
- Sprawcy sadystycznych gwałtów przeważnie nie zdejmują spodni – zauważył Korda. – Bo to nie jest miłość. Traktują kobietę jak rzecz, jak przedmiot. Pożerają zadawany ból jak smakosz ulubione danie. Skóra przy skórze byłaby zbyt intymna, bliska.
- Czyli to nie jest zapach skóry sprawcy – skwitował technik.
- Nie. To zapach czegoś, czym sprawca się otacza – odrzekł Oskar, a przed oczami natychmiast stanęła mu twarz Janiny Hinc. – Bierzcie się do roboty, panowie. A ja muszę sprowadzić posiłki.

Janina zaparkowała na chodniku kilkadziesiąt metrów od domu. Dalej ulica była nieprzejezdna. Krajowe i lokalne ekipy telewizyjne rozstawiły się z furgonetkami i ze sprzętami niemal po całej ulicy. Sąsiedzi i sopocianie, których ściągnęła anonimowa sensacja, stali skupieni w większych grupach. Byli zauważalnie przejęci – z niedowierzaniem kiwali głowami, zasłaniali usta, raz po raz odwracali się do siebie, komentowali, wyciągali szyje, jakby chcieli wejrzeć do ogrodzonego biało-niebieską taśmą budynku.

Janka przygryzła wargę. Nie mogła teraz nawalić. Obawiała się, że jeśli tym razem pozwoli znów wygrać emocjom, Korda więcej nie zaprosi jej do współpracy. A ona właśnie na to pracowała tyle lat. To mógł być punkt zwrotny w jej karierze. Właśnie o tym marzyła – by dzięki swoim umiejętnościom wykrywać sprawców, by odkrywać niewidzialne, czyniąc zadość sprawiedliwości. Zacisnęła pięści na kierownicy. Przecież empatia wcale jej nie skreślała. Nadal dawała pierwszeństwo przede wszystkim empirii. Nadal słuchała przyrody. To z jej perspektywy oceniała fakty i interpretowała zdarzenia. Tyle że podczas sekcji zwłok nie była badaczką. To nie ona podejmowała decyzje, to nie ona oceniała, nie ona przecinała, wyciągała, ważyła, pobierała próbki. W zakładzie medycyny sądowej weszła w rolę zwykłej, przypadkowej obserwatorki. Jej mózg nie skoncentrował się na dowodach naukowych, oddał prym zmysłom, które ją omamiły, które zniekształciły jej obiektywny ogląd. Dlatego zemdląca. Na chwilę przestała być naukowczynią. Ale więcej na to sobie nie pozwoli. Już nigdy nie wyjdzie z roli.

Wyłączyła silnik i szybko wysiadła z auta. Wieczór był wyjątkowo ciepły. Jedna z pierwszych takich wiosennych nocy, pachnących kiełkującymi roślinami, oddychającą glebą, odżywiająca leśną ściółką. Zaczęła przeciskać się przez tłum. Początkowo nikt nie zwracał na nią uwagi. Dopiero gdy podeszła do pilnowanej przez jednego z funkcjonariuszy taśmy, przedstawiła się i została wpuszczona na posesję, w tłumie rozszedł się

szept. Dziennikarze drgnęli i rzucili się w jej kierunku z mikrofonami. Ale było już za późno. Policjant otworzył przed nią drzwi, a ona wkroczyła do środka.

Tu było cicho. Zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Myślała, że w domu będą się kręcić tabuny policjantów, zdeptujących ślady, które mogłyby wydać jej się interesujące. Ale nie. Korytarz był pusty. Ochroniacze na jej butach szeleściły, gdy przez niego szła. Nagle naprzeciw niej wyszedł Korda.

– Właśnie mi się wydawało, że ktoś idzie – rzucił na przywitanie. – Jak się czujesz?

– Czuję się dobrze. Czuję się gotowa – podkreśliła Hinc. – Bo pewnie o to pytasz? – dodała i hardo uniosła głowę.

Oskar patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, jakby coś rozważał.

– Widok nie będzie ładny – oznajmił, a ona kiwnęła głową. – Naprawdę. Przygotuj się na rzeź.

Janina wyprostowała się i odpowiedziała:

– Dam sobie radę. Chcę pomóc. Mogę pomóc – poprawiła się. – Jestem badaczką – dorzuciła pewnym siebie głosem.

Korda jakby czekał na te słowa, bo od razu dał jej znak, że ma podążać za nim. Przeszli przez duży pokój, który Hinc obrzuciła uważnym spojrzeniem, a po chwili zatrzymali się na progu rozświetlonej halogenami sypialni.

Tym razem Janina od razu popatrzyła na ciała. Nie chciała przedłużać tej chwili, nie chciała nadawać jej jakiegóż szczególnej wagi. Te ciała były martwe. Powoli wchłaniała je natura. A ona musiała wyłuskać jak najwięcej śladów, zanim ten proces się zakończy.

– Jest z nami pani Janina Hinc, palinolożka sądowa, która niezwykle nam pomogła w rozwikłaniu zeszłorocznej sprawy zaginięcia Liwii Dembskiej. To dzięki jej pracy ujęliśmy jednocześnie sprawcę innego

morderstwa. Jednym słowem może się przydać – podsumował Korda i twardo spojrzął na technika Jacka Wilczaka.

Wiedział, że ten nie ma zaufania do ekologów sądowych. Profesja, która powstała raptem czterdzieści lat temu, nie była jeszcze uznawana niemal w żadnym kraju, co zdaniem technika kryminalistycznego oznaczało jedno – była nieweryfikowalna, a tym samym efekty pracy ekologów były łatwe do podważenia. „Palinologia kryminalistyczna to jak wróżenie z fusów” – tak skomentował Wilczak wieść, że Janina Hinc zostanie wpuszczona na miejsce zbrodni. „Pyłki i zarodniki – prychnął jeszcze. – Naprawdę myślisz, że to właśnie one mogą nam coś powiedzieć o sprawcy?”. Korda też do niedawna tak myślał, więc puścił jego słowa mimo uszu. Był przekonany, że technik z czasem doceni metody pracy Janiny. I dobrze zdawał sobie sprawę, że Hinc ze swojej strony zrobi wszystko, by zostać docenioną. Komu jak komu, ale Jance determinacji nie brakowało.

– Technik kryminalistyki Jacek Wilczak i lekarz medycyny sądowej Maciej Grzymała. – Korda wskazał na członków grupy oględzinowej. – Koledzy właśnie tutaj skończyli – poinformował Janinę. – Podzielicie się z nią najważniejszymi spostrzeżeniami?

Wilczak zachował kamienną twarz, Grzymała natomiast uprzejmie się uśmiechnął i zaczął relacjonować:

– Jedną z ofiar jest Ewa Tokarz. – Wskazał na leżącą po lewej stronie łóżka zmasakrowaną kobietę, z której twarzy wcześniej usunięto koc. – Trzydziestoletnia kobieta otrzymała czternaście uderzeń młotkiem w głowę. Dodatkowo, czego nie było przy pierwszej zbrodni – zaznaczył Grzymała, podnosząc palec wskazujący – sprawca zadał ofierze sześć ciosów nożem, co poskutkowało jej zgonem. – A to mąż denatki. – Grzymała beztrąsko przeszedł na drugą stronę łóżka i nachylił się nad ciałem mężczyzny. – Artur Tokarz oberwał mniej, bo sprawca zadał mu z dużą siłą łącznie jedynie dwadzieścia uderzeń narzędziem tępokrawędzistym w głowę.

– W jego przypadku sprawca zrezygnował z zadania ran kłutych. Ograniczył się do zatłuczenia go na śmierć – przerwał wywód lekarza technik.

Najwyraźniej starał się zniechęcić Janinę. Oczywiście słyszał już o jej omdleniu w zakładzie medycyny sądowej, co jego zdaniem stanowiło dowód na to, że ekolożka sądowa nie nadawała się do pracy przy oględzinach.

– Kto zginął pierwszy? – zadała pytanie pewnym siebie głosem i wyzywająco spojrzała wprost w opadające ku dołowi oczy Wilczaka.

Ten przez chwilę mierzył się z nią wzrokiem, a wreszcie skapitulował i rzekł:

– Jeden ze śmiertelnych ciosów zadanych Ewie Tokarz doprowadził do przedziurawienia drewnianego zagłówka nad jej głową. Na podstawie położenia kawałka drewna znalezionej między nogami Artura Tokarza można wnioskować, że to ona zginęła pierwsza.

– Czyli tym razem chodziło o mężczyznę? – wtrącił Grzymała.

– Sprawca w tym przypadku nie zaciągnął kobiety do dużego pokoju, tylko gwałcił i zabijał ją na oczach męża – wyjaśnił Janinie Korda.

– Można więc przypuszczać, że chciał skazać go na dodatkowe cierpienie – skonstatowała Hinc.

– Z drugiej strony najpierw zabił kobietę, i to w bardziej drastyczny sposób, bo użył noża. Co więcej, okaleczył ją pośmiertnie tak jak pierwszą ofiarę, więc jednak obstawiałbym, że to ona była podstawowym celem – zauważył technik spokojnie.

– A może wcale nie zamierzał zabić mężczyzny? – zastanowił się Korda.

– Co masz na myśli? – zaciekawiała się Janina.

– Niewątpliwie sprawca chciał ukarać również mężczyznę, w innym razie nie zadawałby cierpienia jego żonie leżącej metr od niego, prawda?

– Prawda – mruknął technik potakująco.

– Ale może i w tym przypadku celem była jedynie kobieta. Mąż, tak jak poprzednio, miał przeżyć. Tylko może Tokarz nie zniósł tego widoku? Może zamiast leżeć spokojnie, zaczął się rzucać? A może chciał za wszelką cenę pomóc żonie? I te talerze wcale nie spadły podczas morderstwa, tylko wcześniej? W czasie zadawania śmierci kobiecie? – dokończył myśl policjant.

– Czyli możemy uznać męża za bohatera – skwitował Grzymała.

– Albo za głupca – podsunął technik.

– Albo za człowieka, który w sytuacji ekstremalnej nie kontroluje bezwarunkowych odruchów – ucięła spór Janina, wypowiadając zdanie, które chodziło jej po głowie od momentu omdlenia w zakładzie medycyny sądowej.

– Tak czy siak, nasz sprawca zachował się bardziej brawurowo niż podczas pierwszego morderstwa – odezwał się Korda.

– Po pierwszym morderstwie poczuł się pewniej – włączył się technik. – Jak Bóg. To stały mechanizm u seryjnych.

– A pewność jest zgubna. – Janina się uśmiechnęła.

– Nie inaczej – odpowiedział technik i dał znak, że zebrani mają iść za nim. Stanęli na korytarzu. – Przy pierwszym morderstwie ślady traseologiczne zostały niestety zdeptane. Zanim przyjechaliśmy, przez miejsce zbrodni przewinął się tłumek sąsiadów zaalarmowanych przez mężczyznę, który znalazł Zalewskiego, strażników miejskich, których ktoś wezwał, policjantów z drogówki.

– Ale tym razem była tu tylko nasza czwórka – ucieszyła się podekscytowana Janina.

– A protektor sprawcy był wyjątkowo zapaskudzony.

W smutnych oczach technika kryminalnego błysnęło coś na kształt zadowolenia. Odpalił przygotowaną wcześniej lampę UV i sięgnął do włącznika światła.

Dom ogarnęła ciemność. Technik skierował snop ultrafioletu na podłogę, gdzie rozbłysły jaskrawe odbicia podeszew butów.

– Możemy odtworzyć ścieżkę chodu – ucieszył się Korda.

– Dokładnie. Mamy też długość kroku, więc łatwo będzie ustalić szacunkowy wzrost sprawcy – zaznaczył technik.

– No i stylóweczkę też można sobie będzie zwizualizować. – Grzymała nie tracił dobrego humoru.

Jacek Wilczak zapalił światło i z wyższością zerknął na Janinę.

– Mamy wystarczająco dużo śladów, pani Janino. Nie sędzę, by wniosła pani coś nowego do sprawy.

Ostentacyjnie przyłożył do siebie dłonie i po męsku wyłamał palce w stawach. Janina jednak w ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Wciąż wpatrywała się w podłogę, pokrytą licznymi, choć niewidocznymi w świetle korytarzowej lampy śladami.

– Panie Jacku, a pan te ślady spryskał wcześniej luminolem? – zwróciła się do technika.

– Skąd. Wówczas zniszczyłbym ślady traseologiczne – oburzył się Wilczak.

– No właśnie. – Janina oderwała w końcu wzrok od podłogi i przeniosła go na technika. – A jak pan myśli, czemu te ślady świecą w świetle lampy UV?

Technik prychnął.

– Zabrudzenia organiczne – odparł i wzruszył ramionami, zniecierpliwiony tak banalnymi pytaniami. – Nie brakuje ich podczas codziennego użytkowania obuwia.

– Prawda? – Janina uniosła hardo brew. – Zabrudzenia organiczne – powtórzyła. – A tym samym wszystko ostatecznie sprowadza się do ekologii sądowej. – Uśmiechnęła się szeroko.

Oskar Korda wodził wzrokiem od technika do palinolożki i od palinolożki do technika. Wreszcie klasnął i zaczął się głośno śmiać.

Czerwone światło kontrastowało z czernią nocy. Położył nogę na gazie i lekko przycisnął. Licznik na milisekundę drgnął, silnik zamruczał, ale czerwone światło wciąż się paliło. Tak długo. Tak bardzo długo. A jego przecież zżerała niecierpliwość. Nie lubił czekać. Nie teraz. Nie dzisiaj. Nigdy.

Znów pulsacyjnie przycisnął pedał gazu. I jeszcze raz. I jeszcze.

Żółte światło.

Z całą mocą ruszył. Do samochodu przez otwartą przednią szybę dostał się wieczorny pęd wiatru. Pięćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Dziewięćdziesiąt. Sto dziesięć. Sto pięćdziesiąt.

Grzegorz Zalewski nie dbał o to, że przekroczył dozwoloną miejscami na gdańskiej Grunwaldzkiej siedemdziesiątkę. Nikt nie miał prawa go zatrzymać. Był nietykalny. Był nie do ruszenia.

Zbliżał się do kolejnego skrzyżowania. Sygnalizacja pokazywała żółte światło. Przycisnął pedał i przejechał na czerwonym. Z dwóch stron odezwały się klaksony. Ale on już jechał dalej. Pędził przed siebie i na nic nie zważał. W głowie miał jeden obraz: rozszerzone źrenice. Pełne przerażenia i trwogi. Płynące po policzkach łzy. Usta rozchylone w niedowierzaniu. Opadające na ziemię ciało, jego ciężkie szuranie po parkiecie.

W końcu wjechał do Sopotu. Zdjął nogę z gazu. Licznik wskazywał pięćdziesiątkę. Jechał teraz wolno i bezpiecznie. Tak jak nakazywały przepisy. Nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś zobaczył coś, czego nie powinien. Nikt nie powinien wyciągać niewłaściwych wniosków. A wiedział, że tak było. Ludzie o nim gadali, pokazywali go sobie palcami, szeptali. Oceniali. Skurwiele. Oceniali faceta, któremu zamordowano żonę. Niebawem, że ludzie w większości pozbawieni byli empatii.

Przemknął ulicą Niepodległości i po kilku minutach wjechał do Kamiennego Potoku. Tu czuł się jak w domu. Poznał tu każdą ulicę, każdy zaułek, każdy dom. Potrafiłby dokładnie powiedzieć, kto mieszkał w danym budynku. Potrafiłby opisać twarze i sylwetki. Potrafiłby wskazać, o której godzinie ktoś miał w zwyczaju wyrzucać śmieci, palić ostatnie papierosy, gasić światło na podjeździe, zamykać drzwi wejściowe, wyłączać telewizor w dużym pokoju, kłaść się do łóżka. Zdążył to wszystko ogarnąć. Nic nie mogło mu już umknąć.

Teraz zwolnił tak bardzo, że mogłoby się wydawać, że jego auto niemal stoi w miejscu. Wytężył wzrok i przeczesywał spojrzeniem podwórka, działki, chodniki. Wypatrywał zarysów kryjących się za oknami postaci. Polował.

Wjechał w Małopolską i po chwili zaparkował przed jednym z domów. Budynek niczym specjalnym się nie wyróżniał. Tylko jedna rzecz sprawiała, że mógł budzić niepokój – policyjna plomba na drzwiach. Dokładnie taka sama jak ta, którą Grzegorz zerwał przed dwoma miesiącami u siebie. Dokładnie taka, jaka kojarzyła mu się z rozlaną w salonie krwią.

Trzask. Trzask. Trzask.

Usłyszał w głowie dźwięk łamanej czaszki.

Uniesiona dłoń. Opadający na głowę młotek. Uniesiona dłoń. Opadający młotek.

Trzask.

Trzask.

Zacisnął oczy, ale obraz pod powiekami tonął w dzikiej czerwieni. Prędko je otworzył i jednym ruchem sięgnął po paczkę papierosów. Odpalił i wydmuchał dym przez otwarte okno. Nikotyna nigdy go nie interesowała. Ale teraz nie potrafił się bez niej obyć. Z jednej strony czuł przejmującą pustkę, z drugiej – niezdrowe podekscytowanie. Nie bardzo wiedział, co się z nim działo.

Wdech. Wydech. Szary kłęb na chwilę przysłonił dom, w którym rozegrała się zbrodnia, i rozplynął się w pachnącym wiosną powietrzu. Wokół panowała przejmująca cisza. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Potem kolejny. I kolejny, już bliżej. Ulicę przeciął jakiś czarny kot. Zaszleściły krzaki. Po chwili głosy ucichły. Zalewski zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. W żadnej willi nie paliło się już światło. Wszyscy spali. Ciekawe, że ludzie potrafili spokojnie położyć się do łóżek, gdy gdzieś obok grasował morderca. Świat był jednak pełen absurdów.

Zalewski ponownie spojrzął na dom. Dobrze go znał. Przecież odprowadził pod niego jakiś czas temu Ewę. Pomógł jej nieść zakupy. Były ciężkie i nieforemnie zapakowane. Kobiety zawsze wrzucały produkty do siatek przypadkowo. Całkowicie na pałę. Zawsze się gdzieś spieszyły, zawsze miały zajęte czymś głowy. Rzadko były tu i teraz. Nie potrafiły się cieszyć chwilą. Nie doceniały tego, co było tuż przed ich oczami. Eliza też tak miała. Ewa Tokarz również. „Ale czy dlatego zasługiwały na śmierć?” – zastanowił się. Nie. To nie był powód. Powód był zupełnie inny.

Wyrzucił żarzący się niedopałek przez okno, odpalił silnik i ruszył. Powoli. Nigdzie się już nie spieszył. Nie niecierpliwił. To było jego zadanie. Jeździć po Kamiennym Potoku i patrolować ulice. Okręzać ten znajomy mu rewir i polować.

Tylko to się liczyło.

Tylko to.

Przejechał do końca Małopolskiej i skręcił w Obodrzyńców. I tu w stojących wzdłuż ulicy domach nikt nie dawał oznak życia.

Wszyscy spali spokojnie.

Nikt nie spodziewał się oślepiającej latarki, która zmieni ich świat.

Komisarz Korda wybrał w komputerze pliki i wcisnął komendę „drukuj”. Drukarka zachrzęściła, drgnęła i podjęła pracę. Detektyw w tym czasie otworzył na oścież okno, a do gabinetu wpłynęło ciepłe majowe powietrze. Z ciągnącej się wzdłuż komendy sopockiej ulicy Armii Krajowej dobiegły dźwięki przejeżdżających aut, na dachu gruchały gołębie, drukarka z szumem wypluwała z siebie zdjęcia. Detektyw wziął głęboki oddech. Kochał to miasto. Kochał jego morski, świeży zapach, widok szybujących po niebie białych mew, ciągnące się na wzgórzach lasy, wznoszące się tu i ówdzie wieżyczki. Kochał burzliwe Morze Bałtyckie, które w równym stopniu go pociągało, jak przerażało. Uśmiechnął się kącikiem ust, odrzucił chęć zapalenia papierosa i podszedł do drukarki, która z metalicznym westchnieniem zaprzestała pracy. Sięgnął po fotografie i podszedł z nimi do tablicy korkowej.

Ewa Tokarz i Artur Tokarz. Zamordowani we własnym łóżku w iście bestialski sposób. Przemyślany, metodyczny, taki, by przez cały czas mieli świadomość zagrożenia i nadchodzącej śmierci. Zemsta. Właśnie to słowo nieustannie brzęczało Kordzie w głowie. Tylko za co?

„Za co się mścisz, chory skurwielu?” – pomyślał detektyw, przyczepiając kolejne zdjęcia długimi pinezkami tuż obok fotografii z miejsca pierwszej zbrodni. Nie miał wątpliwości, że mimo pewnych dość istotnych różnic trzech morderstw dokonał ten sam sprawca. W ten sam sposób związał i zakneblował ofiary, tak samo dokonał gwałtu na kobietach, użył młotka jako narzędzia zbrodni, pośmiertnie naznaczył brzuch Zalewskiej i Tokarz, w dodatku kuchennym nożem, który umył i z powrotem schował do szuflady ze sztućcami. Ścieżka chodu wykazała również, że nim morderca zabił parę małżonków, dokładnie obszedł wszystkie pomieszczenia. Czuł się jak u siebie. Nie spieszył się. Delektował się każdą minutą. Choć wlaźł przez okno w łazience, wyszedł frontowymi drzwiami. Jakby nigdy nic.

„Kim jesteś?” Oskar przyczepił do tablicy zdjęcie świecących śladów obuwia zabezpieczonych na podłodze domu Tokarzków. Odtworzył

z pamięci otrzymaną dziś rano ekspertyzę traseologiczną. Sprawcą prawdopodobnie był czterdziestopięcioletni mężczyzna, mierzący metr osiemdziesiąt dwa i ważący osiemdziesiąt siedem kilogramów, niekulejący i niemający stóp płasko-koślawych. Oczywiście z podkreśleniem słowa „prawdopodobnie”, bo wnioski płynące z analizy ichnogramu nigdy nie są niestety kategorię. Można jedynie przyjmować, że kobiety w związku ze swoją budową anatomiczną robią nieco szersze kroki niż mężczyźni, mają szerszy kąt stawiania stopy, które są jednak krótsze. Zakładając zależności sinusoidalne, można też wnioskować, że w miarę upływu lat krok się wydłuża i stopa rośnie, po czym w dorosłości ze względu na starcze zmiany w aparacie chodu wartości te znów spadają. Przyjęte parametry odnosiły się jednak tylko do ludzi o przeciętnej sprawności fizycznej. Oskar westchnął. Dobrze wiedział, że wnioskowanie na podstawie ścieżki chodu nie jest wnioskowaniem wprost, raczej sumą pewnych czynników. Mimo to przed jego oczami stanął wyprostowany, pewny siebie, wysoki mężczyzna w średnim wieku o przeciętnej wadze, w butach traperach w rozmiarze czterdzieści cztery, ze startymi w wyniku zwykłej, codziennej eksploatacji podeszwami na końcu obcasa i w środku zelówki. Mężczyzna, który się nie bał ryzyka. Który włożył maskę i rękawiczki, a jednak nie zadbał o niepozostawienie śladów obuwia. Czy miał świadomość, że zidentyfikować człowieka na ich podstawie można jedynie po uzyskaniu materiału porównawczego, że trzeba mieć jego buty, żeby zobaczyć, czy pasują do śladów? Czy pozbył się obuwia po dokonaniu morderstwa? A może po prostu o to nie dbał? Może ważniejszy był dla niego sam cel, a nie to, czy zostanie kiedyś ujęty? Tak naprawdę odpowiedzi na te pytania mogły być różne. Psychopatyczni mordercy, nawet ci zorganizowani, wcale nie musieli myśleć logicznie. Ludzki mózg był nie do okiełznania, a tworzące się w nim połączenia nerwowe mogły się składać na trudny do pojęcia, pełen okrucieństwa labirynt.

Rozmyślenia detektywa przerwał dźwięk telefonu. Zerknął na wyświetlacz. Natalia Orłowska. Korda czym prędzej odebrał.

– Mam ciekawe wieści, panie detektywie – powiedziała patolożka. – Podczas sekcji zwłok pobraliśmy z żołądka Ewy Tokarz nie do końca strawioną treść. Wyniki są zaskakujące.

– Zamieniam się w słuch.

– Tarantula – obwieściła Orłowska. – Smażona tarantula.

Detektyw osłupiał.

– A u męża?

– Okazuje się, że tylko żona miała taki wysublimowany gust kulinarny. – Lekarka się zaśmiała. – Mąż na kolację jadł zwykłe bułki z kiełbasą.

Korda skończył rozmowę i wbił hasło do wyszukiwarki. „Smażony pająk, czyli Kambodża mekką tarantuli” – przeczytał tytuł pierwszego lepszego artykułu. Niestety, Google nie wypluł mu adresu żadnej kambodżańskiej knajpki w Trójmieście. Zamyślony policjant kciukiem potarł bliznę. Pająk!

Do głowy wpadła mu pewna myśl. Jeśli ktoś wie, gdzie można skosztować smażonych tarantuli, to tylko nadkomisarz Paweł Pągowski, fascynat kultury azjatyckiej i amator najdziwniejszej kuchni, o której przegadał z Kordą niejedną wieczór. Detektyw szeroko się uśmiechnął i czym prędzej wyszedł z gabinetu.

25

Wycieraczki pracowały wytrwale, machając to w jedną, to w drugą stronę. Odgarniały strugi wody opadające na przednią szybę. Uliczne światła się rozmazywały, mijane kolorowe punkciki drżały. Tonący w deszczu świat wydawał się rozchwiany, niepewny. Ale Grabska lubiła taką pogodę. Paradoksalnie czuła się w niej bezpiecznie. Jakby mogła na krótko zrzucić wszystkie maski. Jakby inni przez chwilę jej nie widzieli.

Zatrzymali się przed przejściem. Auto jadące przed nimi rozbłysło czerwienią świateł stopu. Alicja zerknęła na siedzącego za kierownicą Korde. Patrzył przed siebie i zagryzał policzek. Znała tę minę. Był skupiony, wyraźnie się nad czymś zastanawiał. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Blizna na policzku się wygięła. W tym momencie był dla niej niedostępny. Całkowicie pogrążony w swoich myślach. Jego umysł totalnie ją fascynował, pociągał, maksymalnie podniecał. Tajemniczy wygląd Korde był tylko dodatkiem. Alicja miała świadomość, że Oskar podobał się kobietom. Ale nie był przystojny w ten oczywisty sposób. Miał w sobie coś brzydkiego, czarnego, coś, co wypływało z jego wnętrza, co niepokoiło. Czasami wydawało jej się, że szpecąca go blizna była tego emanacją. To, jak lśniła, jak się wyginała, gdy się złościł, jak zniekształcała mu linię ust, kiedy się uśmiechał. To, jak bezwiednie przesuwiał po niej palcem, gdy czuł się zaniepokojony... Grabska często się nad tym zastanawiała. Zastanawiała się, dlaczego tak proste pytanie: skąd ma tę bliznę, sprawiało, że na chwilę się zmieniał. Na jego twarzy pojawiał się przelotny, niemal niedostrzegalny grymas bólu, cień, który pełził po skórze. Ale Alicja potrafiła go wychwycić. Była doskonałą obserwatorką. Dostrzegała każde drgnienie i wiedziała, że nie było ono bez znaczenia. U Oskara wszystko podszyte było jakimś zagadkowym sensem i Grabską strasznie frustrowało to, że nie był on dla niej czytelny. Oskar doskonale się maskował.

Oderwała wzrok od detektywa i przeniosła go na boczne okno. Deszcz zacinał w szyby i z mocą uderzał o karoserię. Bum. Bum. Bum. Bum. Bum. Pierwsze porządne wiosenne urwanie chmury. Dekonstruujące kanciastą rzeczywistość. Nadające jej inny wymiar. Wymiar, który Alicję tak bardzo ciekawił.

Dojeżdżali do Pasa Nadmorskiego w Brzeźnie. Po chwili Korda zatrzymał samochód, spojrzął na Alicję, ale nadal jej nie widział. Poczowała ukłucie żalu i sięgnęła do klamki, po czym rozłożyła parasol i wysiadła z auta. Trzasnęły

drzwi. Deszcz zabębnił o napięty nad jej głową czarny materiał. Oskar objął ją w pasie i przejął rączkę. Szli teraz spleceni, a ona poczuła ulgę. Pachniało wiosenną ziemią.

Weszli na ciągnącą się wzdłuż morza promenadę, idąc obok sprawiającej wrażenie tymczasowej zabudowy. Ktoś minął ich rozpędzonym rowerem. Poza tym na ścieżce nie było nikogo. Morze w oddali szaleńczo szumiało.

– To powinno być gdzieś tutaj. – Zatrzymał się i powiódł wzrokiem po niskich drewnianych budkach, których konstrukcje wydawały się chwiejne i kompletnie nieprzemyślane. – Pająk mówił, że Cheung Prey schowany jest między tego typu budami ciągnącymi się w stronę mola.

Znów ruszyli, z uwagą śledząc prowizorycznie wykonane na zamkniętych deskach nazwy barów. W końcu ich uwagę przykuł czerwony znak. Koło z pajakiem w środku. To tutaj. Nie mieli co do tego wątpliwości.

Korda otworzył drzwi i znaleźli się w niewielkiej mrocznej przestrzeni z raptem czterema stolikami. Przy jednym z nich siedziała elegancka para. On w szarym garniturze, ona w obcisłej czarnej sukience. Na chwilę podnieśli głowy, z zainteresowaniem zerkając na wchodzących, ale szybko je opuścili, szepcząc sobie coś po cichu z tajemniczymi uśmiechami. Czerwone klosze na przymocowanych do belek ściennych kinkietach tworzyły istic burdelowy klimat, przełamany otwartą kuchnią. W głębi na buchających ogniem palnikach stały podniszczone patelnie. Coś na nich głośno skwierczało. Wokół unosiły się dym i smród starego oleju i spalenizny. Stał przy nich niski, chudy kucharz o azjatyckich rysach, ubrany w czarny uniform. Popatrzył obojętnie na przybyłych, po czym odwrócił się do swoich garnków. Z kamienną twarzą przerzucił coś na patelni i zamieszał w stojącym obok rondlu.

Korda poprowadził Alicję do stolika w rogu, pomógł jej zdjąć płaszcz i odsunął dla niej krzesło.

– Ciekawe miejsce. – Uśmiechnęła się, rozglądając się wokół.

– Prawda? – Oskar też się uśmiechnął w ten swój przewrotny sposób, a Alicję ogarnął nagle lęk, że kiedyś go straci. Nie znosiła tego uczucia. Dlatego właśnie przez tak długi czas nie angażowała się w żadne związki. Traktowała mężczyzn instrumentalnie, co miało swoje dobre strony. Nikt nie mógł jej skrzywdzić. Oprócz niej samej. To wychodziło jej znakomicie.

– Co my tutaj robimy? – Alicja przechyliła głowę.

Dobrze wiedziała, że Oskar nie przyprowadził jej tutaj bez przyczyny. Nie chodziło o zwykłą kolację, o żadną prostą randkę. Korda raczej nie wybrałby takiej szemranej knajpki. To nie było w jego stylu.

– Słyszałem, że podają tutaj doskonałe tarantule.

– Tarantule? – Nie była pewna, czy detektyw z niej żartuje, czy mówi poważnie.

– Smażone pająki są podobno przepyszne – dodał poważnym głosem, uważnie przyglądając się kucharzowi.

– Mhm. – Alicja ściągnęła brwi. – A o co tak naprawdę chodzi?

Oskar zagryzł policzek. W czerwonym świetle blizna była niemal niewidoczna, lecz Alicja wiedziała, że przez ten ruch szrama częściowo zniknęła z jego twarzy.

– Oskar! – zawołała. – Dlaczego tu jesteśmy?

Jej mężczyzna westchnął i podniósł na nią wzrok.

– Współrzędne logowania BTS telefonu Ewy Tokarz wykazały, że w dniu śmierci przebywała wieczorem w tych okolicach – wyjaśnił. – Z kolei z pobranej podczas sekcji treści żołądka kobiety, przekazanej do badań laboratoryjnych, udało się wyczytać, że ostatnim jej posiłkiem była...

– ...tarantula? – spytała w osłupieniu Alicja.

– Smażona tarantula – uściślił Oskar.

– I to jedyne miejsce w tych rejonach, gdzie można coś takiego zjeść?

– Na to wygląda. Co jest naprawdę dziwne, bo przecież smażone tarantule powinny się znajdować w menu każdego nadmorskiego baru. – Detektyw się zaśmiał.

W tym momencie zza kontuaru wychynęła filigranowa osóbką o brązowej cerze i azjatyckich rysach. Miała na sobie czarną bawełnianą sukienkę z długim rękawem, na którą nałożyła różowy fartuszek. Prosta grzywka i przycięte poniżej ucha czarne włosy lśniły. Trudno było określić jej wiek. Równie dobrze mogła nie mieć osiemnastu lat, jak i być koło czterdziestki. Podeszła do ich stolika, uprzejmie się uśmiechając.

– Nazywam się Yin – powiedziała melodyjnie i wskazała na siebie dłońmi. – Co dla państwa?

– A co serwujecie? – Oczy Oskara błysnęły.

– Grillowana wieprzowina z ryżem, zupa wieprzowa z makaronem ryżowym, makaron ryżowy z zielonym rybnym curry, smażone ciastka ryżowe ze szczypiorkiem – zaczęła wymieniać kobieta.

– A smażona tarantula?

Dziewczyna nieufnie zmrużyła oczy.

– Mamy na nią straszną ochotę.

– Ochotę? – Yin się zaśmiała i zerknęła do tyłu na kucharza. Ten na chwilę podniósł oczy i znów je opuścił. Jego surowa mina nie zmieniła się nawet na jotę. – Tarantule dobre – pochwaliła. – Ale trzeba umówić dzień.

– Uśmiechnęła się zachęcająco.

– A ostatnio ktoś się umawiał? – Z twarzy policjanta nie schodził uprzejmy grymas.

– Umawiał. – Yin kiwnęła głową. – Tarantule dobre – powtórzyła.

– Ta dziewczyna? – Korda wyciągnął zdjęcie Ewy Tokarz. Kelnerka przyjrzała mu się uważnie. – Była tutaj?

Yin znów odwróciła twarz w stronę kucharza. Tym razem miała zaniepokojoną minę.

– A o co chodzi?

– Ta kobieta nie żyje. Prowadzimy śledztwo. – Korda wyciągnął policyjną odznakę.

Kelnerka się zgarbiła. Jej oczy przypominały teraz wielkie spodki. Odwróciła się i szybkim krokiem przeszła do przesiąkniętej parą kuchni. Nachyliła się do kucharza i powiedziała mu coś na ucho. Ten głośno sieknął toporem kawał mięsa. Deska zadrżała. Następnie ze spokojem nałożył do misek jakieś parujące dania i wręczył je Yin. Ona zaś pokornie się ukloniła i małymi kroczkami podreptała do pary siedzącej przy stoliku. Kucharz otarł ręce ścierką i podszedł do Kordy i Grabskiej. Choć był niewielki, biła z niego jakaś siła.

– Tarantule dobre – rzucił bez przywitania. – Nie trują – dodał twardo.

– To nie one jej zaszkoziły – pospieszył z wyjaśnieniami detektyw. – Ta kobieta została zamordowana – dodał i pokazał wyświetlone na ekranie telefonu zdjęcie. – Ale w dniu śmierci była tutaj. Pytanie: z kim?

Właściciel baru przyjrzał się fotografii. Skinął na Yin i bez słowa wrócił do kuchni. Po chwili przy ich stoliku znów zjawiła się dziewczyna.

– Była z mężczyzną – powiedziała. – Ciemne włosy, krótkie, nie wysoki, nie niski. Elegancki.

– Z nim? – Tym razem detektyw wyświetlił na telefonie fotografię zamordowanego Artura Tokarza.

Yin zaprzeczyła.

– Z którymś z tych? – Pokazał dziewczynie zdjęcia trzech pracowników iTechnology przesłuchiowanych w związku ze śmiercią Elizy Zalewskiej.

– Nie – zaprzeczyła ponownie kelnerka.

– A może... – Policjant przeszukał galerię. – Z nim?

Wyciągnął rękę. Na ekranie pojawiła się twarz Grzegorza Zalewskiego.

– Eee, nie. Tamten był młodszy. Sexy. – Kelnerka figlarnie zmiękczyła ostatnią głoskę.

– Dobrze, w takim razie jutro przyślemy rysownika. Zrobimy portret pamięciowy.

Dziewczyna westchnęła ciężko, ale skinęła głową.

– Słyszała może pani, o czym rozmawiali? – kontynuował Korda. – Jak się zachowywali? W jakich byli humorach?

– Głośni. Śmiali się. Jedli tarantule. A to zawsze głośno. Pani piszczała. I dużo na siebie patrzyli.

– Patrzyli? – zaciekała się Grabska.

– W oczy. Miłość. – Yin się uśmiechnęła i energicznie zaczęła kiwać głową. – Poczekajcie – dodała i drobnymi kroczkami przemierzyła knajpkę.

Zniknęła za kotarą. Kucharz znów z mocą siekał mięso. Deska podrygiwała. Coś głośno zaskwierczało na patelni, coś innego zaczęło parować. Czerwone lampki podświetlały ciągnący się po lokalu dym.

Oskar spojrzał w oczy Alicji. Kokieteryjnie podniósł do góry brew.

– Miłość – powiedział.

– Najczęstszy motyw zbrodni – zauważyła Grabska.

– Tak. Zbrodnia z miłości to klasyka.

– Kobiety zabijają partnerów głównie z nienawiści, a mężczyźni zabijają kobiety...

– ...bo są o nie zazdrośni – dokończył Korda i przeniósł wzrok na zmierzającą ku nim drobną kelnerkę.

Ta stanęła przy stoliku, ale jeszcze zerknęła w tył, szukając przyzwolenia kucharza. On natomiast z siłą sieknął kawał wieprzowiny, podniósł wzrok i skinął głową. Kelnerka sięgnęła do fartuszka i wyciągnęła z niej różową wizytówkę.

– Tamci państwo zostawili to na stole. Zatrzymałam, gdyby chcieli po to wrócić – powiedziała, z delikatnym ukłonem podając kartonik policjantowi. – To co, podawać kolację?

Korda zerknął na Alicję.

– Oczywiście – odparła pewnie dziennikarka.

– Oczywiście. – Detektyw odwrócił twarz do kelnerki. – Fakt, strasznie zgłodnieliśmy.

– *Lust supper*. – Korda po raz kolejny przeczytał głośno biały napis na różowej wizytówce. Odwrócił ją kilkakrotnie w palcach, jakby szukał jakichś niewidocznych informacji, ale poza przewrotnie nawiązującym do ostatniej wieczery hasłem nadal nic tam nie znalazł.

– W necie też nic. Wpisałam również polskie tłumaczenia, ale „wieczera żądy” czy „żądna wieczerza” nic wyszukiwarce nie mówią – odezwała się Alicja, idąc promenadą z nosem w telefonie.

– Cokolwiek to jest, brzmi dość lubieżnie – stwierdził Oskar, obejmując ją w pasie.

Wrzuciła telefon do torebki i przyłgnęła do boku Kordy. Deszcz ustał. Ostatnie krople cicho skapywały z drzew. Na wilgotnym, nierównym chodniku gdzieś błyskała zgromadzona woda. Obcasy kozaków Alicji głośno uderzały o płytki.

– *Lustmord*. – Wydobyła nagle z pamięci niemieckie pojęcie. – Zabójstwo z lubieżności. Nawiązałam kiedyś do tego terminu w jednym z wpisów na blogu poświęconym Jeffreyowi Dahmerowi, amerykańskiemu seryjnemu zabójcy, nekrofilowi i gwałcicielowi.

– Kanibal z Milwaukee. Słyszałem o nim.

– No właśnie. Ten przykład to oczywiście ekstremum. W każdym razie pisałam o tym, że zabójstwa z lubieżności to taki specyficzny przykład morderstw, bo motywy i okoliczności tych czynów są zazwyczaj jeszcze bardziej niezrozumiałe i niezwykłe. Według określonego w kryminalistyce stereotypu anonimowy sprawca atakuje przypadkową ofiarę. Zaspokaja swój zboczony popęd, a następnie zabija ofiarę w okrutny sposób i odchodzi.

– Myślisz, że ofiary Młotkarza z Sopotu były przypadkowe?

– Nie wiem, to już ty musisz ustalić.

– Wiesz, przypadkowość byłaby najgorszą wersją zdarzeń. Wykrycie sprawcy, który wybiera ofiarę bez żadnego klucza, spontanicznie, zupełnie przygodnie, jest szczególnie trudne, gdyż wtedy sprawcą może być niemal każdy. Co więcej, powtarzanie czynów przestępczych może wówczas dotyczyć nieograniczonej liczby potencjalnych ofiar, a to z kolei wywołuje falę strachu i niepokoju w danym mieście, z czym zresztą już i tak mamy do czynienia. Między innymi dzięki tobie.

Zacisnął zęby i udając oburzenie, mocniej przyciągnął ją do siebie.

Alicja na to niewinnie wzruszyła ramionami.

– Ja tylko relacjonuję zdarzenia. – Zaśmiała się.

– Ale to nie jest przypadkowe. – Detektyw westchnął i pociągnął ją w kierunku plaży. – Zabójca za dużo wie. Wydaje się, że zna układ pomieszczeń, swobodnie się po nich porusza, nawet w ciemności. Zna też przyzwyczajenia tych par. Wie, o której mocno śpią, wie, jak je panicznie przestraszyć. Jest przygotowany. Ma ze sobą potrzebne narzędzia, choć do pośmiertnych nacięć używa zwykłego kuchennego noża należącego do ofiar. I co ciekawe, zostawia też ślady, co niejako tej metodyczności przeczy.

– A może to po prostu typ zorganizowany? – zastanowiła się Alicja. – Wiesz, taki, co to czerpie przyjemność z kontaktu z policją, prowadzi z nią swoistą grę.

– Jest obeznany w procedurach i metodach jej działania, interesuje się postęпами śledztwa, bierze czynny udział w poszukiwaniach sprawcy, przeszukiwaniu terenu – podjął Korda. – Kto wie? Przyjmując, że tak jest, nie można wykluczać, że ta wizytówka została zostawiona w azjatyckiej knajpie celowo. I to właśnie przez sprawcę – dodał.

Przeszli przez piasek i stanęli nad brzegiem wzburzonego morza, które z rykiem wyrzucało z siebie pieniste fale. Jakby chciało ich pożreć. Zaatakować.

„Pożądanie. Każdy je czuje. Ale każdy pożąda czegoś innego” – pomyślał Korda.

– Wyobrażasz sobie, że spędziliśmy wieczór w tej samej knajpce, w której być może jeszcze kilka dni temu uwodził swoją ofiarę morderca? – powiedziała Alicja z niedowierzaniem.

– Trójmiasto jest porąbane, co?

– Też masz takie wrażenie?

– A jeśli nie jest to sprawca zorganizowany? – Detektyw znów się zamyślił. – A jeżeli morderca wcale nie prowadzi gry z policją? Jeśli to gra, którą uprawia z wybranymi małżeństwami? Może wszystko po to, żeby zastraszyć przyszłe ofiary?

– Chce wzbudzić strach. Chce, żeby winni się bali. Tylko winni czego?

Korda znów obrócił wizytówkę w palcach. *Lust supper. Lustmord.*

– Lubieżności? – zapytał sam siebie, wsłuchując się w wycie morza.

„Pająk ci wchodzi do ucha”...

Nagle ogarnęło go to samo nieprzyjemne uczucie niepokoju, co zawsze.

Nie wiedzieć czemu, ni stąd, ni zowąd zalało go przemożne pożądanie. Odwrócił się do Alicji, chwycił ją za włosy i zaczął wariacko całować.

Namiętnie, dziko, lubieżnie. Otworzył szeroko usta i głęboko wsadził w nią język. Do samego końca, niemal do linii gardła. Następnie przejechał nim po jej zębach, dziąsłach, policzkach. Jakby chciał się w tym pocałunku zatracić. Jakby właśnie ta czynność miała ukoić jego ból. Narastający w nim od kilku dni ból, który doskonale, dogłębnie znał sprzed wielu, wielu lat.

Korda ponownie zastukał do drzwi. Tym razem mocniej i bardziej zdecydowanie. Nadal nikt nie otwierał, choć z mieszkania dobiegały wyraźne basowe dźwięki. Detektyw znów sięgnął po telefon, wybrał

numer, ale i tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Schował aparat do kieszeni kurtki i zaczął z siłą walić w drzwi.

– Małysz, otwieraj! – krzyknął. – Policja!

W końcu usłyszał zgrzyt zamka i między drzwiami a framugą pojawiła się szpara, hamowana przez zabezpieczający wejście metalowy łańcuch.

– Kurwa, co jest, Korda? – Informatyk policyjny Marian Miodowicz miał wyraźnie przekrwione oczy. – Wiesz, która jest godzina? – spytał i zerknął na zegarek. – Dwudziesta pierwsza? – zdziwił się. – No, dwudziesta pierwsza jest! – Znów się zaperzył.

Za plecami Małysza, śmiejąc się, mignęła naga dziewczyna. Za nią pobięła druga.

Rozbawiony Oskar uniósł wysoko brwi. Miodowicz niewinnie wzruszył ramionami.

– Jak widzisz, jestem zajęty – rzekł, przeczesując palcami rzadkiego, lichego wąsa, który nadawał mu podejrzenie frywolny wygląd.

– Potrzebuję się dostać na ciemną stronę netu.

W mieszkaniu Małysza znów rozbrzmiał dziewczęcy śmiech. Informatyk odwrócił się na chwilę, zagryzł usta z głupawym uśmiechem.

– Jest po godzinach pracy. Podejdz jutro. – Już chciał zatrzaskać przed nim drzwi, ale Korda zdążył wsunąć stopę w szparę między nimi a framugą.

– W policji nie ma godzin pracy – warknął detektyw. Po jego twarzy przebiegł cień. – A zresztą chyba nie muszę ci przypominać, że na komendzie mamy zablokowane wejście do BIOS.

Małysz westchnął. Faktycznie od kilku lat policyjne komputery traktowano poważniej, nakładając na nie mnóstwo ograniczeń zwiększających ich bezpieczeństwo. Owszem, można byłoby pogrzebać. Miodowicz miał swoje sposoby na wszystko. Ale inna sprawa, że nie zdołałby zrobić tego niepostrzeżenie, a czasy były niepewne. Nie chciał stracić swojej cieplej posadki.

– Dobra – skapitulował. – Zabieraj tę girę.

Drzwi się zamknęły, zgrzytnął łańcuch i Miodowicz wpuścił Oskara do środka. Miał na sobie jedynie obcisłe majtki. Chudą klatkę piersiową porastały czarne włosy. W mieszkaniu dudniła głośna muzyka. Przeszli do dużego pokoju. Na stole stały napoczęte butelki z alkoholem, szklanki i kieliszki, walały się bletki, na blacie rozsypano tytoń i zioło. Na kanapie przykryte kocami siedziały dwie młode blondynki. Musiały mieć nie więcej niż dwadzieścia lat. Popatrzyły na mężczyzn, coś do siebie szepnęły i wybuchnęły śmiechem.

– Podziękuj na chwilę koleżankom – zarządził Korda i podszedł do sprzętu grającego ściszyć muzykę.

– Dziewczyny, poczekajcie na mnie w sypialni. – Małysz puścił do pańienek oczko, a Oskar z niedowierzaniem pokręcił głową.

Chcąc nie chcąc, niechętnie wstały, chwyciły ze stolika napełnione szklaneczki i zniknęły za drzwiami.

Miodowicz usiadł przy komputerze stacjonarnym. Skóra jego ud z plaśnięciem przykleiła się do skórzanego fotela. Korda z niesmakiem się skrzywił, ale powstrzymał się przed uwagą. Jak najprędzej chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tropie pozostawionym w kambodżańskiej knajpie.

– To co bierzemy na warsztat? – zapytał informatyk, sięgając po butelkę z piwem. Na wąsach osiadła mu biała pianka, którą po chwili zassał ustami.

Detektyw przewrócił oczami. Współpracował z Miodowiczem od lat, więc na szczęście nawykł do jego wyjątkowo niesmacznego sposobu bycia. Liczyły się umiejętności. A tych Małyszowi nie można było odmówić. Korda wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją informatykowi.

– *Lust supper?* – Mężczyzna się uśmiechnął. – Ciekawa nazwa. Wyszukiwarka nie wypluwa ci żadnych wyników?

– Wypluwa, ale bardzo chciałem cię zobaczyć w slipach, Małysz – odparł Korda zgryźliwie.

– Każdy by chciał – odrzekł zadowolony Miodowicz. – A najbardziej nie mogły się doczekać te sikoreczki. – Wskazał głową na drzwi do sypialni.

– Nie wątpię. Naprawdę te laski nabierają się na tego węża?

– Prawdziwy wabik na kobiety. – Małysz wydawał się dumny. – Pornolski klimat. Młode cizie to uwielbiają – zapewnił.

– Trójmiasto jest porąbane. – Korda powtórzył myśl z plaży.

– I za to je kochamy, brachu! No dobra, zobaczmy, jak to twoje hasętko hula w darknecie.

Małysz sięgnął po leżącego na biurku pendrive'a, którego następnie wpiął do komputera.

– Pendrive? – zdziwił się Oskar. – Myślałem, że jesteś prawdziwym geekiem i masz na prywatnym sprzęcie Qubesa.

– A widzisz? Może wcale nie jestem taki porąbany, jak myślisz. Qubes OS jest mniej elastycznym rozwiązaniem. I paranoicznym w dodatku. A ja mimo wszystko jestem stróżem prawa. No co tak na mnie patrzysz? Mam swoje jazdy, nie przeczę. Jestem plugawy, nie kryję się z tym. Ale przestrzegam zasad. Na ogół. – Wybuchnął śmiechem.

– To co tam masz na tej pamięci? – Korda podsunął sobie krzesło, by mieć lepszy widok na ekran.

– Tailsa. A tam mam wszystko, w tym Tor Browsera. Jak kończę zabawę, wyłączam Tailsa, wyciągam pendrive'a i znowu odpalam kompa pod Windows jedenastkę. Nie ma śladu, że hulałem w darknecie. Pozostaje czysty jak łąza – tłumaczył, jednocześnie stukając zamasyście w klawiaturę.

Po chwili na monitorze wyświetliły się wyniki.

– Organizacja religijna? – zdziwił się Korda, odczytując pierwsze wyróżnione hasło.

– Chyba tylko przewrotnie. A zobacz te foty. – Informatyk wskazał na galerię zdjęć, na których pojawiały się odziane w skóry i siatki nagie ciała.

– „Zero przypadkowych ludzi. Zero tolerancji dla nachalności. Zero singli”
– odczytał hasła. – To jakaś imprezowa przestrzeń dla hedonistów. Nic nadzwyczajnego.

– To czemu ukrywają się w darknecie?

– Może dlatego, że chcą być ekskluzywni? – zastanowił się Małysz. – Tajemniczość i niedostępność to dziś największe wabiki. Sporo ludzi potrzebuje teraz naprawdę silnych bodźców, żeby się podniecić, bo jesteśmy najzwyczajniej w świecie spaczeni przez treści zamieszczane w internecie. A darknet to dla większości użytkowników nadal coś zagadkowego. Hasło, które budzi emocje. Coś zakazanego. A to kręci najbardziej, wiadomo.

Sprawnie przeskakiwał po wyświetlających się podstronach.

– Nie widzę tutaj nic, co mogłoby jakoś specjalnie podpadać. Swobodnie mogłoby to hulać na legalu. No może jedynie fakt, że nie mają stałego miejsca spotkań, jest dość nietypowy i sprawia, że trudno będzie ich namierzyć.

– Więc chodzi nie tyle o przestrzeń, ile o społeczność.

– Społeczność powiązaną pewnym elementem. – Małysz pokiwał głową.

– Jakim elementem?

Informatyk zjechał w dół i odczytał zdanie:

– „Spotkaj osobę, z którą poznasz smak zdrady”.

Korda ściągnął brwi.

– To społeczność osób zdradzających?

– Społeczność zdradzających – potwierdził Małysz. – Może dlatego tak się kitrają? Bo wiesz, kłamstwo ma krótkie nogi. A w Trójmieście – informatyk machnął ręką – nic się nie ukryje. Prędzej czy później wszystko wypływa.

– Skąd wiesz, że chodzi o Trójmiasto? – Zaciekawiony Korda obrzucił Miodowicza uważnym spojrzeniem.

Małysz nic na to nie rzekł, odpalił za to filmik zatytułowany *Noc kinksterów i hedonistów*. Z głośników popłynęły rave'owe dźwięki, do których w szaleńczym rytmie tańczyli kobiety i mężczyźni. Wijące się ciała były seksowne, estetyczne i skąpo odziane, do granic napięte i bezapelacyjnie spragnione dotyku. Na żadnym kadrze nie było widać twarzy. Tylko w jednym przypadku zrezygnowano z tej zasady. Stojący przy konsolcie didżej w czerwonym, obcisłym, świecącym w stroboskopowym świetle kombinezonie miał skupioną twarz.

– Bo akurat bardzo dobrze kojarzę tego typu. – Zadowolony z siebie Małysz zatrzymał obraz i wcisnął palucha w cyfrowe oblicze grającego.

28

Schody prowadzące do muzycznego klubu Wtedy, mieszczącego się przy Tadeusza Kościuszki w Sopocie, pękały w szwach. Ściśnięci jak sardynki ludzie byli jednak w świetnych humorach. Śmiali się, żartowali, przepychali. Wszyscy czekali, by selekcjoner wpuścił ich w końcu do środka. Nic sobie nie robili z szalejącego po świecie wirusa. Część zapewne nie wierzyła w jego istnienie, część zwyczajnie nie chciała pozwolić odebrać sobie wolności. A reszta może lubiła ryzyko? To dzięki niemu czuli, że żyją. Uwielbiali pobudzać układ dopaminowy. Koncentrować się na podnieceniu i zapominać o niebezpieczeństwie. Korda oczywiście ich rozumiał. On też potrzebował wyzwania. To one sprawiały, że stawał się sobą.

Detektyw stanął na szczycie schodów. Nie zamierzał stać w kolejce, tym bardziej że od kilku minut ta w ogóle nie ruszyła się do przodu. Wyciągnął odznakę i zakomenderował:

– Policja. Proszę się rozsunąć.

Stojący tuż przed nim ludzie natychmiast się odwrócili. Ze skonsternowanymi minami zaczęli się rozstępować. Niektórzy,

zaniepokojeni, wycofali się na bezpieczną odległość. Kilka osób zaczęło się burzyć:

– Nie zakażecie nam spotkań! To jest niezgodne z prawem! Nie oddamy klubów – pokrzykiwali.

Detektyw przecisnął się do przodu.

– Spokojnie. Ja tylko, tak jak wy, chcę się zabawić – rzucił, wprawiając ich tymi słowami w osłupienie.

Nacisnął na dzwonek. Drzwi się uchyliły. Stojący na bramce selekcjoner skinieniem głowy przywitał się z Kordą i spokojnie wpuścił go do środka. Znali się nie od dziś.

Detektyw skierował się do baru. Głośne dudnienie muzyki przyspieszyło mu tętno. Ach, jakże za tym tęsknił. Za oderwaniem, za spoconymi ciałami, za shotami przy barze, za klubową aurą, w której tak lubił się gubić, zapominając o tym, kim jest i co w życiu stracił. „Może jeszcze kiedyś będzie normalnie? Może jeszcze zapomną o tym, że kontakt z drugim człowiekiem stał się nielegalny?” – pomyślał z nadzieją.

Stanął przy kontuarze i kiwnął do znajomego barmana. Tamten rozpromienił się na jego widok, choć po chwili musiał sobie przypomnieć, że Korda jest policjantem, bo uśmiech zszedł mu z twarzy.

– Korda, kurwa, nie psuj tego – rzucił i złapał się za głowę. – Jest tak miło. Ludzie tak tego potrzebują.

– Polej. – Detektyw nie zamierzał się wdawać w zbędne dyskusje. Nie był tutaj po to, żeby zamykać knajpę. Tą niewdzięczną robotą zajmowały się zwykłe psy.

Barman ustawił na barze szklanę. Wrzucił do niej kilka kostek lodu i zalał wódką. Drugą napełnił wodą gazowaną z kilkoma kroplami soku malinowego. Berbelucha. Za starych czasów, gdy był stałym bywalcem klubu, Korda poił się tylko tym ekscentrycznym wynalazkiem. Policjant dobrze wiedział, że ten zwykły gest miał przypieczętować nawiązaną przed laty nić porozumienia.

– Kto gra? – zapytał Oskar dla porządku i przeniósł wzrok na znajdujące się za filarami pomieszczenie.

– Mentol – odparł barman.

– Rezyduje tu?

– Po części.

Dla siebie też przygotował berbeluchę. Wyciągnął szklanekę z wódką w stronę kolegi. Stuknęło szkło. Mężczyźni pociągnęli alkohol i popili wodą z sokiem, która tak bardzo przypominała im napój z saturatora z czasów dzieciństwa.

– Dobre kurewstwo. – Korda się zaśmiał.

– Prawda? – zawtórował mu Sternik. W jego oczach błysnęło zadowolenie.

Detektyw rozejrzał się wokół. Przy barze stały dwie dziewczyny. Jedna ciemnowłosa i ścięta na zapałkę, druga o długich blond włosach. Zerkwały na niego z zaciekawieniem. Ta ciemna zagryzła wargę i lekko się do niego uśmiechnęła. Korda wyczuwał ich intencje. Przez chwilę poczuł przyjemne ukłucie w podbrzuszu. Organizm domagał się dawki dopaminy. Jeszcze niedawno skorzystałby z takiej okazji. Teraz jednak dopił wódkę i skierował się do sali tanecznej. Kolorowe światła przesuwwały się po ścianach i twarzach klubowiczów. *Make a space for my body. Dig a hole, push the sides apart*³ – śpiewała Robyn. Chilloutowy, elektroniczny utwór *Röyksopp* rozwijał się powoli, generując hipnotyzujący beat. Muzyka dudniła, obezwładniała mózg, bezwiednie wprawiała w ruch ciało. Lockdown tylko pobudzał transowe działanie dźwięków. Wolność. Muzyka i taniec zawsze były jej najwyższym, pierwotnym wyrazem.

Oskar przez chwilę obserwował didżeja stojącego za dekami. Wysoki, szczupły blondyn roztaczał wokół androgeniczną aurę. Delikatnymi, długimi palcami wodził po płycie, subtelnie kiwając się w rytm piosenki. Korda wskoczył na podest, podszedł do Mentola, nachylił mu się do ucha i spokojnym głosem wypowiedział dwa zdania. Ten spojrział

na niego zaskoczony, ale nie przestawał się rytmicznie kiwać. Spokojnie załączył kolejną płytę, zrobił przejście i przecisnął się przez tłum za policjantem. Po chwili znaleźli się w męskiej toalecie. Mentol oparł się o umywalkę. Miał zmęczoną twarz, ale nadal bił od niego jakiś młodzieńczy wigor.

– *Lust supper* – rzucił Korda.

– Nic nie mogę powiedzieć – odrzekł obojętnie didżej. – Podpisałem klauzulę poufności.

– To właśnie o niej zapomnij. Chyba że chcesz zabulić miesięczną pensję za naruszenie lockdownu.

– Te przepisy zostały wprowadzone bezprawnie.

– Chcesz się przekonać?

Mentol westchnął.

– Co chcesz wiedzieć?

– Co się tam odpierdala?

– Nic wielkiego. Znużeni małżonkowie potrzebują się trochę odpiąć. To wszystko.

– Dragi? Przemoc? Zastraszanie?

– Dragi jak wszędzie. Przemoc się zdarza, owszem, ale za obopólną zgodą. O zastraszaniu nic nie słyszałem. Ale na pewno żadna zdradzająca osoba nie chciałaby, żeby info o jej udziale w tej zabawie wypłynęło na szerokie wody.

– Jakieś podejrzone typki?

– Na moje oko wszyscy. – Mentol zaczął się śmiać.

– Agresorzy?

– Jest może taki jeden szczególnie tknięty testosteronem. Mówią na niego Derek. Ale typ raczej nieszkodliwy.

– A kto całe to przedsięwzięcie trzyma w garści?

– Taka jedna para. Zuza i Hans. Wiesz, bywali w niemieckich klubach Obsession Bizarr, KitKacie i Wastelandzie, w brytyjskim Torture Garden

i chcieli przenieść ich klimat na nasz trójmiejski, podatny na takie ekscesy grunt. Tylko dodatkowo postawili na temat zdrady.

Do wyłożonej białymi kaflami łazienki wtoczył się pijany gość.

– Spierdalaj! – zatrzymał go Korda.

Facet stanął w pół kroku, przesunął wzrokiem po ich poważnych twarzach, podniósł ręce w geście kapitulacji i chwiejnym krokiem się cofnął. Drewniane westernowe drzwi przez chwilę bujały się w tył i przód.

– Czemu? – Korda podjął temat.

– Bo zdrada okazuje się dla wielu ludzi ekscytująca, a w związku z tym można na tym sporo zarobić. To, co zakazane, smakuje najśłodziej, nie? – prychnął Mentol.

Oskar mruknął coś niezrozumiale.

– A widziałeś kiedyś tam te dziewczyny? – spytał i po kolei wyświetlił na telefonie fotografie dwóch ofiar.

– Nie – odparł didżej po zastanowieniu. – Tam naprawdę przewija się dużo lasek.

– Na dzisiaj masz już spokój. – Korda wydobył wizytówkę z kieszeni i wręczył ją Mentolowi. – Ale chcę wiedzieć, jak będzie się kroić kolejna edycja.

Didżej z niedowierzaniem pokręcił głową, ale wziął karteczkę. Po chwili dwuskrzydłowe drzwi wachnęły się w przód i tył, wpuszczając do środka dudniące elektroniczne beaty. Korda przeniósł wzrok na znajdujące się nad umywalką lustro. Przełknął ślinę i poczuł w ustach wyraźny smak wódki. Ciągająca się przez policzek blizna zaśniła w ostrym górnym świetle, a do detektywa mimowolnie napłynęło wspomnienie...

Nachylająca się ku niemu zielonooka dziewczyna. Intensywny zapach mandarynek. Czarne sprężynki włosów łaskoczące go po małżowinie. „Pająk ci wchodzi do ucha” – wypełniający go szept. Niepokojący, drażniący i podniecający zarazem.

Detektyw zacisnął pięści. Mocno, niemalże boleśnie. Ostatkiem sił powstrzymał się, by nie uderzyć nimi w lustrzaną taflę. Zamiast tego pchnął westernowe drzwi i skierował się do wyjścia na zewnątrz.

Owionęło go świeże wiosenne powietrze. Po kilku minutach otrzeźwiał. Wymacał w kieszeni klucz do mieszkania Alicji i szybkim krokiem ruszył na ulicę Haffnera.

29

Korda i Hinc stanęli przed willą otoczoną wysokim kutym płotem, za którym ciągnął się malowniczy ogród. Słońce powoli zachodziło. Detektyw wcisnął dzwonek przy bramie i zerknął na Janinę. Ta rozglądała się ciekawie po posesji i jak ją znał, już analizowała rodzaje obecnych tu pyłków roślin. Czy wypatrywała dziurawca? Czy myślała o mikroskopijnych palimorfach i cząstkach, które mogłaby pozyskać z powietrza, wody, osadów i roślinności? Policjant lekko się uśmiechnął i mimo woli stwierdził, że Janka szczególnie ładnie dziś wygląda. Długie rzęsy podkreśliła czarnym tuszem, na usta położyła wyzywającą czerwoną szminkę, której wcześniej u niej nie widział i która nieco kłóciła się z jej dotychczasowym naturalnym wyglądem. Złota godzina nadała jej skórze piękny ton.

– Tak? – W domofonie odezwał się kobiecy głos, przerywając rozmyślenia, które nagle wydały się Kordzie absurdalne.

– Policja – rzucił. – Proszę otworzyć.

– Ale o co chodzi? – Kobieta wyraźnie się spięła.

– Chcemy zadać tylko kilka pytań. Jeśli nie będzie pani utrudniać, wyrobimy się do rozpoczęcia imprezy.

Po chwili milczenia bramka bzyknęła. Korda ją popchnął i znaleźli się na dziedzińcu.

Chrzęst. Chrzęst.

Pod ich nogami chrzęściły białe kamyczki, a Oskara znów ogarnął niepokój. „Pająk ci wchodzi do ucha” – usłyszał szept. Spojrzał na idącą obok niego Janinę. Ta podchwyciła jego wzrok i zwróciła ku niemu głowę.

– Tarniny i klon polny, głóg otulony bluszczem, ciemierniki, floksy – wymieniała, wskazując to tu, to tam.

„Tarniny i klon polny, głóg otulony bluszczem, ciemierniki, floksy” – powtórzył w myślach Korda i niepokój zaczął go stopniowo opuszczać. Tak bardzo cenił w Janinie jej racjonalne opanowanie, które natychmiast go uziemiało. A z drugiej strony wszystko to, co ekolożka dostrzegała w świecie, w ogóle nie było przyziemne. Paradoksalnie z każdego jej słowa przezierała jakiś tajemnicza metafizyczność.

Chrzęst. Chrzęst. Chrzęst.

Zbliżali się do willi. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich ścięta na krótko brunetka. Na twarzy miała brokatowy makijaż. Nosiła wysokie czerwone szpilki, obcisłe skórzane spodnie i czarne body skrojone z wyciętych pasków.

– Proszę wejść – zaprosiła Kordę i Jankę do środka. – Nazywam się Zuza Walewska. – Stanęli w eleganckim holu, po którym walały się na wprost otwarte pudła. Dwóch mężczyzn wypakowywało sprzęt. Instalowano światło. – Jesteśmy jeszcze w proszku, więc proszę się streszczać – ponagliła.

– Szukamy sprawców zabójstw dwóch kobiet i jednego mężczyzny. – Detektyw nie owijał w bawełnę. – I mamy podstawy, by przypuszczać, że co najmniej jedna z tych osób bawiła się na waszej imprezie.

Zuza Walewska zrobiła wielkie oczy.

– No co pan opowiada? – przełękła się, ale szybko zmieniła front: – U nas panują bezpieczne warunki. Wpuszczamy jedynie zaufane osoby, mamy stałych ochroniarzy, akredytowanego fotografa, jeszcze nigdy podczas imprezy nie doszło do niebezpiecznej sytuacji – zapewniła.

– Zaufane osoby? – zainteresował się Korda. – W jaki sposób sprawdzacie ich wiarygodność?

Kobieta zacisnęła usta. Widać było, że się waha.

– Naprawdę nie mogę powiedzieć. Całe to przedsięwzięcie opiera się na sekrecie. To podstawa filozofii wszystkiego, co tu robimy. I oczywiście czynnik marketingowy, więc gdybym panu powiedziała...

– Proszę pani, chodzi o morderstwo. W pięć minut mogę zdobyć nakaz prokuratora i wtedy przetrzepimy całą tę posiadłość, łącznie ze wszystkimi dokumentami firmowymi, w których na pewno znajdziemy dziury. No i trzeba będzie odwołać dzisiejszą imprezę, bo raczej w... – Korda zerknął na zegarek – ...pół godziny się nie wyrobimy z przeszukaniem – dodał i twardo spojrzął na Walewską.

– Na pewno pan detektyw blefuje – rzekła hardo Zuza, przesuając dłonią po krótko strzyżonych włosach. – Ale niech panu będzie. Nie chcę przede wszystkim, żeby za naszą marką poszła jakaś zła fama. Może mi to pan obiecać?

– W tej chwili mogę. Śledztwo objęte jest najwyższą tajemnicą i robimy wszystko, by nic nie przedostało się do mediów – powiedział Korda i nerwowo podrapał się po policzku.

Zerknął na Jankę, lecz ta nie zwracała na niego uwagi. Z poważną miną lustrowała przestrzeń. Podeszła do balustrady schodów i przejechała po niej palcem.

– Dobrze. Ale to poufne informacje – zaznaczyła Walewska. – Korzystamy z komunikatora w darknecie. I od razu powiem, że ta technologia jest w pełni legalna. Konsultowałam to z naszym prawnikiem, więc wcale nie macie na mnie żadnego haka. Nie robimy tam nic, co ocierałoby się o jakiegokolwiek przestępstwo.

– Komunikator w darknecie raczej nie pozwala na weryfikację kogokolwiek – prychnął Korda.

– No dobrze, przyznaję. To bardziej iluzja bezpieczeństwa. Ale za to skuteczne zabezpieczenie przed zazdrosnymi małżonkami, a o to przede wszystkim chodzi członkom naszej grupy. No i doskonały sposób na ukrycie swojej tożsamości. Wszystkie dane są sekretne. I to właśnie jest nasz atut.

Detektyw wypuścił głośno powietrze. Miał świadomość, że funkcjonowanie Lust Supper po ciemnej stronie internetu nie ułatwi prowadzenia działań śledczych.

– A te kobiety? – Korda wyciągnął zdjęcie zamordowanych Elizy Zalewskiej i Ewy Tokarz. – Widziała je pani tutaj?

Walewska przyjrzała się fotografii.

– Nie kojarzę – powiedziała. – Ale przychodzi tu naprawdę dużo ludzi. Zdziwiłby się pan, ile osób potrzebuje tego typu imprez.

– Ile osób chce kogoś zdradzić? – zapytał uszczypliwie Korda.

– Jeśli tak to pan detektyw ujmuje. – Zuza się zaśmiała. – Zdrada to tylko słowo. Nazwa pewnego zjawiska, które istniało od zawsze i zawsze będzie istnieć. Monogamia na dłuższą metę się nie sprawdza. A zwłaszcza w małżeństwie. Po pewnym czasie zawsze pojawia się rozczarowanie partnerem, zaczynamy pragnąć czegoś nowego. Ludzie nie potrafią żyć bez emocji. A zdrada zapewnia ich sporo, i to na wielu różnych płaszczyznach. Proszę mi wierzyć, nic nie daje takiego kopa. To prawdziwy haj!

– Endorfiny. – Rozglądająca się po pomieszczeniu Janka zwróciła się do Walewskiej. – Budowa tych neuroprzekaźników jest łądząco podobna do budowy morfiny, ale endorfiny działają o wiele silniej niż morfina, dlatego zdrada może się stać uzależniająca. Zdradzający sam produkuje sobie narkotyki. A seks z obcą osobą jedynie dodaje temu doznań.

Walewska pokręciła głową.

– Nie będę się kłócić. Ale co może być złego w narkotyku, który sami naturalnie produkujemy? Wszystko jest dla ludzi. Trzeba tylko wiedzieć, jak z tego korzystać.

Korda rozbawiony pokręcił głową.

– No dobrze. Nie wchodzę w tę filozofię. Niech każdy robi to, co uważa za słusne. My natomiast będziemy potrzebować danych wszystkich osób biorących udział w przyjęciach organizacji Lust Supper. I jak najwięcej zdjęć z imprez. Może nasz sprawca gdzieś się na nich ukrył.

30

– Podejmiemy rozmowę, kiedy pan będzie gotowy. – Alicja uśmiechnęła się słabo do Grzegorza siedzącego na krześle wyściełanym czarnym welwetem.

Miał podkrążone oczy. Długa broda była splątana, włosy w nieładzie. Grabska poczuła nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Zdawała sobie sprawę z tego, że Zalewski żył w piekle. W ludzkim piekle zbudowanym z najpiękniejszych wspomnień i ze ścierających się z nimi najokropniejszych tęsknot.

– Nie chcę już przerw. Po prostu miejmy to za sobą. – Wcześniej pochylony mężczyzna ponownie się wyprostował.

Dziennikarka dała znak kamerzyście, wzięła oddech i spokojnym głosem podjęła:

– To musiała być dla pana najpotworniejsza chwila. Zamaskowany mężczyzna ściąga pańską związaną żonę z łóżka i ciągnie ją po ziemi.

– Tak. Wtedy zrozumiałem, że to nie jest zwykły złodziej, który chce nas ograbić. Dotarło do mnie, że za chwilę stanie się coś strasznego.

– Co pan wtedy czuł? – Alicja ściszyła głos.

Zalewski pokręcił głową. Przeniósł spojrzenie w górę, jakby chciał zatrzymać wzbierające pod powiekami łzy.

– Złość. Wściekłość. Bezsilność. Tak. Przede wszystkim bezsilność – dodał, opuszczając głowę. Po jego policzku potoczyła się kropla, a kamerzysta przybliżył jej obraz.

– To musiało być bardzo trudne. – Grabska westchnęła ze współczuciem.
– Opinia publiczna jest jednak podzielona w ocenie pana postawy. Jak się pan do tego odnosi?

Zalewski z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie może sobie pani nawet wyobrazić, co czuje człowiek leżący twarzą w dół, zakneblowany, związany... – Na chwilę urwał. – Człowiek, który słyszy, jak jakiś mężczyzna ciągnie jego kobietę po ziemi, człowiek, który nie może się ruszyć, który nie może nic zrobić, by pomóc swojej żonie. – Zacisnął pięści.

– Tak. Trudno to sobie wyobrazić – przyznała Grabska. – Bał się pan o swoje życie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tak. Bałem się i wcale się tego nie wstydzę. Świadomość tego, że zaraz można umrzeć, że istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że wkrótce życie się skończy, jest przerażająca. Paralizująca. To coś, z czym nie sposób walczyć. Od czego nie sposób się odżegnać. To instynkt. Pierwotny instynkt przetrwania. A z drugiej strony jest taka myśl, że jak człowiek się temu podda... – Zalewski przyłożył ręce do oczu, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz – ...że jak człowiek się temu podda... – złożył ręce na kolanach – ...to wszystko skończy się dobrze. Że ten złoczyńca odpuści. Zlituje się. Chyba takie miałem właśnie myśli, choć trudno mi odtworzyć wszystko, co się wtedy we mnie działo.

– I właśnie dlatego zorganizował pan pomoc sąsiedzka? Na czym polegała ta inicjatywa?

– Tak jak powiedziałem, po tym, co nas spotkało, po tym, co... spotkało moją żonę... czułem ogromną bezsilność. To uczucie mnie dobijało. Było zupełnie niszczące. Musiałem coś zrobić, cokolwiek. Najpierw wsiadałem do auta i jeździłem po okolicy, po prostu przed siebie, byleby nie mieć skrępowanych dłoni, byleby coś robić. A potem ten człowiek znów zaatakował. I tym razem zabił nie tylko kobietę, lecz także jej męża.

I wtedy nagle przyszła do mnie myśl, że ten morderca nie jest duchem, tylko człowiekiem. Zwykłym człowiekiem, który ukrywa się w tłumie. Omylnym człowiekiem, którego można wyśledzić i dopaść.

– I wtedy zwrócił się pan do sąsiadów.

– Tak. Zrozumiałem, że Bóg ocalił mnie nie bez powodu. Chciał, żebym podjął działanie. Zapukałem więc do jednego sąsiada, do drugiego. Przedstawiłem się i dowiedziałem się, że nie tylko ja się boję. Wszyscy się bali. Wszyscy mieli te same obawy. Nikt nie mógł spać spokojnie. Więc zaproponowałem, żebyśmy się spotykali parami i przeczesywali okolicę. Trzymali wartę. I tak to się zaczęło.

– Sąsiedzi szybko zareagowali na pana inicjatywę.

– Tak. Najpierw było nas dwóch, potem czterech. A później się okazało, że nie tylko najbliżsi sąsiedzi chcą w tym uczestniczyć. Także kolejne ulice. I kolejne.

– I tak zmobilizował pan cały Sopot.

– Można tak powiedzieć. – Zalewski się uśmiechnął. – Młotkarz z Kamiennego Potoku też nie będzie spał spokojnie. Już nigdy – skwitował i nienawistnie spojrzął prosto w kamerę.

31

– Rozwodzę się, wie pani? – Szpakowaty mężczyzna, wysoki i postawny, odwrócił się od okna.

– Przykro mi – odparła Klara, robiąc rozzaloną minę.

– Niepotrzebnie. – Nikodem Barski się uśmiechnął. – Zdarza się, nie? – Wzruszył ramionami. – Po latach zrozumiałem, że po prostu nie jestem szczęśliwy. Byłem zadowolony. No, umiarkowanie, powiedzmy, ale ciągle czułem, że chcę więcej, bardziej, mocniej, choć nic z tym nie robiłem. Byłem. Zarabiałem. Jadłem, spałem, wychowywałem dzieci, oglądałem z żoną filmy. I nawet mi to wszystko pasowało, ale tak głęboko w sobie,

wie pani, tak głęboko zawsze wiedziałem, że to nie to. Że to nie ta osoba. Nie ta jedyna. Taka, która by sprawiła, że nie mógłbym uwierzyć w swoje szczęście, że jest u mojego boku.

– A teraz pan taką odnalazł?

– Nie do końca. – Zaśmiał się. – Na razie badam grunt. Poznaję opcje. Eksperymentuję. Ostatecznie szukam, że tak powiem.

– A jak pan nie znajdzie?

– Trudno. To będę nadal eksperymentował. – Mężczyzna znów się odwrócił do okna wychodzącego na las. – Ale doszedłem do wniosku, że bycie z kimś na siłę czy z przyzwyczajenia nie ma sensu.

– Tak pan uważa?

– Wegetowanie z kimś do końca naszych dni tylko dlatego, że kiedyś tak się wybrało, to albo heroizm, albo głupota. Jedno i drugie wydaje się absurdalne, nie sądzi pani?

– Cóż. Myślałam o tym nawet ostatnio – przyznała Lubańska. – Ale trudno tak po prostu odejść, zostawić wszystko i rzucić się w wielką niewiadomą. – Zarumieniła się. W ogóle nie знаła tego mężczyzny. Miała mu jedynie sprzedać mieszkanie, a tymczasem zaczęła się z nim dzielić najskrytszymi przemyśleniami. Przemyśleniami, których sama się przed sobą wstydziała.

– Pani Klaro. Żyjemy tylko raz, no nie? – Klient przechylił głowę. – Ja doszedłem do wniosku, że nie chciałbym na łożu śmierci żałować, że nie zaryzykowałem.

– Coś w tym jest. – Uśmiechnęła się.

– Ale u mnie to wcale nie przyszło ot tak. Musiało wiele wody upłynąć, nim podjąłem decyzję. No i musiałem posmakować tego i owego, żeby zrozumieć, czego naprawdę pragnę.

– Co ma pan na myśli? Jeśli oczywiście mogę zapytać – zreflektowała się.

– Pewnie. – Barski machnął ręką. Przeszedł do stojącego przy ścianie okrągłego stołu i zajął przy nim miejsce. Klara automatycznie przysiadła się do niego. – Ja wyznaję zasadę, że nie wyskakuje się z jadącego pociągu. A nawet jeśli, to tylko wtedy, gdy wiemy, że za oknem czeka na nas coś niesamowitego, coś, czego pragniemy całym sobą.

– Ma to sens.

– Prawda? Więc zacząłem najpierw ustalać, co za tym oknem może na mnie czekać.

– Jak?

– Hm, cóż, są na to sposoby. Ale nie każdy o nich wie. – Klara nachyliła się zaciekawiona ku mężczyźnie. – Umie pani dochować tajemnicy?

– Chyba tak. – Niepewnie przewróciła oczami.

– A jest pani gotowa na eksperymenty?

Przełknęła ślinę. Chwilę milczała. Nie do końca wiedziała, o co pytał Barski, ale nie wiedzieć czemu, poczuła się mocno zainteresowana. „Życie jest tylko jedno, nie?” – w głowie wybrzmiał jej głos mężczyzny.

– Tak – odparła stanowczo. – Jestem gotowa...

Klara Lubańska patrzyła na wydobyty z torebki srebrny pendrive i wspominała tamten dzień. Nikodem Barski nie powiedział jej wtedy dokładnie, o co chodziło. Ale obiecał, że dowie się w swoim czasie. I faktycznie, po pewnym czasie przyszła do niej przesyłka. A w niej znalazła pendrive'a i szczegółową instrukcję. Na początku czuła się zagubiona. Ale okazało się to prostsze, niż sądziła. Wystarczyło wsadzić go do USB, włączyć komputer, wykonać kilka ruchów i było się na odpowiedniej stronie. Stronie, do której większość ludzi nie miała dostępu. Stronie w darknecie, o którym słyszała tyle mrozących krew w żyłach historii. Oczywiście odbywał się tu też zapewne handel materiałami wybuchowymi, bronią i narkotykami, ale w większości hulały tutaj po prostu najróżniejsze strony internetowe, do których z różnych przyczyn nie

można było się dostać przez adres WWW w zwykłych wyszukiwarkach. Wiedzieli o nich tylko wtajemniczeni.

Tak poznała Lust Supper. Z początku była w szoku, że Nikodem Barski pomyślał, że Klara mogłaby w ogóle się czymś takim zainteresować. To miał być sposób na nieudane małżeństwo? Zgraja napalonych ludzi zdradzających swoich małżonków. To była ta filozofia? To było to rozwiązanie? Wydało jej się to zboczone i żałosne. Zniesmaczona zamknęła wtedy komputer, szybko wyjęła pendrive'a i schowała go głęboko do torebki. Ale po kilku godzinach ciekawość zwyciężyła. Znow odpaliła Tailsa, tym razem jednak zgodnie z instrukcją weszła na wbudowany w niego komunikator Pidgin i pod pseudonimem dołączyła do grupy. I zaczęła czytać. Były tam czysto informacyjne wpisy o organizowanych wydarzeniach, refleksje użytkowników po odbytych imprezach, niewybredne żarciki, podszyte erotyzmem dialogi. Ale znalazła też historie ludzi czujących dokładnie to samo, co ona: zagubienie, inercję, obojętność, totalną emocjonalną martwość. Historie ludzi, którzy dzięki Lust Supper odżyli, znow zaczęli czuć radość, pożądanie, wolność. Znow poczuli się żywi i dowartościowani. I powoli zaczęła wchodzić w ten świat. Długo zwlekała, by udać się na jedną z tego typu imprez. Ale w końcu się przełamała. Przecież miało się tylko jedno życie.

I właśnie tam trafiła na Pana X.

Lubańska na tę myśl błogo westchnęła. Wpięła przenośną pamięć w laptop i odpaliła Tailsa. Przedostała się na Pidgina i weszła w prywatną korespondencję. Miała jedną wiadomość.

„Spotkamy się?” – pytał Pan X.

„Tak. Tam, gdzie ostatnio? – odpisała. – Napisz tylko kiedy”.

Janina Hinc rozglądała się ciekawie po wnętrzu knajpy. Nigdy tu nie była, ale słyszała, że to właśnie w tym lokalu serwowano najlepszą gruszkówkę w Trójmieście. Mieszczący się przy Kazimierza Puławskiego Tapas de Rucola miał w sobie pewnego rodzaju sielskość, która sprawiała, że nie sposób było nie czuć się tu swobodnie. Niby spokojnie sączyła herbatę, gdy Korda się spóźniał. Nie mogła się jednak doczekać, kiedy powie mu o swoich odkryciach. Nie żałowała, że w ciągu ostatnich dwóch dni spała raptem kilka godzin. Ścieżka chodu z miejsca drugiego zabójstwa okazała się prawdziwą mapą organicznych znaczeń, a Janka coraz mocniej uświadamiała sobie, że praca przy policyjnych śledztwach prawdziwie ją uskrzydla. W końcu mogła wykorzystać swoje umiejętności do czegoś naprawdę pożytecznego i ważnego. O tym właśnie marzyła całe życie.

Drzwi się otworzyły, a Hinc podniosła wzrok znad parującego kubka. Detektyw miał lekko podkrążone oczy, ale na jej widok szczerze się uśmiechnął. Rozwichrzone kędzierzawe włosy opadły mu na czoło. Jednym ruchem je poprawił i podszedł do stolika.

– Co pijesz? – rzucił na powitanie. – Herbatę? – Ściągnął brwi. – Może gruszkóweczkę?

– Nie, dzięki. Ale ty się napij. Jak chcesz, to odwiozę cię do domu – zaproponowała.

– Nie odmówię. Poczekaj chwilkę.

Po minucie siedział obok niej, opróżniając jednym haustem pierwszy kieliszek nalewki.

– No to co tam pani czarodziejka znalazła? – zapytał.

– Dziurawiec. Dużo suszonego dziurawca, podobnie jak na miejscu zbrodni u Elizy Zalewskiej, tylko tym razem zarówno na koszuli nocnej i nogach ofiary, jak i w śladach traseologicznych.

– Jakież muchy?

– Nie. Tym razem nie było żadnych larw ani kokonów, które mogłyby świadczyć o ich przeniesieniu ze środowiska sprawcy.

– Okej. Czyli mamy dziurawiec. I zapewne coś jeszcze, bo inaczej byś tak nie przebierała nogami. – Korda się zaśmiał.

– Wcale nie przebieram nogami – obruszyła się Hinc. – No dobra, może trochę, a może faktycznie przebieram, bo... jej! – skapitulowała. – To jest naprawdę ekscytujące, coś tak osobliwego znaleźć na miejscu dokonania morderstwa...

– Oddychaj, Janka. – Detektyw wybuchnął śmiechem. – I dawaj, bo sam jestem strasznie ciekawy.

– A więc tak: nasz sprawca wniósł na swoich buciorach do domu Tokarzków sporo zanieczyszczeń, co zresztą było widać gołym okiem pod ultrafioletem. Nadal jestem oszołomiona tą ścieżką chodu, serio, to było niezwykle...

– Janka? – przerwał jej Oskar.

– Co? – odparła zdziwiona.

– Przyznaj się: ile kaw dzisiaj wypijaś? – Palnął się ręką w czoło.

– Dzisiaj czy przez ostatnie dwa dni? – Zaśmiała się. – Nie wiem, nie pamiętam, nie liczyłam.

– Rozumiem. Szanuję. – Korda wychylił kolejny kieliszeczek. – Więc zanieczyszczenia.

– Tak. Zanieczyszczenia. A zatem uliczny kurz, trochę skażonej benzyny, gnijące resztki lipy drobnolistnej. A także pałeczki coli i krętki wodne. – Uśmiechnęła się szeroko.

– O kurczę, jestem pod wrażeniem, sporo tego – skomentował Korda z uznaniem.

– Prawda?

– I na pewno masz swoją teorię, co też oznacza taki zestaw zanieczyszczeń pod podszwami sprawcy. – Detektyw w oczekiwaniu przechylił głowę.

– No cóż. Pałeczki coli i krętki wodne mogą się znajdować w każdym zbiorniku wodnym. Jakkolwiek uliczny kurz i skażona benzyna sugerują,

że jest to jakieś miejsce tuż przy w miarę ruchliwej ulicy. A do tego z dużym prawdopodobieństwem obsadzonej drzewami o szarej, popękanej korze oraz sercowatych, stosunkowo małych liściach – zakończyła i z werwą uderzyła w stół pięścią.

– O ty diablico rogata. – Zaskoczony Korda opadł na krzesło. – Tym razem rozbiłaś bank. Rozbiłaś w drobny mak.

33

Hinc podjechała pod blok Kordy i zaparkowała na poboczu.

– Dziękuję za ten wieczór – powiedział detektyw.

Janka bezgłośnie kiwnęła głową, lekko się uśmiechnęła. Dawno tak dobrze się nie bawiła. Jakby zeszło z niej ciśnienie, które od dawna w niej narastało. To było takie... niezobowiązujące i naturalne. Takie bezpieczne. Janka odsunęła te wrażenia. Znów sobie coś wkręcała. Ech, ojciec miał rację. Powinna w końcu iść z kimś na randkę. Znaleźć sobie partnera. Odpiąć się. Zacząć żyć... Ekolożka znów się skrzywiła. „Ty głupia kobieto – zganiła się w myślach. – Tak jakby znalezienie kogoś miałoby być gwarancją szczęścia”.

Przesunęła wzrok w prawo i zrozumiała, że Oskar od dobrej chwili się jej przygląda. Dłuższy moment milczeli. Do wnętrza samochodu wpadało nagle światło stojących wzdłuż chodnika latarni. W nastawionym na przypadkową stację radiu szumiała piosenka Youth Novels.

He and I, he and I, your words, he and I, she and I, she and I, your words, here under.

– Lecę. – Oskar zbliżył się do Janki i pocałował ją w policzek. Otworzył drzwi, wysiadł, ale nachylił się jeszcze. – Długo się wahałem, czy pocałować cię w policzek, więc... to... nie był taki zwykły pocałunek.

Zdziwiona przyjrzała się Oskarowi. Patrzył w przestrzeń, jakby nad czymś się zastanawiał. Jego szczęka ruszała się niespokojnie, wzrok przez

moment był nieobecny, poważny. Znów się nachylił, przycisnął kolano do przedniego siedzenia i pocałował ją w policzek po raz drugi. Przeciagle, miękko.

– Korda... – szepnęła Janka niepewnie.

– No co? – mruknął detektyw. – No co? – powtórzył cicho.

Ekolożka bezwiednie odwróciła głowę w jego stronę, a usta mężczyzny przesunęły się po jej skórze i zatrzymały na wysokości jej ust.

Jej oczy i jego oczy. Spojrzenia zapadające się w siebie, grzęznące. Jego oddech i jej oddech. Przyspieszone, nierówne wdechy i wydechy, unoszące się i opadające klatki piersiowe. Drżenie.

Oskar dopadł jej ust, ścisnął jej kark ręką.

Jej język i jego język. Ciepłe, wilgotne konsumowanie siebie nawzajem.

Bicie serc, tak mocne, intensywne, dosadne.

Detektyw przywarł do Janiny, spychając ją na okno. Jęknęła, gdy jego ręka wsunęła się pod jej sukienkę i zacisnęła się na nylonowych rajstopach.

Jego język i jej język. Sunące po sobie węże, giętkie, gładkie, mokre. Jednocześnie jego palce w jej ustach, rozciągające policzek, sunące po zębach, dotkliwie ciągnące dolną wargę, zostawiające mokrą ścieżkę na jej szyi, obojczykach, dekolcie.

Janina zacisnęła dłoń na obiciu siedzenia i zawyla prosto w jego usta. Z bólu, podniecenia, narastającego pragnienia. Wbrew sobie jednak rzuciła:

– Nie możemy. Korda, nie możemy.

Lecz on nie przestawał. Naciskał na nią całym ciałem, lizał jej wargi, ssał ich czerwień, wpychał palce prawej ręki wraz z rajstopami i majtkami do jej wnętrza.

Mocniej i mocniej, i mocniej.

– Korda, przestań – szeptała Janina. – Korda. Hmmm, Korda. Tak, och, tak. Tak, Korda. Korda, proszę, tak, Korda, przestań. Przestań, musisz przestać. Och. Przestań, proszę, przestań. Alicja!

To imię go otrzeźwiło. Jego palce zamarły, język się wycofał. Jego błędzący wzrok się wyostrzył.

Jego oczy i jej oczy. Spojrzenia przytomniejące, budzące się, czujne. Detektyw szybko przesunął się na drugie siedzenie, złapał za klamkę. Trzasnęły drzwi.

A Janina osunęła się po szybie i zapadła w fotel.

– Kurwaaaa! – krzyknęła i uderzyła pięścią w kierownicę.

34

Alicja Grabska zatrzymała nagranie. Skadrowana twarz Grzegorza Zalewskiego była wykrzywiona bólem. W oczach połyskiwała wilgoć, a po jego policzku spływała łza.

– Co o nim myślisz? – zapytał Korda.

Usilnie wpatrywał się w monitor. Nie potrafił dziś spojrzeć jej w twarz.

Dziennikarka przyjrzała się mężczyźnie uważnie.

– Nie wiem. Ale coś w nim jest takiego, hm... śliskiego.

– Prawda? Też mam takie wrażenie. – Korda cmoknął. – Byłem u niego jakiś miesiąc przed drugim zabójstwem. I wydawał się całkiem opanowany. Uczesany, wypielegnowany, spokojny. Dom posprzątany aż tak, wiesz, pedantycznie. I żadnych śladów Elizy Zalewskiej. Brak zdjęć, które wcześniej tam stały, jej ciuchów w przedpokoju, babskich dodatków w wystroju. Nic. Jakby nigdy nie istniała.

– A teraz wydaje się rozsypany – skonstatowała Grabska.

– Tak. Wydaje się.

– Myślisz, że udaje?

– Trudno powiedzieć. Czy jest aż tak dobrym aktorem, żeby na wizji uronić łzę? Nie sądzę. Ale bezsprzecznie to była jakaś pokazówka.

– Jak dla mnie częściowo przypominało to agitację. Facet naprawdę poczuł misję.

– A może to taka faza żałoby po prostu. A może...

– Co?

Korda zmrużył oczy, szybko poruszał palcami, jakby zaraz miał sięgnąć po rewolwer, i powiedział:

– Istnieje specyficzny typ seryjnych morderców. Typ socjalny. Nie interesują się szczególnie przebiegiem śledztwa związanego z popełnianymi przez siebie zbrodniami, ale lubią uprawiać różnego rodzaju gry. Na przykład dzwonić do pogrążonych w rozpacz rodziców ofiar i opowiadać ze szczegółami o tym, jak bardzo cierpiały, gdy umierały...

– ...albo jak smaczne było ich dziecko, gdy je zjadali – dodała ironicznie Alicja, krzywiąc się.

– Dokładnie.

– Ale co to ma wspólnego z Zalewskim?

– Typ socjalny bardzo często uczestniczy w różnego rodzaju programach udoskonalania i wzajemnej pomocy. Przynależy do Anonimowych Alkoholików lub innych tego typu wspólnot. Albo interesuje się kursami korelującymi samodoskonalenie z religią.

– A Zalewski zorganizował pomoc sąsiedzka. A do tego posługuje się pojęciami misji i Boga. – Alicja rozszerzyła oczy.

– Tak. Ale oczywiście to za mało, żeby zrobić z niego podejrzanego. – Korda przygryzł wargę.

– A na miejscu zbrodni były jakieś jego ślady?

– I to jest właśnie główne ograniczenie, gdy do zbrodni dochodzi w domu. Bo w miejscu, w którym przebywamy na co dzień, znajduje się masa naszych odcisków palców, śladów z naszego DNA, włókien z naszych ubrań. Dlatego wszystko, co znaleźliśmy, nie może być użyte przeciwko Zalewskiemu. Żaden sąd by tego nie uwzględnił jako śladu kryminalistycznego.

– Czyli jeśli chcemy zakatrupić ukochanego, najlepiej zrobić to we własnym łóżku i zrzucić winę na kogoś innego. – Grabska się zaśmiała. –

Będę pamiętać.

– Planujesz jakąś zbrodnię? – Korda uśmiechnął się kącikiem ust. Poczł ucisk w żołądku.

...Jej język i jego język. Ciepłe, wilgotne konsumowanie siebie nawzajem...

– To zależy tylko od ciebie, kotku. – Alicja kokieteryjnie uniosła brew.

– A więc motyw zemsty? – Detektyw zacisnął usta.

Czuł, że nie potrafi już zachowywać się przy dziennikarce naturalnie. Czy ona to czuła? Czy przeczuwała, jakim jest ścierwem?

– Jestem honorową kobietą – odparła zalotnie i ostrzegawczo zmrużyła powieki.

– Dobrze wiedzieć. – Znów zapatrzył się w monitor.

Na zatrzymanym kadrze Grzegorz Zalewski wyglądał niczym człowiek złamany. Przejęty, zrozpaczony, popadający w szaleństwo. Czemu więc mu nie wierzył?

„Pająk ci wchodzi do ucha” – przez jego głowę przepłynął szept z przeszłości. Szybko go zignorował i znów podjął rozmowę:

– Najwięcej zabójstw w Polsce popełnianych jest w kręgu rodzinnym, i to z pobudek emocjonalno-afektywnych.

– I oczywiście w większej mierze przez mężów, kochanków lub konkubentów.

– Tylko co mogło tak zapalić Zalewskiego, by zabił swoją żonę? A potem sąsiadkę i jej męża? To nie ma sensu.

– No chyba że jego żona puszczała się z mężem sąsiadki – zastanowiła się Grabska.

– Sprawdziliśmy tę ścieżkę i nic na to nie wskazuje. – Korda westchnął. – Ale się dowiem. Wszystkiego się dowiem... A! I nie powiedziałem ci jeszcze jednej ciekawej rzeczy o typie socjalnym!

– No?

– O ile zorganizowany typ seryjnego mordercy najczęściej zadaje rany na ciele ofiary, o tyle niezorganizowany typ socjalny uderza zazwyczaj w twarz. I w głowę. – Detektyw zaakcentował ostatni wyraz i zamyślony przejechał kciukiem po szramie na twarzy. – Chodź, przejedziemy się – podjął decyzję.

35

– No dalej. – Korda złapał Alicję za rękę i spiesznie pociągnął za sobą.

Mocnym ruchem otworzył drzwi na klatkę. Te odbiły się od ściany i zamknęły za nimi z głośnym hukiem. Uderzył ich zapach pleśni i spróchniałego drewna. Zapach, który Korda tak dobrze znał, że zakreśliło mu się w głowie. Złapał za poręcz balustrady i poczuł pod palcami jej chłód. Przejechał po chropowatej powierzchni, takiej samej jak przed laty w stojącej w pobliżu kamienicy.

– W porządku? – zapytała Grabska, ściskając jego dłoń.

Przez chwilę zapomniał, czyja to ręka chowa się w jego rękę.

„Pająk ci wchodzi do ucha” – usłyszał, a na klatce rozległ się znajomy śmiech. Perlisty, pełen przekory.

„Chcesz się całować?” – Marika opierała się o ścianę, lecz Korda starał się nie zwracać na nią uwagi. Czym prędzej przeszedł obok stojącej maryl, wciąż ciągnąc za sobą Alicję.

– Ej! Poczekaj! – Grabska starała się przeskakiwać stopnie w tym samym tempie.

W końcu dotarli na drugie piętro, a Korda wdusił dzwonek, który rozbrzmiał po drugiej stronie drzwi. Słyszeli przez ścianę głośnie włączoną kreskówkę.

– Już, już! – krzyknęła kobieta, która po chwili stanęła w progu. – Ja już wszystko powiedziałam. – Wzruszyła ramionami na widok przybyłych.

Była to przyjaciółka zmarłej Elizy Zalewskiej.

– Pani Sandro, musimy uściślić kilka kwestii – odezwał się Korda. – Możemy to zrobić tu i teraz albo znów będzie musiała pani jechać na sopocką komendę.

Sandra Biały się skrzywiła, spojrzała w głąb mieszkania i z westchnieniem wpuściła detektywa i dziennikarkę do środka. W dużym pokoju na dywanie przed telewizorem siedziało dwóch chłopców, na oko trzy- i pięcioletek. Nie oderwali wzroku od ekranu.

– O co chodzi? – Kobieta złapała się pod boki.

– Powiedziała pani Alicji Grabskiej, że Eliza Zalewska miała kochanka. Na komendzie wycofała się pani z tego, twierdząc, że ją przy dziennikarce poniosło.

– Tak.

– Grzegorz Zalewski zeznał natomiast, że powiedziała mu pani o kochanku Elizy – zablefował Korda. – To która wersja jest w takim razie prawdziwa? I od razu przypominam, że za składanie fałszywych zeznań grozi od sześciu miesięcy do ośmiu lat pozbawienia wolności – zaznaczył detektyw.

Biały poczerwieniała.

– Zalewski tak powiedział? – zeźliła się. – Krętacz jeden. Nigdy mu nie ufałam.

– To jak było? Eliza miała kochanka czy nie miała? – Policjant stanął nad kobietą, która przysiadła na krześle.

– Miała, ale to nie ja Grześkowi tak powiedziałam, tylko on mnie!

– On pani? – Oskar przyglądał się Sandrze z politowaniem.

– A tak! – wzburzyła się Sandra. – On mnie, i to już dawno temu!

– Mówiła pani, że pan Zalewski nie utrzymywał z panią kontaktu – wtrąciła Grabska.

– Bo nie utrzymywał. Ale w pewnym momencie zaczął podejrzewać, że Eliza przygotowuje mu rogi, i się do mnie odezwał.

– Po co? – zaciekawił się Korda.

– Bo chciał mieć sprzymierzeńca, jak podejrzewam. I myślał, że coś wiem. Ale ja naprawdę nic nie wiedziałam, bo Eliza przestała się przecież ze mną kontaktować. A przyjaciółkami byłyśmy od dzieciaka, więc byłam na nią zła.

– I chciała się pani zemścić – dopowiedziała Grabska.

– To nie tak! – zaperzyła się Biały. – Ale czułam się polechtana, że Grzesiek nawiązał ze mną kontakt, że się odzywa, interesuje. I tak jakoś wyszło, że poleciłam mu detektywa. – Westchnęła.

– Detektywa? – Korda ściągnął brwi.

– Prywatnego detektywa. Mamy tutaj takiego jednego na Oruni, wszyscy go znają od zawsze. Śmiejemy się, że kto jak kto, ale on to chyba na każdego tutaj ma jakiegoś haka. Ale trzeba przyznać, że dyskretny jest, to go poleciłam Grzeškowi.

– I skorzystał? – Grabska się wyprostowała.

– A skorzystał.

– I czego się dowiedział? – zapytał Oskar.

– A nie wiem. Bo ten interesowny kutas przestał się odzywać. To pewnie dowiedział się czegoś, czym już nie miał ochoty się pochwalić. – Cmoknęła z niesmakiem.

– A ten detektyw to jak ma na nazwisko? – zapytała Alicja.

– Marek Kuc – powiedzieli jednocześnie Korda i Biały.

Zdziwione kobiety podniosły oczy na Oskara.

– On mieszka przy... – dodała Sandra, lecz detektyw szybko jej przerwał:

– Wiem, gdzie mieszka Kuc – uciął i bez słowa skierował się do wyjścia.

36

Mój ojciec był słabeuszem. Pamiętam, kiedy uświadomiłem to sobie po raz pierwszy. Miałem dziewięć lat. Leżałem na dywanie przed telewizorem. Leciał film z Johnem Wayne'em. Gdy teraz o tym myślę, to musiał być

Dyżans, bo bohaterowie sporo siedzieli w jakimś rozkołysanym pojeździe. W pamięci z tego dnia utkwiły mi napad Indian, porywająca scena pojedynku na głównej ulicy miasta i dochodzące z kuchni krzyki matki, na które niespecjalnie już zwracałem uwagę, bo były jak powietrze, którym przyszło oddychać. W pewnym momencie do pokoju wszedł ojciec. Miał podkrążone oczy i ziemistą cerę. Zmęczony położył się na wersalce i szybko usnął. Jego chrapanie mi przeszkadzało, więc pogłośniłem odbiornik i dalej wlepiąłem wzrok w ekran. John Wayne miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, a w ręku długą strzelbę. Uwielbiałem w nim wszystko. Tę wiecznie niewyrażającą emocji minę, lekko wygięte plecy. Tę pozornie dobroduszną twarz, która w duchu była żądna zemsty.

Nagle do pokoju weszła matka.

– Co tak głośno? – krzyknęła.

– Tata chrapie – odparłem.

Matka podeszła do ojca i otwartą ręką uderzyła go w twarz. On aż podskoczył i się skulił.

– Ciszej tam – warknęła na niego matka. – I nie wychodźcie teraz, bo gościa mam – dodała twardo, zamykając za sobą drzwi.

Ojciec przejechał palcami po bolącej skórze, zerknął na mnie przelotnie, odwrócił się do ściany i po chwili znów zaczął chrapać. Jak gdyby nigdy nic. Jakby matka nie upokorzyła go przed chwilą na oczach syna. Poczułem do niego pogardę. Tak wielką, że aż wezbrał we mnie gniew. Za drzwiami rozbrzmiał perlisty śmiech matki. Jednocześnie zawtórował jej jakiś męski głos. John Wayne stał na placu. Ujęty przez szerokokątny obiektyw z dołu wydawał się niezwykłym olbrzymem. Pomyślałem, że ja nigdy nie będę mięczakiem. Nigdy nie okażę potrzeby opieki ani słabości. Nigdy nie dam się stłamsić. Zawsze będę brutalny wobec kobiet, a one będą tym zachwycone. Będą mnie adorować za moją pogardę dla nich, lgnąć do mnie jak do magnesu i nigdy nie zostawią. Pojąłem, że w tym właśnie tkwi siła człowieka.

Wstałem niczym John Wayne i podszedłem do ojca. Narastała we mnie nienawiść do niego. Jego ufne podnoszące się i opadające z każdym oddechem plecy budziły we mnie obrzydzenie. Podobnie jak wybuchający raz po raz entuzjazm matki, która nigdy się nie uśmiechała przy mnie i ojcu. Nie potrafiłem nawet wyobrazić sobie jej zadowolonego oblicza. Nie potrafiłem dostosować obrazu jej twarzy do rozlegającego się za ścianą śmiechu. Poczułem ogromną chęć, by uderzyć ojca pięścią w kręgosłup. Wyobraziłem sobie, że pęka z chrzęstem, a on natychmiast umiera, i poczułem pewną satysfakcję, która mnie w tamtym momencie zaskoczyła. Napawałem się tą myślą przez dłuższą chwilę, ale nie mogłem się ruszyć.

Matka znów zaniósła się kokieteryjnym śmiechem. Usłyszałem sprężyny rozkładanej wersalki.

Plecy ojca wznosiły się i opadały. Był taki ufny, bezbronny, zupełnie bezwolny.

Zacisnąłem pięści, czując, że w środku dygocę z tej odrazy do niego, do matki, do tego obskurnego mieszkania, do całego tego syfu, w którym przyszło mi żyć. Wciąż narastała we mnie tak mocna, że aż nieznana mi dotąd wrogość, ale ostatecznie nie odważyłem się wyprowadzić ciosu. Za to impulsywnie splunąłem. Nie na ojca, jak chciałem. Tylko sobie pod nogi, na bury dywan, na którym moja ślina od razu zniknęła.

Westchnienia.

Mięsiste i drżące.

Unoszące się w przestrzeni jak sekret.

Jak udręka.

Piękna i niepohamowana.

Dyszenie.

Rzęsiste, głębokie.

Słyszalne tuż przy uchu.

Jak szept.

Najczystszy, niczego nieudający.

Ach, ach, aaaaaach!

Mężczyzna krzyknął. Niczym niedźwiedź. Bestialsko, topornie, po czym zszedł z niej, przez przypadek trącając ją w bok.

– No – skonstatował. Włożył zwinięte u stóp spodnie. Zgrzytnął zapinany zamek.

Kasia Kuc jeszcze przez chwilę leżała brzuchem na stole. Wpatrywała się w porozrzucone po ziemi losy. W końcu zsunęła się z blatu i wstydliwie sięgnęła po bluzkę.

– Musimy z tym skończyć – powiedziała.

– Z czym? – Robert Miksa roztargniony zapinał guziki koszuli.

– No z tym.

Właściciel kolektury Lotto spojrział na nią pytająco.

– Z nami. Z tym, co tutaj robimy.

– Znowu zaczynasz? – Mężczyzna przestał zapinać guziki. Ściągnął poirytowany brwi.

– Marek mówi, że jakbym go zdradziła, toby mnie zabił. – Kaśka popatrzyła na mężczyznę wyzywająco.

– Marek mówi... – prychnął Miksa. – Marek to pipa! – rzucił drwiąco.

– Nie mów tak o nim – oburzyła się kobieta.

– A jak mam mówić?! Prywatny detektyw, a nawet sprawy sobie nie zdaje, że żona przyprawia mu rogi.

– Nie przyprawiam. – Skruszona patrzyła w podłogę.

Pokrywały ją rozsiane losy. Kasia starała się odnaleźć w tym jakiś wzór, jakąś regularność, dzięki której zelżałby ogarniający ją niepokój, ale nie było w tym porządku. Był wszechogarniający chaos.

Sama nie wiedziała, dlaczego to robiła. Czemu zdradzała męża? Przecież byli szczęśliwi. Kochali się. A to tutaj... nie było nawet za specjalne. Najpierw myślała, że to tylko raz. Poddała się rzucanym w jej stronę napastliwym spojrzeniom, tanim komplementom przemawiającym do jej próżności, temu oczywistemu zainteresowaniu, które tak pieści mózg. I pozycji władzy. To bez wątpienia. Imponowało jej zainteresowanie tego faceta. Stanowczego i przedsiębiorczego. Nieznoszącego sprzeciwu. Seks był szybki, mocny i pobieżny. Nie miał w sobie nic z jej wyobrażeń. A jednak następnym razem też nie potrafiła mu odmówić. Jakby zyskał nad nią jakąś kontrolę.

Może właśnie to jej się podobało w tym najbardziej?

Po pracy już szykowała strój na następny dzień. Ciepły, ale kobiecy. Niezobowiązujący, ale seksowny. Sam rytuał wydawał jej się podniecający – wybieranie bielizny, ubrań, planowanie, jak się uczesze, jaką pomadką pociągnie usta. A potem oczekiwanie. Wyglądanie, kiedy mężczyzna pojawi się w drzwiach. Spoglądanie na zegarek. Automatyczne obsługiwanie klientów, tak jakby to był tylko dodatek do pracy. Jakby jej dzień zmierzał wyłącznie do chwili, w której usłyszy znamienne zdanie: „Policzymy losy?”. Zdanie będące ostatecznym dowodem, że wciąż przykuwa uwagę, że wciąż ktoś jej pragnie.

– A co robisz? – Pytanie mężczyzny przerwało jej rozmyślenia.

Kaśka oderwała wzrok od losów. Ich spojrzenia się spotkały.

– Tym to dla ciebie jest? Przyprawianiem rogów? – Broda jej zadrżała.

– No chyba nie będziesz beczeć? – Pokręcił głową, westchnął, ale zbliżył się do niej i pogładził ją po policzku. – Po prostu się dzieje, okej?

– Dzieje się... – wymamrotała pod nosem Kasia. – Po prostu się dzieje?

– Czy naprawdę musimy to nazywać?

– Może nie musimy, a może musimy. – Hardo podniosła głowę. – Może chociaż mi powiesz, do czego to zmierza?

Mężczyzna natychmiast się wyprostował.

– Mówiłem ci już. Mam dziecko i żonę. Nie zostawię ich. – W jego głosie zabrzmiał kategoriyczny ton. – A ty byś chciała zostawić Marka? – dodał już łagodniej.

Pokręciła przecząco głową.

– No widzisz.

Miksa zapiął ostatnie guziki koszuli. Przełożył przez głowę szeroki krawat, podciągnął węzeł ku szyi. Przeszedł do pomieszczenia głównego, zatrzymał się przy lustrze wiszącym na jednej ze ścian. Poprawił włosy, przyglądził węża, po czym odwrócił plakietkę na drzwiach.

– Do jutra – rzucił. Drzwi zamknęły się za nim z głuchym trzaśnięciem.

Kasia chwilę za nim patrzyła, a z każdą sekundą zalewała ją fala szczęścia i wstydu.

Co ona znowu odwaliała? Dlaczego tak się zachowała? Przecież było tak przyjemnie. Tak zmysłowo. Pokręciła głowę. Poczwała się piękna i chciana. Pożądana. Pożądana codziennie, mimo że na mężczyznę w domu czekała żona. Długonoga i blondwłosa, a jednak to ją pragnął pieprzyć. Właśnie ją. Uśmiechnęła się usatysfakcjonowana. Poszczęściło jej się w życiu. Miała urodę. Miała męża i kochanka. Miała świetną pracę. Miała wszystko.

Uklękła na podłodze i sprawnymi ruchami zaczęła zbierać kupony.

Skuty lodem chodnik połyskiwał w słońcu. Marek Kuc ostrożnie stawiał kroki, lecz w jednym miejscu jego but zdradliwie się poślizgnął. Noga niebezpiecznie się wygięła, ale w ostatnim momencie detektyw złapał równowagę.

– Szlag by to... – stęknął.

Poczuł się jak krety. W końcu ojciec zawsze mówił, że jest niedojdą. Rozejrzał się wokół. Na szczęście na ulicy nikogo nie było. Nikt nie widział chwili zachwiania, która zaczęła urastać w jego głowie do rangi porażki. Skupił się w zamian na szyldzie znajdującym się na jednej ze ścian okolicznych kamienic: „Fotografia Karol Saski”. Korzystał z usług zakładu już od dwóch lat. Karolek był niezastąpiony. Młody, prężny, zdolny. Wywoływał zdjęcia szybko i tanio. Nie zadawał zbędnych pytań, Kuc mógł liczyć na jego dyskrecję. Zdjęcia żony kupującej seksowną bieliznę powinny choć trochę zaspokoić starego Bakułę. Marek miał nadzieję, że Karolek zdoła wywołać mu te fotki od ręki.

Zbliżył się do lokalu. Zadzwoił dzwoneczek nad drzwiami. Marek lubił tu przychodzić. Wszystkie ściany pokryte były czarno-białymi fotografiami. Artystycznymi, głównie przyrodniczymi, bo Saski właśnie w takich się specjalizował, choć ze względów komercyjnych pstrykał też zdjęcia legitymacyjne i drukował klientom najbardziej absurdalne pamiątki z wakacji. Takie życie. Kto chciał jeść, musiał się naginać. Tak jak Marek. Śmiał się z Kasią, że nie jest detektywem, tylko starym podglądaczem.

– Co tam, panie Marku? – Zza kotary wyłonił się młody blondyn. Włosy miał przystrzyżone dokładnie tak jak Kuc: lekko wygolone boki i dłuższy tył. Pewnie też chodził do Mariolki na cięcie. Niewielki nos, szare oczy. Niebieska bluzka z długim rękawem odstawała od jego wychudzonej klatki piersiowej. – Jakież nowe foteczki?

– Nowe jak nowe. Wciąż to samo – zażartował Kuc i poczuł się staro. Wprawdzie Karolek był od niego młodszy jedynie o pięć lat, ale Marek czuł, że dzieli ich pokoleniowa przepaść.

Znów odezwało się w nim to nieprzyjemne uczucie, że w jakiś sposób jest gorszy. „Jesteś zwykłym bękartem – w głowie wybrzmiał głos ojca. – Synem kurwy, niewartej funta kłaków”.

– Oczywiście będzie negatyw?– zapytał Saski, otwierając automatycznie jedną z szuflad. – Czy też klisza, jak wszyscy błędnie mówią. – Zaśmiał się.

Przecież to było zwykłe zdanie, Kuc nie wyczuł w nim drwiny skierowanej do niego, a jednak znów poczuł się nieswojo. W środku coś go zakłuło. Subtelnie, niemal niezauważalnie, ale pozostawiło po sobie nieprzyjemne wrażenie.

– Tak? – Karolek podniósł głowę znad blatu i przyjrzał się Kucowi.

– Oczywiście – odparł Marek hardo.

Pewnie powinien przejść na aparat cyfrowy. Wszyscy teraz takich używali. Wiedział, jakie były ich zalety. Mógłby obejrzeć zdjęcia na wyświetlaczu i wskazać, które konkretnie chce do wydruku dla klienta. No i przyoszczędziłby trochę grosza. Ale na myśl o cyfrówce coś go mierziło. Nie lubił zmian. I naturalnie był przywiązany do swojego niezawodnego nikonu F801s. Ergonomicznie zaprojektowany, idealnie wyważony, genialnie leżał mu w dłoni. Może i był trochę ciężki, ale Kuc poczytywał to za walor, bo trudniej mu było poruszyć zdjęciem przy długim czasie naświetlania. I swobodnie mógł pracować bez lampy, która od razu zdradziłaby jego obecność.

– Znowu jakieś łajdactwo?

– Eee. Się facetowi tylko wydaje. Taki typ. Ale chociaż jest robota. – Detektyw się uśmiechnął.

– Ile będzie rolek? – dopytał Saski.

Kuc sięgnął do kieszeni, odwracając głowę ku witrynie.

Po drugiej stronie ulicy zauważył Kasię. Szła chodnikiem, patrząc w ziemię. Była wyraźnie zamyślona. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

Marek ściągnął brwi. Co ona robiła tu o tej porze? Może miała wizytę u fryzjerki?

– To ile? – Karolek znów o sobie przypomniał.

– Dwie. – Kuc podał opakowania fotografowi.

– Na kiedy?

– Na dziś.

– Taaa.

Kuc machnął ręką i szybkim krokiem opuścił lokal. Rozejrzał się po ulicy, ale Kaśka już zniknęła. Po niebie przechadzały się białe chmury. Siarczysty mróz był przyjemnie rześki.

3

Wyjęta z zamrażarki wódka była gęsta jak olej. Korda nalał ją do trzech szklaneczek. Otworzył lodówkę, ale nie znalazł żadnego napoju. Trudno. Będą pili czystą. W kuchni panowała duchota. Zresztą jak w całym mieszkaniu. Tojad najwyraźniej nigdy tu nie wietrzył. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystko aż się kleiło od brudu. Blat był poplamiony jakąś bordową mazią, podłoga lepiała się do butów. Oskar uchylił okno. Do środka wpadło świeże powietrze. Przystanął bliżej luzu i sięgnął po leżącą na stole paczkę fajek. Wsadził papierosa w zęby i odpalił zapalniczkę. Przez chwilę wpatrywał się w niebieskawy płomień, po czym przysunął go do twarzy. Końcówka bibułki zaskwierczała, a do jego płuc dostała się nikotyna. Przytrzymał ją w płucach i wydmuchał. Dym rozszedł się kłębiasto po ciasnym wnętrzu.

Usłyszał dobiegający z dużego pokoju śmiech Mariki. Och, jak mu się podobał ten śmiech. Był taki czysty, prawdziwy. Zresztą wszystko mu się w niej podobało. Całe jej ciało, wiadomo. Ale też gesty i miny, których

zdażył się nauczyć na pamięć, a nawet odtwarzać, gdy nikt nie patrzył. Jej głos – dźwięczny, melodyjny, który tak pięknie modulowała i ściszała, gdy chciała powiedzieć mu coś ważnego. Uwielbiał to, jak szeptała jego imię, kiedy uprawiali miłość. Tak. Miłość. To nie był zwykły seks. Gdy ich ciała się scalały, czuł, że są jednością. Nie tylko cielesną, lecz także duchową, umysłową. Świat znikał. Byli jedynie oni, ich oddechy, westchnienia, obopólna przyjemność, którą sobie dawali.

Korda znów mocno się zaciągnął i z przyjemnością wypuścił w górę dym. Ten zafalował tuż przy suficie. To była ona. Marika. Kobieta jego życia. Piękna, czuła, radosna. Pojebana jak nikt z ludzi, których kiedykolwiek poznał. Ale czym była normalność? Sam niewiele o niej wiedział. Rodzice nigdy go jej nie nauczyli. Tak samo jak rodzice Mariki nigdy nie pokazali córce, jak to jest żyć w bezpiecznych warunkach. Oskar jednak zupełnie się tym nie przejmował. Uczyli się od siebie nawzajem. Prostowali się. Naprawiali. Klocek po klocek. Jak dzieci, które pędząc na oślep, intuicyjnie nie obijały się o ściany.

Chłopak zgasił niedopałek w popielniczce i chwycił w dłonie dwie szklaneczki. Przeszedł ciemnym, wyłożonym burą wykładziną korytarzem w stronę drzwi przedzielonych złocistą szybką. Były uchylone, więc lekko popchnął je nogą.

Marika siedziała na Tojadzie okrakiem. Chłopak trzymał ręce na jej pośladkach. Dziewczyna przycisnęła się do kumpla Kordy klatką piersiową i wodziła sprężynkami włosów po jego twarzy. Tojad lekko się śmiał. Wysunął biodra do przodu, jakby chciał się w Marikę wbić. Opadł. I wtedy Marika zbliżyła usta do jego małżowiny.

– Pająk ci wchodzi do ucha – szepnęła.

Szklanki z wódką wypadły Kordzie z rąk i potoczyły się po brudnym dywanie. Alkohol rozlał się w dwie małe kałuże.

Marika odwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz. Jej oczy były rozbiegane, ukryte za alkoholową mgłą.

Korda przyglądał się jej bez ruchu. W głowie mu szumiało. Walczył sam ze sobą.

– Chodź do domu – zdecydował w końcu i ugodowo wyciągnął ku niej dłoń.

4

– Jestem! Ty też? Tak szybko dziś? Jej, dawno cię o tej porze nie było. – Głos Katarzyny Kuc niósł się z przedpokoju. – Ależ zmarzłam. O matko, palce u stóp to mam normalnie na kość zamarznęte. Serio.

Stała w progu z siatkami zakupów w rękach. Cieniutkie brwi podkreślone miała ciemną kredką, na ustach mienił się błyszczący. Przez chwilę przebierała z nogi na nogę. Szybko poruszyła odzianymi w cienkie rajstopy palcami u stóp. Sięgnęła po leżące pod stołem kapcie i nałożyła je na stopy.

– Kupiłam pasztet, wiesz, ten, co tak ci ostatnio smakował. I mielone zaraz zrobię. Zjesz, nie? Do tego ziemniaczki, mizeria i groszek z marchewką. Już się zabieram. – Nie przestawała mówić. – Tylko się przebiore.

Kasia zniknęła w łazience i po chwili pojawiła się w swoim domowym stroju – różowym dresie. Przeniosła siatki z zakupami na blat i zaczęła je rozpakowywać. Siedzący przy stole Marek patrzył, jak się krząta, otwiera i zamyka lodówkę, wyciąga talerze, przesypuje na nie bułkę tartą i rozbija jajka. Wstał od stołu, uchylił okno i spokojnie zapalił papierosa. Po chwili surowe mięso zaskwierczało w zetknięciu z gorącym olejem. Po kuchni rozszedł się zapach smażeniny. Woda z ziemniakami bulgotała na gazie. Kuc zgasił niedopałek i stanął za Katarzyną. Chciał przyłgnąć do jej pleców, ale zauważył coś w jej włosach. Sięgnął i wydobyl z nich malutki kawałek mieniającego się papieru.

– Auu. – Kaśka przyłożyła rękę do głowy. – Co robisz? – fuknęła.

– Coś miałaś we włosach. – Kuc pokazał żonie papierek.

Kobieta ściągnęła brwi i zaczęła się śmiać.

– Fragment losu, chyba z niszczarki – odparła nerwowo.

Zbyt nerwowo.

Odwróciła się szybko w stronę kuchenki i przewróciła kotlety.

– Wszędzie się to wala – dodała. – A jak ci minął dzień? Jakies postępy w sprawie? – zmieniła temat. – Wiadomo już, kto kogo zdradza?

– Jeszcze nie. – Marek oparł się o lodówkę i przygryzł policzek.

Przypomniało mu się spojrzenie żony idącej dziś chodnikiem. I ten uśmiech. Błogi, nieobecny, mglisty. O czym myślała?

– A tobie jak minął dzień? – zapytał.

– Dzień jak co dzień. Losy, losy i ciągle losy. I znowu był ten dziwny facet. Kuponów zakupił chyba za całą wypłatę. I tak się na mnie lampił, Jezus! Mam ciary, gdy się u nas pojawia, serio.

– Ciary, mówisz? – mruknął Marek. – Ale takie dobre czy złe?

– No weź! – Żona się wzdrygnęła.

– Robiłaś sobie jakieś przerwy? Na fryzjera czy coś?

– No co ty. Wiesz, ile ludzi do nas przychodzi? Nie ma czasu na przerwy. No i szef by mi chyba łeb urwał, jakbym wyszła bez pozwolenia.

– A co on, akt własności na ciebie ma? – fuknął Marek.

– No niemal. – Kasia znów obróciła kotlety. – Ale fryzjer by się przydał, wiesz? – podjęła. – Myślałam o takiej grzywce na bok. Co sądzisz? A do tego tak pofalować włosy trochę. Ładnie by było.

– Mhm – mruknął w zamyśleniu. – Siku zrobię.

– Tylko tam nie siedź za długo, bo już nakładam na talerze. – Kasia wyłączyła gaz i zaczęła odcedzać ziemniaki.

Przeszedł przez korytarz i zniknął w łazience wyłożonej biało-niebieskimi kaflami. Przekręcił zamek, odwrócił się w stronę wnętrza i zatrzymał wzrok na koszu z brudną bielizną. Przygryzł policzek, wypuścił

głośno powietrze, po czym podniósł pokrywkę i wydobył z niego zdjęte przez żonę rajstopy.

Przyłożył ich krok do nosa i mocno się zaciągnął.

Postawny niegdyś Marek Kuc wydał się teraz Kordzie mniejszy. A może to była tylko kwestia złudnej pamięci? Nadal wyprostowany, smukły prywatny detektyw wyglądał całkiem dobrze. Zresztą ile mógł mieć teraz lat? Był jakieś dziesięć lat starszy od Oskara, więc około pięćdziesięciu. Normalny facet w średnim wieku.

– Nie myślałem, że się jeszcze kiedyś spotkamy. – Kuc z niedowierzaniem się uśmiechnął, niosąc do stołu dwa kubki z herbatą. – Nie do wiary. Ile to lat minęło? – zastanowił się.

– Dwadzieścia – powiedział Korda i przeniósł spojrzenie za okno.

– Dwadzieścia – powtórzył Kuc, kiwając głową. – Zleciało, co? – Westchnął, siadając do stołu. – Widzę, że poukładałeś sobie życie. – Spojrzał ciekawie na siedzącą obok Oskara Alicję Grabską. – To dobrze. Bardzo dobrze. – Znowu westchnął i też zapatrzył się w okno. – To co cię do mnie sprowadza? Bo chyba nie szukasz prywatnego detektywa, co? – Zaśmiał się. – Teraz to pewnie lepiej sobie radzisz z takimi rzeczami niż ja.

– Jakoś sobie radzę. – Korda uśmiechnął się uprzejmie. – Ale tym razem potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy, mówisz? – Mężczyzna splótł ręce na piersi. – A w czym ja ci mogę pomóc?

– Zalewscy. Eliza i Grzegorz. Coś ci szeleści?

– Może i szeleści. – Kuc rozsiadł się nonszalancko. – Ale wiesz, jak jest. Poufność w tej branży to złoto.

– Młotkarz. Pewnie obilo ci się o uszy?

Tamten potwierdził skinieniem głowy.

– No właśnie. Zatlukł młotkiem trzy osoby, to też pewnie słyszałeś. W tym Elizę Z. – zaakcentował literę.

– Hm – mruknął Kuc.

Wstał i zamyślony podszedł do okna. Chwilę patrzył przez szybę, po czym przeniósł wzrok na stojącą obok komodę. W jej centralnym miejscu stało szklane terrarium. Kuc schylił się i popatrzył przez szybę. Korda podążył za jego spojrzeniem. Na masywnej gałęzi siedziała jaskrawozielona modliszka.

– Piękna, prawda? – powiedział Marek. – Te smukłe nogi i złożone jakby do modlitwy ręce, które tylko czyhają, by złapać ofiarę. Wyglądają tak niewinnie, taaaak niewinnie. – Kuc się zamyślił. – A tak naprawdę są drapieżne. I zupełnie bezwzględne. To niesamowite – kontynuował – że samce modliszek muszą wybierać między dwoma przeciwstawnymi, ale jakże podstawowymi popędami biologicznymi: popędem do reprodukcji i popędem przetrwania. Oczywiście jeśli mają wybór, to uciekają od wygłodniałych samic i zalecają się do tych najedzonych, ale jeśli wyboru nie ma, cóż, nie mogą się powstrzymać, by nie zaryzykować seksu również z głodnymi. Zachowują przy tym pewne środki ostrożności, bo zbliżają się do nich wolniej, z większej odległości skaczą im na grzbiet, a potem zdecydowanie dłużej z nimi kopulują. Okazuje się, że samce modliszki zapładniają nienajedzone samice średnio jakieś osiemdziesiąt sześć minut, podczas gdy z najedzonymi kopulują około dwudziestu ośmiu. Wiecie czemu? – Kuc przerwał teatralnie i odwrócił się w stronę Kordy i Grabskiej. Zmrużył oczy. – Bo w momencie oderwania się od pleców samicy najpewniej zostaną zjedzeni. Długi akt miłości to po prostu efekt strachu.

Marek Kuc postukał palcami o udo. Ponownie się zamyślił.

– Młotkarz, mówisz? Albo zjesz, albo zostaniesz zjedzonym, co? – Zaśmiał się.

Podszedł do jednej z szaf, pochylił się nad licznymi segregatorami i z jednego z nich wydobył dużą żółtą kopertę.

Po chwili położył na stole kilka zdjęć Elizy Zalewskiej. Siedziała w samochodzie z jakimś mężczyzną. Nachylała się ku niemu. W końcu namiętnie się z nim całowała.

– Rafał Bystron. – Kuc wydobyl z koperty kolejną fotografię, na której widniało zbliżenie twarzy ciemnowłosego mężczyzny w średnim wieku, i popukał w nią palcem. – Szef marketingu firmy iTechnology, w której pracowała Zalewska.

– Długo się spotykali? – zapytał Korda, wpatrując się w fotografię z samochodu.

– Nie wiem dokładnie. Ale nie było to jednorazowe, jeśli o to pytasz.

– Miałby motyw, żeby ją zabić? – Grabska wzięła do ręki jedno ze zdjęć.

– Żonaty kochanek zawsze ma motyw. – Kuc się zaśmiał. – Ale szczerze mówiąc, nie badałem sprawy pod tym kątem. Wtedy Zalewska jeszcze żyła. – Cmoknął.

– A sam Zalewski? – podpytał Korda.

– Czy miał motyw? – Kuc wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Myślisz, że byłby do tego zdolny?

– Kto wie? – Marek rozłożył ręce niezdecydowany. – Zazdrość to straszna siła. A jeszcze większa – splugawiony honor. Tak czy siak, szkoda chłopca. Stracić kogoś, kogo się kocha, to najstraszniejsza rzecz. Coś o tym wiem. Zresztą ty też. – Kuc westchnął ciężko i poważnie spojrzał Kordzie w oczy.

Ten zerwał się z krzesła.

– Dzięki, stary – odparł i podał rękę Kucowi. – Bardzo nam pomogłeś.

– Uważajcie na siebie, dzieciaki. – Prywatny detektyw popatrzył za nimi jeszcze, gdy wychodzili. – I nie dajcie się zjeść! – rzucił wesoło, znów przenosząc wzrok na siedzącą w terrarium modliszkę.

Korda pociągnął Alicję za sobą, ignorując marę stojącej pod ścianą Mariki i jej śmiech niosący się echem po klatce schodowej. Wypadli na chodnik, a Oskar nieopatrznie stanął w zebranym w załamaniu chodnika przed klatką kałuży.

– Szlag – zaklął pod nosem i zdenerwowany strzepnął wodę z mokrego buta.

Grabska uspokajająco ścisnęła jego dłoń. Słońce chyliło się ku zachodowi. Obok nich przeszła grupka roześmianych nastolatków. Gdy znikąca za rogiem, nagle stanęła przed nimi kobieta o mocnych rysach, ciemnej oprawie oczu i zaskoczony minie. Oskar zamarł. Przez długi czas patrzyli na siebie bez słowa.

– Nie przedstawiś mnie? – spytała, lecz detektyw nie zareagował. – Elżbieta Korda. – Wyciągnęła rękę do Alicji. – Mama Oskara.

2

Zmierzchało, gdy zmierzali z Oruni Dolnej w stronę Sopotu. Zachodzące słońce zabarwiło niebo na czerwono, nakładając na otoczenie ciepły filtr. Po chodnikach niespiesznie przechadzali się lekko ubrani, uśmiechnięci ludzie.

– Skąd się znacie z Kucem? – zapytała Alicja, nie odrywając wzroku od okna.

Nie wiedzieć czemu, krępowała się spojrzeć na Oskara. Tak jakby po tym dniu zawisło między nimi jakieś niezręczne niedopowiedzenie.

– To dzięki niemu zostałem policjantem – odparł Korda.

– Naprawdę? – zdziwiła się Grabska.

Odważyła się w końcu na niego zerknąć. Jego twarz stężała. Jakby zastygła w nieznanym jej grymasie.

– Naprawdę. Gdy miałem osiemnaście lat, wziął mnie pod swoje skrzydła. Ja wtedy potrzebowałem pieniędzy, a on potrzebował kogoś na posyłki. I tak zacząłem dla niego latać. I poczułem, że to jest to. Po prostu. To Kuc namówił mnie na szkołę policyjną. Powtarzał, że na dzielni jest miejsce dla jednego prywatnego detektywa, a w policji przyda się choć jeden łebski gość. – Zaśmiał się sztucznie.

– I tu się nie mylił. – Alicja się uśmiechnęła. – Fajny gość ten Kuc. I chyba zraniony, co?

– Czemu zraniony? – Korda ściągnął brwi.

– Mówił, że stracić kogoś ważnego to najstraszniejsza rzecz. Że wie, jak to jest...

– Mhm. Jego żona zmarła tragicznie w dwutysięcznym roku. Spacerowała wieczorem po plaży i złamała nogę. Początkowo wszyscy myśleli, że upadając, niefortunnie uderzyła głową o kamień, który tam leżał. Policja chciała zamknąć śledztwo. Ale Kuc na to nie pozwolił. Udowodnił, że zabił ją kochanek, właściciel zakładu totolotka, w którym pracowała. Gość do tej pory siedzi na gdańskiej Przeróbce. Choć minęło dwadzieścia lat, więc w sumie od pięciu mógł się ubiegać o przedterminowe zwolnienie.

– Co za historia. – Grabska szeroko otworzyła usta. – Matko. Ktoś ci morduje żonę i jeszcze się dowiadujesz, że ona cię z kimś zdradzała.

– Prawda? Choć jak widać, historia się lubi powtarzać.

– Miłość i zazdrość to w końcu jedne z najbardziej pierwotnych motywów zbrodni.

Korda skinął głową z poważną miną. Jego oczy niemal nieruchomo patrzyły wprost na szybę. Alicja wyczuła jego spięcie. Widziała jego zdenerwowanie, a jednak nie mogła się powstrzymać i powiedziała cicho:

– Kuc mówi, że ty też wiesz...

Surowa twarz Oskara nawet nie drgnęła. Blizna na policzku zabarwiła się poświatą czerwieni zachodzącego słońca.

– Co wiem? – zapytał w końcu.

– Wiesz, jak to jest stracić kogoś ważnego. – Uważnie wpatrywała się w detektywa.

Jego twarz niemal się nie zmieniła, ale Grabska dostrzegła pewne drgnięcie. Tak dobrze go znała...

– Przepraszam – rzuciła łagodnie. – Nie powinnam...

– Nic się nie stało – odparł i zacisnął usta. Ton jego głosu przybrał mroczniejszy odcień.

– Przecież widzę, że...

– Alicja! – warknął Oskar. – Możesz odpuścić?!

Odchyliła głowę w tył. W jej oczach pojawiły się łzy. Głośno przełknęła ślinę.

– Przepraszam. – Korda w końcu spojrzał na nią przelotnie. Wyciągnął rękę i ścisnął jej udo. – Po prostu o jednego pieprzonego ducha za dużo – szepnął. – O jednego ducha za dużo.

3

Ciemnowłosa mężczyzna w stalowym garniturze ukłonił się w dystyngowany sposób.

– To mój adwokat Przemysław Polak. – Rafał Bystroń przedstawił szczupłego, wysokiego towarzysza w równie eleganckim stroju. – Mam nadzieję, że to nie problem, że przyszedłem z prawnikiem? – zapytał formalnym tonem.

– Jeśli pan uważa, że tego potrzebuje – odparł spokojnie Korda. – Proszę siadać – dodał i wskazał przybyłym miejsca.

– O co chodzi, detektywie? – zapytał adwokat, stawiając przy nodze krzesła teczkę.

– Jeśli pan mecenas pozwoli, chciałbym zadać kilka bezpośrednich pytań pana klientowi – odpowiedział Oskar, przeglądając zgromadzone na biurku dokumenty.

Bystroń wymienił porozumiewawcze spojrzenia z adwokatem.

– Naturalnie – odparł Polak, kiwając uspokajająco głową do swego klienta.

– Panie Bystroń, jakie relacje łączyły pana z recepcjonistką firmy, w której pan pracuje, zamordowaną Elizą Zalewską?

– Była moją koleżanką z pracy. I przecież już to tłumaczyłem tuż po jej śmierci.

– Proszę zdefiniować pojęcie „koleżanka”.

Mężczyzna ściągnął brwi i zerknął na adwokata, który znów uspokajająco do niego kiwnął.

– Eliza Zalewska była moją podwładną. Pracowała na stanowisku recepcjonistki.

– Jakie relacje was łączyły?

– Typowo zawodowe.

– Czy zdarzało się panu flirtować z panią Zalewską?

– Skądże! To byłoby niedozwolone w środowisku pracy. Poza tym mam żonę i dzieci.

– Czy zdarzało się panu telefonować do pani Zalewskiej? – Korda wziął do ręki plik ze spisem połączeń z numerem ofiary.

Bystron przesunął wzrokiem po kartkach. Na jego policzkach pojawił się rumieniec, lecz nadal siedział spokojnie i bez ruchu.

– Owszem.

– W jakim celu?

– W celach zawodowych. Eliza była odpowiedzialna za kwestię pierwszego kontaktu z klientami, więc nierzadko rozmawialiśmy o pewnych sprawach telefonicznie.

– Rozumiem, że w godzinach pracy. – Korda oderwał oczy od wykazu połączeń i zerknął na Bystronia przelotnie.

– Przeważnie.

– Proszę rozwinąć.

– Zdarzało się mi również kontaktować z panią Zalewską poza godzinami pracy. To jest korporacja, panie detektywie. Tu niekiedy trzeba reagować szybko. Nie ma czasu na opieszałość.

– Mhm. Czyli nie utrzymywał pan z Elizą Zalewską żadnych kontaktów oprócz relacji zawodowych?

- Dokładnie.
- Czy kiedykolwiek pił pan z Elizą Zalewską alkohol?
- Byliśmy na kilku wspólnych imprezach, owszem.
- Proszę rozwinąć.
- Uczestniczyliśmy w imprezach branżowych, na których spożywano alkohol.
- Czy podczas tych imprez przekroczył pan kiedyś normy przyzwoitego zachowania względem Elizy Zalewskiej?
- Nie przypominam sobie.
- Czy kiedykolwiek miał pan kontakt fizyczny z panią Elizą Zalewską?
- Nie rozumiem...
- Pytanie jest proste, panie Bystron, czy kiedykolwiek łączyły pana intymne kontakty z zamordowaną Elizą Zalewską?
- Nigdy.
- Jest pan pewien?
- Oczywiście.

Oskar Korda sięgnął po żółtą kopertę i wyjął z niej otrzymane od prywatnego detektywa fotografie. Powoli rozłożył je na blacie biurka.

– Czy mój klient jest o coś oskarżony? – Przemysław Polak wyprostował się jak struna, przyglądając się zaskoczony zdjęciom Bystronia całującego się z ofiarą Młotkarza z Kamiennego Potoku.

– Nie, panie mecenasie. Nie jesteśmy na tym etapie. Ale z pewnością to etap, na którym zalecałbym mówienie prawdy, inaczej będę miał podstawy sądzić, że pana klient chce ukryć ważne dla sprawy fakty, i w tym wypadku mielibyśmy do czynienia ze składaniem fałszywych zeznań lub z zatajeniem prawdy, a w myśl artykułu dwieście trzydziestego trzeciego paragraf pierwszy Kodeksu karnego grozi za to kara pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu.

– Czy mógłbym się skonsultować z moim klientem? – zapytał Polak.

– Oczywiście, zostawię panów na chwilę samych – odparł Korda i opuścił gabinet.

Zapalił papierosa i wrócił po pięciu minutach.

– To jak? – zapytał i usiadł ponownie za biurkiem. – Utrzymywał pan intymne kontakty z Elizą Zalewską czy nie?

– Tak – przyznał Bystron. – Mieliśmy romans.

– Kochał ją pan?

– Czy ja wiem? Chyba tak. Ale nie bardziej niż żonę.

– Oczywiście. – Korda się uśmiechnął. – Co pan robił w noc śmierci Elizy Zalewskiej?

– Mojego klienta nie było w mieście – odezwał się Polak. – Trzy dni spędził w Krakowie na spotkaniach z klientami, którzy mogą to potwierdzić. A tutaj, bardzo proszę, jest rezerwacja w hotelu, obejmująca feralną noc. I oczywiście na pewno kamery hotelowe również posłużą za dowód niewinności mojego klienta.

Oskar westchnął i podrapał się po bliźnie.

– Lust Supper – rzucił twardo i wbił spojrzenie w Bystronia. – Proszę mi o tym opowiedzieć.

Mężczyzna się zaczerwienił, zmieszany przeskoczył wzrokiem między detektywem i adwokatem, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

4

– Można? – W drzwiach gabinetu komisarza Oskara Kordy pojawił się biegły psycholog Marcin Chraoń.

– O! Dzień dobry! Pewnie, zapraszam – ucieszył się detektyw.

Bardzo polubił biegłego sądowego, który pomógł mu przy ostatniej ważnej sprawie.

– Byłem na konsultacji u prokuratora Bilskiego i pomyślałem, że wstąpię również do pana. No, w końcu daleko nie było, a Leopold coś wspomniał,

że prowadzi pan detektyw teraz nad wyraz interesującą sprawę – wytłumaczył się Chraboł, siadając na krześle przy biurku Kordy. Jego długie, cienkie nogi podeszły niemal pod klatkę piersiową. – W której pojawia się motyw miłości, czy tak?

– Miłości, hm – zastanowił się Korda, przysiadając na blacie biurka. – Jeśli tak można nazwać zdradę.

– Nie ma zdrady bez miłości, panie detektywie. – Biegły się uśmiechnął. W tym momencie w drzwiach pojawiła się Alicja.

– Dzień dobry, panie Marcinie. – Uśmiechnęła się na widok Chraboła. – Przepraszam, byłam obok i chciałam się tylko przywitać, ale widzę, że jesteście zajęci...

– Chodź, chodź. – Korda wskazał jej krzesło. – Biegły Chraboł właśnie zaczął bardzo interesujący wywód. Może powstanie z tego jakiś dobry artykuł – dodał i uśmiechnął się lekko.

Uśmiech nie uśmiech.

Wiedział, że od kilku dni jego uśmiech był jeszcze bardziej nienaturalny i wymuszony niż zwykle.

Grabska zajęła miejsce i w tej chwili znów ktoś zapukał do drzwi gabinetu. W progu stała ekolożka Janina Hinc.

– Oj, przepraszam – zmieszła się. – Chciałam tylko... – Nieśmiało zerknęła na Korde i spuściła wzrok. – Potem się odezwę.

– Chodź, Janka. To jest biegły sądowy Marcin Chraboł. A to palinolożka sądowa Janina Hinc, która współpracuje ze mną przy sprawie Młotkarza – przedstawił sobie zebranych. – Biegły Chraboł mówił właśnie o... hm, zdradzie.

– I miłości. – Psycholog się zaśmiał. – Bo to od niej się wszystko zaczyna, moi mili – dodał i mentorskim gestem podniósł palec. – Nawet jeśli wydaje wam się, że ofiary zdradzające swoich mężów kierowały się zwykłym popędem, to mogę was zapewnić, że nie do końca tak to wyglądało.

Wszystko to jest bardzo złożony proces, którego zwykle nie sposób kontrolować

– W jakim sensie? – spytał Korda.

– Cóż... Każda najmniejsza emocja, którą odczuwamy, pobudzana jest przez konkretny neuroprzekaźnik, czyli przez cząsteczkę chemiczną, za pomocą której pojedyncze komórki nerwowe się ze sobą komunikują. I co ciekawe, każdy neuroprzekaźnik cechuje się osobnym i bardzo charakterystycznym oddziaływaniem. Dlatego gdy poznajemy kogoś nowego, kto jakoś nas pobudza, stajemy się naturalną fabryką leków.

– Na przykład?

– Przede wszystkim dopamina. Hormon, który nierozzerwalnie łączy się z odczuwaniem przyjemności i euforii, radości i szczęścia. To właśnie ten neuroprzekaźnik sprawia, że nagle koncentrujemy całą naszą uwagę na jednej wybranej osobie, ignorując wszystko inne. I to on powoduje, że dostrzegamy jedynie pozytywne cechy obiektu naszej miłości, który wydaje nam się wyjątkowy, niepowtarzalny, lepszy od wszystkich innych. Miłość romantyczna ma to do siebie, że przedkładamy ukochaną osobę ponad wszystko i wszystkich.

– I popadamy w ekstazę. – Alicja się uśmiechnęła.

– Tak. Wzrost poziomu dopaminy w mózgu wywołuje euforię i daje energię. Stajemy się nadaktywni, nie możemy spać, tracimy apetyt, drżymy, kołacze nam serce, przyspiesza oddech. I zaczynamy się od tego stanu uzależniać, łakniemy ukochanej osoby niemal tak bardzo jak narkotyku.

– Miłość staje się nałogiem? – zdziwiła się Janina.

– Dokładnie. I zasadniczo – Chraobł się zaśmiał – wszystkie silne nałogi są bezpośrednio skorelowane z podwyższonym poziomem dopaminy.

– Czyli miłość jest czymś... niezdrowym? – zastanowiła się Grabska.

– Nie powiedziałbym tak. Bo to jednak chemia mózgu, wywołana naturalnie, wyłącznie przez nas samych. Bez żadnych szkodliwych

substancji. No i to cudowne uzależnienie, o ile jest odwzajemnione.

– A jeśli nie? – Janina podniosła wzrok na Chraboła.

– Jeśli zostanie odrzucona, bywa, że staje się obsesją. Bolesną i nierzadko destrukcyjną. Analiza objawów kompulsywnego używania narkotyków i romantycznej miłości wykazała szereg podobieństw, przede wszystkim w odniesieniu do kwestii odstawienia i właśnie złamanego serca. W obu przypadkach pojawiają się coś w rodzaju głodu, ryzykowne zachowania, ciągłe myśli o tym, w jaki sposób zdobyć narkotyk czy odzyskać utraconą osobę.

– I to właśnie może być nasz motyw – ożywił się Korda.

– Niewykluczone. Nie ma mocniejszego uczucia nad miłość romantyczną. To najwyższy poziom wszelkiej miłości, a tym samym może sprawiać, że ludzie dokonują czynów, o jakie wcześniej by siebie nie podejrzewali.

– A te inne neuroprzekaźniki? – dopytała Grabska. – No bo miłość to chyba nie tylko dopamina, prawda?

– Zdecydowanie nie. Produkowany przez mózg stan zakochania to też norepinefryna, neuroprzekaźnik stymulujący produkcję adrenaliny. To ona mobilizuje cały nasz organizm do działania, jednakże działania w stanie upojenia, który zakłóca sen, łaknienie i racjonalne myślenie. To właśnie przez ten hormon lepiej zapamiętujemy wszystkie szczegóły związane z ukochaną osobą, w tym wszystkie najdrobniejsze spędzane razem momenty. Mamy też fenyletyloaminę, czyli biologiczny wzmacniacz przeżywanych emocji, który pobudza działanie dającej energię dopaminy i odprężającej serotoniny. Co ciekawe, oddziaływanie fenyletyloaminy jest zbieżne z właściwościami amfetaminy. Daje nam poczucie szczęścia, spełnienia i motywacji, wywołuje te symptomatyczne „motyle w brzuchu”, a także reguluje wysoki poziom podniecenia i pożądania. Niestety, ten hormon nie działa wiecznie, bo szacunkowo od półtora roku do czterech

lat. Po tym okresie motyle znikają, a my przestajemy patrzeć przez różowe okulary.

– I zaczyna się nowy etap w związku – wtrąciła Alicja z przekąsem.

– Tak. Ale to nie musi oznaczać czegoś złego. Stabilizacja i poczucie bezpieczeństwa to wartości, dzięki którym świat jest dobrym miejscem. A czy nie o to właśnie chodzi? – Chrałoń się uśmiechnął. – O budowanie bliskości i jedności?

– I tu pojawia się oksytocyna. – Hinc weszła biegłemu w słowo.

– Hormon odpowiedzialny za przywiązanie. Choć kluczową rolę na początku procesu zakochiwania się odgrywają dopamina, norepinefryna i fenyletyloamina, to właśnie oksytocyna nazywana jest hormonem miłości. I to właśnie od niej zależy, czy związek będzie monogamiczny.

– I tu dochodzimy do sedna problemu. – Korda postukał palcami o udo.

– Tak. Tu dochodzimy do sedna. Dlaczego ludzie zdradzają? – Chrałoń podniósł wysoko palec i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, jakby nie pytał tylko hipotetycznie.

Korda uciekł oczami w bok. Janina oblała się czerwienią.

– Dlaczego? – zapytała zaciekawiona Alicja.

Biegły zmrużył oczy, uważnie przyjrzał się przybyłym, mruknął, jakby się nad czymś zastanawiał, i podjął swój wywód:

– Oksytocyna to hormon wytwarzany przez część mózgu zwaną podwzgórzem. Dzieje się to podczas kontaktu fizycznego z drugim człowiekiem, gdy się przytulamy, gładzimy, uprawiamy seks, przeżywamy orgazm. U kobiet oksytocyna uwalnia się również podczas porodu i karmienia piersią, co kształtuje piękną więź między matką a dzieckiem. U mężczyzn dochodzi wazopresyna, bo to ona sprawia, że zaczynają odczuwać potrzebę sprawowania opieki nad ukochanymi osobami. Oczywiście ludzie nie lubią, gdy wszystko sprowadza się do pracy hormonów. Wolą słyszeć, że miłość to jakaś siła z kosmosu, metafizyczna więź zapisana w gwiazdach, uczucie zesłane przez Boga czy los. I jak

najbardziej ja też chciałbym wierzyć, że jest w tym coś z magii. Ale przede wszystkim jestem naukowcem. A badania naukowe dowodzą, że za wszystko: za to, kim jesteśmy, jak się zachowujemy, co lubimy, czego nie znosimy, za wszystkie emocje, jakie przeżywamy, te niskie i wysokie, odpowiada nasz mózg. Dlatego ja obstaję przy stanowisku, że miłość jest siłą natury. Z perspektywy neuronaukowej miłość pobudza obwody mózgu, które działają na nieświadomionej płaszczyźnie. Co ciekawe, te obwody są tak istotne, że sąsiadują z obszarami pnia mózgu odpowiedzialnymi za podstawowe dla przeżycia odruchy, takie jak oddychanie i przełykanie. To z kolei wyjaśnia, dlaczego we wczesnych fazach zakochania lub gdy utracimy ukochaną osobę, czujemy się pozbawieni jakiegokolwiek kontroli nad sobą. Nie jesteśmy zdolni do panowania nad swoimi uczuciami i zachowaniem w miłości, tak samo jak czujemy przymus znalezienia i wypicia wody, gdy męczy nas pragnienie.

– A co ma do tego zdrada? – zapytała Grabska.

– Ano to, że gdy te uczucia opadają, gdy zmniejsza się ich intensywność lub w ogóle się ulatniają, zaczynamy tęsknić do tego pięknego stanu. Przypominamy sobie, jak było wcześniej, porównujemy z tym, co jest teraz, i uświadamiamy sobie, że czegoś nam brak. I kiedy pojawia się ktoś, kto znów wprawia nas w euforię i stan permanentnego podniecenia, bardzo często nie potrafimy się powstrzymać. Tak jak mówiłem, w naszym mózgu zaczynają działać pewne obwody, których nie umiemy kontrolować.

– Naprawdę jesteśmy tylko zwierzętami? – prychnął Korda.

– Pierwotny układ nagrody i popędów. Odwieczny, wypracowany ewolucyjnie układ, który występuje nie tylko u ludzi, lecz także u zwierząt. W miłości nie kryje się niestety żadna wielka tajemnica – skwitował biegly i upił łyk stojącej na stoliku herbaty.

– Czyli zdradzie nie można zapobiec. – Grabska pokiwała głową.

– Nie powiedziałbym tak. Są ludzie, którzy mają większe poczucie moralności i lepiej im idzie odróżnianie dobra od zła. Czyli, wracając do

płaszczyzny neurologicznej, mają lepiej wykształcone ciało migdałowate. Tym samym będą umieli lepiej kontrolować swoje działania, co nie znaczy, że ich pragnienie zdrady, jeśli takowe się uaktywni, będzie mniejsze. Co więcej, do ciekawych wniosków doszli niemieccy uczeni z uniwersytetu w Bonn. Przeprowadzili mianowicie badanie, w którym uczestnikom podano oksytocynę w postaci sprayu do nosa, a następnie pokazano zdjęcia ich partnerek oraz anonimowych atrakcyjnych kobiet, jednocześnie śledząc za pomocą rezonansu magnetycznego pracę ich mózgów. Okazało się, że na widok partnerek w mózгах badanych mężczyzn pobudzał się układ nagrody warunkujący odczuwanie przyjemności. Z kolei gdy oglądali zdjęcia obcych kobiet, mechanizm ten się nie uruchamiał.

– Zatem oksytocyna nie tylko umacnia miłość i wpływa na poczucie bliskości, lecz może także zmniejszać ryzyko skoku w bok. – Hinc się uśmiechnęła.

– Dokładnie. Panie i panowie, najprościej mówiąc, im więcej czasu będziemy spędzać w sypialni, tym bardziej zminimalizujemy zainteresowanie partnera kimś innym.

– A może wystarczy spray do nosa. – Grabska się zaśmiała.

– Docelowo. Na pewno ktoś już nad tym pracuje – odpowiedział jej biegły. – No, kochani, ja muszę się zbierać.

Wstał z fotela i włożył na głowę szary klasyczny kapelusz. Popatrzył na makabryczne zdjęcia wiszące na tablicy korkowej. Westchnął. Puknął dłonią w wierzch kapelusza i opuścił gabinet, w którym zaległa niespodziewanie niezręczna cisza.

5

Obute męskie nogi. Stawiają kroki. Ciężko, bez pośpiechu.

Trzask. Trzask. Trzask.

Pod podeszwami cicho trzaskają suche gałązki.

Korytarz jest wąski, długi i ciemny. Mężczyzna pochyła głowę, ale i tak co chwila trąca suszące się pod sufitem ziele. Ono zaś sypie się na podłogę, wydziela słodkawy zapach.

Trzask. Trzask.

Dźwięk rozchodzi się wokół, niemal odbija się od ścian. Drzwi są coraz bliżej, a słodkawy zapach zaczyna przenikać coś innego. Coś kwaśnego i zepsutego. Coś, do czego już dawno zdążył się przyzwyczaić. Naciska klamkę i wchodzi do ciemnego pokoju. Smród się wzmacza, uderza w niego z taką samą mocą, jak co rano. Ale zupełnie mu to nie przeszkadza. Jego zmysły przez te wszystkie lata zdążyły się przyblokować. Zapach rozkładu wpisał się w jego codzienność.

Słyszy pojękiwanie, ale nie zwraca na nie uwagi. Niemal na oślep przechodzi przez pokój i otwiera drewniane okiennice. Do środka wpada światło. Sunie po stalowym stole, które ostro odbija promienie słońca. Jęk się wzmacza, ale mężczyzna nie odwraca głowy. Otwiera szeroko okno i wygląda na zewnątrz. Dzień jest piękny. Ciepły wiatr owiewa mu twarz. Śpiew ptaków jest ożywczy i rześki. Jak miło. Jak przyjemnie. Zaciąga się powietrzem. Chwilę tak stoi, a przed jego oczami wyświetlają się obrazy.

Rozszerzone źrenice. Pełne przerażenia i trwogi. Płynące po policzkach łzy. Rozchylone w niedowierzaniu usta. Opadające na ziemię ciało, jego ciągnięty po parkiecie ciężar.

Zagryza wargi. Słońce jest mocne. Grzeje. Zaciska powieki, pod którymi wirują czerwone plamki. Mężczyzna znów trzyma w ręku młotek. Uderza. Raz. I dwa. I trzy. I cztery. Czerwone plamki rozrastają się, pulsują.

Jak miło. Jak przyjemnie.

Jęk narasta. Zakłóca spokój, który w nim wzbiera. Poirytowany odwraca się w końcu i podchodzi do stołu. Naciąga na dłonie lateksowe rękawice. Sięga po pęsetę i metalowe naczynie. Podchodzi do łóżka.

Leżąca na nim kobieta wciąż stęka. Na jej czole połyskują małe kropelki potu. Mężczyzna zdejmuje białe prześcieradło z jej nóg. W rozległych,

głębokich, owrzodzonych ranach na stopach pulsują kremowe larwy. Siada na materacu i z uwagą to obserwuje. Wyobraża sobie, jak wgryzają się w mięso, jak wydalają i wydzielają, jak ochoczo zjadają i oczyszczają. Niepojęte stworzenia. Żerujące na tym, co najbardziej cuchnące i obmierzłe.

Obmierzłe jak leżąca na łóżku postać o wiotkiej, przesuszanej skórze i tłustych, przerzedzonych, przyklejonych do czoła włosach. Kochana mama. Nieprawdopodobne, że kiedyś była piękna. Nieprawdopodobne, że kiedyś ktoś jej pożądał. Nieprawdopodobne, że ona pożądała kogoś. Teraz pożądała tylko jednego. Śmierci. Ale on nie był tak łaskawy. Utrzymywał ją przy życiu i patrzył, jak gnije.

Przemył sączące się rany sporządzonym przez siebie naparem z dziurawca i sięgnął pęsetą po jedną z wijących się larw. Przytrzymał ją, a następnie zgniótł kleszczykami. Perłowa masa prysnęła i się rozpadła. Tyle było warte istnienie. Można było je w jednej chwili zniszczyć.

Wydobył kolejną larwę, ale tym razem rzucił ją na metalową tackę. Tak samo postąpił z kolejnymi, lecz jego ruchy przestały być delikatne i uważne. Pęseta coraz częściej wbijała się w zakażone, martwicze rany, a spocona kobieta jęczała coraz mocniej, drżąc w malignie.

– Nie ruszaj się – uspokajał ją mężczyzna. – Nie ruszaj – szeptał gardłowo i wyciągał larwy. Jedną po drugiej. Z prawej i lewej stopy. Systematycznie i metodycznie. Dokładnie tak, jak robił to od lat. – Nie ruszaj, kurwo! – syknął w końcu przez zęby, przyciskając szczypczyki do odsłoniętego gnijącego nerwu.

Kobieta rzuciła się spazmatycznie i spojrzała wprost na niego. Oczy miała zamglone, o żółtych, niezdrowo matowych białkach. Czy rozumiała, co się dzieje? Czy wiedziała, kim on dla niej jest? Wiedziała. Dobrze wiedziała. Mężczyzna się uśmiechnął. I wiedziała, że jej dola nie skończy się jeszcze przez długi, długi czas.

Mężczyzna wstał i zasłonił nogi leżącej prześcieradłem. Odstawił naczynie z pełzającymi larwami na stół i znów podszedł do okna. Spokojnie zaciągnął się świeżym powietrzem. Wiosna. Uwielbiał tę porę roku. Wszystko się budziło, przepoczwarzało, tylko po to, by niedługo umrzeć. Świat był paradoksalny. Pełen bólu i fałszu ukrywanego za pozornym pięknem.

Zatrzasnął okno. Z hukiem przymknął okiennice. Pokój znów zalała ciemność. I jęk. Jęk, który niemal nigdy nie milknął.

Chwycił metalową tackę z larwami.

– Nie martw się – powiedział. – Wrócę wieczorem. Jak zawsze – zapewnił ciepłym głosem.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem.

Powieszona pod sufitem zasuszone gałązki szeleściły nad jego głową, trzaskały pod butami. Dawno nie był w tak znakomitym humorze. W końcu wszystko układało się tak, jak powinno.

Sięgnął po kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Znów poczuł na skórze ciepły wiatr. Ptaki podśpiewywały, słońce wisiało wysoko na niebie. Wystawił ku niemu twarz. Po chwili ponownie wszedł do środka, odpalił laptop i wybrał numer telefonu.

– Halo? – W głośniku odezwał się damski głos.

Głęboko, charcząco odetchnął.

– Halo? – Znowu kobiecy głos. Tym razem mniej spokojny, z pewną nutą nerwowości.

Głośno wypuścił powietrze. W mikrofonie zatrzeszczało. A potem szepnął, niemal bezgłośnie, tak by Klara nie była w ogóle pewna, czy ktoś coś powiedział:

– Zabiję cię, kurwo. Za-bi-jęęęęęęę.

– Dzień dobry. Dzień dobry. – Elżbieta Korda, ubrana w odświętną sukienkę, szeroko się uśmiechała. – Wejdźcie, proszę. – Odsunęła się w głąb korytarza.

– To dla pani. – Alicja Grabska wręczyła kobiecie torebkę prezentową. – Nie wiedzieliśmy, co kupić, więc stanęło na książce – dodała nieśmiało.

– Mówiłem Alicji, że nie czytasz książek, ale się uparła – powiedział oschle Korda.

– Skądże. – Pani Elżbieta machnęła ręką. – Nie ma jak dobra książka. Wieczory długie. Samotna jestem, to się przyda – dodała i poufale nachyliła się do dziennikarki. – Chodźcie, zapraszam, obiad już dochodzi, zaraz wszystko będzie gotowe.

– Smakowicie pachnie. – Grabska z uznaniem uniosła wysoko brwi.

– Barszcz ukraiński – ucieszyła się kobieta. – Ulubiona zupa Oskara.

– Ulubiona zupa ojca – poprawił ją syn. – Choć często mu jej żałowałam.

„Ty się nigdy nie spieszysz, co?! – usłyszał w głowie zniecierpliwiony głos matki podchodzącej do ojca. – Taki niemrawy we wszystkim, że aż kurwica człowieka bierze! Matko jedyna!”. Kobieta chwytła za talerz i wylewa jego zawartość do zlewu. „No co tak patrzysz jak jeleni?!” – warczy i szybkim ruchem wkłada talerz pod bieżącą wodę.

– Co też ty opowiadasz? – Elżbieta pokręciła z uśmiechem głową. – Ja komuś czegoś w życiu żałowałam? No popatrz go. – Porozumiewawczo puściła oczko do Grabskiej.

„Jak tak mało zarabiasz, to nie będziesz jadł!” – przed oczami Oskara znów wyświetliła się scena sprzed lat. Matka zatrząskuje lodówkę, nad którą pochyla się ojciec. On czerwienieje, ale nic nie mówi. Wypycha językiem dolną wargę i wychodzi z kuchni, nie patrząc na Oskara stojącego w progu.

Nigdy nie rozumiał, czemu Jan Korda nie reagował. Dlaczego się godził na to, by matka tak otwarcie się nad nim pastwiła? Czemu nie miał siły, by się sprzeciwić? Huknąć? Krzyknąć? Coś choćby powiedzieć? Choć jedno

słowo... Oskar czasami nie wiedział, czy bardziej nienawidził matki stosującej jakby nigdy nic przemoc domową, czy uległego ojca, którego ta każdego dnia kastrowała.

– Czym się pani zajmuje? – zwróciła się Elżbieta do Grabskiej.

– Jestem dziennikarką – odpowiedziała Alicja.

– No proszę, proszę. W końcu się ten mój synek ogarnął – ucieszyła się. – Bo wcześniej to, wie pani, nie wybierał za dobrze.

– Długo jeszcze do tego obiadu? – Oskar odezwał się głosem, którego Alicja nie знаła.

– Takiś głodny? – ucieszyła się kobieta. – No już podaję, już, już.

Kobieta wstała i przeszła do kuchni.

– W porządku? – szepnęła Grabska do Oskara.

Chciała złapać go za rękę, lecz on wstał i podszedł do okna. Ciężko oddychając, rozsunął poźółkłe firanki i wyjrzał przez okno.

– No, jest zupka. Gorąca, pożywna. Jedzcie, proszę.

Kordowa postawiła na stół wazę i wyjęła z kredensu talerze.

„No co tak patrzysz jak jelen?!” Znów nawiedziło go wspomnienie.

– Nie mogę – odezwał się nagle. – No nie mogę patrzeć, jak udajesz. – Wbił ostre spojrzenie w matkę.

– Udaję? Niby co? – Elżbieta zamarła z łyżkami w ręku.

– Że jesteś taką wspaniałą, nie wiem, gospodynią. Wspaniałą matką i żoną. Jesteś obłudna. – Zacisnął pięści.

– Ja udaję? – sarknęła matka. – Ja?! – podniosła głos. – A ty nie udajesz? Też nie jesteś najlepszym mężem, co?

Na te słowa Alicja zamarła. Wodziła wzrokiem od Oskara do matki i z powrotem.

– Nie wierzę. – Zacisnął zęby.

– Nie wierzysz? W co niby? Tyle lat nie odwiedzałeś swojej żony. – Twarz matki pulsowała gniewem.

Detektyw zacisnął oczy, jakby przeszył go nagły ból, po czym szybkim krokiem ruszył przez korytarz. Po chwili trzasnęły drzwi, zadudniły kroki na klatce.

Grabska wstała od stołu.

– Przepraszam – rzuciła skonsternowana i też skierowała się do wyjścia.

– A idźcie! – Poniosło się jeszcze przez dom. – Idźcie i nie wracajcie mi tu nigdy. Nigdy! – Głos Kordowej przepełniony był jadem.

Alicja zbiegła po schodach i niepewnie zatrzymała się na chodniku. Na jego krawężniku siedział Oskar. Patrzył jak zaklęty w stronę torów.

– To prawda? – odezwała się Grabska. – To prawda, że masz żonę?

– Miałem. Ale już dawno nie mam – powiedział grobowym tonem, nie odrywając wzroku od torów kolejowych.

7

Z nieba znów padał drobny deszcz. Osiadał na czapce z daszkiem i czarnej dżinsowej kurtce. Marek Kuc siąknął nosem i ruszył przed siebie. Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wpatrywał się w okna stojących przy ulicy domów. Prześwietlał je na wskroś, jakby miał w oczach skaner. Szukał ukrytych skaz. Wiedział, że nawet najpiękniejszy dom je miał.

O tej porze niemal nikogo w nich nie było. Wszyscy byli mniej więcej od godziny w pracy, solennie obrabiając swój ugór. Kuc też tak kiedyś żył. Tak bardzo koncentrował się na realizacji życiowych zadań, że zapominał, że w ogóle istniał. Zapominał, że miał pragnienia, że kiedyś czuł, że marzył. Znikał. Był, ale tak jakby go w ogóle nie było. Pożerała go rzeczywistość. Ale nie myślał wtedy o sobie. Wszystko, co robił, robił dla swojej rodziny. Miał przecież żonę. Wymagającą i piękną. I to właśnie jej chciał imponować. Chciał jej pokazać, że na nią zasługuje, choć sam nie całkiem w to wierzył. Był w końcu zupełnie zwyczajnym facetem, a ona była wyjątkowa. Jedyna w swoim rodzaju i to, że ją zdobył, wydawało mu się

nierzeczywiste. Ale fakt był taki, że zgodziła się z nim być, przyjęła zaręczynowy pierścionek, ślubowała mu przy ołtarzu, a on czuł się jak król. Król udawany, noszący na głowie fałszywą koronę, król, którego w każdym momencie mógł ktoś obnażyć. Przez pierwsze lata starał się nosić tę swoją królową na rękach. Piął się po szczeblach kariery, zarabiał coraz więcej, budował markę człowieka godnego zaufania i miłości. I nawet z czasem uwierzył, że się tym człowiekiem stał. A gdy miał jakieś wątpliwości, koił je szklaneczką dobrego alkoholu. Albo dwiema lub trzema, tyłoma, ile było trzeba w siebie wlać, by je rozwiać. I wtedy znów praca, dom, praca, dom, praca. Zupełnie się zagubił. Stał się kimś, kogo nie znał. Jakąś nędzną atrapą, osobą bezkształtną i bezbarwną. Nie przeszkadzało mu to, bo robił to wszystko dla niej. Najważniejsze było, by to ona czuła się spełniona i szczęśliwa. Co z tego, że przestali rozmawiać, że nie miał nawet sił, by spytać, co u niej. Przecież wszystko, co robił, robił dla niej. Więc ona powinna była to docenić. To jedyne zadanie, które miała do wykonania. Ale nie. Kurwa nie umiała docenić. Wysysała go bezlitośnie, aż wydoiła do ostatniej kropli krwi. I bezdusznie porzuciła. Ośmieszyła. Odebrała godność. Zgniotła butem jak wypaloną końcówkę papierosa. Wbiła w niego ostry obcas. Wbiła prosto w serce, rozłupując je na pół.

Kuc poczuł się tak, jakby przez jego mózg z ostrym gwizdem przejechał pociąg. Ciężki i głośny, pozostawiający po sobie uciążliwy ból głowy, którego nic nie mogło ukoić. Zgiął się wpół i zasłonił uszy rękawami starej kurtki.

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie – powtarzał jak w transie. – Nie. Nie. Nie. Nie. Nie. – Coraz mocniej przyciskał uszy, starając się jakoś przeczekać gwizd pociągu, który wrzynał mu się w mózg.

Po kilku minutach gwizd zaczął cichnąć, przechodząc w szum. Dobrze. Dużo lepiej. Do szumu był już przyzwyczajony. Ten nigdy nie odpuszczał. Permanentnie mącił mu w głowie, ale to nie miało znaczenia. Jedyna rzecz,

która kiedykolwiek miała znaczenie, to zemsta, której dokonał. Tylko myśl o niej dawała mu ukojenie.

Odsłonił uszy i powoli się wyprostował. Deszcz nieustępliwie siąpił z nieba, osiadając na chodnikach i bramach zamykających domy w pozornym poczuciu bezpieczeństwa. „Tak jakby te bramy miały kogokolwiek zatrzymać – pomyślał mężczyzna. – Tak jakby te bramy miały kogokolwiek uchronić”.

Zmierzył wzrokiem stojący przed nim dom. Szyby parterowych okien odbijały obraz stojącego na podjeździe łysego drzewa.

„Niektórzy ludzie myślą, że szczęście jest im dane raz na zawsze. Ale to nieprawda. Szczęście można odebrać w sekundę. Jedną małą, króciutką, nic nieznaczącą sekundę” – pomyślał Kuc, a w jego głowie znów rozległ się przeciągły gwizd; był jak nóż tnący jego duszę na pół, zostawiający na niej szramę, której nijak nie dało się usunąć.

8

Kropelki deszczu uderzały o szybę. Wycieraczki wytrwale pracowały. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Grunwaldzka stała. Jak zawsze o tej porze, ale Klarze w ogóle to nie przeszkadzało. Nigdzie się nie spieszyła. Pierwszy raz od dawna. W radiu cichutko leciała jakaś piosenka, ale ona nie zwracała na nią uwagi. Wszystko działo się poza nią, jakby unosiła się w powietrzu. Zerknęła w lusterko. Oczy się jej skrzyły, a po ustach błąkał się błogi uśmiech. Nie myślała, że coś takiego jeszcze się jej przydarzy. Zakładała, że całe życie spędzi u boku męża, bezpiecznie, ale bez większych emocji i uniesień. Nie myślała, że jeszcze kiedyś się... zakocha. Ściągnęła brwi.

„Nie bądź głupia” – zganiła się w myślach. Wiedziała, że to nie była miłość. Jak mogłaby być, skoro nawet nie znali swoich imion? Jak mogłaby być, skoro każde z nich wracało do swojego domu, małżonka, a mężczyzna

może i do dzieci? Nie wiedziała tego. Taki był układ. O to w tym wszystkim przecież chodziło. Taka była filozofia Lust Supper. A jednak Klara już po pierwszym spotkaniu nie potrafiła myśleć o nikim innym. Wciąż widziała jego uśmiech, jego dłonie z dużymi jasnymi paznokciami, napinające się na skórze przedramion żyły, które podniecały ją jak nic innego, jego zielone oczy, które ciemniały coraz bardziej, gdy się nakręcał. Nieustannie słyszała jego głos, głęboki i męski. „Moja śliczna – mówił. – Mój skarb”. Czy tak się zwraca do osoby, która nic nie znaczy? Która jest tylko skokiem w bok? Zwykłym przelotnym romanssem? Na pewno nie. Czuła całą sobą, że to coś więcej, choć nigdy o tym nie rozmawiali. Za to rozmawiali o wielu innych rzeczach. O dzieciństwie, o złych i dobrych wspomnieniach, o ukochanych filmach i o książkach, bez których nie byłiby dziś sobą, o marzeniach, pragnieniach, o tym wszystkim, o czym rozmawia się z ukochaną osobą. Pan X. Może nie wiedziała, za kogo formalnie uchodził, ale wiedziała o nim wystarczająco dużo. Czuła go. Czuła go całą sobą.

Uśmiechnęła się do siebie. Wycieraczki cicho pracowały, radio brzęczało, a ją zalewała fala szczęścia. Prawdziwego radosnego uniesienia, które może i było złudne, ale istniało. Tu i teraz. Wypełniało ją po brzegi, aż po czubki palców. A ona nawet nie marzyła o tym, że jeszcze kiedyś coś takiego poczuje. Zapomniała już, jak to jest. Zapomniała, jak może być dobrze. Doskonale zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że to wszystko przez seks i oksytocynę, która się wydzielala podczas uprawiania miłości. Hormon przywiązania. Bliskości. To on sprawiał, że zaczęła traktować pana X jak kogoś najbliższego na świecie. A może wcale tak nie było? Może poczuła to już wcześniej? Przecież od pierwszego momentu, kiedy na siebie wpadli, coś między nimi zaiskrzyło. Jakby się znali od dawna. Jakby się znali całe życie. Przecież tak bywa. W ilu filmach widziała takie sceny. Nie brały się z kosmosu, tylko z ludzkich doświadczeń.

A jeśli nie była jedyna? Jeśli pan X miał inne kochanki? Wprawdzie nigdy o tym nie rozmawiali, było jednak dla niej jasne, że pozamałżeńsko spotykają się tylko ze sobą. Ale przecież nigdy tego nie ustalali. Nigdy nie zgodzili się na to, że są dla siebie na wyłączność. Przez jej brzuch przeszedł nieprzyjemny prąd. Czy X nadal chodził na imprezy Lust Supper? Czy poznał tam inne kobiety, które przyciągnęły jego uwagę? A może miał partnerki na każdy dzień tygodnia? A Klara była tą czwartkową?

Dobra. Nie powinna tak myśleć. W ogóle nie powinna się nad tym zastanawiać. Spotykała się z panem X. Dawali sobie rozkosz. Rekompensowali sobie to, czego od dawna w ich życiach nie było. I tyle. Tyle jej musi wystarczać.

Klara przysunęła nadgarstek do nosa. Wciąż nim pachniała. Męskie perfumy i ten jedyny w swoim rodzaju słodki zapach przypisany właśnie do niego. Zapach, który sprawiał, że z podniecenia aż bolało ją podbrzusze. Na jej ustach znów pojawił się błogi uśmiech.

Nie wiedzieć kiedy, korek się rozluźnił i Lubańska przemknęła ostatni odcinek trasy bez wciskania hamulca. Podjechała pod dom, otworzyła parasolkę i wysiadła z samochodu. Deszcz zabębnił o rozpostarty materiał, gdy biegła w stronę drzwi. Wyjęła zza doniczki ukryte klucze.

– Miau – zaskomlała jej kotka.

– Mimi. Jej, jaki mokry kotek. Chodź, kochanie moje. – Klara uklękła i wyciągnęła rękę do zmierzającego w jej stronę zwierzątka.

Kątem oka dostrzegła na rozpulchnionej od deszczu ścieżce świeży ślad męskiego buta. „O nie, Przemek już wrócił” – pomyślała niechętnie.

– No chodź, kotuś, chodź. Moje mokre biedactwo.

Wstała i otworzyła drzwi. Kotka zwinnie zniknęła w środku i pobiegła prosto do stojącej w kuchni miski. Klara zdjęła ciuchy.

– No już, już daję. Kto to jest taki głodny. Ojejku. Moje maleństwo – mówiła czule, nakładając Mimi kosteczki wołowiny z saszetki. – Przemek? – krzyknęła w przestrzeń. – Jesteś?

Nikt nie odpowiedział. „Uff” – uśmiechnęła się. Miała czas tylko dla siebie i swoich myśli. Od razu przed oczami ujrzała obraz leżącego obok niej mężczyzny, który sięgał do paska jej spodni. Brzęknęła klamra. Zachrząścił rozporek. Już same te dźwięki były tak podniecające, że na ich wspomnienie Klara znów zaczynała cała płynąć. Nie mówiąc już o tym, że mężczyzna sprawnym ruchem wjechał od razu pod majtki i zaczął ją pieścić. Dokładnie tak jak lubiła. Jakby ją znał od zawsze.

Lubańska pokręciła głową i przygryzła usta. Zaparzyła sobie herbatę, wyjęła z torebki pendrive'a i usiadła na sofie w dużym pokoju. Odpaliła komputer i od razu weszła w komunikator Pidgin. Wybrała użytkownika pana X i zaczęła pisać wiadomość:

„Dziękuję za dzisiaj. To był piękny dzień. Już tęsknię za Twoim dotykiem”.

Cmoknęła. Czy nie za bardzo się narzuca? W sumie dopiero co się rozstali, a ona już pisze. Ale przecież dlaczego miałyby nie napisać? On słał już do niej podobne wiadomości, a nawet bardziej intymne i emocjonalne. Z drugiej strony nie powinna być taka łatwa. Faceci tego nie lubią. Uwielbiają gonić króliczka, a gdy już go złapią, szybko się nudzą. Nie chciała, żeby pan X się nią znudził. Bardzo nie chciała. Skasowała napisany tekst i wbiła: „Nadal jestem mokra”.

Niezdecydowana wstrzymała palec w powietrzu.

Zgrzytnął klucz w zamku. Usłyszała, jak się otwierają i zamykają drzwi. Szybko wyciągnęła z laptopa pendrive'a i przymknęła wieko.

W progu pojawił się Przemek.

– Cześć – powiedział, kiwając jej głową.

– Cześć. – Zmusiła się do uśmiechu.

– Dawno wróciłaś?

– Dopiero co. Piję herbatę, bo trochę zmokłam.

– O, daj łyka. Mam straszną ochotę na coś gorącego.

Mąż usiadł ciężko obok Klary i sięgnął po kubek, ostrożnie zanurzył usta.

– Mhm – mruknął zadowolony i wcisnął się w oparcie obok żony.

Przyłgnął do niej ramieniem.

– Dobrze nam, nie? – rzekł, wpatrując się w komodę.

– Hm... – odparła niepewnym głosem.

Oczywiście Przemek właśnie teraz musiał zacząć okazywać jej czułość. W momencie, gdy pachniała innym mężczyzną, gdy jej majtki oblepiało pożądanie, które tak niedawno ofiarowała komuś innemu. „Czy mam wyrzuty sumienia?” – zastanawiała się. O dziwo nie. Nic takiego nie czuła. Gdyby miała dziś umrzeć, umarłaby spełniona.

– Zdjęcie krzywo stoi. – Przemek wstał z kanapy i podszedł do komody.

„Oczywiście – pomyślała Klara. – Nie wyczuł, że jego żona niemal cały dzień zdradzała go z innym facetem. Ale od razu zauważył, że ramka na komodzie stoi nierówno. Cholerny pedant”. Ogarnęła ją niechęć do męża.

– Zobacz, jacy byliśmy młodzi. – Przemek wziął do ręki ramkę z ich ślubnym zdjęciem. – Ty to się niemal nic nie zmieniłaś, ale ja! Zobacz, jakie dziecko, matko, że też ty mnie wtedy zechciałaś. Pamiętasz ten dzień, kiedy się poznaliśmy? – Odstawił ramkę na komodę i poruszył nią w przód i w tył, by umieścić ją w optymalnym punkcie. – To było na urodzinach Baśki, prawda? Ja wszedłem, a ty stałaś w kuchni z drinkiem w ręku i jakiś typ do ciebie startował. Ale ja od razu wiedziałem, że on nie dorasta ci do pięt...

W tej chwili zadzwonił telefon Klary.

– Przepraszam. – Chwyciła za aparat i wstała. – Muszę odebrać, bo to może jakiś nowy klient. – Zerknęła na ekran wyświetlający numer zastrzeżony i podeszła do okna. – Halo? – rzuciła pewnym głosem do mikrofonu.

– Szszsz. Szszsz.

– Halo?

– Szszsz. Szszsz.

Zerknęła na wyświetlacz. Zasięg miała tu dobry.

– Halo, halo! – rzuciła do słuchawki radosnym głosem.

Wyraźnie słyszała czyjś oddech. Świszczący, coraz głębszy, coraz bardziej donośny.

– ...cię ...ęęęęę – dotarły do niej gardłowe głoski.

Szybko nacisnęła czerwony guzik.

– Co się stało? – Przemek zerknął na nią podejrzliwie. – Zupełnie zbladłaś. Kto to był?

– Nic nie było słyhać. Chyba kłopoty z zasięgiem. – Kobieta wzruszyła ramionami.

– A! Szmata czasu temu schowałem do szafki jakąś przesyłkę do ciebie. – Przemek otworzył drzwiczki komody. – Bo tak leżała na wierzchu, a wiesz, że tego nie lubię. Miałem ci o tym przypomnieć, ale jakoś nie było kiedy. Otworzyć? – zapytał i sięgnął do szuflady po nożyczki.

Klara bezwiednie kiwnęła głową. Wciąż słyszała w uchu złowieszczy szum.

– O! Puste pudełko – zdziwił się. – Zamawiałaś coś takiego? – Wybuchnął śmiechem i podał żonie opakowanie.

Odruchowo zerknęła do środka, wewnątrz faktycznie nic nie było. Przewróciła w rękach paczuszkę, szukając nadawcy, ale na wierzchu nie znalazła żadnej adnotacji. Jedynie jej imię i nazwisko. Starannie wykaligrafowane czarnym mazakiem.

„...cię ...ęęęęę”. Przez jej głowę przemknęły szeleszczące w słuchawce głoski.

Lekko uśmiechnęła się do męża, czuła jednak niepokój.

Biurko Kordey pokryte było rozsypanymi zdjęciami roznegliżowanych ludzi, po których prześlizgiwały się niebieskie i czerwone światła. W większości

były to tylko ciała, ale na niektórych fotografiach widoczne były też twarze.

– Kogo szukamy? – zapytała schylająca się nad wydrukami Janina Hinc.

– Kogoś z młotkiem. – Zaśmiał się siedzący przed komputerem Gustlik, który przeglądał pliki cyfrowe przesłane przez Wojtka Kulczyka, akredytowanego fotografa Lust Supper.

– Nie inaczej – potwierdził Korda. – No i oczywiście Elizy Zalewskiej oraz Rafała Bystronia. – Puknął palcem w otrzymaną od Kuca fotografię przedstawiającą całującą się w aucie parę. – A przede wszystkim Ewy Tokarz, bo nadal nie wiemy, z kim na tych imprezach bujała się druga z ofiar. Ogólnie czegoś, co wzbudziłoby wasz niepokój.

– Oprócz półnagich, zdradzających się ludzi? – Sierżant zachichotał, przecierając zamglone okulary koszulką.

Korda popatrzył Jance w oczy. Oboje szybko odwrócili od siebie wzrok.

– Cokolwiek zwróci twoją uwagę, Gustlik. – Oskar westchnął i zaczął przeglądać kolejne wydruki. – Bo utknęliśmy w martwym punkcie, i to dosłownie – mruknął. – Elizę Zalewską i Ewę Tokarz łączy właśnie ta organizacja. To tu się wszystko zaczęło. Musiało. – Korda cmoknął. – To tu sprawca wybrał swoje ofiary.

– Sprawdziliśmy wszystkich, którzy są zamieszani w organizację tego przedsięwzięcia – zauważył Gustlik. – Właścicieli, techników dźwięku, didżeja, barmanów, fotografa, bramkarzy. Nikt nie budzi wątpliwości. Wszyscy mają potwierdzone alibi na feralne noce. W tym nawet pobyt w szpitalu, bo autor tych oto pięknych zdjęć przeleżał tam ponad miesiąc. Odchorował COVID aż miło.

– Jak i pewnie połowa tego świetnego towarzystwa ze zdjęć w takim razie. – Janka się zaśmiała.

– Niewykluczone – rzekł Korda. – W desperacji przeszło mi już nawet przez głowę, żeby przeświecić wszystkich, którzy przechorowali koronawirusa w tym samym czasie co Kulczyk.

– Jezusie Nazareński. – Zwyczajowo rozczochrany Gustowski złapał się za głowę i przerażonym wzrokiem spojrzął na detektywa.

– Spokojnie, Gustlik. Na razie to zadanie to ostateczność. Póki co skupmy się na tym, co mamy. Na przetrzebanie tysięcy zakażonych na Pomorzu przyjdzie jeszcze czas.

– Nie siadło mi to jak słowo Boże, Korda. – Sierżant znów wlepił wzrok w monitor.

– Ale przynajmniej masz motywację. – Oskar się zaśmiał.

– A co z kochankami ofiar? – wtrąciła Hinc.

– Potwierdził alibi Rafała Bystronia – odparł Korda. – Nie wiemy jednak, z kim się spotykała Ewa Tokarz i czy w ogóle miała stałego kochanka. Może po prostu chodziła na imprezy dla zdradzających.

– No dobrze, wiemy, że wspólnym mianownikiem jest zdrada, tak? – dopytała ekolożka.

– Tak. Nasz sprawca to tak zwany typ misyjny czy inaczej posłanniczy. Wybiera swoje ofiary według klucza, w tym wypadku są to zdrady, które zdaniem biegłej z zakresu psychologii śledczej uznawane są przez mordercę za czynnik powodujący „rozkład moralny”. – Korda sięgnął do opinii psychologicznej, którą właśnie otrzymał.

– Przeczytasz coś więcej? – zainteresowała się Hinc.

– Pewnie. Biegła orzekła, że naszego poszukiwanego cechują stabilny styl życia oraz ciągła potrzeba stymulacji. „Jest to osoba dysocjalna z wrodzoną skłonnością do agresji, o wyższym niż przeciętny progu przyjemnego podniecenia, która potrzebuje bardziej intensywne bodźców i doświadczeń, by poczuć się dobrze. Ma duże trudności z wyrażaniem emocji. Prawdopodobnie odczuwa ogólne, podstawowe pobudzenie, ale nie przeżywa specyficznych emocji. Jeśli coś czuje, to na ogół są to wściekłość lub wielkie szczęście, czyli nie ma emocji pośrednich. Jako osoba pobudliwa i skłonna do przeżywania frustracji jest bardziej agresywna. Ma deficyty w zakresie samokontroli i ta niska umiejętność

kontrolowania wewnętrznych impulsów sprzyja zachowaniom agresywnym. Byle powód może zainicjować reakcję agresywną i doprowadzić do skrajnego wybuchu, który jednak szybko mija. W takich sytuacjach zachowanie nie wymyka się spod kontroli, podejrzany dobrze wie, co robi. Agresję traktuje jako naturalną reakcję na domniemane lekceważenie, zniewagi lub inne zawinienia otoczenia. Sprawność intelektualna mieści się w granicach normy. Brak dysfunkcji poznawczych. Brak empatii, czyli zdolności do rozpoznawania myśli lub uczuć innej osoby, przy jednoczesnej możliwości niereagowania na nie odpowiednią emocją. Ta zdolność do pomijania uczuć innych ludzi jest charakterystyczna dla osób z psychopatią i uwidacznia się w traktowaniu innych ludzi, w tym w stosunkach z kobietami. – Korda na chwilę przerwał, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym podjął: – Sprawca w okresie popełnienia przestępstw przeżywał dużo złości, frustracji i poczucia krzywdy. Frustracja wynikała z własnego, nieudanego życia, ale morderca źródła tych frustracji upatrywał nie w swoich zachowaniach, lecz w świecie zewnętrznym, w złym, niewłaściwym sposobie działania innych ludzi. Fakt, że przed morderstwem zjadł, po czym umył nóż i wsadził go z powrotem do szuflady (działanie bezpośrednio po zdarzeniu), sugeruje przemoc «na zimno», instrumentalną, dla rozładowania złości. Trzeba uznać, że to działania przeczące przeżywaniu jakichkolwiek emocji, w tym żalu czy lęku, świadczące o kierowaniu się jedynie zaspokajaniem własnych doraźnych potrzeb. Ma niestabilną, zanizoną samoocenę. Cechuje go obsesyjno-kompulsywny rys osobowości, z tendencją do przeżywania natrętnych myśli”.

– Przyjemniaczek – skwitował Gustlik, wzdrygając się.

– Zobaczcie, jak te pośmiertnie zadawane rany wpisują się w ten typ misyjny, o którym wspomniała biegła – zauważyła Janka. – Nieprzypadkowo wybiera podbrzusze. Naznacza ofiary niczym kobiety upadłe. Zostawia na nich szkarłatną literę.

- To symboliczne domknięcie egzekucji – dodał Korda.
- A z drugiej strony szuka kolejnych ofiar, jakby wydawał się nieusatisfakcjonowany. Natrętne myśli go nie opuszczają.
- Słyszeliście kiedyś o teorii kompensacji? – zapytał Korda.
- Nagradzanie siebie za braki i defekty. – Gustlik odwrócił się od komputera. – Daje tymczasową przyjemność, a z drugiej strony utrwała skojarzenie defektu z nagrodą.
- Mhm. – Detektyw kiwnął głową. – Strzelałbym, że w przypadku naszego sprawcy chodzi o niemożność zabicia kobiety, której prawdziwie nienawidzi.
- Która wyrządziła mu kiedyś krzywdę – podchwyciła Janina. – Ale której nie potrafi z jakichś powodów pozbawić życia.
- Może chodzi o kogoś, kto już nie żyje? – Gustlik poprawił opadające mu na nos okulary. – Matkę, żonę, zdradzającą go kochankę.
- Albo kogoś na tyle silnego i wywołującego w nim lęk, że nie potrafi zadać mu ciosu – zastanowiła się ekolożka sądowa.
- Dlatego zabija tę, która tamtą niedostępną symbolizuje – zgodził się Korda. – Ale oczywiście to tylko teoria.
- A konkrety? – Gustlik przerzucał kolejną serię imprezowych zdjęć.
- Trzy trupy, przyszła potencjalna ofiara, kupa pozamałżeńskiego seksu, suszony dziurawiec, jedna mucha i przydrożna kałuża – wymienił detektyw i zerknął w rozbawieniu na Jankę.
- No i masa zdjęć do przejrzania, jakieś sto wywołanych i milion w kompie. – Gustlik westchnął, kręcąc z niechęcią nosem.
- Zawsze to coś. – Janka uśmiechnęła się nieśmiało, szukając wzrokiem czegoś, co oderwałoby jej myśli od prześladowającego ją wspomnienia mokrego języka Kordy w jej ustach. – A wiecie – nagle ją tknęło – że zdjęcia to doskonały materiał badawczy w palinologii kryminalistycznej? Mówiąc językiem bardziej naukowym, tak jak na innych przedmiotach, na

powierzchni fotografii gromadzą się ładunki elektryczne, zwane ładunkami elektrostatycznymi, które po prostu przyciągają pyłki.

– No i wspaniale, że tak bardzo interesuje cię fotografia. – Gustlik opadł na oparcie fotela i obrócił się w jej stronę. – Weź sobie wydručky i odciąż trochę kolegę.

– Niestety, gdyby to miały być dowody, już całkowicie je zanieczyściliście. – Hinc się zaśmiała. – Zresztą ten akredytowany fotograf Lust Supper spędził miesiąc w szpitalu chory na COVID. Więc jest poza listą podejrzanych, tak?

– Yhm – mruknął sierżant, mrużąc zmęczone oczy wpatrujące się w kolejne zdjęcie z szalonej imprezy.

Janka podniosła głowę i znów natknęła się na przeciągłe spojrzenie Kordy. Ugięły się pod nią nogi. Speszona sięgnęła po pierwszą lepszą fotografię leżącą przed nią na biurku.

Eliza Zalewska w ramionach szefa iTechnology Rafała Bystronia. Hinc dokładnie wiedziała, co czuła kobieta w tamtej chwili. Podniecenie, niedowierzenie, zniewolenie.

Westchnęła i już chciała odłożyć fotografię na miejsce, gdy dojrzała coś na jej powierzchni. Maluteńki szczątek przyklejony do błyszczącej powierzchni lakieru.

Janka przybliżyła fotografię do oczu, odsunęła, zaintrygowana przygryzła policzek.

– Ale to zdjęcie wezmę ze sobą, jeśli można.

Korda pytająco ściągnął brwi.

– Po prostu chcę coś sprawdzić – dodała, wpatrując się w ciemne oczy nadkomisarza.

W jej podbrzuszu rozlało się ciepło.

„Nie możemy. Korda, nie możemy” – usłyszała w głowie swój własny szept i bez pożegnania wyszła z gabinetu.

– Janka! – Usłyszała za sobą. Korda wyszedł za nią na korytarz. – Czekaj.
– Dogonił ją.

Jej oczy i jego oczy. Spojrzenia zapadające się w siebie, grzęznące.

– No co, Korda? – Hinc niemal warknęła.

Detektyw poczekał, aż minie ich przechodzący funkcjonariusz.

– Przepraszam. Za tamto – rzekł w końcu.

– Nie musisz – odparła sucho.

– Muszę.

– Naprawdę nic się nie stało. Byłeś pijany. I to nic nie znaczyło.

Jego oddech i jej oddech. Przyspieszone, nierówne wdechy i wydechy, unoszące się i opadające klatki piersiowe.

– To nie tak. Przecież wiesz.

– Nie wiem, Korda. Ale wiem, że jest Alicja. I wiem, że bardzo ją lubię. I jeśli czegoś się nauczyłam z prowadzonej z tobą sprawy, to tego, że zdrada zawsze się źle kończy.

Oskar wyciągnął rękę, żeby pochwycić jej dłoń, ale w tym momencie dojrzał Tajfuną. Były mąż Alicji opierał się jedną nogą o ścianę i patrzył wprost na nich.

Korda cofnął rękę.

Olszewski pokręcił z satysfakcją głową, oderwał się od ściany i odszedł.

10

Naczynia pobrzękiwały, gdy przekładała je ze zmywarki do szafek. Talerz za talerzem. Talerz za talerzem. Na półce tworzył się równy stos. Zostały jeszcze sztucce. Klara wysunęła górną półkę zmywarki i zaczęła segregować łyżki, noże i widelce w szufladzie. Na koniec sięgnęła po duże, ostre noże. Te mocowała zawsze do magnetycznej szyny przywieszanej do ściany nieopodal zlewu. Klik. Klik. Klik. Stał przywierając do szyny. Wyjęła ze zmywarki ostatni z noży. Z czarnym trzonkiem, średniej wielkości, ale za to

najostrzejszy. Za oknem pojawiły się światła. Podwójny reflektor samochodu omiół ścianę domu. Samochód stanął na chodniku obok, ale kierowca nie zgasił świateł. Te wciąż oświetlały płot, przenikając między deskami na podjazd.

Klara zamarła z nożem w dłoni. Zmrużyła oczy, jakby to mogło sprawić, że dojrzy, kto siedzi za kierownicą volvo.

– Zobacz, jakiś samochód podjechał pod dom – rzuciła w przestrzeń, nie odrywając wzroku od okna.

Po chwili u jej boku stanął Przemek. Pochylił głowę.

– A! To chyba ten patrol obywatelski – zauważył. – Wiesz, ten powołany przez męża zamordowanej kobiety na Kamiennym Potoku. Rozmawiałem z Dorociakiem i mówił, że dziś mają jeździć u nas.

– Po co oni to robią? – Lubańska się skrzywiła.

– Żeby było bezpiecznie. – Jej mąż wzruszył ramionami.

– Jakoś nie czuję się bezpiecznie, kiedy ktoś obcy staje mi pod domem i wlepia gały w moje okna. To zwykłe podglądactwo – sarknęła z niechęcią.

– Nie przesadzaj – zganił ją. – Ludzie robią dobrą robotę.

– No nie wiem. Nie wydaje ci się, że wszyscy ostatnio powariowali? – Odwróciła twarz w jego stronę. – Ludzie są żądni zemsty, jeżdżą po nocach jak jacyś lunatycy, sami się nakręcają. A agresja rodzi agresję. Przecież to prawda stara jak świat.

– Cóż, chociaż ktoś coś robi. Przypominam ci, że w naszym mieście jakiś pomyleniec w bestialski sposób zabił trzy osoby. W ich własnych domach, własnych łózkach. A policja oczywiście umywa ręce.

– Policja robi, co może. Lepiej zostawić to specjalistom. I nie wydaje ci się, że takie krążące po okolicy samochody tylko potęgują atmosferę strachu? To wszystko robi się totalnie niezdrowe. Ja się nie dam zastraszyć i tyle. Nie mówiąc już o tym, że wszyscy zaczynają traktować tego całego Zalewskiego jak jakiegoś guru. W telewizji ciągle występuje, wywiadów udziela, nawet wpuścił reporterów do własnego domu, pokazał, gdzie mu

żonę skatowali, opowiedział o tym tak, jakby oprowadzał po muzeum. Nie sądzisz, że to chore i niesmaczne?

– Nie wiem. Facet przeżył traumę. Radzi sobie, jak umie. Może to dla niego jakiś rodzaj terapii czy coś? – Przemek wzruszył ramionami i wrócił przed telewizor.

– Może – powiedziała do siebie Klara, oderwała wzrok od okna i dopiero uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręku nóż.

Odwiesiła go na magnetyczną szynę, która lśniła w świetle kuchennej lampy.

Reflektor za oknem znów przesunął się po ścianie domu, oświetlił ulicę i po chwili zniknął.

Marek Kuc stał dłuższą chwilę przy oknie. Niebo zasnuwały ciemne grafitowe chmury, świat na dworze wydawał się szary i pozbawiony barw. Wyrastające naprzeciwko kamienice były jeszcze bardziej pospolite niż zwykle. Kiedyś piękne, dziś ledwo trzymały się swojej formy. „Może jeszcze kiedyś ktoś zrobi z tym porządek? – przemknęło mu przez głowę. – Kto wie, może Orunia Dolna stanie się najbardziej pożądanym miejscem do życia w Trójmieście?”. A może sprzeda to mieszkanie i wyjedzie jak najdalej stąd. Zacznie na nowo. Gdzieś, gdzie jest ciepło i świeci słońce... Ile to razy Kaśka rzucała takim pomysłem. A on zawsze kwitował te jej wizje śmiechem. „Gdzie by było nam lepiej?” – powtarzał, wtulając się w nią. I naprawdę tak myślał. Naprawdę myślał, że nigdzie i przenigdy nie mogłoby być mu lepiej niż w tym pięćdziesięciometrowym mieszkanku w dzielnicy Gdańska, którą znał jak własną kieszeń, u boku żony, którą kochał najbardziej na świecie. Ale teraz sam już nie wiedział. Miał ochotę zniknąć. Czuł się jak frajer. Totalny frajer, który zawsze robił wszystko w imię miłości, który poświęcił jej wszystko, który myślał, że nic nie może nadwątlić tego, co mieli. Zacisnął zęby. „Najciemniej pod latarnią, jak to się mówi” – pomyślał, kręcąc z niedowierzaniem głową. Pytanie tylko: jak długo był ślepy?

Ciężko westchnął i spojrzął na zegarek. Czas niemiłosiernie się mu dziś dłużył. Odwrócił się od okna i podszedł do terrarium. Jaskrawozielona modliszka gwinejska siedziała za szybką na masywnej gałęzi. Jakaż była piękna. Trójkątna, ortognatyczna, ruchliwa głowa o dużych, wydawałoby się, napiętych do granic oczkach – jaśniejszych w ciągu dnia i ciemniejących w nocy. Lekko uniesiona para chwytnych odnóży, lekko

żółtawe boki rozdętego odwłoka. Większa niż samce, masywniejsza, silniejsza. Zdolna do pożerania partnerów podczas zalotów lub kopulacji. Kiedyś wydawało mu się to zabawne, dziś jednak dostrzegł dramatyczną przewrotność tej umiejętności. Kanibalizm seksualny. Zupełnie niezrozumiały pod względem ewolucji gatunku.

„Niezrozumiały, a jednak praktykowany od zarania” – smutno pomyślał detektyw. Sam czuł się dzisiaj właśnie tak, jakby został pożarty żywcem. Mówi się, że to mężczyźni bywają najokrutniejsi wobec kobiet. Ale Kuc przekonał się, że to one są zdolne do większego okrucieństwa. Tylko one potrafią tak perfidnie i rozumnie ranić. Mężczyźni są trochę jak małpy. Lubią wkładać kutasy gdzie popadnie, ale nie miało to dla nich większego znaczenia. Kobiety przeciwnie. Zdradzały pod wpływem emocji. Karmiły się tym uczuciem. I to było niewybaczalne.

– Niewybaczalne. – Mężczyzna powtórzył na głos brzęczące mu w głowie słowo i zdjął górną część terrarium.

Podsunał modliszce dłoń, a ta sama przewędrowała mu na skórę. Kuc chwilę się jej przyglądał. Chwiała się na dwóch nogach. Wątła, smukła. Wyglądała tak niewinnie, a jednak zdolna była do najgorszych czynów.

Przełożył owada do plastikowego korytka, w którym czekała już zakrętka od słoika wypełniona wodą. Pęsetą wydobył muchę z wyjętego z lodówki pudełka i wrzucił ją do zakrętki. Owad zaczął podrygiwać, próbując wydobyć się z wody, lecz modliszka natychmiast ją pochwyciła. Była szybka i zwinna. I nie umiała czekać.

Ale Kuc umiał. Tego nauczył się w swojej pracy. Że czekanie popłaca. A wyczekana zemsta smakuje lepiej.

Patrzył, jak modliszka pochłania muchę. Jak konsumuje ją żywcem, zupełnie jak Kaśka konsumowała jego.

Znów zamknął owada w terrarium i usiadł do stołu, na którym porozrzucane były wywołane zdjęcia. Przekrzywił głowę. Nie musiał nawet na nie patrzeć. Dobrze pamiętał tę sytuację. Oglądał ją przez niedbale

zasłonięte okno kiosku. Scena po scenie. Spust migawki po spuście migawki. Cały akt płciowy uskuteczniany przez jego kochającą żonę z szefem, którym ponoć gardziła. Już prędzej by podejrzewał, że puszcza się z tym dziwnym gościem, co nieustannie przychodzi do kolektury i ślini się na jej widok.

Zgrzytnął zamek i Kuc usłyszał, jak otwierają się drzwi mieszkania. Spokojnie złożył fotografie w stos.

– Jesteś? – Kasia stanęła na progu. – Znów tak szybko. Obiadu nie zdążyłam zrobić – powiedziała z wyrzutem.

– Nie ma pośpiechu – odparł Marek. – Ja potrafię czekać. – Niespiesznie włożył fotografie do żółtej koperty.

– Zdobyłeś dowody?

Kiwnął twierdząco głową.

– Jednak zdradzała? – Uniosła brwi.

– Niektóre kobiety mają po prostu w sobie gen niewierności – powiedział detektyw, patrząc żonie w oczy. – Rodzą się brudne. I nie zasługują na miłość.

Katarzyna Kuc uśmiechnęła się lekko.

– Niewiarygodne. Cóż, zdarza się. Zrobię obiad – rzuciła i zniknęła za drzwiami kuchni.

2

– Skarbie, jestem! – krzyknął Oskar od wejścia.

Rzucił klucze od drzwi na stojącą w rogu zdezelowaną komódkę. W mieszkaniu śmierdziało zsiadłym mlekiem. „Trzeba będzie wywietrzyć” – pomyślał i przeszedł z zakupami do kuchni. Tam panował codzienny nieład. Przyzwyczyił się już do tego, że Marika nie zwracała uwagi na takie rzeczy. W zlewie zalegały brudne naczynia, po blacie wały się przedmioty, które nigdy nie powinny się tu znaleźć. Na stole stały puste

butelki po piwie, jakaś niedokończona flaszka. Wczoraj zdecydowanie za dużo wypili. W ogóle za dużo pili, miał tego świadomość. Ale w domu zawsze był alkohol. I zawsze była okazja, by po niego sięgnąć. Prychnął rozbawiony i zebrał butelki do worka na śmieci. Postawił go pod ścianą. Potem wyrzucił. Znow wyszedł na korytarz.

– Jesteś, skarbie? – zawołał, kierując się do dużego pokoju.

Stał na progu, a serce podeszło mu do gardła.

– Marika! Marika! – Jego wrzask odbił się od ścian.

Dopał do żony. Leżała na podłodze. Na brzuchu, z lekko rozłożonymi nogami, jedną rękę miała skierowaną w górę, drugą w dół. Przypominała postać z kryminalistycznych zdjęć, które pokazywano na policyjnych szkoleniach. Nieruchoma twarz spoczywała na prawym policzku. Spanikowany zaczął ją szarpać, lecz ona nawet nie drgnęła.

„Boże, nie żyje” – przez jego głowę przebiegła okrutna myśl.

Wstał i zgiął się wpół. Nie mógł złapać oddechu.

– Boże, nie żyje. Nie żyje – powtarzał, niemal się dusząc.

Znow dopadł do Mariki i przewrócił ją na plecy. A wtedy otworzyła oczy i lekko się do niego uśmiechnęła. Jakby nigdy nic. Jakby ta straszliwa chwila, trwająca w umyśle Kordy całą wieczność, nigdy się nie wydarzyła. Jakby to wszystko tylko sobie wymyślił.

Usiadł na dywanie i nadal łapał powietrze.

– Myślałem, że nie żyjesz – załkał, wczepiając palce we własne włosy.

– Czemu? – Marika była zdziwiona. Ciągle się uśmiechała.

Tak pięknie, czysto, subtelnie. A przecież pachniała wódką. Alkohol sączył się z każdego pora w jej ciele, ze ścian tego niewielkiego mieszkania, które wynajmowali, z zatechłych dywanów, z oddechów, które wymieniali, całując się do upadłego. „I co z tego? – myślał Korda. – I co z tego?”. Nikomu nic złego nie robili. Nikogo tym nie krzywdzili. Kochali się i tylko to się liczyło. Szaleli na swoim punkcie, nie potrafili się sobą znudzić. I pili. Może za dużo, może zbyt intensywnie. Ale czy nie tak właśnie jest na

początku związku? Ludzie pędzą przed siebie, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Chcą smakować siebie nawzajem bez ograniczeń. Chcą wariować, kochać się, tańczyć, rozmawiać do rana. Konsumować procenty, aż nastanie ranek, aż świat oblecze szarość, która w końcu ich zmoże i pozwoli zasnąć w swoich ramionach.

Dziewczyna doczołgała się do KorDY i leżąc na brzuchu, złożyła mu głowę na kolanach. Czarne loczki rozsypały się na jego nogach. „Pająk ci wchodzi do ucha” – usłyszał w głowie zdanie, które lubiła powtarzać. Kiedyś ten zwrot wydawał mu się zabawny i uroczy, trochę jakby pochodził z dziecięcej wyliczanki. Ale teraz wywoływał w nim lęk. Tak bardzo się bał, że ją straci. Tak bardzo się bał, że Marika odejdzie i zostawi go samego. Że spojrzy w innym kierunku, że ktoś go zastąpi. Był skłonny wybaczyć jej wszystko. Byleby była. Byleby była jego.

Schylił się i zaczął całować jej włosy, jej czoło, jej oczy, jej nos. Kochał ją jak nigdy nikogo.

– Wyjdź za mnie, skarbie – szepnął. – Zostań moją żoną. Dzisiaj, jutro, jak najszybciej – prosił i nie przestawał składać pocałunków.

Marika obróciła się na plecy i zwróciła ku niemu twarz. Jej oczy błysnęły. Usta się rozchyliły. Czekał, ale nie wypłynęły z nich słowa, lecz śmiech. Opętańczy, głośny, ekstatyczny. Czarne sprężynki włosów opadły jej na czoło. Rozpełzły się po skórze jak żywe istoty.

3

Szarzało. Marek Kuc siedział w jednym z samochodów ustawionych w rzędzie przy chodniku i uporczywie wpatrywał się w drzwi kiosku. SzeF Kaśki wszedł tam dokładnie dwanaście minut temu. Tyle zazwyczaj wystarczało frajerowi, żeby załatwić swoje sprawy. Dwanaście minut wraz z grą wstępną, której chyba nie można było tak nawet nazwać, i pożegnaniem, czyli zapięciem rozporka i trzaśnięciem drzwiami. Dlaczego

Kaśka w coś takiego szła? Właśnie to ją kręciło? Niezobowiązujący, szybki, nijaki seks z wąsatym typem? Właśnie tym zastępowała ich miłość? Ich oddanie, bliskość, spełnienie? Detektyw zacisnął palce na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Czuł narastający w sobie gniew. Cierpliwość mu się skończyła, ale na szczęście wiedział już, jak załatwić tę sprawę. Dobrze wiedział, co zrobić, żeby zadać najwięcej bólu.

Zachciało mu się palić, ale nie mógł przegapić momentu, w którym szef Kaśki opuści kanciapę. O nie. Chciał się sycić ostatnimi minutami jego bezwartościowego życia. Chciał dokładnie widzieć wyraz jego twarzy, gdy będzie przechodził na drugą stronę ulicy. Ten zadowolony z siebie ryj, ta mina, która mu zrzędzie, gdy on wyjdzie mu naprzeciwko. Chciał dojrzeć w jego oczach konsternację, niepewność i strach. O tak. Najbardziej chciał zobaczyć w jego oczach strach. I ból, kiedy wymierzy mu cios. O niczym innym nie marzył. Nie liczyło się potem. W ogóle o tym nie myślał. No, może jeszcze wyobrażał sobie minę Kaśki. Wybiega z kiosku, bo słyszy na ulicy jakieś poruszenie, przeciska się przez tłum i przystaje. Najpierw bez ruchu, bez emocji, jakby nie docierało do niej to, co widzi. A później jej usta wykrzywia groza. Krzyczy. Klęka nad ciałem, ale go nie dotyka. Facet jest zupełnie obcy. Martwy czy żywy. Zawsze był obcy. Właśnie zdaje sobie z tego sprawę. Podnosi głowę i z wahaniem spogląda wokół. I napotyka spojrzenie Marka.

Detektyw wyobrażał sobie ten moment setki razy. Przerazenie malujące się na jej twarzy zmieszane z poczuciem winy i trudnymi do udźwignięcia wyrzutami sumienia. Najlepsza kara. Najlepsza zemsta.

Mruknął niezrozumiale do swoich myśli i z całych sił ścisnął kierownicę. Jego ciało było napięte do granic. Głowa wychylona ku przedniej szybie, oczy wyostrome. Trzyście minut. „Chodź, frajerze. Chodź”.

Drzwi drgnęły. Marek znieruchomiał. Jego serce na chwilę przestało bić. Z progu wysunęła się jedna obuta w eleganckiego trzewika noga. I druga. Skurwiel wydawał się niezadowolony. Ruchał jego żonę i jeszcze był

niezadowolony. W Marka wstąpiła nowa złość. Sięgnął do klamki, ale wtedy zobaczył Kaśkę. Ubrana w białe kozaki i świecąca różową kurtkę. Na policzkach dostrzegł rumieńce, usta świeżo pociągnęła błyszczącym. Zaczesa na bok grzywka była lekko zmierzwiona. Drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem, ponownie uderzyły o framugę. Kaśka przekręciła klucz, wrzuciła go do niewielkiej torebki z czarnego skaju i popędziła przez ulicę za mężczyzną zmierzającym już w stronę srebrnego mercedesa.

„Co do chuja?” Ręka detektywa zamarła na klamce. Nie tak to miało wyglądać. Nie wiedział, co robić. Zmieszany patrzył, jak para znika w samochodzie. Oczywiście ten frajer nie otworzył nawet Kaśce drzwi. Sama musiała sobie poradzić. Jak ona mogła się na to zgadzać? Detektyw zacisnął zęby. Mercedes powoli zjechał z chodnika i pomknął ulicą. Kuc nie czekając, szybko włączył silnik i ruszył za nimi.

Przejechali przez Śródmieście, przecięli Martwą Wisłę i skierowali się do Portu Północnego. Po dwudziestu minutach znaleźli się nieopodal plaży na gdańskich Stogach. Wokół panowała ciemność. Gdzieś palily się tylko latarnie, w których światło jarzył się leżący na ziemi śnieg. Detektyw zgasił przednie światła i poczekał, aż mercedes zaparkuje. Po chwili kochankowie znaleźli się na deptaku i ruszyli w stronę morza.

„Co ona znowu wymyśliła?” – zdenerwował się Kuc. Wiedział, że to był pomysł Kaśki. Spacer po ulubionej plaży w ciemności. Bardzo w jej stylu. Może chciała przenieść relację na inny poziom? Bardziej romantyczny?

Zniesmaczony prychnął.

Przecież widział, że frajerowi to zupełnie nie odpowiadało. Żonka pewnie czekała na niego z ciepłym obiadem, a on zaiwaniał w mrozie. Cała Kaśka. Ale właśnie za to ją kochał. Jak on ją kochał. Zawył, a jego ciało przeszył ból. Znow wstąpiła w niego złość. Zaparkował i zamknął po cichu drzwi auta. Pod osłoną nocy, zupełnie niezauważenie, krok za krokiem szedł za żoną i jej kochankiem. Ci weszli na plażę. Marek nie mógł pójść za nimi na otwartą przestrzeń. Musiał działać z zaskoczenia. Wdrapał

się więc na wydmy i stamtąd patrzył, jak para przecina pokrytą białym puchem plażę. Czarne morze szumiało, wypływając na brzeg białe bałwany. Kuc sięgnął po aparat, który w ostatnim momencie wziął z auta. Przybliżył obraz. Trzystumilimetrový obiektyw zapewniał doskonały widok. I kto mu powie, że cyfrówka może zastąpić tradycyjną lustrzanke?

Kaśka oczywiście gędziła. Gęba nigdy jej się nie zamykała. Ale Markowi to nie przeszkadzało. Akceptował ją taką, jaka była. W przeciwieństwie do tego frajera, który najwyraźniej był znudzony, bo rozglądał się na boki. Pierwszy raz pokazał się z kochanką w miejscu publicznym. Nawet na wyludnionej plaży bał się zostać przyłapany. Ona wyciągnęła dłoń. Chciała złapać go za rękę, ale się wyrwał. Kaśce chyba się to nie spodobało, bo jej usta wykrzywiła złość, tak mocna, że pchnęła mężczyznę. To z kolei nie spodobało się jemu. Podniósł rękę i uderzył ją w twarz. Złapała się za policzek. Nie mogła uwierzyć, że ktoś ją tak potraktował. „Suka ma za swoje. Ale musiało ją boleć. Nie tylko skóra, lecz przede wszystkim godność” – ucieszył się Kuc i przez teleobiektyw wodził wzrokiem za żoną, która splunęła temu pajacowi pod nogi i zaczęła uciekać wzdłuż brzegu.

4

Zaduch. Brudny i obmierzły. Choć na dworze było jeszcze jasno, przez zasłonięte okna do pokoju nie wpadało światło. Paliła się tylko lampka z czerwonym kloszem, którą Marika przytargała kilka miesięcy temu z pchlego targu. Oczywiście miała swój urok, ale teraz wydała się Oskarowi tak samo brudna i obmierzła jak cały ten zatechły pokój, jak całe to przesiąknięte alkoholowym wyziewem mieszkanie.

– Cześć, kochanie. – Marika, ubrana w obcisłe czarne dżinsy i czerwony T-shirt ulubionego zespołu Ramones, ledwo stała na nogach.

Nie pierwszy raz, ale zdarzało się to zdecydowanie zbyt często, by Korda mógł dłużej udawać, że to tylko zabawa, że to tylko szalone początki

miłości, rządzące się własnymi prawami. Zbyt długo udawał, że nic złego się nie dzieje. Zbyt długo wierzył w jej zapewnienia, że nie piła, że wypła tylko troszeczkę, że była okazja, bo koleżanka wpadła, że miała ciężki dzień i chciała się zrelaksować. Zawsze miała wymówkę. A Korda bezgranicznie jej ufał. Wypierał prawdę. Nie chciał jej przyjąć.

- Jak było w pracy? – spytała, cmoknęła go w usta i lekko się zachwiała.
- Ups. – Zaśmiała się, wzruszając ramionami.
- Dobrze – odparł Oskar i ciężko westchnął.
- Cieszę się. Miałam zrobić obiad, ale... hmm... chyba jesteś wcześniej, niż powinieneś, co?

Smutno pokiwał głową, choć nie była to prawda. Był o tej porze, co zawsze. O tej samej piekielnej porze, w której Marika znajdowała się w stanie nieważkości.

- Chodź, razem coś przygotujemy – powiedział ugodowo i podążył do kuchni.

Kuchnia też nie wyglądała najlepiej, ale tego nie skomentował. Nie wiedział, jak powinien się zachować. Krzyczeć? Prosić? Nakazywać? Zakazywać? Przecież taką ją wziął. Taką ją pokochał. Córkę alkoholika podkradającą ojcu alkohol z barku. Robiła to od dziecka. Czy nie tak się poznali? Pijąc wódkę z gwinta na zasyfionej klatce? Jak miał ją zmienić? Jak miał jej powiedzieć, że jej nie akceptuje, że się pomylił, że myślał, że jest inna, gdy prosił ją o rękę, gdy świadomy praw i obowiązków wynikających z zawarcia małżeństwa uroczyście oświadczał, że w ich domu nigdy nie zabraknie miłości, alkoholu i muzyki. Tak właśnie jej ślubował. Tak właśnie przekonał ją do wspólnego życia.

Westchnął, oderwał z rolki jedną z siatek na śmieci, wzburzył ją z szelestem i zaczął pakować do niej puste butelki stojące na blacie i stole, a także te walające się po ziemi.

- Przepraszam, nie zdążyłam posprzątać. – Marika oparła się o ścianę i chybotając się, patrzyła, jak Korda ogarnia bałagan.

– Nic nie szkodzi – odparł. – Już się tym zajmuję, skarbie. Niczym się nie przejmuj – uspokoił dziewczynę.

Postawił wypełnione siatki w rzędku pod stołem i zajął się myciem naczyń. Ciepła woda padająca strumieniem na jego ręce sprawiła, że poczuł się lepiej. Sięgał po kolejne talerze i szklanki i odkładał je na suszarkę. Marika nagle przylgnęła do jego pleców. Ograniczała jego ruchy, a chciał jak najszybciej skończyć. Był głodny po pracy jak pies. Mimo to mył spokojnie i metodycznie. Starał się. Starał się, jak mógł.

Dziewczyna oderwała w końcu ręce od jego pasa i wspięła się na palce. Poczul na małżowinie jej poruszające się szybciotko niczym wachlarz rzęsy.

W tę i we wtę. W tę i we wtę. Nieznośne, uporczywe gilganie.

– Pająk ci wchodzi do ucha – szepnęła zadziornie, a Korda raptownie się odwrócił.

– Nie mów tak! – krzyknął. – Słyszysz? Nie mów!

Marika cofnęła się o krok. Lekko się zakołysała.

– Czemu? Przecież to lubisz.

– Już nie.

– Od kiedy?

– Od wtedy, kiedy się okazało, że nie tylko mi tak mówisz.

Prychnęła. Przycisnęła brodę do szyi, tworząc brzydkie wałeczki.

– A co ja, kurwa, jestem? Twoja własność?

– Nie o to mi chodziło. – Korda zaczął kapitulować.

– Nie o to? A mnie się wydaje, że właśnie o to. – Odwróciła się do stołu i zaparła o niego rękoma.

Jak jej to wychodziło – tak szybko wywołać w nim wyrzuty sumienia? Przecież to ona robiła te wszystkie rzeczy. Nie on. A jednak ciągle czuł się winny. Tak bardzo się bał, że ją zawiedzie, że nie podoła jej oczekiwaniom, że w końcu go opuści.

– Marika, przecież wiesz, że nie. – Westchnął i położył jej rękę na barku.

– Nie dotykaj mnie – rzuciła przez zęby.

– No już, nie gniewaj się. – Zrobił krok w przód i położył na jej ramieniu drugą dłoń.

– Nie dotykaj mnie, powiedziałam. – Marika nienawistnie sarknęła.

– Kochanie, daj już...

– Powiedziałam, żebyś mnie nie dotykał!

Odwróciła się gwałtownie. W jej rękach błysnął nóż, który przeciął powietrze. Korda poczuł szczypanie, a potem ciepło.

Kap. Kap. Kap.

Na kuchenną posadzkę skapywały krople krwi.

Złapał się za policzek, próbując zatamować wyciek, ale gęsta ciecz przesiąkała mu przez palce.

Kap. Kap.

Kałuża na posadzce robiła się coraz większa.

Podniósł głowę i spojrzał Marice w oczy. Znalazł w nich tylko gniew i odrazę.

– Kim ty jesteś? – spytał z niedowierzaniem. – Kim?!

Minął ją i zatrzasnął się w łazience.

Spojrzał w lustro. Czerwona rana ciągnęła się od prawego oka aż po krawędź ust. O równych brzegach, głęboka i ciemna. Idealnie symetryczna. Idealnie przecinająca jego policzek na pół.

Kim się stał? Kim?!

Oparł się o umywalkę, zacisnął pięści. Dokąd to wszystko zmierzało? Przycisnął korek i umywalka zaczęła się napełniać wodą. Natychmiast wróciło do niego wspomnienie, gdy ojciec wrzucił go do jeziora. Oskar nieudacznie machał rękoma, a woda napływała mu do ust. To wtedy zaczął się bać. To wtedy przestał być sobą. Niewiele myśląc, zanurzył twarz. Otworzył oczy. Wokół wirowała zabarwiająca się na czerwono ciemność. Postanowił, że już nigdy nie da się jej przestraszyć.

Wynurzył się i przyłożył do policzka ręcznik. Ten też szybko zabarwił się krwią.

Wyszedł z łazienki. „Gdzie mamy apteczkę? Czy w ogóle jakąś mamy?” – zastanowił się. Przekroczył próg kuchni. Mariki tam nie było. Przeszedł korytarzem do pokoju. Mocniej przycisnął ręcznik do policzka i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Marika? – zawołał. – Gdzie jesteś?

Znów przeszedł korytarzem. Sprawdził w sypialni, jeszcze raz w kuchni, łazience, pokoju. I ponownie poczuł ten zaduch. Rozsunął zasłony i otworzył na oścież okno. Wpadło słoneczne światło. Jaki piękny dzień. Bezchmurny, ciepły, wiosenny.

Powietrze przeciął gwizd pociągu. Ciągły, niekończący się, wyzywający. I rzeźnienie hamulców. Ostre, piskliwe, rozsadzające bębenki. Buff. Pociąg w końcu stanął, wypuszczając kłęby dymu. Zaległa cisza.

– Marika? – Korda znów zawołał. – Marika?!

Obszukał mieszkanie. Czuł narastający niepokój. W końcu zdecydował się wsunąć glany i wybiegł na zewnątrz.

Zerknął w prawo. Dalekobieżny zielony pociąg stał spokojnie, choć nigdy wcześniej się tu nie zatrzymywał. Niewiele myśląc, pobiegł w jego stronę. Stanął, rozejrzał się i znów zaczął biec. Tym razem wzdłuż torów. Pociąg zdawał się nie mieć końca. Jeden wagon, drugi, trzeci, czwarty, piąty.

– Nie widziałem jej. Nie widziałem, naprawdę – powiedział maszynista stojący na torach. – W ostatnim momencie wbiegła, wskoczyła, nie wiem. Nie wiem, naprawdę. Naprawdę nie wiem. – Mężczyzna złapał się za głowę. Był w szoku. – Będziesz świadkiem, dobrze? Że ja nic nie zrobiłem źle. Ona po prostu nagle...

Korda już go nie słuchał. Okrążył pociąg i znów zaczął biec wzdłuż niego, tym razem w drugą stronę. Słońce świeciło mocno. Ptaki siedzące na słupach wesoło jazgotały. Białe kamyczki leżące między szynami chrzęściły pod podeszwami jego glanów.

Chrup. Chrup.

Chrupały pod nogami, gdy biegł, potykał się i biegł dalej. Jakby mógł coś zmienić. Jakby nie wiedział, co się właśnie stało. Jakby nie dostrzegł powiewającego między przeciwległymi torami skrawka czerwonego materiału jej koszulki, który nagle uleciał w górę i zatrzymał się na suchym krzaczku kilka metrów dalej.

Jakby świat się nie skończył.

Jakby nie przeciął się perfekcyjnie na pół.

– No, pani Klaro. Cieszymy się, że udało nam się dojść do porozumienia. – Otyły mężczyzna w džinsach i granatowym swetrze podał Lubańskiej rękę.

– Czuję, że będzie nam się tu dobrze mieszkało. Żona cieszy się z tego dużego balkonu. A jak żona zadowolona, to ja też. – Zaśmiał się.

– Święta racja – powiedziała agentka, również obdarzając klienta uśmiechem. – To co, podpisujemy?

– Podpisujemy. – Z werwą uderzył w blat stołu i ciężko przysiadł na krześle.

Klara wydobyła z teczki umowę podpisaną przez właścicieli mieszkania w Oliwie, a facet w swetrze zamasztył ruchem złożył podpisy na każdej stronie.

Odetchnęła w duchu. Długo to trwało, ale cierpliwość się opłaciła. Uwolni się w końcu od tego leśnego dziada, który od miesięcy ciągle wybrzydzał, choć pokazywała mu najlepsze nieruchomości, jakie były na rynku, no i dostanie sporą prowizję od sprzedaży. Wreszcie będą mogli z Przemkiem trochę odetchnąć, może odłożyć, bo nie wiadomo, jak to teraz z tym COVID-em będzie, czy ich wszystkich nie pozamykają w domach. No i w końcu kupi sobie jakąś ładną bieliznę. Seksowną, ale nie wulgarną. Taką, która sprawi, że pan X będzie w nią wchodził jeszcze chętniej i namiętniej niż zawsze.

Ta myśl była przyjemna. Ona i pan X. Sekretny związek, który sprawił, że jej życie znowu nabrało barw. Nic się nie liczyło, nic nie było ważne. Przestała się spieszyć, przejmować drobnostkami. Wszystko, co wcześniej ją stresowało, zniknęło. Miłość naprawdę potrafiła przewartościować wiele rzeczy.

– No i przyklepane. – Mężczyzna postawił symboliczną kropkę za ostatnim podpisem.

– Dziękuję. – Schowała jeden egzemplarz umowy z powrotem do teczki.

Trzasnęły drzwi wyjściowe i Lubańska została w mieszkaniu sama. Nacisnęła klamkę i wyszła na balkon. Czerwcowy dzień był naprawdę piękny. Bezwietrzny, słoneczny, idealnie ciepły, bo temperatura osiągnęła dwadzieścia cztery stopnie. Rozejrzała się wokół. Może i nie był to najlepszy widok, bo mieszkanie wychodziło na przeciwległy budynek, ale najważniejsze, że klientom się podobało. Ależ czuła ulgę, że dziś zakończyli transakcję. Może trzeba byłoby to uczcić? Kupić butelkę szampana i wypić ją z panem X? Może mu w końcu powiedzieć, czym się zajmuje? Kim jest? Może trzeba by wreszcie przenieść tę znajomość na wyższy poziom, bo ile można było się spotykać w tajemnicy, nic o sobie nie wiedząc. Czuła, że nadszedł ten moment. I X też musiał to czuć. W końcu na ostatnim spotkaniu powiedział jej, że gdyby tylko mógł, to zostałby z nią w tym łóżku na zawsze.

Klarę ogarnął spokój. Przymknęła oczy, delektując się czerwonymi refleksami rysującymi się pod powiekami. Na poddaszu gruchnął gołąb. Jak dobrze. Jak błogo. Miała ogromną nadzieję, że rozlewająca się w niej euforia nigdy nie minie.

Zadzwonił telefon. Kobieta westchnęła, otworzyła oczy i sięgnęła po niego do kieszeni.

– Halo? – rzuciła radośnie.

– Szszszsz. Szszszsz. – Usłyszała w słuchawce.

– Halo! Halo! – powtórzyła.

Czyjś oddech. Wyraźny, niespokojny, urywany.

– Szszszsz. Szszszsz. Zabiję cię, kurwo. Za-bi-jęęęęęęęę.

Czym prędzej się rozłączyła i poczuła, jak oblewa ją zimny pot.

Na sopockiej komendzie panował gwar. Raz po raz rozdzwaniały się telefony. Przy recepcji ustawiał się spory ogonek petentów. Wszystkie krzesła były zajęte. Ktoś kogoś wołał, ktoś mówił z przejęciem. Czuć było wszechobecne niezdrowe podekscytowanie. Lubańska przecisnęła się przez tłumek, który zatarasował wejście, zlustrowała wzrokiem sytuację, westchnęła i zajęła miejsce w kolejce.

– To było dziś rano. – Doszło ją, jak starsza pani w dresie relacjonuje recepcjoniście. – Usłyszałam jakiś hałas, wyszłam przed dom, nikogo nie było. Ale po chodniku przechodził mężczyzna. W czarnej kurtce, podejrzany taki z twarzy i spojrzenie mi rzucił. Pełne nienawiści, naprawdę...

– A za mną ktoś szedł – odezwała się nagle inna pani z kolejki, szukając wzrokiem jakiegoś chętnego rozmówcy. – Wczoraj w parku. Myślałam, że zawału dostanę, ale po chwili zniknął, jakby rozpułnął się we mgle.

– A ja odebrałam jakiś dziwny telefon. – W stronę Klary odwrócił się mężczyzna o krzywych czarnych zębach.

– Dziwny telefon? – zainteresowała się nagle.

– Mhm. Ktoś powiedział, że nadchodzi koniec świata i wszyscy umrzemy – odpowiedział konspiracyjnym tonem mężczyzna i zaczął szaleńczo się śmiać, obnażając całość zepsutego uzębienia.

Klara skrzywiła się i pomyślała, że niepotrzebnie tu przyszła. Do niej też pewnie dzwonił jakiś wariat nakręcony przez całą tę sprawę Młotkarza. Albo jakiś dzieciak stroił sobie głupie żarty. A może tylko jej się wydawało, że słyszała to, co słyszała? Czy ona też stała się ofiarą tej całej paniki, która wybuchła w Trójmieście? Dała się ponieść fali przerażenia i hysterii, które jeszcze parę godzin temu wyśmiewała?

Pomimo tych myśli jej ciało się nie poruszało. Wciąż stała w kolejce, która powoli zaczęła się zmniejszać. Obserwowała, jak ludzie znikają z funkcjonariuszami za drzwiami, jak opuszczają komendę, jak napływają kolejne osoby.

– Tak? – Usłyszała męski głos.

Przystojny, młodszy od niej pewnie o dwie dekady recepcjonista miał znudzoną minę.

– Odebrałam dzisiaj bardzo niepokojący telefon – zaczęła. – Ktoś powiedział, że, hm... ktoś powiedział, że... Hm. – Słowa nie chciały przejść jej przez usta.

– Tak? – ponaglił zniecierpliwiony blondyn.

– Już któryś raz odebrałam dziwny telefon. Wcześniej to były jakieś szmery, wyraźnie słyszałam czyjś oddech. Ale dziś ktoś dodatkowo powiedział, że, hm...

– Co dokładnie pani usłyszała?

– „Zabiję cię. Zabiję cię, kurwo” – wyrecytowała Klara.

Recepcjonista ściągnął brwi. Chwilę się zastanawiał.

– Gustlik! – krzyknął w przestrzeń.

– Co? – Młody policjant w opadających na nos okularach niechętnie zatrzymał się w pół drogi.

– Pani tu ma coś ciekawego.

– Mówisz? – zawahał się starszy sierżant. – Proszę, pani ze mną pójdzie.

Gustowski poprowadził Klarę schodami na piętro, po drodze jej wysłuchując.

– Korda? – Uchylił drzwi do pokoju detektywa.

Ciemnowłosy policjant odwrócił się od pokrytej wydrukami ściany. Jego policzek szpeciła długa blizna.

– Do pani ktoś dzwonił, grożąc, że ją zabije. Wiesz, zgrzyty, szmery, szelesty, oddechy. A potem: „Zabiję cię. Zabiję cię, kurwo” – zrelacjonował.

Oskar przejechał kciukiem po szramie.

– Pani usiądzie. – Wskazał jej miejsce przy biurku i zaczął zadawać szczegółowe pytania. – Z mężem... jak się pani układa? – zapytał w końcu.

– Z mężem? – zdziwiła się Lubańska. – Jak to z mężem? – Wzruszyła ramionami, lecz poczuła, że się rumieni.

Korda zmrużył oczy, uważnie taksując jej twarz.

– Wie pani, co to jest Lust Supper? – spytał.

Lubańska wstrzymała oddech. Poczwała, że kręci jej się w głowie.

– Dlaczego... – Odchrząknęła zmieszana. – Dlaczego pan o to pyta?

– Rozumiem, że temat nie jest pani obcy? – Detektyw się wyprostował.

– Byłam tam tylko raz.

– Nie spodobało się pani?

– Nie. To znaczy tak. To znaczy... ech... Poznałam tam kogoś i nie miałam potrzeby więcej uczestniczyć w tego rodzaju imprezach.

– Kogo pani poznała? – Korda wstał zza biurka.

– Po prostu mężczyznę – odparła cicho.

– Imię i nazwisko.

Zdziwiona podniosła głowę.

– Proszę podać imię i nazwisko tego człowieka.

– Ale ja z nim nic... To tylko przyjaciel.

– Pani Klaro, ja nie chcę zaglądać pani do łóżka. Póki co. – Oskar podrapał się po policzku. – Proszę mi podać jego imię i nazwisko.

– Nie wiem. Nie znam ich.

– Nie zna ich pani?

Przysiadł na blacie tuż obok kobiety.

– Nie znam. Nazywa się pan X. Nie poznałam jego imienia i nazwiska, nie wiem też, czym się zajmuje. Wiem tylko, gdzie mieszka, choć też chyba nie do końca, bo to takie wynajmowane mieszkanie...

– Ale to pani przyjaciel? – prychnął detektyw.

– Tak. Ufam mu.

– Ufa pani człowiekowi, o którym nic nie wie, tak? – Policjant uśmiechnął się drwiąco, a Klara niepewnie kiwnęła głową. – A ten głos w telefonie? Jest pani w stu procentach pewna, że to nie był głos tego mężczyzny, tak? – dorzucił i założył ręce na piersi.

– Tak. Jestem pewna.

„Zabiję cię, kurwo. Za-bi-jęęęęęęęę” – w głowie Klary wybrzmiał stłumiony, gardłowy szept.

– Chyba tak – dodała już mniej obcesowo. – Tak mi się wydaje.

– Czyli nie jest pani pewna?

Lubańska spojrzała w podłogę, a po chwili przeniosła wzrok na korkową tablicę pokrytą wydrukami dokumentów i makabrycznymi zdjęciami pełnymi czerwonych plam.

„Zabiję cię, kurwo. Za-bi-jęęęęęęęę” – znów usłyszała szept, tym razem jednak zobaczyła też twarz. Zbliżająca się do jej ucha twarz leżącego na niej, podnieconego mężczyzny.

– Nie jestem – odparła cicho i przymknęła w udręczeniu powieki.

3

– Małysz! – Korda wyskoczył przed komendę. – Wszędzie cię szukam.

Detektyw stanął obok Mariana Miodowicza.

– No widzisz. A ja sobie pykam tylko fajeczkę. Co za piękny dzień. – Informatyk westchnął, rozglądając się wokół. – Słoneczko, mewy. No, żyć nie umierać i kochankę mieć. – Zaśmiał się, poprawiając dwoma palcami cienki wąs.

– À propos kochanek – podchwycił Korda. – Widziałeś, że gościowi z Wydziału Techniki Operacyjnej nie udało się ustalić numeru telefonu, z którego podejrzany dzwonił do Klary Lubańskiej? Co więcej, nie zdołał ustalić współrzędnych logowania BTS. Jak to w ogóle możliwe?

– Widziałem, widziałem. – Małysz lekko wypuścił dym z płuc. – Nie jest to łatwe – cmoknął – ale też nie niemożliwe.

– Rozumiem, że masz jakieś grube opcje? – Oskar również wyciągnął papierosa.

– Najpierw pomyślałem o „jaskółce”. Czyli że koleś mógł ukraść dane czyjegoś telefonu, ten telefon połączył z podstawionym BTS, czyli z IMSI

Catcherem, następnie skorelował z siecią telefonii komórkowej przez to samo urządzenie, które mógł sobie ustawić gdziekolwiek i z dowolnego telefonu, ale to zostawiłoby jednak ślad, bo przez „jaskółkę” dane identyfikujące osobę podmieniane są w locie na te wcześniej przechwycone, żeby wskazać innego abonenta. No więc ta opcja odpada. No i to jednak narzędzie bardziej używane przez służby w celu podsłuchiwania figurantów. – Małysz znów filuternie roztoczył wokół siebie szary dym z płuc.

– Więc co? – dopytywał niecierpliwie Korda.

– Mógł w przedmiotowym celu użyć różnych bramek Voice Over IP, czyli bramek łączących internet z siecią telefoniczną. One są dostępne i powszechnie używane przez scammerów, znajdują się, wiesz, w Indiach przykładowo. Mógł wykupić sobie usługę przez giełdę w darknecie i zapłacić kryptowalutą PonziCoin. – Miodowicz zaśmiał się rubasznie.

Korda bezradnie rozłożył ręce.

– A to taki żarcik środowiska kryptowalutowego. – Małysz wytarł rękawem swetra załzawione od śmiechu oczy. – Nazwa wywodzi się od schematu Ponziego – zaczął tłumaczyć. – Tak naprawdę nie ma takiej kryptowaluty i...

– Do brzegu, Małysz! – zirytował się Korda. – Ty sobie żartujesz, a tu Młotkarz zaraz komuś czachę rozjebie.

– Jesssu. Korda, ty zbij ciśnienie – odparł i pokręcił głową informatyk.

Detektyw posłał mu zabójcze spojrzenie.

– Okej, okej – poddał się Małysz. – Więc tak. Z bramką nasz sprawca mógł się połączyć przez sieć ToR. Spoofował numer telefoniczny, dzięki czemu ofiarom mogłoby się nawet wydawać, że dzwoni do nich ze znanego im numeru. Jednocześnie ukrył swoją faktyczną lokalizację. Ja na jego miejscu użyłbym dodatkowo syntezy mowy typu Jessica czy inna Ivona. No i dystrybucji Linux Tails, tej samej, której używałem ostatnio przy tobie.

Komputerowiec zdusił resztkę papierosa w stojącej na mosiężnej nodze popielnicy.

– Tej samej, której używa Lust Supper do komunikacji – zauważył Korda. Zamyślony pokiwał głową i podążył do czarnej alfy romeo stojącej na parkingu.

– Ale mógłbyś wyluzować! – krzyknął za nim jeszcze Małysz. – Na jakąś wieczerzę może wpaść. Skonsumować co nieco.

Słyszając dosadny śmiech kolegi, Korda poczuł w żołądku ucisk. Natychmiast przed oczami stanęła mu twarz Janiny. „Nie możemy. Korda, nie możemy” – wsiadając do auta, usłyszał w głowie jej szept. „Pająk ci wchodzi do ucha” – jednocześnie jego mózg przywołał zdanie z przeszłości.

Kręcone włosy Mariki przesuwające się po jego twarzy.

Urywane jęki Janiny.

Ciepła dłoń ciągniętej przez klatkę schodową Alicji.

Zdrada. Podstępne, zimne oczy gada.

Czym prędzej odpalił samochód. Wszystko mu się mieszało. Już sam nie wiedział, co tak naprawdę czuł i czego chciał.

Znów nie wiedział, kim jest.

Nacisnął na gaz i ruszył w kierunku gdańskiej alei Rzeczypospolitej, przy której mieszkał pan X. Po dwudziestu minutach niespokojnej jazdy znalazł się pod jednym z nowoczesnych, nieudolnie zaprojektowanych bloków mieszczących się nieopodal torów tramwajowych. Wcisnął guzik domofonu z numerem dziesięć i po chwili stał pod szarymi drzwiami. Zadzwoił, ale nikt nie otwierał, więc nacisnął klamkę. Mieszkanie było otwarte.

Czy właśnie tak pan X przyjmował Klarę Lubańską? Czekał na nią w mieszkaniu, a ona wchodziła sama, rozglądając się tylko wokoło, czy nikt niepowołany tego nie widzi?

Wszedł do środka i cicho przemierzył korytarz. Patrzył w dół na swoje nogi w ciężkich traperach. Skrzyp. Skrzyp. Szedł zarazem ostrożnie

i pewnie, tak samo jak zabójca z Kamiennego Potoku. Czy za chwilę miał się z nim spotkać?

– Tu jestem! – Usłyszał męski głos.

Stanął na progu.

– Kurwa, co jest? – Leżący na sypialnianym łóżku nagi mężczyzna o falowanych blond włosach za ucho czym prędzej nakrył się pościelą. – Wypierdalaj mi stąd! – warknął.

– Policja. – Korda wyciągnął odznakę. – Czekam na kogoś?

– O co chodzi? – Blondyn zmarszczył czoło.

– O Klarę Lubańską.

– O kogo?

– O Scarlett. – Korda zreflektował się, że X znał kobietę pod takim właśnie pseudonimem.

– Coś jej się stało?

– Póki co nic. Pana godność?

– Romek Szulc.

– Faktycznie pan X brzmi lepiej – odparł detektyw zgryźliwie.

– Czy pan ma prawo tu być? – Szulc nerwowo zaczął się rozglądać za spodniami.

– Możemy przenieść się na komendę – odrzekł policjant i wzruszył ramionami.

– Nie trzeba – skapitulował golas. – Pan mówi, o co chodzi dokładnie.

– Gdzie pan był nocą z dwunastego na trzynastego marca i z piątego na szóstego maja?

– A co to za dni? – spytał Szulc, przewracając oczami.

– A takie tam zwykłe noce, gdy Młotkarz z Kamiennego Potoku zaciukał trzy osoby, w tym dwie kobiety. Nie wiem, czy jest co kojarzyć. – Korda cmoknął, wodząc oczami po pokoju.

– Pan zaczeka. – Szulc zawinął pościel wokół pasa i wyskoczył do stojącej w rogu komody.

– *Easy*, chłopie. – Korda natychmiast położył rękę na kaburze z bronią. Blondyn przerażony podniósł ręce.

– Nie, nie. Ja tu tylko taki kalendarz mam. Pan zobaczy.

Korda zbliżył się do mężczyzny i zerknął do szuflady. Skinął głową, a Szulc wydobył z niej kajet. Zaczął przerzucać zapisane imionami kartki.

– O! Pan policjant zobaczy. Dwunastego marca była tu ze mną Anika, a piątego maja Cristina. I oczywiście mogę się z nimi skontaktować, by to zaświadczyły. – Uśmiechnął się szeroko.

– Czyli Scarlett to nie miłość, co? – mruknął Korda.

– Najprawdziwsza miłość. – Pan X. cmoknął. – Kocham wszystkie moje kobiety. Aktualnie siedem moich kobiet.

Oskar prychnął. Raz i drugi. Po czym wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

4

Dotyk. Dzięki niemu przestajemy się bać, odczuwamy przyjemność, pragniemy, komunikujemy się, kochamy. Wystarczy muśnięcie palcem, by poczuć z kimś bliskość, by już na zawsze ta osoba zmieniła dla nas znaczenie. Potrzebujemy dotyku ukochanego tak samo, jak potrzebujemy powietrza. Dotyk jest niezbędny do życia. A najbardziej go doceniamy, gdy już go zabraknie.

Kiedy ktoś wkracza w twoje życie, a potem znika, powstaje przemożny brak. Tak jakby coś ci wyrwał, pozostawił po sobie dziurę o nierównych, postrzępionych brzegach. I ta dziura przejmuje nad tobą kontrolę. Zaczyna cię wciągać i pochłaniać. Odrywa od wszystkiego, co istnieje poza nią. Zupełnie determinuje twój świat. Tracisz władzę nad swoimi myślami, emocjami, działaniami. Wszystko przestaje mieć sens. Na tak długi czas. Ktoś był kiedyś tylko kimś, a teraz staje się azymutem. Wszystkie drobinki

we wszechświecie przemieszczają się w jego stronę. W stronę braku – bezkształtnego, ciemnego, w każdej sekundzie zadającego ból.

– Lubisz ją? – Alicja uśmiechnęła się kącikiem ust.

Uśmiech nie uśmiech. Tak dobrze znał to uczucie, które wyczytał w jej twarzy.

Przytaknął, spuszczać oczy.

– Tak jak mnie? – szepnęła.

– Inaczej – przyznał.

– Jak?

Wzruszył ramionami.

– Z Janką wszystko jest takie proste – wyznał. – Przecież to nie powinno być tak trudne, prawda? – Podniósł głowę.

W jego oczach dojrzała cień, który już kiedyś tam widziała, który na jakiś czas zniknął, ale w ostatnich tygodniach znów przybrał na sile. Alicja oszukiwała się, że tylko jej się wydaje. Wmawiała sobie, że goni go praca, że ściga się z czasem. Potem zrozumiała, że to, co go goni, to przeszłość. O której nigdy nie chciał mówić, ale też o której nigdy nie zapominał. I ciągle czuła jakiś niepokój. Coś nieprzyjemnie ją gniołło. Nie wiedziała co, póki pod jej pracą nie zjawił się dziś Tajfun. Akurat on. Akurat od znenawidzonego byłego męża musiała się dowiedzieć, że Oskar Korda coś czuje nie tylko do niej. „Życie jest upiornie zabawne” – zaśmiała się w duchu.

– Nie powinno, Oskar. Nic nie powinno być trudne, a już na pewno nie miłość. – Poczowała w gardle gulę, ale nie dała po sobie poznać.

Wiedziała, że to koniec. Prawdziwy koniec prawdziwie nieprawdopodobnej historii. Widocznie w całym tym ich związku było o dwie poranione dusze za dużo.

Oskar Korda wcisnął gaz. Wiosenny deszcz, który chwilę temu przybrał na sile, z mocą bębnił o przednie szyby alfy, a wycieraczki uporczywie pracowały. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą. Przebiegająca przez połowę Trójmiasta ulica Grunwaldzka była niemal pusta. Żółte, zielone. Detektywowi udało się dojechać do Gdańska prawie bez przestojów. W głowie miał chaos. Co on najlepszego narobił? Kiedy do tego doszło? Jak?! Jak?! Był zepsuty. Tak samo jak pan X. W zasadzie niczym się nie różnili i chyba już nic nie mogło tego zmienić. Ani Alicja. Ani Janka. Ani nikt inny. Nikt nie mógł zalepić ran, które go drażyły. Gnił od środka. Nie potrafił kochać, choć tak bardzo się starał. Choć tak bardzo wierzył, że wszystko się zmieniło.

Przemknął przez Trakt Świętego Wojciecha i wjechał do Oruni Dolnej. Sam nie wiedział, czemu przygnało go właśnie tutaj. Przecież unikał tej dzielnicy jak ognia. Przecież przez lata nie umiał postawić tu nogi. A jednak minął zabytkowy ceglany budynek kościoła świętego Jana Bosko i zatrzymał się przy zmurszałej dwupiętrowej kamienicy przy ulicy Gościnnej. Przyjrzał się jej przez firanę strącanego przez wycieraczki deszczu. W jedną, w drugą. W jedną, w drugą. Kiedyś był tu stałym gościem. To tutaj Kuc wprowadzał go w arkana detektywistycznej pracy. To tutaj odnalazł swoją drogę, zrozumiał, kim chce być w życiu. To był dla niego najpiękniejszy czas. Odciał się od toksycznych rodziców, zaczął zarabiać, niewiele, ale starczało na opłacenie skromnego mieszkania przy Głuchej. I kochał. Bardzo kochał. I był kochany. A przynajmniej chciał w to wierzyć. Na tę myśl poczuł przesuwające się po szyi włosy Mariki, a przez głowę przebiegł mu gwizd przejeżdżającego pociągu. „Pająk ci wchodzi do ucha”. Wzdrygnął się i czym prędzej wysiadł z samochodu. Przebiegł przez ulicę i przeskoczył przez potok płynący wgłębieniem w krzywym chodniku. Mokry wpadł do klatki. Ciemnej i zalatującej pleśnią.

„Chcesz się całować?” – usłyszał głos z przeszłości.

Wbiegł po schodach na piętro i zadzwonił do drzwi.

– Wiedziałem, że wrócisz – powiedział Marek Kuc, zostawiając szeroki luft.

Oskar wszedł do środka. Usiedli przy stole. Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Straciłeś ją? – zapytał w końcu prywatny detektyw.

– Skąd...?

– Skąd wiem? – Kuc westchnął. – Bo kobiety takie już są. – Wzruszył ramionami. – Odchodzą, czy je widzimy, czy nie – sarknął. – Nie nauczyłeś się jeszcze?

Ciężko wstał i podszedł do terrarium. Zdjął górną pokrywę, podsunął rękę pod masywną gałąź z jaskrawozieloną modliszką, która po chwili przeszła mu na palec. Przełożył ją do plastikowego korytka i przyglądał się przez chwilę, jak zacierając przednie kończyny, chwieje się na cienkich nogach. W przód i w tył. W przód i w tył.

– Może to i dobrze, Korda – powiedział. – Kobiety na nas nie zasługują. – Pokręcił głową i wydobyl pęsetą z niewielkiego pudełka żywą muchę. Przełożył ją do zakrętki z wodą. Próbowwała się z niej wydostać, szaleńczo machając odnóżami, ale modliszka w sekundę ją pochwyciła. Zakleszczyła w przednich odnóżach i zaczęła pożerać. Ze smakiem, pospiesznie, w kilka sekund pozbawiła ją głowy.

Korda przyglądał się temu ze wstrętem. „Pająk ci wchodzi do ucha”. Zrobiło mu się niedobrze. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Nie było tutaj żadnych śladów po zmarłej żonie Kuca. Podobnie jak Zalewski, detektyw pozbył się wszystkich zdjęć i przedmiotów, które sugerowałyby, że kiedyś mieszkała tu jakaś kobieta.

– Zastanawiałem się ostatnio nad zabójstwem Kasi – powiedział Oskar. – Minęło dwadzieścia lat, prawda?

– Mhm – mruknął Kuc, przenosząc modliszkę z powrotem do terrarium.

– Ten cały Miksa nadal siedzi?

– Wyszedł. Kilka miesięcy temu.

– O kurczę. I jak się z tym czujesz?
– Otrzymał należytą karę. Z nawiązką.
– Wybaczyłeś mu? – zdziwił się Oskar. – Wybaczyłeś, że zamordował ci żonę?

– Morderstwo morderstwem. Zdradziecka suka sobie zasłużyła. – Kuc zamknął pokrywę terrarium. – Ale tego, że ktoś obraca twoją żonę, nie da się wybaczyć – dodał i pokręcił głową. – Nigdy. Uratować może cię tylko zemsta. – Uśmiechnął się, pukając na odchodne w szybkę, za którą usadowiła się modliszka. – Naprawdę wytrawna zemsta – powtórzył i usiadł do stołu.

– Zemsta? – Korda zmrużył oczy. – O czym ty mówisz?

– A gdybym ci powiedział, że Marika... cóż, że Marika też cię zdradzała?
– Kuc stuknął paczką LM-ów o blat i wydobył jednego. – Co byś zrobił? – Skrzesał płomień, głęboko się zaciągnął i spojrzał policjantowi poważnie w oczy.

Oskar zacisnął zęby i znów usłyszał w głowie śmiech Mariki.

– Zemściłbyś się? – Kuc wypuścił kłęb dymu.

Policjant zerwał się z krzesła. Podszedł do uchylonego okna.

– A gdyby nie do końca było to samobójstwo?

– Słucham? – zirytował się Korda.

– Gdyby Marika nie była w tamtym momencie sama? Gdyby to wszystko rozegrało się inaczej, niż myślisz? – Kuc cmoknął. – Chciałbyś poznać prawdę? – Znów wypuścił dym. – Chciałbyś się zemścić?

– Marek, kurwa. – Zacisnął pięści. – Po co tak pierdolisz, co?

– Bo może coś wiem? Albo raczej się czegoś domyślam.

– Czego się domyślasz? – Policjant ściągnął brwi. A Marek milczał. – Czego się, kurwa, domyślasz?! – warknął.

Za oknem dał się słyszeć gwizd nadjeżdżającego pociągu. Ostry, przenikliwy dźwięk wypełnił pokój.

– Czego się, kurwa, domyślasz?! – powtórzył Korda.

– Niczego, Oskar. – Kuc spokojnie wypuścił z płuc nową porcję nikotyny.
– Niczego, z czym chciałbyś coś zrobić. Widzisz, ludzie dzielą się na tych, którzy upokorzeni od razu zadają rany, i na tych, którzy pozwalają sobie rany zadawać. Ty swoją szramę masz na twarzy. Dosłownie. I nigdy nic z nią nie zrobiłeś. Pozwoliłeś, żeby paliła cię każdego dnia.

Korda zacisnął pięści. Szczeka mu chodziła.

– Pierdol się, Kuc. Pierdol! – syknął i skierował się do wyjścia.

– Nic się, Korda, nie nauczyłeś przez te lata – rzucił za nim dawny przyjaciel. – Nic! Cienki Bolek nadal jesteś, nie detektyw!

6

Dlaczego wybrał właśnie ją?

Mężczyzna w czarnej kurtce poczekał, aż kobieta wsiądzie do auta i odjedzie, po czym bezszelestnie wślizgnął się na posesję, podszedł do parapetu przy drzwiach wejściowych i wydobył klucz zza doniczki.

Może dlatego, że wydawała się taka niewinna. Stała wtedy w drzwiach i nim przestąpiła próg, niepewnie się rozejrzała. Drgnęła. Dokładnie wiedział, że to był ten moment, gdy chciała się wycofać, gdy zaczęła ogarniać ją paniczna myśl: „Co ja tu robię. Po co w ogóle tu przyszłam”. Mogła wtedy jeszcze podjąć inną decyzję. Po prostu wyjść. Ale nie. Trwało to tylko sekundę. Weszła do środka. Stała się jedną z wtajemniczonych. Czekał, aż skończy się bawić i pojedzie do domu. Patrzył, jak lekko się chwiejąc, wsiada do taksówki, i ruszył za nią. Wysiadła przed dwupiętrowym wolno stojącym domem z ogrodem. Na pewno kosztował majątek. Ale mąż chciał przecież spełnić jej marzenia. Harował od rana do nocy, poświęcał dla niej wszystko – swój czas, swoją energię, całego siebie, aż sam zapomniał, kim tak naprawdę był. A tymczasem ona czuła się znudzona. Miała wszystko, a jednak chciała więcej.

Kobiety były sukami z natury. Nie potrafiły być wdzięczne przez długi czas. Pragnęły władzy i żądzy. Zdrada dawała im jedno i drugie.

Tak samo było wcześniej z Elizą Zalewską i Ewą Tokarz. One też pozornie wydawały się cnotliwe, wystraszone, jakby znalazły się tam przez przypadek. Jakby cały ten imprezowy harmider w ogóle ich nie dotyczył, jakby się nad nim unosiły. Pewnie dlatego zwrócił uwagę właśnie na nie. Zawsze wyłapywał z tłumu te pozornie zagubione, może dlatego, że i on całe życie czuł się zagubiony i co zabawne, jego też tam w ogóle nie powinno było być. A potem nagle pokazywały swoją prawdziwą twarz. Pod wpływem odpowiedniego spojrzenia, dotyku, gestu, słowa coś w nich przeskakiwało. Opadały maski i ujawniały się fałsz i zepsucie. Chuć była siłą, która obnażała prawdę o kobiecie. Tak boleśnie ją demaskowała.

Gdy tamtej nocy zobaczył Elizę Zalewską, coś w nim drgnęło. Znów poczuł się małym chłopcem pokładającym nadzieję w miłości. Stał na jej drodze, ale go nie dostrzegła. Przesunęła po nim wzrokiem, jakby był powietrzem; martwą soczewką sondującą rzeczywistość. Nie mógł udawać, że nie przypominała mu matki. W jej twarzy było coś takiego, co poruszyło go do głębi, coś, co przywołało najśłodsze i najboleśniejsze wspomnienia. Wtedy jeszcze nie wiedział, po co za nią idzie, po co śledzi taksówkę, do której wsiada, wystaje później pod jej domem, obserwuje każdy jej krok. Zrozumiał to dopiero, gdy zobaczył jej męża. A raczej to, jak Eliza na niego patrzy, kiedy ten nie widzi: ze szczerą niechęcią, repulsją rysującą się w każdym oddechu. Była wyrachowaną, fałszywą, bezwzględną suką. Najbardziej na świecie nienawidził takich właśnie kobiet. I czuł, że zasługują tylko na jedno: by zginąć w męczarniach, upokorzone do żywego.

Jak bardzo był zaskoczony, gdy się okazało, że Ewa Tokarz mieszka dosłownie dwie ulice od jego pierwszej ofiary. Że pod maską łagodnej łani, podporządkowanej zazdrosnemu mężowi, skrywa się wilczyca. Sopot był jednak prawdziwą wylęgarnią suk. Ewka nie miała stałego kochanka. Nie

chodziło jej o miłość. Lubiła kutasy. Wszelkiego rodzaju i wszelkiej maści. Ujeżdżała je niczym wytrawna amazonka, brała w gardło tak głęboko, że w jej oczach pojawiały się łzy. Kochała się nimi podduszać. Tyle się o niej dowiedział, nim roztrzaskał jej łeb młotkiem. Nim zrozumiał, że właśnie po to Bóg powołał go do życia.

Otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. Między jego nogami przeleciał kot i w ostatniej chwili wyślizgnął się na zewnątrz. Szur. Szur. Szur. Uważnie wytarł buty w wycieraczkę z ostrego włosia i zerknął na klucz w dłoni. Jeszcze nigdy z taką łatwością nie dostawał się do domu ofiary. Wcześniej musiał podwazyć zamki w oknach, ale na szczęście ojciec ślusarz przekazał mu do tego talent. Nikt nie zdołał się zorientować, że ktoś przez długie tygodnie pod ich nieobecność przechadza się po ich prywatnej przestrzeni, dotyka ich rzeczy, poznaje każdy najbardziej intymny szczegół ich życia.

Mieszkanie było czyste i schludne. Kuchnia z szerokim drewnianym blatem i szarymi frontami lśniła. Nie stały tu zbędne sprzęty, nie walały się resztki jedzenia. Przeszedł do dużego pokoju. Sofa, duży telewizor, miękki dywan, regał z książkami i komoda. A na niej ślubne zdjęcie. Mężczyzna sięgnął po ramkę i tak jak zawsze, długo przyglądał się fotografii. Uśmiechnięta para. On w granatowym garniturze, ona w białej sukni i długim welonie. Młodzi, piękni i zakochani.

Jego rodzice też mieli taką fotografię, choć wklejoną w schowany głęboko w szafie album. Często, gdy nie było ich w domu, skradał się do tej szafy i długo oglądał zdjęcie. Roześmiany ojciec i wpatrzona w niego matka. Też wydawała się taka niewinna. Taka nieśmiała i krucha.

Mężczyzna prychnął i z niesmakiem odstawił ramkę na komodę. Jako chłopiec często fantazjował, że jego mama jest właśnie taka, jak wydawała się na tym zdjęciu. Kochająca, czuła, bezpieczna. Pragnął, by popatrzyła na niego właśnie takim wzrokiem. By go objęła i zapewniła, że nigdy nie opuści, że wszystko będzie dobrze. Nie marzył nawet o tym, by

powiedziała, że go kocha, że jest z niego dumna, że go akceptuje. Wystarczyłoby mu zwykłe przytulenie. Fizyczny kontakt, którego nigdy mu nie ofiarowała. Były takie dni, kiedy marzył o tym, żeby go uderzyła, bo to by znaczyło, że zwraca na niego uwagę. Ale nie, ona nigdy nie podniosła na niego ręki. Całą agresję, którą była przesiąknięta, skupiała na ojcu, a ten się temu poddawał. Nie reagował, gdy matka go popychała, szarpała, policzkowała, kiedy sprowadzała do domu gachów, z którymi znikąca za drzwiami sypialni. Jakby był bezwolną marionetką, kukłą stworzoną do pomiatania. Dlatego gdy był już większy, nie fantazjował, że matka go przytula. Wyobrażał sobie, że ojciec bierze swój ślusarski młotek i rozbija matce łeb.

Rozejrzał się wokół. Za tarasowym oknem rozciągała się ściana lasu. Nie było ogrodzenia, każdy mógł wejść na posesję przez niezamykaną furtkę. Tak jak on udający kuriera. Może i było to zbyt brawurowe, ale nie mógł się wtedy powstrzymać. Ciekawe, jaką minę miała Klara, gdy odpakowała przesyłkę i zobaczyła, że nic w niej nie ma. Że jest pusta tak samo jak ona. Czy pomyślała, że to pomyłka? Uśmiechnął się pod nosem i przeniósł wzrok na podłogę. Oszacował odległość między sofą a telewizorem. Przesunął stojący między nimi podnózek w złotej metalowej otoczce. Przechylił głowę w bok i zmrużył oczy. Jego spojrzenie powędrowało na schody. Od razu usłyszał huk ciągniętego po stopniach ciała.

Bam. Bam. Bam. Bam. Bam.

Krucze kości uderzają o drewniane stopnie.

Kobieta ląduje w końcu na parterze. Przez knebel wciśnięty do ust przedostaje się płaczliwy jęk. Jej oczy patrzą na niego błagalnie, ale on nie zwraca na to uwagi. Zbyt dobrze wie, że to wszystko gra. Że jeśli tylko na chwilę odpuści, ona zaatakuje i spróbuje go zranić. Ciągnie ją za skrepowane taśmą nogi przez pokój i po chwili ciska nimi o parkiet. W jego głowie pobrzmiwają rzucane tak często przez matkę do ojca słowa:

„Jesteś nikim”.

„Ty śmieciu”.

„Nic nie znaczysz”.

„Nieudacznik”.

„Impotent”.

„Beze mnie zginiesz”.

Podciąga kobiecie koszulkę i pokazuje jej, kto tu rządzi. Pokazuje, kto ma kontrolę, kto tu jest śmieciem. A potem sięga po młotek. Ten sam, którym ojciec powinien był rozbić łeb matce. I uderza. Uderza w matkę i wszystkie plugawe kobiety żyjące na tym parszywym świecie.

Mężczyzna zadrżał i poczuł nagły przypływ energii. Ponownie zatrzymał wzrok na ślubnej fotografii, a roześmiana twarz kobiety wykrzywiła się bólem. „Niebawem dostanie dokładnie to, na co zasługuje” – uśmiechnął się w duchu i wspiął się po schodach.

Tup. Tup. Tup. Tup.

Jego buty ciężko tupały o dębowe stopnie.

„Jesteś nikiem”.

„Ty śmieciu”.

„Nic nie znaczysz”.

„Beze mnie zginiesz”.

Powtarzał w głowie, odtwarzając uderzenie młotka o twardą ludzką czaszkę.

Uważnie rozglądał się wokół, patrzył pod nogi, badał każde załamanie w podłodze. Musiał poznać ten dom dogłębnie.

Niebawem będzie się w nim poruszał w ciemności. Zwinnie i bezszelestnie jak mieszkający w nim kot.

Janina Hinc ponownie zerknęła na wyświetlacz telefonu. Czuła niepokój i jednocześnie podekscytowanie. Jakby jej tu nie było. Jakby unosiła się nad

tym wszystkim.

– Spieszysz się gdzieś? – zapytał Michał.

Kim był ten siedzący naprzeciw niej typ? Niepotrzebnie zgodziła się na to spotkanie. Organizowane przez znajomych randki jeszcze nigdy nie skończyły się szczęśliwie.

– Nie – zaprzeczyła.

Rozejrzała się po mieszczącym się na gdańskim Garnizonie lokalu. Przy stoliku obok siedziała grupka znajomych, głośno rozmawiali, śmiali się. W głębi nad talerzami pochylała się jakaś para. Jedli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Zatrzymała wzrok na łańcuchu lampek nad oknem. Rzuciły miłe, ciepłe, bezpieczne światło. Ale ona nie czuła się miło, ciepło i bezpiecznie. Czuła w sobie drzenie, którego nie mogła zatrzymać. Drzenie, które sięgało aż do kości, do łona, głęboko w nią. Była podniecona. Od tamtego wieczoru, w którym Korda ją pieścił, cały czas, permanentnie, nieustannie czuła się podniecona. Była nabrzmiała i pobudzona. Ledwo łapała powietrze.

Ich splecione języki, zagryzające się usta, kierujące się instynktem ciała. Te obrazy ciągle do niej wracały, wyświetlały się w najmniej oczekiwanych momentach, rozgrywały się wciąż od początku.

Jego palce. Dotkliwie wdzierające się do jej ust, wędrujące po wewnętrznej stronie policzka, ciągnące czerwien wargową, moczące jej skórę jej własną śliną.

Rozkosz i ból.

Podobało jej się. Podobało.

Nie wiedziała, że to lubi.

Nie wiedziała, że będzie czegoś takiego pragnąć.

Znów zerknęła na telefon. Duszką opróżniła resztkę wina w kieliszku i impulsywnie go odblokowała. Wpisała wiadomość:

„Jesteś u siebie?”.

„Tak” – przyszła odpowiedź.

– Wszystko w porządku? – Michał ściągnął brwi.

– Tak. To znaczy nie. Przepraszam, ale muszę iść. – Janina zerwała się z krzesła. – Przepraszam – rzuciła jeszcze, po czym opuściła restaurację.

Wsiadła do pierwszej taksówki stojącej na podjeździe. Serce jej waliło.

„Co ja robię? Co ja robię?” – desperacko powtarzała w głowie.

Ostatkiem sił starała się powstrzymać, ale tak naprawdę nie chciała, by cokolwiek ją powstrzymało. Dobrze wiedziała, że tego rodzaju pragnienie samo nie przejdzie. Niezrealizowane, będzie ją prześladować do końca życia.

Taksówka podjechała pod blok przy Tatrzańskiej. Kierowca stanął dokładnie w tym samym miejscu, w którym ostatnio zaparkowała i ona, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Korda pocałował ją w policzek. Trzasnęła drzwiami i weszła na klatkę. Wsiadła do windy oświetlonej mętną sufitową żarówką i spojrzała na swoje odbicie w starym, zmurszałym lustrze. Zaróżowione policzki, błyszczące oczy, otwarte usta, po których raz po raz prześlizgiwało się padające z kolejnych pięter jasne światło. Jakby cierpiała na jakąś chorobę, jakby coś zjadało ją od środka.

W końcu przeciągle i natarczywie nacisnęła dzwonek. Korda otworzył i cofnął się do środka. Weszła, cicho przymykając drzwi, spuściła wzrok. Miał bosa stopy. Powoli podnosiła głowę: džinsy... czarny T-shirt... rozwichrzone włosy.

Jego oczy i jej oczy. Spojrzenia zapadające się w siebie, grzęznące. Jego oddech i jej oddech. Przyspieszone, nierówne wdechy i wydechy, unoszące się i opadające klatki piersiowe.

Zrzuciła na podłogę torebkę i płaszcz. Zrobiła krok w jego stronę.

Jego skóra przy jej skórze. Bijące w tym samym rytmie mięśnie sercowe.

– Zepsułeś mnie, Korda – szepnęła. – Zepsułeś.

Poczuła jego zapach. Tę jedyną w swoim rodzaju kombinację korzennych perfum, tytoniu i feromonów. Zaciągnęła się nią niczym

kokainą i sięgnęła do ust mężczyzny. Chciwie, zachłannie, bezkompromisowo.

Jego język i jej język. Sunące po sobie węże; giętkie, gładkie, mokre.

Bez wysiłku posadził ją sobie na biodrach i przeniósł na łóżko.

Oddała się jego dotykowi. Mocnemu, pewnemu, elektrycznemu. Gdy w nią wszedł, chwyciła jego rękę i przeniosła na swoją szyję. Zacisnęła palce. Silnie, boleśnie. Poczowała, że się dusi.

Nie wiedziała, że to lubi.

Nie wiedziała, że będzie czegoś takiego pragnąć...

– Wszystko w porządku? Janka? – Usłyszała głos Michała. – Chyba jakoś konkretnie się zamyśliłaś. – Zaśmiał się.

Ekolożka zdała sobie naraz sprawę, że trzyma w dłoni telefon. Powiodła wzrokiem po restauracyjnej sali. Ciepłe światelka rozwieszzonego na oknie łańcucha nie dawały jej ukojenia.

Podniosła kieliszek i wychyliła go do dna.

– Przepraszam, ale muszę iść. – Zerwała się z krzesła. – Przepraszam.

Po chwili siedziała w taksówce. Serce jej waliło. Czuła, że alkohol niespokojnie krąży jej w żyłach. Zatrzymali się pod blokiem. Janka uchyliła drzwi do klatki, wspięła się po schodach, wyciągnęła klucz.

Gdy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęła. Znów była sobą. Nie napędzanym fenyloetyloaminą zwierzęciem. „A jednak daje się kontrolować zalew hormonów” – pomyślała z przekąsem.

– Gdy dręczy nas pragnienie, najlepiej napić się wina – mruknęła, ściągając buty na obcasie. – Albo zająć się pracą.

Poczowała napływającą motywację. Przebrała się w szary dres, spięła włosy i puściła muzykę. *Diamenty żyją wiecznie. Dotknij go i pogłaszcz czule. On tak kocha się przytulać. Nie ukrywa niczego, nie pyta dlaczego, nie rani* – rozbrzmiał wokół Agnieszki Rassalskiej. To Korda zaraził ją sympatią do trójmiejskiego zespołu Dance Like Dynamite, ale Hinc o to nie dbała. Podobał jej się ten utwór. Idealnie odpowiadał jej życiowemu motto.

Włożyła rękawiczki i sięgnęła po wcześniej zabezpieczoną fotografię. Eliza Zalewska i Rafał Bystron zamknięci w samochodzie. Wtuleni w swoje usta, z zamkniętymi oczami, z twarzami zamglonymi błogim pożądaniem. Czy właśnie tak to wyglądało, gdy całowała się z Kordą? Czy z nich również emanowało to zakazane podniecenie? Czy przednia szyba jej auta też była zaparowana od ich gorących oddechów, od westchnień, dotyków, muśnięć, ruchów frykcyjnych? Janka przymknęła oczy. Nie chciała dłużej o tym myśleć! Nie chciała, nie mogła! Zacisnęła powieki, by wymazać obrazy.

Nie chcę miłości, bo po co mi miłość. Diamenty nie kłamią, gdy przeminie noc. One wciąż lśnią – śpiewała Rassa, jak niegdyś Shirley Bassey w filmie *Diamenty są wieczne*. Tak, Janka nie potrzebowała miłości. Była jak James Bond. Całkowicie samowystarczalna.

Zmrużyła oczy i przyjrzała się maluteńkiemu żółto-zielonemu szczątkowi przyklejonemu do lakieru pokrywającego fotografię. Sprawnie wydrapała go szczypczykami i przeniosła na szkiełko mikroskopu. Schyliła głowę i przez szkło powiększające przyjrzała się jego strukturze. Wyprostowała się zaskoczona. Znów nachyliła się do mikroskopu.

– Diamenty nie kłamią – szepnęła z niedowierzaniem.

Wzięła do ręki fotografię, znów zmierzyła wzrokiem parę całującą się za zaparowaną szybą samochodu, podniosła zdjęcie do nosa i zaciągnęła się ledwo wyczuwalnym słodkim zapachem.

8

– Janka! – Zaskoczony Korda wstał od biurka. – Jak dobrze, że...

– Mam nowy trop – przerwała mu Hinc formalnym głosem.

– Trop? – zdziwił się detektyw. Oparł się tyłem o blat. Założył ręce na brzuchu. – Słucham. – Jego twarz stężała. On też przestawił się na formalny ton.

– Na fotografii, którą ostatnio od ciebie zabrałam, znalazłam pyłek dziurawca. Suszonego dziurawca.

– Znalazłaś pyłek dziurawca na fotografii – powtórzył policjant. – Na której fotografii?

– Na fotografii Elizy Zalewskiej z kochankiem. Na tej, na której siedzą w samochodzie i się całują – odparła Janka, zamykając za sobą drzwi policyjnego gabinetu.

Korda odchylił głowę do tyłu. Przetrawiał informacje.

– Skąd masz to zdjęcie? – dopytała Janka.

– Marek Kuc mi je dał. Zrobił je Elizie Zalewskiej na polecenie jej męża.

– Hmm. – Ekolożka starała się skupić myśli. – A jest możliwość, że to zdjęcie miało jakąś styczność z resztą dowodów? Z kocem, bielizną, ubraniami ofiar Młotkarza?

– Zastanawiasz się, czy mógł nastąpić transfer wtórny? Nie sądzę – przyznał Korda.

– No wiesz, przeniesienie śladu z jednego miejsca na drugie przez wektor niezwiązany z przestępstwem zdarza się częściej, niż się przypuszcza. Ale to oczywiście zależy od wielu czynników, od rodzaju przedmiotu, jego właściwości fizycznych i chemicznych, wilgotności materiału, tarcia dwóch powierzchni, no i ładunku elektrycznego.

– Rozumiem, Janka. Nie ma takiej opcji, żeby te fotografie zetknęły się z dowodami w sprawie. Ale leżały obok zdjęć od fotografa imprez Lust Supper Wojtka Kulczyka. – Korda się wyprostował.

– Sprawdziłam kilka z tych zdjęć. Są czyste, Korda.

– Czyli co? – Policjant prychnął. – Marek Kuc?

– Nie wiem, Oskar. – Janka wzruszyła ramionami. – Ale może... – Niepewnie zawiesiła głos. – Może ze względów osobistych nie chcesz czegoś zobaczyć.

Oskar przeniósł wzrok na tablicę korkową. Trzy roztrzaskane głowy. Dwie zdradzające kobiety. „One już takie są. Odchodzą. Zupełnie na nas

nie zasługują” – przypomniał sobie słowa Kuca. Drgająca mucha zniknęła w otworze gębowym trzymającej ją w odnóżach modliszki.

„Widzisz, ludzie dzielą się na tych, którzy upokorzeni od razu zadają rany, i na tych, którzy pozwalają sobie te rany zadawać. Ty swoją szramę masz na twarzy. Dosłownie. I nigdy z nią nic nie zrobiłeś. Pozwoliłeś, żeby cię paliła każdego dnia”.

Odruchowo przejechał palcem po bliźnie na policzku.

– Kurwa – szepnął jakby do siebie.

Marika trzasnęła drzwiami i zaczęła biec. Bum. Bum. Bum. Bum. Bum. Jej ciężkie kroki rozbrzmiewały na brudnej klatce schodowej. Zachwiała się na zakręcie, zarzuciło ją na ścianę, ale szybko się od niej oderwała i popędziła dalej. Bum. Bum. Bum. Wypadła na ulicę. Słoneczne światło było tak jasne, że aż zmrużyła oczy.

Co ona najlepszego zrobiła? W dłoni wciąż czuła trzymany przed chwilą nóż. Ostry nóż kuchenny, którym wdarła się w policzek Oskara. Przypomniała sobie jego spojrzenie. Pełne zaskoczenia, nawet nie bólu. Zawiodła go. Tak bardzo go zawiodła. Zaczęła płakać. Znowu zerwała się do biegu. Świat wokół wirował. Wirowało piekące słońce, zdezelowane kamienice, popękany chodnik, wysoki śpiew ptaków, który przyprawiał ją o mdłości. Rzeczywistość rozpadała się na kawałki, tak jakby powstała w niej głęboka wyrwa; szrama, która przekreślała wszystko, co kiedykolwiek było dobre i jasne.

Nie wybaczy jej tego. Nigdy jej nie wybaczy. Już zawsze ta rana będzie mu przypominała o tym, co zrobiła. Nie da się jej usunąć, wymazać. Będzie jak trawiący ogień, wyżerający wszystko, co kiedykolwiek zbudowali. Zacisnęła dłonie, przecięła ulicę i skręciła w stronę ulicy Przy Torze. Od wysiłku zaczęło robić jej się niedobrze. Zaschło jej w gardle, w boku poczuła nieprzyjemne klucie. Przystanęła, schyliła się i wsadziła głowę między nogi. Gdyby się napiła, od razu zrobiłoby się jej lepiej. Alkohol był dla niej lekarstwem na smutki. A Oskar tego nie rozumiał. Zawsze chciał ją zmienić. Patrzył na nią z pogardą, tak samo jak wszyscy. „A niech idzie do diabła” – przemknęło jej przez głowę. I dobrze, że go

zraniła. Ta rana całe życie będzie mu przypominać, jak bardzo ją skrzywdził. Będzie miał wyrzuty sumienia po grób!

Hardo się podniosła. Znów zarzuciło ją na bok.

– Uważaj, mała. – Ktoś złapał ją za łokieć.

Marika uniosła wzrok i zmrużyła oczy, starając się dojrzeć twarz stojącego pod słońce mężczyzny. Z niechęcią wyrwała rękę. Znów lekko się zatoczyła. Na lewo. Na prawo. Na lewo. Na prawo. Świat wirował.

– No co ty? – obruszył się facet.

– Daj mi spokój! – wykrzyknęła.

Była zupełnie oszołomiona.

– Nigdy, skarbie – powiedział głos. Miętko. Miło. – No chodź, pójdziemy do mnie. Napijemy się, pogadamy.

Marika się zawahała.

– Nie chcę – odparła po chwili.

– Zawsze chcesz. – Mężczyzna się zaśmiał.

– Ale nie dziś! – warknęła dziewczyna i szybkim krokiem zaczęła iść ulicą wzdłuż torów kolejowych.

Na lewo. Na prawo. Świat kołował. Tak samo jak jej myśli.

„O Boże. Oskar – przypomniała sobie. – Pocięłam go nożem. Nigdy mi tego nie wybaczy. Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?”

– Marika! – Natręt znalazł się obok niej i mocno złapał ją za rękę.

– Wypierdalaj! – wrzasnęła i niecierpliwie wyrwała mu dłoń.

– Wypierdalaj? – zdenerwował się. – Jak chcesz się nachlać, to łazisz za mną jak suka, a teraz to wypierdalaj?! Chyba coś ci się pomyliło!

– Zostaw! – krzyknęła znowu i nieporadnie zaczęła się wyrывać.

Trzymał ją jednak mocno. Zacisnął palce na jej skórze, a Marika zaczęła uderzać go w rękę. Raz i drugi, a on zaczął się śmiać. W końcu ją puścił. Zatoczyła się do tyłu. Upadła na ziemię i się rozplakała.

– Oj, moja maleńka. – Mężczyzna przekrzywił głowę. – Taka żałosna. Tak bardzo żałosna. – Skrzywił się.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Zaparła się ręką o ziemię i z wysiłkiem wstała.

– Już mnie nie kochasz? Nie kochasz mnie? – Mężczyzna nie odpuszczał.
– A jeszcze niedawno mówiłaś, że jestem jedyny.

Broda Mariki znowu zaczęła drżeć. Po jej policzku spłynęły łzy.

– Jesteś żałosna – powtórzył ze złością. – Kochasz tylko siebie. Tylko siebie! – huknął, a przestraszona Marika zerwała się do biegu.

Wpadła na tory. Kamyki chrzęściły pod jej nogami. Chrzęst. Chrzęst. Poślizgnęła się, ale udało jej się przeskoczyć szyny. Odwróciła głowę do tyłu. Mężczyzna biegł za nią.

– Wypierdalaj! – krzyknęła hardo, ale wypełniał ją lęk.

– Biegnij, suko. Biegnij! I tak nie uciekniesz! – wołał za nią.

Chrzęst. Chrzęst.

Znów zrobiło się jej niedobrze. Nie miała już siły. Kłucie w podbrzuszu było zbyt silne. Zatrzymała się. Wzbierał w niej gniew. Kurwa, przecież nie będzie w nieskończoność uciekać. Przed nikim. Jest, jaka jest. Trudno, nie zamierzała za to przeproszać.

Odwróciła się. Chrzęęęest. Zachrzęściły kamyczki pod jej nogami. Słońce świeciło teraz pod kątem. W jego promieniach mieniły się włosy mężczyzny. On też przystanął. Patrzyli sobie prosto w oczy, aż zrobił kilka spokojnych kroków w jej stronę i raptownie wziął ją w ramiona. Poczowała jego usta na szyi, na płątku ucha. Jego rzesy przesunęły się po jej małżowinie. W jedną i w drugą. W jedną i w drugą.

– Pająk ci wchodzi do ucha – powiedział zwyczajowo.

Marika poczuła przemożny wstręt. Do tego mężczyzny, któremu od dawna pozwalała się dotykać, do swojego brudnego, pełnego kłamstw życia, do całej siebie – do tego, kim była, kim się stawała, kim nie potrafiła być.

Marika zrobiła krok w tył. Tuż obok rozbrzmiał gwizd pociągu. Dziewczyna wciąż patrzyła na mężczyznę, lecz w alkoholowym amoku jego

rysy zaczęły się rozjeżdżać, zupełnie rozplywać. Przed oczami stanęła jej twarz Oskara. Piękna, kochana, taka dobra, naznaczona raną, z której spływała krew.

Jeszcze jeden krok w tył.

Gwizd pociągu był coraz bliżej.

Krok w tył.

– Marika? – Stojący przed nią mężczyzna z niepokojem wyciągnął do niej rękę.

Kap. Kap. Z jego policzka skapywała krew.

Krok w tył.

Uderzenie.

I przemożny gwizd, unoszący się w powietrze, na zawsze przecinający rzeczywistość na pół.

– Jesteśmy pod salą rozpraw w Sądzie Okręgowym w Gdańsku. – Alicja Grabska w ciemnym dwuczęściowym garniturze i wystającej spod marynarki śnieżnobiałej koszuli trzymała w dłoni mikrofon z logo „Dziennika Trójmiejskiego”. – To właśnie dzisiaj rozpoczął się proces w głośnej sprawie Młotkarza z Kamiennego Potoku, który w bestialski sposób w marcu i maju zeszłego roku zamordował we własnych domach trzy niewinne osoby i planował zabójstwo kolejnej upatrzonej ofiary. Oskarżonym jest Marek K., prywatny detektyw z Gdańska, przez lata prowadzący sprawy związane między innymi ze zradami małżeńskimi – podkreśliła dziennikarka, patrząc prosto w kamerę. – I to właśnie zdrada uznana została przez prokuratora za motyw popełnionych zbrodni. Przypomnijmy również, że żona Marka K. została zamordowana w roku dwutysięcznym na plaży na gdańskich Stogach. Wówczas na dwadzieścia pięć lat więzienia został skazany kochanek Katarzyny K. Robert Miksa. Jednak w świetle dzisiejszych ustaleń wyrok w tej sprawie zaczął być ponownie podważany przez jego adwokata, który odwołując się do kazusu niesłusznie skazanego Tomasza Komendy, będzie wnosił o wznowienie postępowania na podstawie nowych dowodów. Co ważne, sprawa Młotkarza z Sopotu budzi szczególne poruszenie, bo zebrane dowody nie są jednoznaczne, a obrońca stara się wykazać, że pozyskane na gruncie palinologii kryminalistycznej, czyli nieznannej dotychczas w Polsce dziedziny biologii kryminalistycznej zajmującej się analizą morfologiczną śladów przyrodniczych, nie są wiarygodne.

W tym momencie drzwi sali sądowej się otworzyły i na korytarz zaczęli wychodzić uczestnicy postępowania. Po chwili wyłonił się adwokat Marka

Kuca wraz z prowadzonym przez czterech funkcjonariuszy oskarżonym. Alicja Grabska czym prędzej znalazła się przy nich, przepychając się wśród innych dziennikarzy.

– Czy w świetle postawionych zarzutów podtrzymuje pan stanowisko o niewinności pana klienta? – zapytała, podstawiając mikrofon pod usta adwokata Tomasza Linkiewicza.

– Oczywiście. Mój klient nie przyznaje się do winy. Prokuratura dysponuje samymi poszlakami, które nie mają wartości procesowej. No proszę państwa, kałuża, pyłek dziurawca i mucha. – Obrońca się zaśmiał. – Nie bądźmy dziećmi! To nie jest zabawa w sąd – prychnął Linkiewicz.

– W Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii czy w USA botanika sądowa niejednokrotnie doprowadziła do skazania sprawców – zauważyła Grabska. – Nie obawia się pan mecenas tego, że choć jej metody są w dużym stopniu niedoceniane i rzadko stosowane, to jednak w tej sprawie przekonają sąd?

– Nawet jeśli pójdziemy tym tropem – odrzekł adwokat pewnym siebie głosem – to znaleziona przy zwłokach Elizy Z. mucha *Lucilia sericata* nie odpowiada muchom, którymi karmił swojego tropikalnego owada mój klient. Mamy paragony, które potwierdzają zakup plujek pospolitych w tym celu. Nie much zielonych, a much połyskujących na niebiesko. – Ostentacyjnie rozłożył ręce. – Do tego prokuratura nie znalazła u mojego klienta narzędzia zbrodni ani nawet butów, które pasowałyby do śladów traseologicznych. Tak naprawdę nie ma żadnych podstaw, by w ogóle przetrzymywać Marka K. w areszcie.

– A co ze sprawą zabójstwa Katarzyny K. w dwutysięcznym roku? Czy faktycznie zostanie ona wznowiona? Co na to pana klient? – zapytał inny dziennikarz.

– Będziemy się tym martwić w swoim czasie. Na razie Robertem Miksą wydaje się kierować chęć przyciągnięcia do siebie medialnego zainteresowania. Zapewne kochanek zmarłej żony mojego klienta chciałby zostać bohaterem filmu fabularnego, system sprawiedliwości nie myli się

jednak aż tak często, zapewniam. – Mecenas Tomasz Linkiewicz uklonił się do kamery.

– Psychologowie wypowiadający się w tej sprawie – podjęła Grabska – wskazują na możliwość wystąpienia u oskarżonego syndromu Otella. Patologiczna zazdrość o partnerkę już nieraz doprowadzała mężczyzn do morderstwa.

– Dementuję, by mój klient kiedykolwiek cierpiał na syndrom Otella. Po prostu był zdradzonym mężem, jak zresztą miliony innych w naszym kraju. Czy pani redaktor się orientuje, że aż dwie na pięć kobiet w stałych związkach twierdzi, że życie jest zbyt krótkie, aby spędzić je u boku jednego mężczyzny? – prychnął Linkiewicz. – Ale to jeszcze nie powód, by je zabijać. Inaczej w naszym kraju niemal połowa mężatek skończyłaby z roztrzaskaną głową. – Adwokat zamilkł i poczerwieniał. Musiał zdać sobie sprawę z tego, że przesadził. Zignorował lawinę pytań, która posypała się na niego ze strony otaczających go dziennikarzy. – W tej chwili nie mamy nic do dodania. – Czym prędzej uciał wywiad i zaczął się przeciskać korytarzem.

Policjanci pociągnęli za nim skutego Marka Kuca, który wydawał się zupełnie nieobecny. W ostatniej chwili przeniósł jednak wzrok na Grabską. Musiał ją rozpoznać, bo jego twarz drgnęła.

– Zdrady się nie wybacza, pani Alicjo – szepnął, przechodząc obok.

Dziennikarka wstrzymała powietrze. Nie była pewna, czy słowa faktycznie padły, czy tylko je sobie wymyśliła. Plecy Marka Kuca powoli znikwały w tłumie. Odwróciła się, a jej spojrzenie natknęło się na ciemne oczy wychodzącego z sali rozpraw detektywa Oskara Korde. Na jego twarzy pojawił się znany jej grymas.

Uśmiech nie uśmiech.

Grabska szybko spuściła głowę.

Nie potrafiła mu wybaczyć.

Ciężkie krople sierpniowego deszczu bębniły o materiał czarnego parasola. Nie wiedział, czemu akurat dzisiaj tu przyjechał. W środę rano, w ulewie, po tylu latach. Nagrobek z szarego marmuru był smutny. Na płycie leżały wypłowiałe sztuczne białe róże. W kilku zniczach stały dawno zużyte świece. Oskar Korda odważył się w końcu spojrzeć na zdjęcie. Kolory na porcelanie dawno wyblakły, a przez środek fotografii przebiegała rysa, ale i tak ciałem detektywa wstrząsnął spazm. Marika. O ciemnych kręconych włosach i radosnym spojrzeniu kryjącym w sobie głęboki smutek. Tak bardzo się starał, by ten jej smutek zniknął. Tak bardzo się starał wygładzić jego ostre krawędzie. Ale zawiódł. Nie dostrzegął, jak bardzo cierpi. Pozwalał jej topić to cierpienie w alkoholu, bo myślał, że właśnie tego potrzebuje. Ale ona potrzebowała czegoś innego. Czegoś zupełnie innego...

Spojrzał na wygrawerowany pod zdjęciem napis: „Pamięć nie umiera”. Słabo się uśmiechnął. Ciekawe, kto wybrał tę sentencję. Bo raczej nie wiecznie pijany ojciec Mariki, który pamiętał tylko o tym, gdzie chował kolejne flaszki. A może zwyczajnie tak zdecydował kamieniarz? Nie sądził, by ktokolwiek go o to pytał. Wszystko z tamtego okresu mu się zacierało. Zostały w nim tylko ostry gwizd pociągu, chrzęst kamyków pod nogami i czerwień materiału koszulki Ramones powiewającego na wietrze. A potem pustka i czerń. I ból przenikający do mięśni i kości, do mózgu.

Pamięć nie umiera. Ktokolwiek wybrał to zdanie, miał rację. Marika nigdy nie zniknęła. Czuł ją każdego dnia. W sobie, obok siebie, wszędzie. Jej śmiech, jej szept, jej roziskrzane oczy, jej wyginające się pod jego dotykiem ciało, jej włosy przesuwające się po jego twarzy i szyi.

Pająk ci wchodzi do ucha.

Jest tyle słów, a ona wybrała właśnie te.

Oskar odetchnął ciężko i położył na grobie trzymany w dłoni bukiet różowych lilii. Nie wiedział, jakie kwiaty lubiła Marika. Nigdy ich jej nie

dał. Biorąc ją za żonę, obiecał, że w ich domu nigdy nie zabraknie miłości, alkoholu i muzyki. I tej obietnicy dotrzymał.

Deszcz nieprzerwanie bębnił o parasol, gdy wśród wiązów, kasztanowców i jesionów zmierzał wąską aleją cmentarza świętego Ignacego ku wyjściu. Jego buty wbijały się w grząską ziemię.

– Nie myślałam, że kiedyś cię tutaj zobaczę. – Usłyszał nagle głos Elżbiety Kordy.

Spojrzał w górę. Matka stała metr od niego, skąpana w czerwonej poświecie trzymanej nad głową parasolki.

– Byłeś u niej. W końcu. – Pokiwała z niedowierzaniem głową.

– Lepiej późno niż za późno – odparł Oskar.

Czuł się taki zmęczony. Jakby wizyta w tym miejscu wyssała z niego resztki jakiegokolwiek energii.

„O jednego pieprzonego ducha za dużo” – przez głowę znów przemknęła mu myśl.

– Nie rób takiej miny. Przecież ja rozumiem. – Elżbieta Korda westchnęła. – Ja też pewnie bym nie chciała odwiedzać żony, która przyprawiała mi rogi. – Powiodła wzrokiem po szarym, rozplywającym się w deszczu cmentarzu. – No ale jednak trzeba odwiedzać. Nie wypada inaczej.

– O czym ty mówisz? – Oskar zapytał twardym głosem.

Matka ściągnęła brwi.

– Jak to?

– O czym, do cholery, mówisz?! – Detektyw podniósł głos.

– Przecież każdy wiedział, że Marika chodzi do tego fotografa. Ty od rana pracowałeś, a ona rozkładała nogi przed innym. – Elżbieta Korda zmarszczyła brwi.

– Jakiego znowu fotografa? – warknął Oskar.

– No Karola Saskiego.

– Nie wierzę ci. – Korda nienawistnie zmrużył oczy.

– Sama widziałam – sarknęła rozdrażniona kobieta. – Zresztą wszyscy o tym gadali.

Bum. Bum. Bum. Deszcz bębnił o nagrobne płyty. Spadające krople rozpluskiwały się o marmury, piaskowce i granity. Rzeźbione anioły wpatrywały się smutno w przestrzeń niewidzącymi oczami.

„Pająk ci wchodzi do ucha” – szepnęła Marika, odwróciła głowę w stronę Oskara i zaczęła się histerycznie śmiać.

3

Jesteśmy sami. Zupełnie sami. Zdradzone żony, mężowie, dzieci. Zdradzone wszystkie ideały. Białe jest czarne. Czarne jest białe. Pionowo, równo, sztywno, bez łez, en face i profil, baczność i spoczniij. Wszystko dokładnie już ułożone, dłonie przy udach, przy udach dłonie. Zdrada, zdrada, zdrada. Podstępne, zimne oczy gada – piosenka trójmiejskiego zespołu Dance Like Dynamite rozbrzmiewała w Radiu Gdańsk. Klara Lubańska mknęła przez Grunwaldzką w stronę Sopotu. Uchyliła okno, przez które do auta dostało się świeże, jeszcze wilgotne od czerwcowego deszczu powietrze. Czuła spokój. Pomimo tego, że proces w sprawie Młotkarza dopiero się zaczynał. Że będzie wzywana na świadka, że będzie musiała stanąć twarzą w twarz z potworem, który jakby nigdy nic przechadzał się po jej domu, przeglądał jej rzeczy, zastraszał telefonami; który zamierzał pozbawić ją życia. Ją i jej męża, niewinnego zdrajcę żony. Zdrad, których bardzo się wstydziła. Po roku od tej całej historii nie rozumiała, co nią wtedy kierowało. Nie potrafiła przywołać tych emocji. Nie wiedziała, czego tak naprawdę jej brakowało. W końcu miała wszystko: piękny dom, kochającego mężczyznę, dobrą pracę, stabilną sytuację życiową. Czy można chcieć więcej? Czy naprawdę do szczęścia potrzeba ciągłych podnieć, duszących pragnień, obsesyjnych myśli, tej stałej oblepiającej mokrości? Przecież seks dwa razy w miesiącu najzupełniej powinien wystarczać. Nie było większej wartości

od stabilizacji. Teraz to rozumiała. Ceniła życie takim, jakim było. Takim, jakim je miała. I była wdzięczna losowi, że Przemek potrafił jej wybaczyć. Że wzniosł się ponad zazdrość, upokorzenie, nienawiść, którą miał przecież prawo do niej czuć. Okazał się istnym aniołem. Wspierającym, rozumiejącym, łagodnym, pokornym. I Klara zamierzała całe życie robić wszystko, by znów zasłużyć na jego miłość.

Jeszcze niedawno myślała, że małżeństwo to śliska sprawa. Zabiera powietrze, wysysa, zostawia zupełnie pustym. Ale tak naprawdę małżeństwo było gładkie. Wyrównywało wszelkie szramy, które wychylały się nieopatrznie na powierzchnię. Łagodziło, koїło, dawało spokój i odpoczynek. Wszelkie większe emocje były w życiu zbędne, bo wprowadzały niepotrzebny chaos. Po co komuś pożądanie? Po co ta niekontrolowana, niepoohamowana siła prowadząca nas w przepaść?

Nie wiem już nawet, kto kogo zdradza. Czy zdradzam ją, czy ktoś mnie zdradza. Niepewność straszna zatruwa mi życie, byle nie widzieć, byle nie słyszeć – z głośnika niósł się głos Krzysztofa „Sado” Sadowskiego. Klara Lubańska skrzywiła się i przełączyła stację radiową. Nie chciała już myśleć o zdradach. Nie chciała pamiętać, że kiedyś taka była. Przemknęła przez Sopot i przystanęła pod domem w Kamiennym Potoku. Z kieszeni marynarki wyciągnęła klucz. Już nigdy nie zostawiała go pod doniczką. Była roztropna i praworzędna, skoncentrowana i wydrażona z pragnień.

Kto powiedział, że wewnętrzna atrofia jest czymś złym? Nieczucie było cnotą, dzięki której można było żyć dłużej.

Klara Lubańska przeszła ścieżką ku prowadzącym do domu drzwiom. Wpuściła do środka błakającego się po ogrodzie kota. Nie zwróciła uwagi na błotnisty ślad męskiego buta na wycieracze. W końcu teraz nie miała się już czego obawiać.

Chodnik przed zakładem fotografii Saski tonął w deszczu. Pomędzy nierównymi płytami stały rozległe kałuże, ale Korda o to nie dbał. Zdecydowanym krokiem wszedł w jedną z nich. Unoszące się na powierzchni żywo zielone liście lipy w kształcie serc zakołowały. Zadźwięczał dzwoneczek nad wejściem. W środku było ciemno i ponuro. Na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia anonimowych postaci – uśmiechniętych, smutnych, poważnych, zawstydzonych. Każda z tych osób miała swoją historię, każda kogoś kochała lub kogoś straciła. Każda miała swoją historię. Ale ta myśl Oskara nie pocieszała. Nigdy by nie pomyślał, że Marika ponownie go zrani. Że znów zaśmieje mu się w twarz, że z niego zadrwi, dotknie do żywego. Nie sądził, że to możliwe. Nie przypuszczał, że zza grobu zdoła znów przejechać po jego policzku nożem.

Zza drzwi wyłonił się mężczyzna.

– Przepraszam, strasznie tu ciemno – powiedział i sięgnął do pstryczka.

Pomieszczenie zalało jasne światło, które zmusiło Oskara do przymknięcia na chwilę piekących powiek. Czuł się tak cholernie zmęczony. Fotograf stał teraz pod ścianą. Niepewnie podrapał się w głowę. Tak, detektyw pamiętał go z przeszłości, chociaż jakby przez mgłę, a przecież przychodził tu czasami z rolkami filmów, które przekazywał mu Marek Kuc. Chyba nawet był tu kilka razy z Mariką. Czy to wtedy się poznali? Czy to wtedy się zaczęło?

– Chce pan wywołać zdjęcia? – zapytał blondwłosy fotograf.

– My się znamy – powiedział Korda.

– Ach, tak, coś kojarzę – bąknął Karol Saski. – Współpracowałeś z Markiem Kucem, prawda?

Korda nie odpowiedział. Zakłuło go w klatce, ogarnęła go nagła słabość. Słodki zapach unoszący się po zakładzie fotograficznym przyprawiał go o mdłości.

– Tak, pracowałem z Kucem. I byłem mężem Mariki. Pamiętasz ją? – rzucił mocnym głosem.

Fotograf nie odpowiedział. Wpatrywał się w Kordę niewyrażającym nic wzrokiem.

– Coś tam pamiętam – odparł, zaciskając usta. – Po co tu przyszedłeś?

Mdłości się nasilały. Korda przypomniał sobie, że nic dziś jeszcze nie jadł, a słodki zapach wypełniający pomieszczenie tylko intensyfikował nieprzyjemne ssanie. Po co tu przyszedł? Po co? Sam nie wiedział. Co właściwie chciał osiągnąć?

– Chciałem ci tylko spojrzeć w twarz – zdecydował detektyw, skrzywił usta w grymasie pogardy i bezwiednie wodził wzrokiem za muchą, która z charakterystycznym brzęczeniem wleciała zza niedomkniętych drzwi na zaplecze.

– Wciąż ją kochasz, co? – Sasaki zaśmiał się cynicznie. – A to przecież była zwykła pijaczka. I dziwka. – Karol zacisnął pięści. – Dałbyś sobie już spokój po tylu latach – prychnął. – Kobiety to zdradzieckie suki są, nic więcej.

Brzęczenie ustało, a mucha usiadła na białej ścianie. Jej opalizujące skrzydła i zielonożółty odwłok jarzyły się w świetle ostrej sufitowej lampy.

– Nadal wywołujesz zdjęcia dla Kuca? – zapytał nagle Korda.

Odwrócił głowę w stronę witryny. Za oknem wzdłuż chodnika ciągnął się rząd wysokich drzew, a krople deszczu tworzyły niewielkie koła w zebranych w popękany chodniku kałużach.

– Wywołuję – przyznał Sasaki.

– Przykra sprawa z Kucem, co? – Korda przeciągnął palcem po bliźnie.

Jego zmysły się nagle wyostrzyły, mdłości ustąpiły. Rozszerzył nozdrza i mocno się zaciągnął. Słodki specyficzny zapach.

– No przykra. Kto by pomyślał. Tyle czasu znasz faceta, a tu nagle coś takiego – zauważył Karol.

Miał rozbiegane spojrzenie. Oskar wyczuł jego zdenerwowanie.

– Ludzie potrafią zwodzić innych latami. – Detektyw zbliżył się do fotografa. – Nigdy nie możesz być pewny, z kim tak naprawdę masz do

czynienia.

– Pająk ci wchodzi do ucha – prychnął Karol.

– Słucham? – Korda zamarł.

– Tak zawsze mówiła moja matka. Też potrafiła zwodzić ludzi. – Saski uśmiechnął się słabo. – Dokładnie tak samo jak samica pająka, która pożera swoich partnerów.

– Widocznie kobiety już tak mają. – Korda też słabo się uśmiechnął, powoli rozsuwając zamek kurtki. Uśmiech nie uśmiech. – Dlatego tak ich nienawidzisz, co? – dodał, wyciągając nagle glocka z kabury. Karol Saski się wyprostował. Machinalnie podniósł ręce. Korda zerknął na wiszące na ścianach zdjęcia. „Na powierzchni fotografii gromadzą się ładunki elektryczne, zwane ładunkami elektrostatycznymi, które po prostu przyciągają pyłki” – przypomniał sobie słowa Janiny. Skąd wziął się dziurawiec na zdjęciu, które mieli od Kuca? Czy pochodził od fotografa, który przekazał zdjęcie detektywowi? Oskar nie odrywał wzroku od Saskiego. Ich spojrzenia się krzyżowały, kryło się w nich najwyższe napięcie... Unoszący się słodkawy, mdły zapach, mucha, która z brzęczeniem zerwała się do lotu i przysiadła teraz na ladzie, kałuże w popękany chodniku, dziurawiec na zdjęciu Ewy Tokarz... W jaki sposób Saski dostał się na imprezy Lust Supper? O matko, jakie to było proste. W zastępstwie. W końcu była pandemia. W takich warunkach akredytacja przestawała mieć znaczenie.

– Lust Supper – powiedział w końcu Korda. – Jak się tam znalazłeś? Staraleś się o pracę? Czy to był przypadek, że to właśnie ty zastąpiłeś chorującego na COVID fotografa Wojtka Kulczyka? – strzelił.

Karol Saski powoli zmrużył oczy. Przez jego twarz przebiegł cień.

– Przypadek? Raczej przeznaczenie – rzekł w końcu gardłowo i poddając się instynktowi, zaczął uciekać.

Popchnął uchylone drzwi, które odbiły się od futryny, poślizgnął się. Korda sprawnym ruchem rzucił się za nim i po dwóch metrach powalił go

na podłogę, na kafle pokryte cieniutką warstwą zielono-żółtych listków i łodyżek dziurawca, opadającego kawałkami z sufitu.

Mroźny wiatr uderzał go w twarz. Ale nie zamykał oczu. I widział. Tak dokładnie jak nigdy dotąd, choć biała od śniegu plaża otoczona była czernią styczniowej nocy. Kobieta pchnęła mężczyznę, a ten uderzył ją w twarz. Gdyby nie zagłuszał tego ryk morza, na pewno uderzeniu towarzyszyłby donośny plask dłoni o skórę. Musiało boleć, bo Kaśka przyłożyła rękę do policzka i popatrzyła na Roberta Miksę wzrokiem pełnym niedowierzania i pogardy. I zaczęła biec. Wzdłuż brzegu, na który morze raz po raz wyrzucało wzburzoną pianę wody. Mężczyzna patrzył za kobietą. Dość krótko. Widać, że w ogóle mu na niej nie zależało. I odszedł. Przeciął plażę i skręcił w dróżkę biegnącą ledwie metr od wydm. Tak blisko, a i tak go nie zauważył. Nie zwracał uwagi na nic prócz siebie. I dobrze. Nie pozwalał, by jakaś niewierna suka weszła mu na głowę. Nie dał zjeść się żywcom i chyba właśnie to sprawiło, że darował mu życie. Cenił taką siłę u mężczyzn. Jego ojciec jej w sobie nie miał. Pozwalał sobą pomiatać, a matka skrupulatnie to wykorzystywała. Traktowała go jak śmiecia na każdym kroku.

Zacisnął pięści i dziką skarpą zsunął się na plażę. Kaśka dalej biegła przed siebie. Ciekawe, jak długo będzie tak biec, nim się zorientuje, że jej kochanek po prostu ją zostawił. Że wcale za nią nie biegnie jak w hollywoodzkich filmach, by ją przeprosić, że najzwyczajniej w świecie odjechał, nie martwiąc się o to, czy sobie poradzi. „Sama, nocą, na wyludnionej plaży, gdzie mogą ją przecież spotkać różne nieprzyjemności” – zaśmiał się w myślach, spokojnie podążając za kobietą. Nocne morze, czarne i bezkresne, huczało niczym zwierz. Zawsze tak samo. Zawsze tak

pięknie. Kochał ten żywioł. Nie było siły, która mogłaby go zatrzymać. Nie było siły, która mogłaby go poskromić. Dokładnie tak jak jego.

Uśmiechnął się i przyspieszył kroku. Nagle Kaśka upadła. Widział, jak leży na brzegu, a fale uderzają prosto w nią. Mimo to nie wstawała. Czy czuła aż taką beznadzieję?

Powoli zaczął się zbliżać. Czarna skajowa torebka dryfowała na falach w tę i we wtę. Katarzyna Kuc siedziała na piasku, a woda podmywała jej sukienkę. Płakała. Próbowwała wstać, ale najwyraźniej nie mogła. Udawało jej się przesunąć dosłownie kilka milimetrów.

Cztery metry. Trzy. Dwa. Dopiero teraz zauważył, że noga kobiety była wykręcona pod dziwnym kątem. Oj, jaki pech. „Jaki straszliwy pech” – zachciało mu się śmiać. Nie dość, że kochanek zostawił ją samą, to jeszcze złamała nogę. No peszek. Prawdziwy peszek.

Mężczyzna stanął tuż za kobietą i chwilę się jej przyglądał. Przemoczona, roztrzęsiona. Nie wiedziała, co robić. Zasłużyła sobie na to. Nawet Bóg tak uważał.

– Zwykła kurwa – odezwał się nagle.

Jego głos zginął w pomruku fal, ale Kaśka musiała wyczuć jego obecność, bo nagle odwróciła głowę w jego stronę.

– O Boże! – Złapała się za serce. – O Boże! Karol. Jak dobrze. Jak dobrze. Pomóż mi. Zobacz, chyba złamałam nogę – zaczęła biadolić. – Biegłam brzegiem i musiałam źle stąpnąć, bo nagle ta noga po prostu mi się wykrzywiła i upadłam. No i torebka mi uciekła. – Wskazała na morze. – Co za dzień, nie mogę wprost uwierzyć. Boże, jak dobrze, że jesteś.

„No niewiniątko – pomyślał Sasaki. – Kogo ona chce oszukać? Taka biedna. Taka nieporadna. Oj, naprawdę mi żal. Się przewróciła suka”.

– Masz telefon? – spytała Kaśka. – Bo mój został w torebce. O! Zobacz, tam torebka jest. No. Telefon. Dokumenty. Pieniądze. Wszystko tam mam. – Załamana ręce. – Chyba się nie ruszę, wiesz? Trzeba będzie pogotowie

weszać. Boże, zobacz, jak ta noga wygląda. Jezu, nie mogę patrzeć – lamentowała. – To co, masz telefon?

Fotograf pokręcił głową.

– Nie masz?! No co ty. Ja pierdolę. To co teraz? Jezu, to jakoś mi pomóż wstać, co? Nie wiem, czy dam radę, no ale zobaczmy. Mokra cała jestem przecież. Tak w wodzie zostać nie mogę, bo przecież zamarznię, nie? – Szczękała zębami. – No daj rękę. Daj! – Wyciągnęła ku niemu dłoń.

– Poczekaj. Zobaczą jeszcze w kieszeni – powiedział Karol Saski.

Serce biło mu jak szalone. W uszach huczało. Ale już nie morze, tylko hormony, które wzbierały w nim jak ocean.

Wydobył coś z kieszeni.

– Gdyby kózka nie skakała, toby nie była zarąbana – próbował przekrzyczeć narastający w nim dźwięk.

Uśmiechnął się szeroko i zamachnął z całej siły.

Epilog

Przez okno wpadał ciepły wiatr, śpiewały ukryte w konarach drzew ptaki. Wiosna. Kolejna wiosna. Korda przymknął oczy, a pod jego powiekami pojawiły się czerwone plamy. W oddali rozległ się gwizd pociągu. Był ledwo słyszalny, lecz sprawił, że natychmiast otworzył oczy. Odbijające się od ekranu przy torach ostre światło słoneczne boleśnie raniło jego oczy.

– Wiedziałeś? – odezwał się. – Wiedziałeś, że Karol Saski jest mordercą?

Kuc sucho odkaszlnął. Przysunął sobie krzesło i ciężko przysiadł przy stole. Milczał.

– Wiedziałeś?! – Oskar odwrócił się od okna i zaczął się uważnie przypatrywać mężczyźnie.

Kuc westchnął i sięgnął po leżącą na blacie paczkę LM-ów. Znów odchrząknął, zapalił. Zapach dymu powoli połączył się z wpadającym z zewnątrz ciepłym powietrzem.

Wiosna. Znów wiosna.

Korda odszedł od okna i usiadł naprzeciwko Kuca.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Nie wiedziałem, że Saski zabił tych ludzi – odezwał się wreszcie Kuc. – Naprawdę. Nie wiedziałem, że to on.

Wierzył Kucowi. Znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten nie kręci. Szkoda, że intuicja go zwiodła, gdy oskarżył go o zbrodnię Młotkarza.

– Ale wiedziałeś, że to on zabił twoją Kasię, prawda?

Mężczyzna arogancko wydmuchał dym.

– Może wiedziałem, a może nie wiedziałem? Jakie to ma teraz znaczenie?

– Niewinny człowiek przesiedział przez ciebie pół życia w więzieniu.

– Zasłużył sobie. Nie tyka się czyjeś żony! – Kuc uderzył dłonią w stół.

– Tak czy siak, Marek, zawsze miałem cię za człowieka honorowego, a ty przez lata współpracowałeś z mordercą swojej żony.

– To nie tak.

– A jak?

Prywatny detektyw z ciężkim westchnieniem zgasił papierosa w kryształowej popielnicy.

– Wiedziałem, że Kaśki nie zabił Miksa, bo byłem tam wtedy i widziałem na własne oczy, że zostawił ją na plaży. Stałem na wydmach, a on przeszedł obok mnie. Ruszyłem za nim. Chciałem go zabić. Bardzo chciałem. Ale nie potrafiłem tego zrobić. Stchórzyłem. Jak jakiś mięczak. Widać to nie takie proste, odebrać życie innemu człowiekowi. Wsiadłem do auta i pojechałem za nim. Patrzyłem, jak wchodzi do swojej kamienicy, jak wraca do żonki, do swoich dzieciaków, i zrobiło mi się ich żal. Całej tej rodziny, nieświadomej, że żyją w kłamstwie. A potem pojechałem do siebie i czekałem na Kasię. Nie wiedziałem, czy chcę jej wybaczyć, czy chcę ją skatować. Nie mam pojęcia, jak bym się zachował, gdyby wróciła do domu.

– Ale nie wróciła.

– Nie wróciła. Widocznie tak miało być. Los zdecydował za mnie, a ja nie chciałem poznać prawdy, bo i tak o wszystko obwiniałem Miksę. Może i mignął mi tamtego wieczoru samochód Karola. Może... Nie miało to znaczenia. I wtedy, i teraz.

– Nie wierzę ci, Marek. Kto jak kto, ale ty byś nie zasnął, póki nie poznałbyś prawdy.

– Ty też nie draż, Korda. Nie draż. Czasami trzeba zostawić rzeczy takimi, jakimi są. – Kuc wpatrzył się w okno. – Rozumiem, że macie twarde dowody na to, że to Saski dokonał tych trzech morderstw w Kamiennym Potoku?

– Dowodów mamy aż nadto. Saski kilkukrotnie zastępował fotografa na imprezach Lust Supper, gdy ten chorował na koronawirusa. I to wtedy namierzył swoje ofiary. Prawdopodobnie te imprezy stały się zapalnikiem

w jego chorym umyśle. Przez matkę nienawidził niewiernych kobiet. I co najlepsze, skatował swoje ofiary starym ciesielskim młotkiem ojca. Narzędzie zbrodni leżało sobie u niego spokojnie w skrzynce z narzędziami.

– Podobno latami znęcał się nad swoją matką. To prawda?

– Tak. Z tego, co udało się nam ustalić, jego matka patologicznie zdradzała ojca i wcale się z tym nie kryła. To wywołało u niego traumę. Gdy zmarł ojciec, Saski przykuł matkę do łóżka i utrzymywał ją przy życiu. Leczył odleżyny dziurawcem i oczyszczał, używając larw much. On był zupełnie odklejony od rzeczywistości.

– Kurwa, a ja nic nie zauważyłem? Karol od zawsze był specyficzny. Mówił, że po śmierci ojca matka uciekła z jakimś gachem i nikt jej nie szukał. Tyle. Współpracowałem z nim latami. Wpadałem, wypadałem, zamieniałem kilka słów. A za tamtą kotarką rozgrywały się takie rzeczy... – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Że ja, stary pies, niczego nie wywąchałem!

– Coś tam jednak wywąchałeś. – Korda wstał od stołu i znów podszedł do okna.

Wiosna. Kolejna wiosna.

– Mówisz o Marice?

Oskar milczał, ale jego klatka piersiowa zaczęła się mocniej unosić i opadać.

„Pająk ci wchodzi do ucha. Pająk ci wchodzi do ucha...”

– Powiedzieć ci, co wiedziałem? – pytanie Kuca zawisło na moment w przestrzeni. Podobnie jak gwizd pociągu, który nadjechał i z potężnym dudnieniem długo przesunął się za ekranem zasłaniającym tory.

Gdy hałas ustał, Kuc powtórzył:

– Powiedzieć ci?

Korda przymknął oczy, obserwując rysujące się pod nimi refleksy, wreszcie je otworzył i odwrócił się w stronę Kuca.

– Czasami trzeba zostawić rzeczy takimi, jakimi są – powtórzył jego słowa i uśmiechając się cynicznie, opuścił jego mieszkanie.

Wsiadł do alfy, puścił muzykę swojego ulubionego trójmiejskiego zespołu i odjechał. Starał się nie widzieć postaci Mariki przemykającej oruńskimi ulicami, jej skreconych w sprężynki włosów i intensywnie zielonych oczu spoglądających z każdego zaułka.

Podziękowania

Szrama zapewne by nie powstała, gdyby nie energia i wiedza płynąca z zewnątrz. Niesamowite, że w czasie pracy nad książką na mojej drodze zawsze pojawiają się osoby, których opowieści wzbogacają kreowany przeze mnie świat.

W pierwszej kolejności dziękuję mojej siostrze Katarzynie Sobczak-Bergmann, która podczas spontanicznej burzy mózgow pewnego letniego dnia w ogrodzie podsunęła mi pomysł rozwiązania wymyślonej przeze mnie zagadki kryminalnej. Jeszcze nigdy finał książki nie przyszedł do mnie tak szybko. Dziękuję, Sisterku!

Za inspirację związaną z imprezami Lust Supper dziękuję Jackowi Brodziakowi. Przy okazji chciałam dodać, że przestrzeń Lust Supper istnieje w rzeczywistości, lecz nie łączy ludzi zdradzających, tylko wszystkich tych, którzy kochają kink i rave. Za podsuniecie sugestywnych obrazów Oruni Dolnej serdecznie dziękuję Magdzie „Bąblowi” Adamowskiej. Ogromne podziękowania ślę również Krzysztofowi „Sado” Sadowskiemu, który podzielił się ze mną licznymi opowieściami i refleksjami na temat dojrzewania, świata i muzyki.

Za konsultacje z dziedziny kryminalistyki pragnę gorąco podziękować Jackowi Winklerowi, ekspertowi z tego zakresu, biegłemu sądowemu i wykładowcy w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku oraz Gdańskiej Szkole Wyższej. Wszelkie błędy, które pojawiają się w książce, wynikają z mojej autorskiej wyobraźni, która czasami mnie ponosi. Za wsparcie merytoryczne w zakresie nauk przyrodniczych dziękuję doktor Marcie Skowron-Volponi, entomolożce pracującej w Pracowni Biologii Ewolucyjnej i Ekologii Owadów. Za konsultacje z zakresu wiedzy policyjnej nieodmiennie i zawsze dziękuję Andrzejowi vel Kyokushinowi. Z całego serca dziękuję też Pawłowi Wawrzyniakowi, który za każdym razem służy

mi swoją wiedzę informatyczną, a tym razem wprowadził mnie w arkana darknetu. Za pierwsze konstruktywne recenzje oraz uwagi redakcyjne serdecznie dziękuję Krzysztofowi „Sado” Sadowskiemu i Patrykowi Sakowiczowi (CzytamPowoli). Uściski przesyłam mojej wspaniałej redaktorce inicjującej Ewie Orzeszek, która emocjonalnie i technicznie wspierała mnie podczas całego procesu pracy nad tą powieścią. Dziękuję również redaktorce Doni Cydejko za jego koordynowanie.

Pisząc *Szramę*, zainspirowałam się książką Michelle McNamary *Obsesja zbrodni*, traktującą o Gwałcicielu ze Wschodniej Granicy tudzież Nocnym Łowcy – z której zaczerpnęłam modus operandi sprawcy. Pracę palinolożki Janiny Hinc, podobnie jak w *Szumie*, opisywałam, bazując na *Śladach zbrodni* Patricii Wiltshire. Korzystałam również z książki Magdy Mieśnik i Piotra Mieśnika *Jesionka dla trupa*, która okazała się bardzo pomocna przy pisaniu rozdziału dotyczącego sprzątnięcia miejsca zbrodni. Kłaniam się też Agnieszce Stajanos, Klaudii Bąkowskiej i Pani Prezes Sądu Okręgowego w Legnicy Joannie Otto, za pomoc w uzyskaniu dostępu do interesujących mnie akt sprawy karnej.

Jak zwykle uprzedzam, że na potrzeby niniejszego kryminału dokonałam mniej lub bardziej celowych przeinaczeń merytorycznych i przesunięć czasowych, za które przepraszam, ale... historia ponad wszystko!

Ściskam Was gorąco, moi Czytelnicy
Małgorzata Oliwia Sobczak

¹ Fragment utworu *Fear of the water*. Tekst i muzyka – Brian Fennell.

² Fragment utworu *Zdrada czai się*. Tekst – Olga Jackowska, muzyka – Marek Norbert Jackowski.

³ Fragment utworu *Monument*. Tekst – Svein Berge, Torbjorn Brundtland, Robin Carlsson.
Muzyka – Röyksopp & Robin.

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek
Redaktorka prowadząca: Ewdokia Cydejko
Redakcja: Joanna Kłos
Korekta: Cecylia Kobierzycka, Lena Marciniak-Cąkała

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-853-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek